

ATENEUM.

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVII

ROK VII.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1882.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Lipca 1882 r.

ZYGMUNT ŁAWICZ

I JEGO KOLEDZY.

IX.

Paweł Rębko, eks-żołnierz a obecny posługacz przy najwyższém w X. miejscu sądowém, należał do téj grupy mieszkańców X., która w mówieniu posługuje się rodzajem gwary, utworzonéj z najdziwaczniejszéj mięszaniny dwu języków. Oprócz tego, odznaczał się on jeszcze tém, że zapytany kimby był? stale i niezmiennie, z ramionami jak struny wzdłuż boków wyciągniętemi, odpowiadał: „*katolik*“. O innych właściwościach, urodzeniu ludzkiemu towarzyszących, wyobrażenia nie miał. Kiedyś, za młodu, w okolicy szlacheckiéj, sznurem szarych domóstw nad brzegiem Niemna rozwiniętéj, wyobrażenie to istniało może w głowie jego, lecz w lekkich i bladych zarysach, które zatarte zostały przez dwadzieścia lat wędrowania po szerokich przestrzeniach i następujące po nich lata służby w sądowém miejscu. Teraz, w głowie mu już nie postało nigdy, aby czemś czy kimś innym mógł być jak tylko i wyłącznie: „katolikiem“. W zamian, katolik z niego był żarliwy i ta to żarliwość, wprawiała go w dnie niedzielne w kłopot nie mały. W dniach niedzielnych, z jednéj strony brzmiały rozgłośnie dzwony kościelne, z drugiéj strony, przy wjeździe do miasta, turkotały koła, przybywających na targi i nabożeństwa mieszkańców wsi. Paweł Rębko czuł się pociąganym w strony obie. Energiczne poczuwanie się do stanu „katolika“, wzmocnione jeszcze silną obawą piekła, ciągnęły go ku otwartym na oścież wrotom kościelnym; życiowe zaś interesa, jak téż przyzwyczajenia i zamiłowania fachowe, znajdowały się po stronie drugiéj. W kłopocie jednak tym, Rębko radzić sobie umiał. Naprzód, w godzinie bardzo wczesnéj szedł do kościoła, gdzie całym ogromem ciała swego, na klęczki przed ołtarzem runąwszy, modlił się czas jakiś

z książki i z pamięci, żarliwie, głośno, potężnemi pięściami bijąc się w piersi z całéj siły a czasem, twarzą ku dołowi, wyciągając się na ziemi w całéj długości i z rozpostartémi ramionami, czyli, krzyżem leżąc. W sposób ten, odbywszy obowiązkowe niejako, niedzielne klęczenie, szeptanie i wykrzykiwanie modlitw, bicie się w piersi i leżenie krzyżem, powstawał, przy wyjściu z kościoła, uroczyście bardzo skrapiał czoło swe i piersi święconą wodę i—skierowywał się ku jednéj z dróg, któremi wieśniacy do miasta wjeżdżali. Tu, na rogu ulicy stojąc, przypatrywał się pilnie wjeżdżającym do miasta wozom chłopskim i *kałamaszkom* zagrodowéj szlachty, jako téż fizyonomiom siedzących na nich ludzi. Doświadczenie znać miał spore i gdy który z wozów czy która z fizyonomij, wydały mu się odpowiedniémi zamiarom jego, śmiałym krokiem a z dobrodusznym uśmiechem zbliżał się ku nim, najpokaźniéj jak tylko być może, prezentując na szerokich barkach galowy strój dymisyonowanego żołnierza a na wydymającéj się piersi, dwa wielkie i jak słońce złote medale. Bywali dość liczni właściciele wozów i *kałamaszek*, którzy prawdziwie wzruszonymi i zachwyconymi czuli się na widok dumnie i zarazem życzliwie zbliżających się ku nim zawiesistych wąsów, szerokich bark, błyszczących guzików a szczególniéj wielkich medalów Rębki. Człowiek taki, musiał być doświadczonym bardzo i biegłym we wszystkiém co tyczyło się prawa i urzędu, umiał pewnie sam pisać do sądów *prośby* i skargi, albo przynajmniéj znał takich co je pisać umieją! Powoli zrazu i od niechcenia niby, lecz potém coraz żywsze i poufniejsze zawiązywały się rozmowy, które Rębko zamieniał wkrótce w indagacye formalne i naiwnych, zalęknionych nieco przez ruch i gwar miejski przybyszów albo ku swemu mieszkaniu wiódł albo ku mieszkaniom protegowanych przez się indywiduów, których wspaniale, *adwokatami* mianował. Zależało to od rodzaju *interesu* i stopnia trudności, które *chodzenie około niego* przedstawiało. Około bardzo drobnych i łatwych, Rębko sam *chodzić* przyrzekał, to przecież że były one drobne i łatwe w najgłębszéj tajemnicy chowając. Nie rzadko téż, w niedzielne południe, przed drzwiami Rębki, stało parę wozów lub kałamaszek a on sam w mieszkaniu swém, pomiędzy zdobytymi klientami siedząc, z czerwonym nosem w ogromne okulary uzbrojonym, sylabizował głośno papiery, ukazujące się kolejno z kieszeń siermięg i kapot. Potém, z kieszeni tych ukazywały się trzy lub pięciorublowe asygnaty, potém jeszcze, na stole, ukazywały się: butelka z wódką i talerz ze śledziem albo wędzoną kiełbasą a potém jeszcze, z twarzami opromienionemi najpiękniejszą nadzieją mieszkanie Rębki opuszczali klienci, on sam zaś, z asygnatami w kieszeni wychodził do miasta i długo nie wracał. Powrotu jego, w dniach po-

dobnych, Rębkowa oczekiwała z niepokojem wielkim, wiedziała bowiem, że ilekroć Paweł jéj wychodził do miasta z pieniędzmi w kieszeni, tylekroć powrót jego do domu odznaczał się bardzo głośnemi i nieraz bolesnemi „herezyami.“ Po prostu, wracał pijany a na odgłos krzyków podnoszących się w mieszkaniu jego, lokatorowie kamienicy mawiali pomiędzy sobą, że: Rębko żonę bije! Upokorzenia takiego, Rębkowa od innego człowieka nie zniosłaby pewnie ale od takiego jakim był Rębko, znosiła. Jeżeli bowiem z przyczyny jego miewała chwile wstydu, wynagradzało się to tygodniami dumy, którą ją rozum jego i wysokie jego w świecie stosunki napełniały. Jeżeli czasem, od uderzeń pięści jego bolały ją plecy, jakże za to w dniach innych szczęśliwą bywała! Rębko kochał żonę swoję, w oczy za oczy mawiał o niéj zawsze, że jest kobietą piękną, od czasu do czasu prowadził ją wystrojoną pod ramię po ulicach miasta lub za miasto, a gdy w wieczory zimowe w gronie znajomych i przy butelce piwa albo wódki rozweselił się czasem, to zrywał się ze stołka chwytał ją w pół i przy dźwiękach harmoniki albo samemu sobie przyśpiewując aż do stracenia tchu tańczył z nią *miecielicę*, z wieśniaczéj jeszcze, wpółchłopskiéj młodości zapamiętaną. Pomimo więc przytrafiających się dość często „herezyi“, małżeństwo Rębków było kochającém się i szczęśliwém. Niedostatku téż, w obszernéj, niskiéj izbie, o dwu oknach i wielkim kominie nie było. Zarobki mieli oboje niewielkie lecz rozmaite, bo i kobieta ze swéj strony zarabiała, obsługując niezamożnych lokatorów kamienicy a pensyą którą mąż jéj otrzymywał w Izbie, chroniąc przed okiem i ręką jego, z czujnością Argusa.

W tę niedzielę, która nastąpiła po rozmowie Rębkowéj z Ławiczem, Rębko na żadną z dróg wjazdowych nie udał się ale wprost z kościoła przyszedł do domu. Wiedział już o wszystkiém od żony a sprawy familijne mocno mu znać na sercu leżały. Wychylając kieliszek wódki a przekąsując podaną mu przez żonę skrobaną rzodkiew, pokręcał zawiesistego wąsa i żartobliwie zerkał na Frankę, która, bledsza niż zwykle, bez kwiatów we włosach, żwawo jednak i pracowicie krzątała się około izby i obiadu.

— No cóż? dziewczyno! odezwał się po chwili, w służbę iść pora! miejsce ci już znalazłem. W porządnym domu, cztery ruble na miesiąc pensyi...

Franka siekając mięso na stolnicy i nie odwracając głowy, półgłosem odpowiedziała.

— A jakże! kiedy trzeba to trzeba! Na toż mnie tu ojcowie przy-sła...

Zaszlochała.

— Czegoż beczysz? Możeby ci lepiéj męża dać jak służbę, hę?

Franki przy stolnicy już nie było. Nóż, którym siekała mięso leżał na ziemi, perkalowa zaś i zawsze wykrochmalona jéj suknia szeleściła pomiędzy piecem a szafą.

— Chowaj się czy nie chowaj, smarując na chleb skrobaną rzodkiew prawił Rębko, a powiedzieć musisz. Co wolisz: służbę czy męża? hę?

Pomiędzy szafą a piecem ozwało się gniewne sarknięcie.

— Niech jego dyabli wezmą!

— Kogo? męża?

— A takiego, co wy mnie dać możecie! z płaczem fuknęła dziewczyna.

Rębkowa śmiała się z téj rozmowy męża z synowicą tak, że się aż za boki brała.

— Oho! rzekł Rębko, panience panicza się zachciało! ja to wiem! A jak ci na męża dam panicza to co będzie? hę? pocałujesz ładnie *dziadźka*, pogładzisz jemu wąsy, hę?

Teraz, pomiędzy szafą a piecem płacz ucichł a słyszéć się dawał szmer do drapania paznogciem po drzewie podobny. Przytém, cichy i drżący głos Franki wymówił.

— Co to i gadać! wiadomo, że to nie w waszéj mocy jest—tylko w boskiéj!

Rębko wstał.

— W boskiéj *swoim porządkiem*, rzekł, a w mojéj swoim. Ciekawy jestem co w mojéj mocy nie jest? Ot, zobaczysz, że kiedy zechcę to stanie się według życzenia twego a kiedy nie zechcę, to nie stanie się. W mojéj mocy jest wszystko.

— Nuże, krzyknęła Rębkowa, wyleź tam z kąta a padnij do nóg wujowi, poproś go, to ci szczęście zrobi. On wszystko zrobi co zechce.

Rębko stał na środku izby, z czapką w ręku i widocznie czekał na to aby dziewczyna, o *zrobienie* jéj szczęścia prosiła. Wszechmocność jego błaganą być chciała. Ale Franka, nie wyłaziła z kąta.

— Wstydzi się! usprawiedliwiała ją z cicha Rębkowa.

W tejże chwili, dziewczyna, jak zwykle bywało, niby koza dzika wyskoczyła z kąta, i przed Rębką na kolana upadła. Nie pochyliła się mu do nóg ale twarz i załamane ręce ku niemu podnąsząc, wołać zaczęła.

— Oj wujaszku, wujaszku. Ulitujcie się wy nademną i w służbę mię nie oddawajcie! Ja niczego nie chcę i *za męża* iść nie chcę, tylko tutaj chcę zostać... Ja nie będę wam darmo chleba jeść, służyć wam będę i na zarobki chodzić, byle tu zostać...

Rębko z uśmiechem, targał wąsa.

— Cóż? czy tak nas polubiłaś, że już przy nas tak żądasz zostać?

Dziewczyna skłamać widać nie mogła.

— Oj wujaszku! zawołała, *tu* żądam zostać, *tu* żądam...

We wzniesionych jéj oczach, postawie, gestach i błagalnym wyrazie zalanéj łzami twarzy malowało się uczucie niesforne, prostacze lecz szczere i pełne bólu.

Kiedy po chwili Rębko wszedł do izdebki Ławicza, napełniła się ona zmięszanym zapachem wódki, rzodkwi i dziegciu, którym wysmarowane były buty jego, wyżéj kolan sięgające. Medalów swoich, dnia tego nie włożył, tylko na sukiennym szynelu, wyczyszczone starannie, błyszczały metalowe guziki.

— Dzień dobry! przyszedłem tu *na konto* interesu tego, o którym pan wczoraj z babą moją gadałeś. U baby zwyczajnie jak u baby: włosy długie, rozum krótki. O takich rzeczach, mężkim głowom myśleć. Pogadamy.

Przysunął krzesło do stołu, przy którym siedział Ławicz i rozsiadł się na niém jak można było najwygodniéj.

Na bardzo znużonéj i bladéj dnia tego twarzy młodego człowieka, rozlał się wyraz dolęgliwéj przykrości. Dotąd, zostawał on z Rębką w stosunkach dalekiéj tylko znajomości. Być może, iż to uczucie, które powziął dla ładnéj dziewczyny, a które miłością nazywał, podobném było do delikatnego kwiatu, i że z niepokonanym wstrętem widział on, opadającą na kwiat ten grubą dłoń Rębki. Ze spuszczonemi oczami milczał. Rębko mówił daléj.

— Interes jest taki. Chcesz pan żenić się z dziewczyną naszą. I ja i baba moja, nie mielibyśmy nic przeciw temu. Jedna tylko przeszkoda jest, bardzo ważna. *Utrzymania* pan nie masz, słyszysz pan *utrzymania* niemasz... a utrzymanie, to jest taka rzecz, bez któréj my dziewczyny nie damy. Niech lepiéj służy, niżby miała głód cierpiéć. A znasz pan przysłowie: goły z gołą, dzieci złodzieje! cha, cha, cha, cha!

Śmiał się grubo i tak serdecznie, że aż trzęsły się mu szerokie ramiona.

— Panie Rębko, zaczął Ławicz, pracuję przecież w biurze i przytém...

Rębko wzniósł w górę wskazujący palec i wywijał nim w powietrzu.

— W biurze! w biurze! e! *głupia sztuka*! 25 rubli na miesiąc. I jednemu to nie bogactwo, a z familią nędza. I matkę jeszcze pan masz, któréj zawsze siaką taką kopiejkę posłać trzeba będzie, hę? I przytém jeszcze, to bardzo niepewne. *Sztatnym* (etatowym) nawet

pan nie jesteś. Jak powiedzianém jest w św. Ewangelii, nie wiesz ani dnia ani godziny... kiedy ci pstryczka w nos dadzą i wypędzą. Ot jak! Takim sposobem, to już naszéj dziewczynie lepiejby było za rzemieślnika pójść, bo za rzemieślnikiem chleb i sutszy i pewniejszy. Interes czysty!

Na policzki Ławicza wybiły się plamy rumieńców, boleśne rozdrażnienie świeciło mu z oczu.

— Panie Rębko, rzekł cichym i od przykrego wzruszenia rwącym się głosem, sam już o tém wszystkiém myślałem, i zdaje mi się że potrafię dać sobie radę. Znam kilka obcych języków i mam trochę nauki w głowie. Będę dawał lekcye po domach.

Rębko, z ironicznym uśmiechem na grubych wargach, wlepiał w niego okrągłe swe, sprytem i śmiałością błyszczące oczy a przecząco wstrząsając głową, stanowczo wyrzekł.

— Nie zgadzam się. Dawanie lekcyi po domach *głupia sztuka*. Żebyś pan miał uczony patent a naprzykład profesorem w gimnazyum mógł być,—to co innego; chleb byłby choć *tak samo* nie suty, ale przynajmniéj pewny i przytém honor... Ale po domach pędzać się, cha, cha, cha! gadaj pan sobie zdrów, tylko nie mnie! Ja za *gubernera* dziewki nie oddam. To moja krew i poniżoną nie będzie.

Ławicz, nagłym ruchem wstał z krzesła. Nie patrzał na Rębkę. Ze szklistości oczu jego widać było, że patrzył w samego siebie a wzburzony był bardzo, z plamami rumieńców na policzkach i ręce mu drżały.

— Cóż to znowu? zawołał, czy i to jeszcze, wzbronionem mi być ma i niedostępném, to, co jest powszechném prawem natury, co może być jedyném mojem dobrém na ziemi?..

Rębko śmiał się.

— No, no! nie desperujże pan tak zaraz? po co te desperacye? Albo ja panu dziewki odmawiam? Niech Pan Bóg broni! pan jesteś człowiekiem z pięknéj familii, katolikiem i z głową... czemużby nie? Tylko, *utrzymanie* trzeba mieć a w tém już moja głowa. Jeżeli pan mojéj rady posłuchasz, to ja pana i z Franką ożenię i człowieka z pana zrobię. Trzeba tylko żebyś pan mnie jak rodzonego ojca słuchał.

Jakkolwiek skromność i małe o sobie mniemanie były cechami charakteryzującemi Ławicza, wiadomość o tém, że Paweł Rębko miał z niego człowieka zrobić, wydała mu się tak szczególną, że aż wywołała mu na usta prawie wesoły uśmiech.

— Ot już i *obradowałeś się*! ze śmiechem zawołał Rębko; no, bo i jest czego! Gdzie moja głowa postanie, tam już i smucić się przyczyny niema. Ot moja rada! adwokatem zostań!

Ławicz osłupiał.

— Ja, adwokatem! ależ ja do tego ani odpowiedniéj nauki, ani żadnych kwalifikacyi nié mam!

Rębko śmiał się.

— Niech pana Pan Bóg kocha, jaki z was śmieszny człowiek! Jakiéj tam nauki potrzeba? pfuj, zgiń maro przepadnij! przeczytać *ustawę* dla sądów *mirowych* (pokoju) i koniec! A sześć lat *w pałacie* służysz! tożbyś chyba *durniem* był, gdybyś nie umiał jeszcze *prośby* napisać, *iskowego* podania zrobić, *sprawkę* (kwerendę) zaprowadzić i co do czego należy, hę? *Ustawę* o stemplowych papierach znasz? *Formę na najwyższe imię*, znasz? Język w gębie masz? a...

Tu pochylił się ku Ławiczowi i wytrzeszczając oczy, z odpowiedniemi gestami rąk a tajemniczo zniżonym głosem, dodał.

— A *pocichieńku* z kim trzeba będzie, pogadać potrafisz?

Nieznacznie i stopniowo, zaczął w rozmowie swéj używać wyrazu: ty! czuł się widocznie powagą umysłową, względem uczonego młodzieńca tego, który z całą uczonością swą *utrzymania* nie miał. Że zaś, żenić się on chciał z dziewką jego, więc téż czuł się on względem niego i powagą rodzinną. Obu łokciami na stole rozparty, wskazującym palcem wywijając w powietrzu, mówił daléj.

— Co się zaś tyczy tych *kalifikacyi*, *pusta sztuka! Kalifikacye* potrzebne dla przysięgłych ale, *abo* to tylko przysięgłym pozwala się *za interesami chodzić*? Wszystkim pozwala się. Czy Icek Rejber, ma jakie *kalifikacye*? A ot z interesów dwa domy już sobie zbudował. *Abo* ten chałatnik Kukawer, czy ma jakie kalifikacye? a pijaczysko te, Lipski ten, co kiedyś w Izbie służył a teraz familią z interesów utrzymuje, ma jakie? a na ten przykład choćby i ja sam... Ale co o tém gadać? Jak zaprowadzą w sądach nowe porządki, trudniéj będzie, choć zawsze, siako tako, można będzie ale teraz, byle egzamin zdać—to już nawet i językiem przed sądami obracać możesz... A jaki to egzamin, kiedy go nawet Kukawer zdać potrafił? A ja już dla ciebie większego dochodu i lepszego utrzymania jak ma ten chałatnik Kukawer i nie żądam...

Ławicz, z mniejszém już zdziwieniem słuchał długiéj mowy Rębki. Myśl przecież o kolegowaniu z Ickiem Rejberem, Kukawerem, i pijakiem Lipskim, nie zdawała się sprawiać mu roskoszy. Wzburzony, zawołał.

— Ależ Kukawer, Rejber i Lipski mają opinią ludzi nieuczciwych...

— E! *pusta sztuka*! co to do tego ma! uczciwość to taka rzecz, która od sumienia zależy. Czy kto ciebie będzie przymuszał, abyś

tak jak oni obdzierał i oszukiwał ludzi? Kiedy tobie bez obdzierania i oszukiwania dobrze będzie! Ważnych interesów w *pałacie* pewno nie będziesz miał, bo do tego to już różnych inszych rzeczy potrzeba. Ale że u *mirowych* roboty ci nie zabraknie, w tém już moja głowa. Jak ja w twoję stronę interesa zapędzać zacznę, to połowa ich od Kukawera i Rejbera do ciebie przejdzie. Z wierzchu patrzając, to niby *drobne sztuki*, bo tam tylko różne *małe kryminały* i cywilne *dzieła* do 500 rubli dochodzące, ale jak się tego nazbiera dużo, to i nie obejrzysz się, jak bez krzywdy nawet ludzkiéj, piękne utrzymanie sobie zrobisz.

Z pół godziny jeszcze prawił o możliwości i wielkiéj korzyści, ułożonego przez się planu. Potém wstał i wziął czapkę.

— No, namyślaj się sobie.— Król *abo* cygan! *abo* rady mojéj posłuchasz, dziewkę weźmiesz i na człowieka wyjdziesz, *abo* zgiń i przepadnij!

Obejrzał się po izdebce, wzgardliwie na książki popatrzał.

— Te ot Talmudy — rzuć! Wyschłeś przy nich jak w Psalmie świętym powiedzianem jest, niby wróbel na dachu i tyle! Kancelaryą też potém rzucisz, bo i takie służenie w niéj jak twoje, psu na budę nie zdało się. Z biedy ci trzeba wyleźć — to *pierwsze*, a *drugi raz* — to nawet i *wstydno*, żeby w takim wieku człowiek nie mógł jeszcze żonki sobie wziąść, albo rodzonéj swojéj matki przy sobie trzymać, dlatego że niema im czego do gęby włożyć — pfuj!

Wyszedł. Ławicz siedział długo z łokciami na stole, z twarzą w dłoniach. Człowiek ten, śmierdzący wódką, rzodkwią i dziegciem, doradca ten, mówiący obrzydliwą gwarą, miał słuszność! po wielekroć miał on słuszność! *Piersze*, wstydno było istotnie, okropnie *wstydno*, że w wieku dojrzałym znajdował się on jeszcze w stanie takiéj nagości i bezsilności, jak gdyby był małém dziecięciem, lub ostatnim głupcą i niedołęgą! *Drugi raz* boleśnie było, okropnie boleśnie, że ani kobiety, którą pokochał, ani rodzonéj matki swéj ku sobie przygarnąć, opieką i miłością otoczyć nie mógł, dlatego, że nie miał czego do gęby im włożyć! *Trzeci raz* plan ułożony przez człowieka tego był do wykonania zupełnie możliwym. Nakoniec: uczciwość jest to rzecz taka, która od sumienia zależy, więc na każdem miejscu świata tego, sumienie świadome zła i dobra, czystem pozostać może....

Wstał i stanął przy otwartem oknie. Tuż za oknem, promienie słoneczne rozniecały w blaszanym dachu ognisko olśniewających świateł. Nad niém, w tęczowych blaskach jego, krętym lotem krążyły dokoła siebie dwie jaskółki. Powyżéj ciągnął się długi pas nieba błękitny i złotą łuną powleczony, pod nim bardzo wysoko i co-

raz wyżéj, wzbijał się wielki ptak, z szeroko rozpiętemi skrzydłami. O, biedny ptaku, samotnie lecący w blaski niebieskie!

Kiedy Ławicz odwrócił się od okna, wyobraźnia przyniosła mu przed oczy dziwne widzenie. Wydało mu się, że u drzwi samych, wysoka i wiotka kobieta, z siwémi włosami i śladami wielkich cierpień na łagodnéj twarzy, stoi w ubogiéj czarnéj sukni i ku niemu wyciąga ramiona. Była to matka jego — dawno nie widziana. Tam znowu, na dole, na wschodach prowadzących do jego poddasza, tylko o parę piętr niżéj, zadzwoniła piosenka:

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie....

Wziął czapkę i wyszedł, a gdy po upływie kwadransu, wraz z Franką ukazał się na dziedzińcu, Rębkowa stojąca w otwartych drzwiach swego mieszkania, cała w falbanach i wstęgach niedzielnego stroju, zdala już witała go dygami i uśmiechami.

— Czy możemy mieć ten honor ażeby pana na nasz obiadek prosić? — zapytala.

A gdy zaprosiny przyjął i do izby wchodził, z tkliwością w oczach pogładziła go ręką pod brodę, a potém figlarnie grożąc tłustym palcem, zawołała:

— Oj! bałamut z kawalera, bałamut! Ot i mnie starą babę od wczorajszego wieczora zbałamuciłeś! No siadajże tu, pomiędzy mną a *moim*. Franka! piérog już upiekł się?

— A jakże! — przyskakując do pieca zawołała dziewczyna, — a jaki dobry będzie! Takem go długo mięsiła, mięsiła!

Rębko, w wielkich okularach na czerwonym nosie, czytał a raczéj półgłosem sylabizował podarty i otłuszczony tom *Zbioru praw*. Złożył książkę, zdjął okulary, wychylił kieliszek wódki.

— A ty nie pijesz pewnie, he? delikacik taki! — zwrócił się do Ławicza.

— I chwalić Pana Boga za to, że nie pije — zawołała Rębkowa.

Franka zapatrzyła się na Ławicza tak, że o mało dymiącego piéroga z mięsem na głowę Rębki, z wyszczerbionego półmiska nie zrzuciła.

Marzyło jéj się może zawsze o kawalerze takim, coby wódki nie pijał. Nachylając się ku Rębkowéj, do ucha jéj szepnęła:

— Ciotko! *On* przy wujaszku to jak królewicz jaki wyglądał dalibóg — że jak królewicz!

Przez cały czas obiadu i z godzinę jeszcze potém Rębko rozprawiał o ustawach i artykułach prawnych, o *pałacie*, *mirowych*, procesach i kryminałach różnych, jako też o prywatnych sprawach i stosunkach ludzi, do najrozmaitszych warstw społecznych należą-

cych. Kiedy zaś Rębkowa kazała France rozniecić ogień i gotować przy nim na podwieczorek kawę ze śmietanką, z fajką przy ustach usiadł blisko ognia i całą postawą swą jako też wyrazem twarzy przedstawiał obraz doskonałego spokoju i zadowolenia ciała i ducha.

Duża, niska izba Rębków, z miejsca pełnego śmiecia, pyłu i smrodliwéj zaduchy, jakiem była dawniéj, od przybycia tam Franki przemieniła się w mieszkanie pełne prostego, wiejskiego prawie wdzięku.

Znajdowały się tam w ilości znacznéj ławy, stołki i czerwono malowane komódki, były też dwa łóżka wysoko spiętrzone dostatnią pościelą, stara kanapa z żółtemi poręczami, oszklona szafka z parą stłuczonych szybek i pomiędzy oknami lusterko na ścianie, a pod nim stolik z krucyfiksem, fotografią obojga Rębków i lampką napełnioną łojem a palącą się przed jaskrawo malowanym obrazem Najświętszéj Panny Ostrobramskiéj. Wszystko to połyskiwało teraz od czystości.

U otwartego na dziedziniec okna, Franka z dumą wskazując na sprzęty te, szeptała:

— O mało mi ręce nie poodpadały, takem to wszyściutko przez trzy dni myła a myła, a szorowała. Za to teraz ciotka i wuj niby w pałacu sobie mieszkają! Niech im to będzie na zdrowie! dobrzy oni ludzie — oj, dobrzy!

Zresztą izba ta wyglądała jeszcze nakształt jakiejś ogrodowéj altany. Franka, na rzecz ciotki, wuja i swoję, rabowała formalnie mały ogródek, do kamienicy téj należący. Zieleni różnéj, kwitnącéj i niekwitnącéj była tu moc wielka. W więzie powiązana stała ona w garnkach u okien, na komódkach, w różnych stronach i kątach izby, zwieszała się z belek nizkiego sufitu, podłoga nawet była usypaną liściem ajeru, po który Franka aż na rynek biegała a zapach ajeru i bzu, pochłaniał bez śladu łojowy smród palącéj się przed krucyfiksem lampki i wonie spożytego przed godziną obiadu.

Rębko słodko drzemiącym wzrokiem dokoła siebie wodził.

— Niech będzie Pan Jezus pochwalony!— wymówił — tak mnie ot dobrze w chacie mojéj, że i na nieszpory nie chce się iść!

— Bo już i po nieszporach wujaszku! — z głośnym śmiechem zawołała Franka. — Dawno już dzwonili!

Rębkowa obudziła się z drzemki i w ręce żałośnie klasnęła. — Po nieszporach! a ona się dziś tak na nieszpory wystroiła i przytém chciała pomodlić się za szczęście młodéj pary! Zaledwie wyrzekła to, Franki nie było już w izbie. Pąsowa jak piwonia wyskoczyła na dziedziniec.

Rębko zwrócił się do Ławicza.

— To i jakże będzie?— zapytał — czy stanie na miejscu? interes nasz skończony, hę?

— Skończony — odpowiedział Ławicz — który wychylając się przez otwarte okno, widział Frankę przysiadłą na wschodach, z rękami splecionemi jak do modlitwy a twarzą w rumieńcach, uśmiechach i łzach. Widać było, że rozkochaną dziewczynę porywały zarazem: płacz, śmiech i pragnienie modlitwy.

W tej samej prawie chwili, do mieszkania Rębków schodzić się poczęli zwykli, niedzielni ich goście. Był tam kolega Rębki, daleko mniéj od niego wspaniały, owszem, pokornie wyglądający posługacz Izby, w surducie z zielonym kołnierzem; był *człowiek* Mikołaja Hilaryonowicza czyli lokaj prezesa Izby z fizyonomią poważną, gęsto zarosłą a barwą cery swéj zdradzającą silne zamiłowanie w rozgrzewających napojach; był jeszcze inny jakiś *człowiek* czyli lokaj, młody, zgrabny, wystrojony, w krawacie którego błękitność aż oczy rwała, w glansowanych rękawiczkach i z ładną laseczką w ręku; był jakiś *dzieńszczyk* jakiegoś majora, w żołnierskiem ubraniu, z twarzą smutną, mizerną a oczami pełnémi tęsknoty za tą może wioską rodzinną, z któréj niedawno do wojska go wzięto i ów stryjeczny brat Franki, Józefek Rębko, *kancelarzysta* głupowaty, z osowiałemi oczami, w butach trochę podartych a z czapką, na któréj świeciła srebrna gwiazdka. Powoli towarzystwo zwiększało się coraz. Przyszło parę przyjaciółek Rębkowéj, tak jak ona niedzielnie nastrzępionych falbanami i wstążkami i dwie czy trzy dziewczyny, córki rzemieślników, w sukniach wykrochmalonych i z wyfiokowanemi głowami. Kobiety przychodziły z nieszporów, więc miały wszystkie grube książki do nabożeństwa, które z poszanowaniem składały przed fotografią Rębków, i palącą się łojową lampką. Stróż Izby w zielonym kołnierzem przyniósł z sobą harmonikę, a ładny lokaj, w błękitnym krawacie, funt orzechów włoskich, w prezencie dla pani Rębkowej niby — ale prezent ten gospodyni mieszkania wręczając, zerkał z ukosa na Frankę, która bocząc się od miejskich dziewcząt gadatliwych i wyfiokowanych i od głupowatego Józefka, który za rękę wziąść ją pobróbował, miała widoczną ochotę schować się pomiędzy piec a szafę.

— Licho ich tu wszystkich naniosło! — szepnęła — i z trwogą w oczach skoczyła za Ławiczem, który z czapką w ręku wysunął się z izby. Po kilku minutach wrócili razem a w izbie było już bardzo gwarno. Za stołem, z łokciami na stole siedział Rębko a przed nim, w towarzystwie dwu czarek cynowych stała butelka wiśniowéj nalewki. Rębkowa tłukła przed ogniem jaja na jajecznicę a do Franki zawołała: — Lampę zapal!

W dziedzińcu zapadł zmrok. W mieszkaniu Rębków, w zmięszaném świetle sporéj lampy i palącego się na kominie ognia: ludzie ruszali się jak mrówki i gwarzyli jak rój pszczół. Rębko pił sam i gości częstował. Kolega jego z zielonym kołnierzem pił niewiele, milczał i tylko od czasu do czasu rozciągał harmonikę swą, która wydawała przeciągłe skrzypiące dźwięki. W zamian *człowiek* Mikołaja Hilaryonowicza wychylał czarkę za czarką i śmiał się z lokaja w błękitnym krawacie, który na nalewkę patrzeć nawet nie chcąc z krzyczącemi i chichoczącemi dziewczętami grał w kota i myszkę, i z młodego *dzieńszczyka*, który jedną tylko czarkę wychyliwszy, wodził oczami po napełniającéj izbę zieloności a nabrawszy w garść z podłogi liści ajerowych, zapach ich zawzięcie w nos sobie wciągał.

— Ej! ej! na *dieńszczyka* patrząc zawołał Rębko—co to ty Jaśku zielsko te tak wąchasz? czy ci to zdaje się, że gdzieś za swojem *siołem* nad brodem jakimś siedzisz, a na dziewkę swoję czekasz, a żaby ci w uszy same śpiewają: kum! kum! kum-kum! — Ej, bratku, darmo wołać tego co minęło! Minęło sioło twoje i minął twój bród z ajerem i dziewka za kogo innego poszła a żaby na jéj weselu śpiewały o tobie: kiep! kiep! kiep-kiep!

Otaczający butelkę z nalewką mężczyzni i starsze kobiety pokładali się od śmiechu. Jasiek wychylał podaną mu czarkę, a Rębko patrząc na niego prawil:

— Widzicie bo ludzie mili, ja tego młodego *sołdata barzdo* lubię, bo kiedy na niego patrzę, to wydaje się mnie jakbym na samego siebie patrzał. Wiele tobie Jasiek lat może być? Młody ty jeszcze! I ja taki sam byłem, kiedy z okolicy swojéj rekrutem w świat ruszałem. A rekrutem. Bo choć Rębkowie szlachtą są z dziada pradziada, ojciec nieboszczyk legitymacyi nie zrobił. Nie zrobił i koniec. *Odnodworzec* jesteś i do wojska marsz! Kiedy marsz, to marsz! A tu, Boże mój! lato na świecie, niby raj, chłopcy konie w nocy na łąkach pasą, w kościele na majowe nabożeństwo do Najświętszéj Panienki Maryi dzwonią, matka płacze aż ryczy, siostry obejmują a dziewucha, Kazimiera ta, com się w niéj kochał, za opłotkiem z Wickiem Rębką szepce się i ryhocze.... Mało mię wtedy dyabli nie wzięli z żalu a ze złości.... — Ale kiedy marsz, to marsz! — zaśpiewałem sobie....

Tu otworzył szeroko usta, rozpostarł ramiona i głosem olbrzyma zawył raczéj niż zaśpiewał:

„Bywaj mi zdrowa wiosko kochana...."

Jasiek wychylając trzecią czarkę i *człowiek* prezesa z dobrze już zaczerwienionym nosem i para starszych kobiet, podjęło chórem:

— Tra-ra-ra-ra, tra-ra-ra-ra!

Wrzask to był niesforny i pół pijany, zawodzony na tęskną nutę. Towarzyszyły mu skrzypienia harmoniki, chichot dziewczyn, ściganych po izbie przez młodzieńca w błękitnym krawacie, szum i pisk gotującego się przed kominem samowara i świerczenie smażącéj się na ogniu jajecznicy ze słoniną. Rębko, któremu oczy coraz silniéj błyszczały, stuknął pięścią w stół i krzyknął:

— Kiedy bal to bal! Babo, dawaj tu jeszcze butelek i wszystkiego czem chata bogata! Na ekspens nasz ludzie mili nie uważajcie, a pijcie i jédzcie, *z przynuką* i *bez przynuki!* Co dla mnie ekspens znaczy! Póki głowę na karku mam, pótym sobie pan! o nic nie dbam! Na wojnach bywałem, znaki zasług moich na piersiach noszę, co mnie już nikt nie odbierze.... a i na plecach moich *tak samo* znaki noszę, co mnie już ich nikt nie zagoi.... różnie bywało!.... Pół świata zwędrowałem a potém ej! ej! ej! do okolicy swojéj rodzonéj wróciwszy, krewniaczkę swoję pojąłem i żonkę mam jak różę piękną a sam Mikołaj Hilaryonowicz zna mnie i jak koło mnie przechodzi zawsze choć głową kiwnie.... Ej! ej! Jasiek! nie smuć się ty i *sioła* swego nie żałuj.... Będzie z tobą tak jak ze mną.... Na człowieka wyjdziesz!

Zawierucha w izbie stawała się coraz większą. Dziewczyny w krochmalnych sukniach, szklanki z gorącą herbatą porywały, ukropem tym pryskając na kawalerów, którzy im w zamian kawałki chleba i bułek w twarze ciskali. Ktoś potknął się o rzucony na ziemię orzech włoski i upadł, wywołując tém uciechę powszechną. Rębkowa, która smażąc jajecznicę i ze swéj strony téż rozmową zabawiając gości, nieznacznie dzióbnęła była parę czarek nalewki, płakała przed przyjaciółkami swemi, zapychającemi sobie usta chlebem, jajecznicą i siekanym czosnkiem, stojąc a oczy chustką do nosa, część niedzielnego stroju stanowiącą, ocierając, mówiła:

— Jezu Panie! Dziewucha ledwie nogą tu stanęła, już sobie męża znalazła. I jakiegoż jeszcze! Z pewnéj familii, miłe moje, pochodzi, z wielką edukacyą człowiek i taki delikatny! *Herezyi* żadnych robić jéj nigdy nie będzie a panią ją uczyni....

Rębko wysunął się z za stoła i z czarką w ręku, rozrumieniony i rozrzewniony, od jednéj do drugiéj z osób obecnych przechodził.

— Cieszcie się ludzie mili—mówił— na moim dworze dziś święto wielkie.... bratanicę za mąż wydaję... za adwokata... ej! ej! za adwokata wychodzi... za panicza z familii pięknéj i z edukacyą wielką....

Powinszowania rozległy się dokoła. On zaś, bardziéj jeszcze niemi rozrzewniony, otwierał ramiona i obejmując niemi każdego

kto się powinął a cmokając w twarze mężczyzn i starsze kobiety i nawet uciekające od niego dziewczyny całować probując, wciąż monotonnym głosem prawił:

— Cieszmy się ludzie mili, radujmy się.... my wszyscy *katoliki*.... całujmy się i radujmy się... wszyscy my *katoliki*....

Dziewczęta otoczyły Rębkową.

— Kiedy zaręczyny, to niechże będą z tańcami!— krzyczały.

Kawaler w błękitnym krawacie całował gospodynię w ręce, o tańce prosząc. Józefek z osowiałym wzrokiem, nogami w podartych butach, wybijał hołupce.

— Wszyscy my *katoliki* — prawił Rębko — cmokając ustami w prawo i w lewo, ku policzkom męskim i kobiecym. Nagle stanął, nogą o podłogę uderzył tak, że aż zadzwoniły na stole talerze i czarki i krzyknął:

— Ej! ej! Ludwik! graj!

Ludwik, to jest kolega Rębki z Izby, milczący i pokorny człowieczyna z zielonym kołnierzem, rozciągnął harmonikę swą w całéj jéj długości i pracowicie walcząc z opornością instrumentu swego, zaczął wygrywać polkę. Wyskrzypiwał ją raczéj niż wygrywał, lecz co prawda, nikt w muzykę jego wsłuchiwać się nie myślał. Paweł Rębko porwał wpół swoję żonę i począł z nią na samym środku izby wykręcać chłopską *miecielicę;* kawaler w błękitnym krawacie, objąwszy jedną z dziewczyn, z łokciem odstawionym i spiczasto sterczącym, tańczył polkę do najwyższego stopnia *tremblante; człowiek* Mikołaja Hilaryonowicza z dziewczyną drugą puścił się wzdłuż izby, posuwistym galopadowym krokiem. Nad podłogą usypaną piaskiem podniósł się tuman kurzu. Z tumanu tego, zkądciś z pod pieca wyskoczyła Franka, odepchnęła Józefka, który *solo* wybijając hołupce wlazł jéj w drogę i do Ławicza przyskoczyła. Ławicz, jak kiedyś w drzwiach pięknego i wytwornym mazurem wrzącego salonu, tak teraz stał u drzwi izby, napełnionéj wrzaskliwémi krzykami i tupaniem niesfornych skoków. Jak wtedy, tak i teraz patrzał na zabawę ludzką jako świadek ciekawy zrazu, potém obojętny i znużony. Lecz dziewczynie muzyka, śmiechy ludzkie a nadewszystko wyraz: zaręczyny, wesoło na sercu zagrały. Perłowe zęby jéj błyszczały w śmiechu, nogi zdawały się zrywać do tańca. Błagalnie prawie na narzeczonego spojrzała.

— Potańczmy!— szepnęła nieśmiało zrazu— a potém, składając ręce, coraz natarczywiéj, niecierpliwiéj mówiła: — Potańczmyż! nuże! ja z nimi nie chcę! Potańczmy razem!

Ale on porywczym gestem chwycił ją za rękę i z izby na dziedziniec pociągnął. Dziedziniec to był brzydki, wązki, brukowany,

wysokiemi murami otoczony i w jednym tylko kącie szarzejący zielenią małego ogródka. Ale cicho tu było i od letniego wieczora świeżo a w górze kawałek ciemnego nieba błyszczał gwiazdami.

Usiedli oboje na wschodkach; Franka zasmucona wpatrywała się w narzeczonego, który na nią nie patrzał.

— Zygmuś!—szepnęła i widać było, że wnet zlękła się i zawstydziła śmiałości własnéj.

On objął ją i ku sobie pociągnął. Wciąż jednak nie mówił nic i nie patrzał na nią.

— Zygmuś! — powtórzyła bardzo cicho — czego ty na mnie gniewny?

Teraz w twarzy jéj podniesionéj ku niemu zatopił wzrok smutny i jakby badawczy.

— Franko moja — rzekł — ja nie gniewny na ciebie, za cóżby? Myślałem tylko, czy ty zemną szczęśliwą będziesz?

— Oj, oj! — westchnęła i uśmiechnęła się zarazem.

— Posłuchaj! tobie młodéj takiéj, trzebaby może młodego, wesołego chłopca....

— *Abo* ty stary, Zygmuś? — zaśmiała się głośno.

— Nie,—ale lata krótkie bywają czasem długiemi a są na świecie myśli, prace, cierpienia, które człowiekowi prędko młodość odbierają. Ot widzisz, ja bawić się tak jak tam bawią się nie umiem i ni jak nie umiem....

— A czemu? — spytała.

— Nie przywykłem.

Popatrzała na niego długo, niespokojnie.

— Zygmuś! — zawołała — ty czegoś doprawdy smutny?

Twierdząco skinął głową.

Zapominając o nieśmiałości i wstydzie, porywczym ruchem szczeréj a strwożonéj miłości, zarzuciła mu na szyję oba ramiona.

— Zygmuś mój!— zaczęła — słonko ty moje złote! nie smuć się ty i nad złą dolą swoją co minęła, nie dumaj, ale nad dobrą, co do nas zaśmieje się, kiedy pobierzem się już i żyć razem będziem. Zobaczysz, będziem my sobie żyć jak król i królowa. Ty jeszcze nie wiesz jaka ja! Zkądże? Ot, zdaje się, jedna tylko minuta minęła odkąd my na siebie pierwszy raz spojrzeli! Ja nie złośnica! U mnie charakter taki, że zawsze tylko śmieję się a śpiewam żeby mnie tam niewiem jak kto dokuczał, to słóweczka nie pisnę, byle prędzéj zgoda była! I ja *tak samo* dobra gospodyni będę. Ręce u mnie nie leniwe, rozumiem wszystko co i jak zrobić trzeba, a czego nie rozumiem to prędko nauczę się, bo gospodarstwo strasznie miłuję. Toż i widzisz, słonko moje, że martwić się tobie nie ma czego. Biedy nie

lękam się, nie w bogactwie wzrosłam, to czy u nas bieda czy bogactwo będzie, ja nigdy ani złować, ani *jak druga* kłócić się z tobą nie będę a tylko tego doglądać, żebyś ty, ptaku mój, spokojną głowę miał i wygody wszystkie.... Ja tobie, ptaku mój, jak ta jaskółka znosić będę wszystko i do dzióba wkładać, żeby ci zdrowo i miło było.... ja nad tobą, jak ta jaskółka, skrzydła rozpostrę żeby ci....

Nie mogła dłużéj mówić, bo usta jéj zamknęły się pod jego pocałunkami. Po długich dopiero kilku minutach, schylony nad nią i wpatrzony w nią wzrokiem, w którym zachwycenie dziwnie mięszało się z niepokojem mówić on zaczął:

— Franko moja, ja wiem żeś ty dobra i że mię kochasz bardzo i że miłość kobiety dobréj jest wielkim skarbem, — ale wiesz? dziś nagle jakoś przyszło mi do głowy dziwne marzenie a tak cudne, że mi od niego aż smutno zrobiło się i straszno... Gdybyśmy z sobą nietylko kochać się ale kiedykolwiek, choć kiedykolwiek, nieprędko, czasem myśléć razem mogli.... Widzisz! ja tak do myślenia nad różnemi rzeczami przywykłem, że aż zapomniałem co to jest być wesołym i tak teraz zapragnąłem abyś ty kiedy myśli moje podzielić mogła i kochać to wszystko i uwielbiać com ja przez tak długie, długie lata kochał i uwielbiał! Patrząc na tych ludzi, którzy tam tak wesoło bawią się i hałasują, pomyślałem sobie, żem ja nie dla nich i oni nie dla mnie, że więc i ty, żyjąc zemną inną trochę stać się powinnaś. Inną.... poważniejszą, wznioślejszą, bliższą oświaty.... Ale wszak ty zechcesz stać się taką, nieprawdaż? Wszak zechcesz pracować trochę nad sobą aby do prostoty swéj i instynktowéj poezyi i wrodzonéj dobroci, które w tobie uwielbiam, dołączyć trochę wiedzy, światła, myśli zdolnéj zrozumieć to co na świecie najlepszém jest i najpiękniejszém? Prawda, że zechcesz postarać się o to... że zrobisz o co cię proszę? prawda? prawda?

I obejmując ją namiętném ramieniem a z pod brwi boleśnie prawie ściągniętych, w twarz jéj patrząc, pytanie to powtarzał. Ona, zasmucona i dziwnie zarazem zakłopotana, załamując ręce i szeroko otwierając oczy odpowiedziała:

— Jezu! czemużbym zrobić nie miała, gdybym zrozumiała co ty do mnie gadałeś! Ale, biednaż moja główeńka! — Ja nie wiem, Zygmuś, czego ty chcesz odemnie!

X.

Pięć lat minęło. Znaczna część mieszkańców X. zna i widuje często Zygmunta Ławicza, obrońcę sądowego, który pomimo braku kwalifikacyi naukowych i urzędowych tytułów, posiada klientelę

dość znaczną i byt materyalny, średnim dostatkiem będący. W mieście nie małem ale i nie wielkiem także, ściąga on na siebie uwagę prawie powszechną, przez to szczególniéj, że uchodzi za wielkiego oryginała i dziwaka. Już sama powierzchowność jego odznacza się cechami nie zupełnie pospolitemi. Szczupły i od długiego jakby pochylenia się nad czemś naprzód nieco podany, przy pierwszych spotkaniach z ludźmi jest on zawsze nieśmiałym i niezgrabnym, a ubranie jego zarówno jak całe obejście się, zdradza zupełną nieznajomość form światowych i panujących mód, albo też głębokie ich lekceważenie. Wcale też nie ubiega się on o stosunki z ludźmi, owszem, unikać się ich zdaje a napewno już wyraźnie unika wszelkiego zetknięcia się z wyższemi sferami towarzystwa, o których odzywa się czasem w sposób okazujący, że znając je niejako teoretycznie tylko, ani dobrych stron ich dojrzeć ani złych usprawiedliwić nie może. Wogóle sądzi on świat i sprawy jego, ze stanowiska różnych teoryj i zasad z bardzo wysoka. Dlatego też powiadają o nim, że ani do majątku, ani do pogodzenia się z różnostronną rzeczywistością świata tego nie dojdzie nigdy. Na drodze do zrobienia majątku stoi mu to, że z jednéj strony, unikając stosunków z wyższém towarzystwem, nigdy prawie do czynienia niema z ludźmi zamożnymi, z drugiéj zaś—obarczając się samemi drobnemi sprawami i pracując nad niemi wiele, żąda od nich tylko uczciwych zarobków. Że zaś — zapatrując się na rzeczywistość z wysoka -- ani ukochać jéj ani nawet pogodzić się z nią nie może, zdradza to wyraz twarzy jego znużony i rozdrażniony czasem a czyniący go daleko starszym niż jest w istocie.

Niektórzy, usposobienia te młodego obrońcy, przypisują szczególnym warunkom rodzinnego jego życia. Powszechnie stało się wiadomém, że jest on bardzo wykształconym, że zna kilka obcych języków i nad naukami różnemi długo pracował; o żonie zaś jego krążą pogłoski, że czytać zaledwie umie, a pisać to już wcale nie, a głowę posiada tak tępą, że ją nawet towarzystwo wykształconego męża i jakie takie otarcie się w świecie, oświecić nie mogły. Wprawdzie Franciszka Ławiczowa jest kobietą bardzo przystojną; ci jednak którzy znali ją dawniéj, utrzymują, że od wyjścia za mąż zeszpetniała znacznie. Jak zwykle bywa, tęgiéj i rumianéj wieśniaczce modne suknie i kapelusze miejskie nie są wcale do twarzy a czas zresztą i macierzyńskie zachody uczyniły oczy jéj daleko mniéj podobnémi do kwiatów lnu. Z obejścia się jéj i sposobu mówienia, z kapeluszów jéj nazbyt obciążonych kwiatami, jako też z rodzinnych jéj stosunków śmieją się wszyscy, którzy tylko choć trochę ją znają; zkąd inąd jednak wiedzą też wszyscy, że jest ona gospodynią

pracowitą i kobietą pilnie oddaną domowi, mężowi i dzieciom. Jest ona dobrą dla matki męża, która oddawna już zamieszkała w ich domu, a za mężem przepada i w słowo jego każde jak w świętą ewangelię wierzy. Nikt też nigdy nie słyszał aby Ławicz uczynił w domu jaką „herezyę“ i nie widział, aby w czemkolwiek żonę ukrzywdził. Owszem, obejście się z nią jego przyjaznem jest i troskliwém, jakkolwiek dość chłodném także. Dzieci swe zdaje się on kochać bardzo, a nawet, ich to tylko widok czyni go czasem mównym i wesołym.

Czasem, nieczęsto, ożywia się on i pośród ludzi a zdarza się to wtedy mianowicie, gdy w jakiémkolwiek ich zebraniu, w sposób bardzo wyjątkowy, rozmowa wchodzi na tor naukowych albo społecznych spraw i zagadnień. Wtedy podnosi on głowę, prostuje się, oczy mu błyskają, mówić zaczyna i mówi z coraz większym zapałem rozwijając znaczny zasób wiedzy i bardzo nieraz oryginalne na rzeczy poglądy. Lecz trwa to zazwyczaj krótko i najczęściéj, w chwili najbardziéj zapalonego dowodzenia lub opowiadania, stygnie on nagle, zachmurza się i milknie albo odzywa się urwaném tylko słowem sarkazmu lub zniechęcenia. Z tych rozmów jego zresztą widać, że teraz już czytuje niewiele, z przyzwyczajenia tylko i pozostałych resztek namiętnego dawniéj zamiłowania. A gdyby nawet namiętność ta i trwała w nim dotąd, nie miałby on ani czasu ani możności oddawania się pracy umysłowéj. Zajętym jest bardzo pisaniem urzędowych podań, obron, skarg i różnémi zresztą około interesów zachodami. Przytem mieszkanie obrońcy na małą skalę jest téż dość małém a zaludniają je krzątające się kobiety i pieszczone dzieci. W saloniku Ławiczów, czemś zieloném obite krzesła, sztywném kołem otaczają stół na którym nic nie leży, umieszczony przed kanapą na któréj nikt nigdy nie siedzi. Pusto tu, nago i życia niema ani śladu.

Życie za to zgiełkliwe i gospodarskie, złożone z głosów sług, dzieci, przychodzących z prowizyami przekupni, wiecznie a żarliwie gospodarzącéj pani domu, odwiedzających ją członków jéj familii obija się tuż o ścianę i drzwi malutkiéj pracowni pana domu, w któréj téż od wczesnego ranka do południa rozlega się gruby gwar siermięgowych, kapotowych i chałatowych klientów. W południe Ławicz wychodzi z domu i udaje się do sądów, po obiedzie zmęczony, sypia czasem, lecz często i coraz częściéj wychodzi znowu i do sławnéj w X. cukierni Markusa udaje się na kufel piwa i partyą bilardu lub szachów. Szachy polubił szczególniéj i spędza nad niemi czasem długie godziny. Czasem téż grywa w domino. Do domu z cukierni wróciwszy, długo za północ pisze podania, obrony, skargi....

Niedawno, dnia pewnego, w porze poobiedniéj, w niezgrabnym paltocie swym, w kapeluszu dziwacznéj formy i z cygarem przy ustach, wszedł on do cukierni Markusa. Niezgrabne paltoty nosi on dla tego, że nie lubi długich rozmów z krawcami, a dziwaczne kapelusze dla tego, że choć dziwaczne ale są mu wygodne. Cygara zaś pali już oddawna ale byle jakie, zarówno jak gotów jest zawsze byle w co ubrać się i byle co jeść. Wszedłszy do cukierni, nie udał się jak zwykle bywało prędkim swoim, pochyłym trochę krokiem do drugiego od wejścia pokoju, gdzie znajdował się stół, przy którym siedzieć już był przywykł, lecz zatrzymał się u progu i zdejmując kapelusz, z akcentem zadziwienia wymówił: — A! proszę! no, spotkanie!

Wyrazy te i towarzyszący im cień zadowolonego uśmiechu, wywołane zostały widokiem dwu ludzi, którzy przy jednym z ustawionych w pokoju stolików siedząc, jedli i pili.

— Zygmunt! Ławicz! — jednogłośnie zawołali obaj — powstali z miejsc i ręce do wchodzącego wyciągnęli.

Jeden z nich był w ubraniu oficera wyższéj rangi, błyszczącym od metalowych ozdób obcisłego munduru i kiedyś pięknym widocznie chłopcem. Kiedyś. Teraz bowiem, dawna wysmukłość jego zamieniła się w chudość, świeżość cery w niezdrową żółtość; na czole miał trochę zmarszczek a nad czołem sporą łysinę. Drugi za to z dwu mężczyzn przedstawiał sobą najpiękniejszy obraz fizycznego kwitnięcia. Otyły prawie, z twarzą rumianą i połyskującą, z pulchnemi białemi jak u kobiety rękami i zawiesistym płowym wąsem, patrzał on na świat parą poczciwych, dobrodusznych, przygasłych i osowiałych oczu.

— Jak się masz Michale? jak się masz Zegrzda?

Zanim usiadł przy jednym z nimi stole, na znak powitania skłonił głowę w stronę pokoju, w któréj samotnie przy małym stoliku i nad filiżanką czarnéj kawy, siedział z gazetą w ręku Maryan Dębski. I on także zmienił się nieco przez czas ubiegły, mniéj jednak od Zegrzdy i Kaplickiego. W postawie jego była zawsze siła i duma, a chłodna, myśląca twarz, w ramy krótkiego zarostu ujęta, trochą tylko przedwczesnych zmarszczek i zmienionym nieco zarysem ust, zdradzała treść lat przebytych.

Zegrzda uściskał Ławicza, Kaplicki chciał go téż ucałować ale on jednym już uściskiem zadowolony uprzejmie tylko dotknął ręki dawnego przyjaciela. Nie było w tém nic dziwnego, że się spotkali. Kaplicki przybył do miasta za interesami, Zegrzda zatrzymał się tu na czas jakiś z półkiem swoim. Cukiernia była dla obu ucieczką przed nudami. Przed Kaplickim stały ciasta i przekąski, przed Zegrzdą

poncz i likiery. Ławicz kazał podać sobie swój, od czasu pewnego codzienny już kufel piwa. Rozmowa zawiązała się ale niezbyt ożywiona. Po serdeczności pierwszego od wielu lat spotkania, ludzie ci ochłodli i zdawali się być zupełnie prawie względem siebie obojętnymi. Najczuléj jeszcze, przy spoglądaniu na dawnych przyjaciół, wyglądały oczy Zegrzdy; wprawdzie, przypuszczać można było, że wypróżniona szklanka ponczu dodawała im blasku i łzawości. Mówił dużo i językiem niewiele poprawniejszym od tego, jakiego używał Paweł Rębko, opowiadał o wojnie, w któréj przed parą laty uczęstniczył.

— O! — rzekł Ławicz — wiemy, wiemy o tém! imię twoje roznosiła po świecie trąba sławy. Czytaliśmy o tobie. Odznaczałeś się odwagą, brawurą... ale za to, pozwól abym korzystając z dawnéj poufałości koleżeńskiéj, powiedział ci, że z gramatyką naszą obchodzisz się fatalnie....

Zegrzda zmięszał się i rzekł prędko:

— Przepraszam, przepraszam, sam to czuję, ale....

Niedokończył— i wstydząc się jakby własnego zmięszania, z fantazyą i śmiechem zawołał:

— A ty Zygmuncie, zawsze taki sam jak byłeś! No, no! jakże tam mają się filozofowie twoi?

— Flozofowie moi nie są już moimi filozofami — powoli kufel do ust niosąc odpowiedział Ławicz.

— Czy tak? A no, bratku! różnemi drogami chodząc, do jednego punktu widać doszliśmy.... Jeden pierwéj filozofią rzucił, drugi późniéj.... jedne licho! Aleś ty zawsze szczęśliwszy odemnie ha! tysiąc razy....

— Jakto? więc już — nie bawisz się dobrze?

— Dokuczyła zabawa — i — wszystko dokuczyło!

Zwiesił głowę nad szklanką, zadumał się, milczał.

— No! ale jakże Zygmuncie, naprawdę powodzi ci się teraz? — zapytał Kaplicki.

— Bardzo dobrze — odpowiedział Ławicz.

— Chwała Bogu! cieszę się z tego! winszuję ci serdecznie! Co do mnie, nie mogę tego o sobie powiedzieć. Kłopoty.... interesy.... Ot, przeszłego roku stratę miałem ogromną. Spłonęła mi od pioruna stodoła do połowy już zbożem napełniona i wiesz co? żeby kobiety moje nie zaczęły obnosić dokoła dworu chleba świętéj Agaty, spłonąłby dwór cały....

Ławicz uśmiechnął się, ale Kaplicki nie spostrzegł tego.

— Powiadam ci — mówił — że tak przestraszeni byliśmy tym wypadkiem, że ja i żona postanowiliśmy koniecznie mieć teraz w domu dzwonek Loretański.

— Cóż to takiego ten dzwonek?

— A no, nie wiesz? Ale prawda, z ciebie zawsze był niedowiarek. Ja znów nie wdaję się w rozumowania żadne. Ojcowie moi wierzyli i żona wierzy i prawdę rzekłszy, ta tylko pociecha człowiekowi na tym świecie....

— A żona? — przerwał Ławicz.

— Cóż żona....

— Pociechą nie jest?

Poczciwa twarz wieśniaka zmąciła się. Otworzył usta i sam nie wiedział co do powiedzenia miał. Zegrzda wybawił go z kłopotu.

— Co ty Zygmuncie o kobiety pytasz! to ty jeszcze myślisz, że z nich może być komu pociecha jaka? Ot niewiniątko! kobiety mój drogi potrzebne są na świecie tylko....

— Przepraszam—dość żywo przerwał Kaplicki— kobiety nasze są poczciwe i zacne.....

— Może tam wasze, po wsiach, wielkie panie — odrzekł Zegrzda — ale czegom się ja w wojskowém życiu mojém napatrzył! czegom doświadczył sam.... ha!...

— A mojorowa? — rzucił Ławicz.

— Ha, ha, ha, ha! — śmiał się Zegrzda.

— No bo widzisz — przerwał Kaplicki — w różnych klasach towarzyskich, różne panują cechy, zwyczaje. Od klasy wszystko zależy....

— Wszystko? — zapytał Ławicz.

Wieśniak znowu zmięszał się trochę.

— No, nie wszystko może.... ja bo widzisz nie uczony i nie adwokat, żebym tak zaraz każdą rzecz argumentalnie i detalicznie wyłożyć umiał.... Ale że człowiek człowiekowi nie równy, to pewno!

— Najpewniéj — potwierdził Ławicz — tylko w jakim sensie?

— Ot sens najlepszy? — zawołał Zegrzda — śmiejąc się i na poncz wskazując. U tego Markusa wszystko jak było, tak jest wyborne. A człowiek już przywykł... włócząc się po świecie! Wspomnisz bo sobie dawne lata i dawne marzenia swoje a robak żalu w serce cię ugryzie.... zaléj robaka! Wspomnisz sobie jak to kiedyś, kochałeś i wierzyłeś i człowiekiem zostać chciałeś a zostałeś.... zaléj to co minęło i już nigdy nie wróci! Krzywdy doświadczysz, pominą cię honory i łaski a za wszystko co zrobisz pstryczka w nos dostaniesz... zaléj złość! Zbrzydnie ci i robota i zabawa twoja... zaléj nudę! Ho, ho! pamiętam ja jeszcze piosnkę jakąś starą, którą nieboszczyk dziadunio, mąż mojéj nieboszczki babuni, zażywając tabakę śpiewał: „Na frasunek dobry trunek!“

Rumieńce wystąpiły mu na policzki. Mówił zrazu ze śmiechem, potém z błyszczącémi ponuro oczami, przy ostatnich wyrazach zanucił i rozpierając się na krześle z brzękiem ostróg, daleko przed siebie, nogi wyciągnął. Kaplicki zdawał się być zmięszanym trochę i niespokojnie oglądał się, w celu zapewne przekonania się, czy ktokolwiek ze znajomych jego nie widzi go w towarzystwie podpiłego i w cukierni śpiewającego oficera. Sam on, w tém miejscu publiczném, mówił z cicha i znać było po nim ścisłą dbałość o najdrobniejsze odcienie przyzwoitości.

— Mój Zygmuncie, zaczął, słyszałem, że interesami zajmujesz się teraz... ja to mam swego plenipotenta ale chciałbym bardzo twoje zdanie posłyszéć... Mam teraz, uważasz, dwa procesy: jeden z chłopami o zabranie mi łąk, drugi...

— Z żydem, podjął Ławicz.

— Ej nie! Z żydami... swoją drogą... Ale teraz, uważasz, z *Uradnikiem* zadarłem się... ot co! Żona mówi, że nie potrzebnie, może to i prawda! Ależ anioł nie wytrzyma... nie w swoje, uważasz, właził... ręka mi zaświerzbiała...

Tu zatrzymał się. Przygasłe oczy jego błysnęły...

— Ot, wiecie co! mówiliście coś przed chwilą o filozofach, pamiętam, że kiedy nieboszczyk ojciec odbierał mię ze szkół, powiedział: „filozofem nie będziesz a gospodarzem zawsze być potrafisz." Słowo honoru, mówię wam, że teraz z gospodarstwem i interesami naszémi, to filozofem całą gębą, być trzeba! Cóż np. ja? Nie gram w karty, nie piję, nie hulam, domu na wielką stopę nie utrzymuję i tyle tylko, że żona tam czasem za granicę pojedzie albo wieczorek jaki wyda albo nowe meble sprowadzi a żeby u mnie wszystko dobrze szło, nie powiem! Gdzie tam! to to, to tamto w drogę wlezie. Ot teraz i z tym *uradnikiem*... Przed sądy pokoju ciągnie... No, już jak mi najstarszy mój synek wyrastać będzie, to go pewnie...

Przerwał mówienie i wielkiemi oczami wpatrzył się w człowieka, który w téj chwili do cukierni wchodził. Zegrzda i Ławicz patrzali na niego także. Był to człowiek powierzchownością swą przedstawiający obraz choroby, wyniszczenia, nędzy. Z pod wyszarzanéj czapki, las gęstych, kruczych włosów spadał mu na wychudłą szyję i otaczał twarz o nieprawidłowych, połamanych rysach, napiętnowaną suchotniczemi rumieńcami a świecącą jak żużlami parą ogromnych, czarnych, zapadłych oczu. Ubranie jego, poplamione i podarte, dowodziło wielkiego ubóstwa. Wszedł kaszląc i chwiejąc się prawie na nogach. Zdaleka, mógł być wziętym za żebraka; zbliska jednak widziany, przez trzech współbiesiadników poznanym został.

I sam poznał ich także. Urągliwy uśmiech przewinął się mu po sinawych ustach. Zbliżył się do stołu przy którym siedzieli.

— Jak się macie? czy poznajecie mię? może i nie! musiałem zmienić się trochę...

— Derszlak!

Nazwisko to, wszyscy trzej wymówili zdławionémi głosami. Przybyły, nie czekając zaproszenia, przysunął sobie krzesło i usiadł. Trudno mu było widocznie utrzymać się na nogach; mówił głosem ochrypłym i rwącym się od przyśpieszonego oddechu.

— Nie spodziewaliście się widzieć już mnie kiedykolwiek. A jednak, ludzie zewsząd wracają czasem. Ja was poznałem od razu... Tak bo zawsze i wyobrażałem was sobie... Ludzie porządni, spokojni... siedzą sobie w ciepłym pokoju, przy stoliku jedzą, piją, gawędzą... grzecznie, błogo, po mieszczańsku... a! przepraszam! godność czyję obraziłem może? Mieszczanie to niższa klasa a jeden z was tu przecie obywatelem jest, drugi bohaterem...

— Czy dawno jesteś w X? przerwał Ławicz.

Derszlak nie zaraz odpowiedział. Zakaszlał się.

— A dni już ze trzy jak przyjechałem do téj waszéj nory. Wyobraźcie sobie, żem od lat kilku nic a nic nie wiedział, co się z Anulką dzieje. Pisałem a pisałem i do niéj i do Kwiry,—żeby choć słówko odpowiedzi! Myślałem, że listy nie dochodzą i jak tylko już mogłem, zaraz wybrałem się tutaj... Myślałem, że nim będzie ze mną po wszystkiem, pożegnam się z nią jeszcze, aż tu... ona dawno już sama pożegnała się ze wszystkiém. Biedna moja...

Nie dokończył, zamyślił się a na schorowanéj twarzy jego i w głęboko zapadłych oczach, odmalowała się żałość tak gnębiąca, że Kaplicki, który do tego czasu, oglądał się tylko niespokojnie dokoła i nawet krzesło swe nieznacznie od krzesła przybyłego odsunął, wpatrzył się w niego z poczciwym smutkiem.

— No, cóż robić, Zenku, cóż robić? szepnął, z wolą pana Boga zgadzać się trzeba. Na tamtym świecie spotkamy się wszyscy...

Derszlak, popatrzał na niego długo i ciekawie. Nikt nic nie odpowiedział. Po chwili, Ławicz zapytał znowu. Gdzież mieszkasz?

— A naturalnie, że u Kwiry. Gdzieżby indziéj? Na hotele mi nie stać, a o odzywaniu się do was anim pomyślał nawet. Kwira co innego! Jemu już nic nie zaszkodzi i nic nie pomoże. Nie tęgą głowę miał zawsze a od... od... śmierci Anulki, zrobił się idyotą kompletnym. Zobaczywszy mnie jednak oprzytomniał trochę i z początku ucieszył się bardzo ale potém znowu zasmucił się i kiwając łysą głową, prosto i bez ogródek mi powiedział: „Niby nic, Zenku, a i ty zaraz za nią pójdziesz... A ot ja... bez grzechu narzekania... żyję!“

Mówiąc to śmiał się i kaszlał zarazem.

— Cóż ci jest? naiwnie zapytał Kaplicki.

— Suchoty— krótko odpowiedział Derszlak.

Parę minut milczeli wszyscy. Zegrzda chmurnie wpatrywał się w szklankę, do połowy jeszcze napełnioną ponczem, Kaplicki, znowu niespokojnie rzucał do koła oczami. Zabierał się snać do odejścia, bo kapelusz z ziemi podjął ale coś go do krzesła przykuwało. Przy stole tym, przez czterech ludzi otoczonym, milczenie zapanowało ciężkie. Ciężko też opadła na kolana i gazetą zaszeleściła, ręka człowieka samotnie przy pobliskim stoliku siedzącego. Oddawna już, Dębski trzymał wzrok utkwiony w jednym wierszu, w jednym może wyrazie gazety. Derszlak, spostrzegł go teraz i z uśmiechem; wskazując na niego palcem, do sąsiadów szepnął.

— A tenże—czy nie rozbił się o żadną rafę?

Nikt nic nie odpowiedział. Derszlak śmiał się.

— Ot jak! zaczął, góra z górą nie zejdzie się a ludzie, ze wszelkich dróg, zbiegają się czasem do kupy. Pamiętam... gimnazyalny tutejszy dziedziniec i was tam wszystkich i siebie samego—jak gdyby to wczoraj było. Boć to i niedawno jeszcze... młodzi jeszcze wszyscy...

Wstał i wszystkim dokoła głową skinął.

— Niema czasu, rzekł, przyszedłem tu aby z synem Markusa pomówić, bo mam do niego mały interes a śpieszyć muszę aby poczciwy Kwira z obiadem na mnie nie czekał... Bywajcie zdrowi!

Odszedł a raczéj pociągnął się do drugiego pokoju, gdzie widać było jak spotkawszy małego garsona, przyjaźnie głaskał płową głowę ubranego w biały fartuch dziecka, zapytując, gdzieby mógł znaleźć syna cukiernika.

Kaplicki, z kapeluszem w ręku, patrząc za nim trząsł głową.

— Nie tęgie obiady dawać mu musi ten jego Kwira! szepnął.

— Zmarnował się, do ponczu swego, wymówił Zegrzda.

Ławicz zaczął.

— Może...

— A tak! tak! naturalnie! podchwycił Kaplicki, i do pugilaresu swego sięgnął. Dębski wstał i z gazetą w ręku, do rozmawiających zbliżył się.

— Byłem także kolegą panów tu wszystkich, rzekł z chłodnym ukłonem.

Po chwili, Derszlak ukazał się znowu w progu a Ławicz powstawszy zbliżył się ku niemu i wręczając mu cztery szeleszczące papierki, zcicha wymówił kilka urywanych wyrazów, pomiędzy któremi, słychać było: doktór... lekarstwa... koleżeńsk przysługa...

Derszlak, zmięszał się trochę zrazu ale potém niedbale głową skinął.

— Dobrze, rzekł, i—słusznie! Nie dziękuję wam wcale... bo spełniliście tylko swój obowiązek. Wy macie, ja niemam... więc stało się wedle sprawiedliwości a i to jeszcze nie zupełnie... Nie o sobie myślę w téj chwili. Mnie już mało albo i nic wcale nie potrzeba... i doktora ani lekarstw nie potrzebuję, bo nic nie pomogą... ale rad jestem, że kanarki Kwiry pogrzebu mi sprawiać nie będą .. Bywajcie zdrowi!

Skinął raz jeszcze głową i wyszedł. Teraz, Kaplicki i Zegrzda jednocześnie powstali. Zegrzda zatrzymał przez chwilę w dłoni swéj rękę Ławicza.

— No, cóż, stary druhu, zobaczymy się jeszcze kiedy z tobą na tym świecie, czy nie?

— Niewiem. Długoż tu zabawisz?

— Dni dwa, trzy najdłużéj i znowu w świat!

— Pomyślności ci życzę!

— I ja tobie... ot, słowo honoru... z całego serca!

Miał już odchodzić ale namyśliwszy się jakby, znowu zwrócił się do Ławicza.

— A słuchaj no, bratku, ty mnie tam, z powodu téj gramatyki źle nie wspominaj!.. W żołnierskiém życiu widzisz, na takie rzeczy, czasu niema... a odzwyczajenie i przyzwyczajenie rzecz ważna!.. Cóż robić? Stało się!

Mówiąc, ściskał mocno rękę Ławicza. Podpiły był a chmury przechodziły mu po czole i oczy zwilgotniały. Powoli, ze zwieszoną głową doszedł do drzwi lecz tuż za drzwiami, na chodniku ulicy, spotkał się z dwoma czy trzema przechodzącymi kolegami, którzy powitali go głośnym okrzykiem. On, odpowiedział im wybuchem śmiechu; przez chwilę gwarnie i wesoło rozmawiali u drzwi cukierni, potém, wszyscy razem poszli daléj, a w cukierni, przez parę minut jeszcze, słychać było oddalające się wciąż głosy rozmowy ich i brzęki ich ostróg.

Kaplicki, w przyległym pokoju, przy bufecie stojąc, wypłacał należność swą, żartobliwie gwarząc z przystojną i bardzo dla niego uprzejmą żoną cukiernika. Ławicz, miał wychodzić z cukierni ale zwrócił się jesze ku Dębskiemu, który znowu czytał gazetę. Z ruchów jego znać było, że coś pociągnęło go do tego dawno znanego, milczącego, zamyślonego człowieka.

Rękę trzymającą kapelusz o stół opierając, rzekł.

— Dawno nie widzieliśmy się, Maryanie. Czy nic z tobą nowego?..

Dębski, spuszczając gazetę na kolana z chłodnym uśmiechem odpowiedział.

— O! nic wcale. Cóżby?

— Owe brzegi wyniosłe, o których marzyłeś...

— Przybywają ku nim inni.

— A ty?

— Ja... tak jak przed 12-stu laty jestem...

— Wiem, widuję cię przecież w Izbie. Ale—Cóż daléj?

— Daléj? to samo.

— Nie wyjedziesz nigdzie... szukać szczęścia?

— Czynią to inni.

— A ty?

Dębski milczał chwilę; na zamyśloną twarz jego spadł wyraz dawnéj energii.

— Ze wszystkich dumnych rojeń moich,—wymówił zwolna,— pozostało mi jedno: nie żebrać. A górnolotne myśli o wysokich czynnościach, rozległych wpływach etc. etc... stopiły się w jeden wyraz: ostać się.

— Przyczem i przeciw czemu?

— Przeciw jałowéj tułaczce i podłéj żebraninie;—przy gruncie tym, z którego wyrosłem i milczącém upominaniu się o prawa moje.

— Brawo! zawołał Ławicz. Przypominasz mi czasy dawne i rycerzy w stal zakutych i książąt niezłomnych.

Wykrzyk ten wydawać się mógł ironicznym, ale dźwiękom głosu przeczył wzrok Ławicza, w twarzy towarzysza utkwiony, migocący na dnie wilgotnym blaskiem.

Dębski uśmiechnął się znowu i zapytał.

— Czy to prawda, że ci się dobrze teraz powodzi?

— Prawda,—odpowiedział Ławicz; mam troje dzieci i dużo zajęcia...

— Które...

— Zajmuje mię bardzo, dziś właśnie, przed zebraniem sędziów pokoju broniłem sprawy nader ciekawéj, ważnéj... Był to mały kryminał. Mieszczanka pewna żydówkę pewną pomyjami oblała.

Dębski zaśmiał się.

— O! zawołał, jakże to daleko od téj izdebki na poddaszu z któréj tak zawzięcie wzbijałeś się w strefy wysokie... Zresztą,—dodał po chwili,—gdyby pani dola, jak to w baśniach ludowych bywa, stanęła przed nami w postaci widzialnéj, powinnibyśmy jéj wszyscy głęboki ukłon złożyć. Jak myślisz?

— Myślę, że najłaskawiéj jeszcze obeszła się ona z tym, który ztąd wyszedł przed chwilą.,.

— Jakto! zaśmiał się Dębski, z tym szaleńcem, któremu tydzień do śmierci pozostał?

Ławicz, wzruszył ramionami i patrząc w przestrzeń, zapytał.

— Śmierć? cóż? czy pamiętasz starą legendę o dwóch architektach greckich.

— Niedokładnie.

— No to pozwól, abym w ten przynajmniéj sposób wyzyskał klasyczną uczoność mą i opowiedział ci ją: dwaj architekci, Trofoniusz i Agamedes, zbudowawszy Apolinowi świątynię w Delfach, prosili go o nagrodę za swą pracę taką, jaka jest dla człowieka najlepsza. Objawił Apollo, że za trzy dni wysłuchanymi zostaną a gdy trzy dni minęło pomarli obaj.

— A sensem téj legendy—rzucił Dębski,—ma być zapewne to, że Grecy, wczesną śmierć uważali za największą łaskę bogów...

— Zapewne, potwierdził Ławicz i zamyślił się, po chwili, podnosząc głowę, dodał.

— Chociaż, nie mogę ukrywać, że w legendzie téj i inny jeszcze sens spoczywa. Mianowicie: śmierć tu jest nagrodą za zbudowanie świątyni...

Dębski żywo podniósł głowę. Zmarszczka pomiędzy brwiami jego pogłębiła się lecz siwe źrenice rozgrzały się i błysnęły.

— Drugie to tłómaczenie—przyjmuję. Lepiéj od pierwszego, zgadza się ono z charakterem moim. Ażeby mieć prawo wygodnie ułożyć się do spoczynku, trzeba świątynię jakąś zbudować..

— Jak czasem... przerwał Ławicz,—i co komu jest daném. Budować albo... podpierać...

W téj chwili, przy rozmawiających, stanął Kaplicki. Kilku słowami przypomniał się znajomości Dębskiego a wnet potém zwrócił się do Ławicza.

— Mój drogi, rzekł, na prawach staréj przyjaźni naszéj, proszę o godzinę czasu twego...

— Proces z uradnikiem? Zaśmiał się Ławicz.

— Kaplicki z czołem sfałdowaném, bez cienia urazy albo żartu, odpowiedział.

— Nie; z procesami nauczyłem się już dawać sobie radę. Inna rzecz z dziećmi. Starszego syna do nauki już zaprządz pora. Nie śmiéj się ze mnie. Ja tę rzecz bardzo na seryo biorę. Czuję, rozumiem, że z nim inaczéj być powinno jak było ze mną.Prawdę mówiąc, i zemną inaczéj byłoby... gdyby... Ale, co się tyczy dzieci moich, to już mam święte postanowienie, a i żona moja w tym względzie zgadza się ze mną... Chcę o tém pomówić z tobą, rady twojéj zasięgnąć... co?

— Znajdziesz mię w domu zawsze, w godzinach przedobiednich i jestem do usług twoich, uprzejmie odpowiedział Ławicz a zwracając się do Dębskiego, zapytał.

— A bracia twoi? Maryanie.

Pogodnie i z pośpiechem Dębski odpowiedział.

— Są obaj na drogach dobrych i prostych...

Ławicz przenikliwém, zadumaném spojrzeniem w twarz mu patrzał.

— Czy nie przychodzi ci teraz na myśl słowo, rozwiązujące zagadkę przed chwilnéj rozmowy naszéj?..

— Chciałbym, abyś mi je powiedział.

— I owszem, ale pozwól, że znowu wyręczę się starożytnym wieszczem, który śpiewał: „Zrzuca wiatr liście z drzew a jednak natura, przywróci kiedyś światu wiosnę i zieloność.“ A ktoś inny jeszcze powiedział: „Tkwi w nas przeczucie przyszłych czasów i rosną przy nas przyszłe pokolenia, które... dla których“...

— I tam daléj... wstając przerwał Dębski. Znam ciąg dalszy. Rozwiązuje to zagadkę nie cierpień naszych, zawodów i strat, ale...

— Naszych przeznaczeń, dokończył Ławicz.

Podali sobie ręce i rozeszli się.

El. Orzeszkowa.

POMNIKI PIŚMIENNICTWA

BABILOŃSKO-ASYRYJSKIEGO.

II.

Pomniki historyczne.

Na czele pomników piśmiennictwa babilońsko-asyryjskiego umieściliśmy *zabytki dwujęzyczne*, nie dla tego jedynie, że zabytki te, zawierając zgłoskowniki, przedstawiają klucz do pisma, w którym przechowały się wszystkie bez wyjątku pomniki; nie dla tego wyłącznie, że one wykrywając rzeczywistych wynalazców pisma klinowego, dozwalają wyśledzić jego początek i rozwój; lecz—że zabytki te odsłaniają nieznane dotąd stosunki etnograficzne w Mezopotamii, że, wtajemniczając w podstawy kultury miejscowéj, zrozumienie onéj w dalszym jéj rozwoju ułatwiają.

Dział *drugi* zabytków piśmiennictwa stanowić mogą *pomniki historyczne*.

Pomniki te według pochodzenia swego i jakości materyału w nich zawartego dadzą się podzielić na trzy grupy. Do *pierwszéj* grupy zaliczyć należy *napisy pamiątkowe*, znajdowane w zwaliskach gmachów rozmaitych. Stosownie do celu, w jakim je kładziono, napisy te świadczą głównie o przeznaczeniu gmachów, na których były mieszczone, o imieniu i częstokroć rodzie tych, którzy te gmachy wznosili. Grupa *druga* obejmuje *kroniki królewskie*, zawierające szczegółowe dzieje pojedyńczych panowań, bądź to w ich całości, bądź w główniejszych epizodach. *Trzecią* nakoniec utworzą spisy urzędników oraz rozmaite dokumenta kancelaryi królewskiéj.

Pomniki historyczne obejmują przeciąg czasu bardzo znaczny. Najwcześniejsze, aczkolwiek data ich nie da się ściśle oznaczyć, sięgają XXX-go, ostatnie, współczesne upadkowi Babilonu, pochodzą

z końca VI stulecia przed erą naszą. Z charakteru tych pomników wypływa, że owemi najwcześniejszemi mogą być tylko napisy pamiątkowe. Ta właśnie okoliczność nadaje im znaczenie wyjątkowe dla dziejów Mezopotamii.

1. (*)

Napisy pamiątkowe bardziéj niż inne pomniki historyczne związane są z miejscowością, gdzie zostały znalezione. Rzućmy więc okiem na kartę Mezopotamii starożytnéj.

Na karcie téj w kierunku północno-zachodnim od brzegów zatoki perskiéj w górę ku źródłom Eufratu i Tygru, owych dwóch rzek, które tworzą Mezopotamią, na obu brzegach Eufratu, bądź bezpośrednio nad jego korytem, bądź téż opodal, lecz zawsze nad odnogą jego lub kanałem do niego prowadzącym, oznaczone są miasta: Eridu, Ur, Larsa, Uruk, Nipur, Zergul, Karrak, Babilon, Agade, Sippara. Przechodząc następnie nad Tygrys, na brzegu jego prawym znajdujemy Asur, na lewym Kalah i Niniwę.

Dwa z wymienionych tu miast, Babilon i Niniwa, jako ostatnie stolice dwóch wielkich monarchij zostały w dziejach wsławione. Sławna ta atoli przeszłość i żyjące wspomnienia o niéj nie uchroniły Babilonu od utraty w pierwszych kilku wiekach ery naszéj wszystkich mieszkańców, a następnie od przekształcenia się w zbiorowisko zwalisk; nie przeszkodziły Niniwie zniknąć całkowicie, i to o lat tysiąc wcześniéj, z powierzchni ziemi, tak, że nawet pisarze greccy i rzymscy nie zgadzali się już z sobą co do miejscowości, gdzie się miała wznosić sławna stolica Asyryi. Niektóre znowu wzmiankowane były w podaniach hebrajskich, jako to: Ur (Ur-kasdim), Uruk (Erech), Asur. Jednakże imiona większéj części tych miast wtedy dopiero stały się znane, gdy ze zwalisk wydobyto napisy.

Ze stanu ruin obecnego wnosić możemy, że miasta położone nad Eufratem znacznie pierwéj zostały wzniesione niż te trzy, nad Tygrysem leżące, a ztąd, że epoka historyczna rozpoczęła się wcześniéj dla mieszkańców Mezopotamii południowéj (Chaldei, Babilonii), niż dla mieszkańców północnéj (Asyryi).

(*) Znaczną część napisów pamiątkowych z czasów pierwotnych zebrał i wydał *Lenormant* w dziele pod tyt. *Choix de textes cunéiformes*, I—III zeszyty, 1873—75. *G. Smith* napisał *Early history of Babylonia* wyłącznie prawie tylko z tekstów napisów pamiątkowych utkaną (Records of the Past, III, V). Napisy pamiątkowe weszły również do dwóch dzieł *Menant'a: Babylone et la Chaldeé* (1875), *Annales des Rois d'Assyrie* (1874).

Lecz nietylko różnicę pomiędzy miastami północnémi a południowemi stanowi większa lub mniejsza starożytność onych. Większość miast południowych wznieśli, w większości zamieszkiwali i niemi władali owi nieznani dotąd w dziejach *turańczycy*, których hymny liturgiczne, zaklęcia, prawa, przepisy rozmaite, tyczące się wszelkiego rodzaju zajęć przechowywali Asyryjczycy. Świadczą o tém napisy pamiątkowe kładzione w języku odczytanym w lewéj kolumnie zabytków dwujęzycznych; świadczą o tém obce językowi semickiemu w tych napisach podane imiona władców; nakoniec świadczą o tém bóstwa niesemickie, którym po owych miastach pobożni władcy świątynie wznosili.

W zwaliskach miasta Eridu znaleziono dwa napisy:

„Meza-nana-kalammi, *patezi* Eridu, *Sakkanaku*... syn Be... huk....“

„Bogu Nin-ridu, swemu panu, Idadu, *patezi* Eridu, sługa miły bogu Nin-ridu....“

Ze zwalisk Zergulu pochodzą następne:

„Wa-anna, *patezi* Zergulu, bogini Nana wzniósł i wykończył świątynię....“

„Bogini Nana, pani wspaniałéj, pani swéj, Gudea, *patezi* Zergulu, świątynię tę wzniósł....“

„Bogu Ninip, swemu panu, Gudea, *patezi* Zergulu, ten gmach zbudował.“

A oto jeszcze napisy z Uruk:

„Aku-gazid, syn Balat-Sunat, *sar* Uruku, zbudował świątynię bogini Anna.“

„Aku-gazid, mąż silny, *sar* Uruku, *sar* Gananu, zbudował ten pałac dla swéj osoby.“

Patezi, *sakkanaku*, *sar* są to tytuły owych władców *turańskich*. Ostatni utrzymał się i nadal w znaczeniu: *władca*, *król;* dwa pierwsze znikły z czasem. Prawdopodobnie oznaczały one władzę świecką związaną z religijną. Data tych napisów jest niewiadoma. W każdym jednakże razie zdają się one być wcześniejsze od następnych, które Lenormant mieści w pierwszéj połowie trzeciego tysiąca lat (około 2800) przed erą naszą. Pochodzą one z Karraku:

„Izbi-bara, król Karraku.“

„Gamil-ninip, król Nipuru, Uru, Eridu, Uruk, król Karraku, król Sumirów i Akkadów.... miły w oczach bogini Nana.“

Polegając na słowach napisu widzimy, że król Karraku władzę swą rozciągnął nad kilku innemi jeszcze miastami, w liczbie których spotykamy znane nam już z poprzednich napisów dwa: Eridu i Uruk. Władza ta atoli królów Karraku w innych miastach nie była zbyt utrwalona. Zwycięstwo nadało ją; przegrana pozbawiła jéj. Do-

wodzi tego szereg napisów znalezionych w podanych za podbite miastach, a pochodzących z téj epoki.

Oto jest napis z Nipuru:

„Libit-anunit, *riu* Nipuru, władca Ur... Eridu, władca Uruku, władca Karraku, władca Sumirów i Akkadów, odnowiciel świątyni bogini Nana, wzniósł tę świątynię...“

Co do wskazówek określających terytoryum władzy, jest on prawie jednobrzmiącym z powyższym napisem z Karraku. A nadto spotykamy w nim jeszcze jeden tytuł władcy (*riu*). We wzmiankowaném w ostatnich kilku napisach mieście Ur władali jeszcze królowie i z innych miast.

Oto napisy z Larsy:

„Sin-idinnam, mąż silny, władca Uru, władca Larsy, władca Sumirów i Akkadów odbudował od fundamentów tę świątynię starożytną. On mocno się trzymał na tronie w Larsie. On miał pod rozkazami swojemi licznych żołnierzy. On wykopał kanał.... na potrzeby kraju i miasta.“

Oprócz napisu Sin-idinnama są jeszcze znane inne z Larsy, a mianowicie: Kudur-Mapuka, Zikar-sina, Nur-bina, Rim-sina. Trzéj ostatni również podają siebie za władców Uru.

Lecz i owo Ur posiadało swoję dynastyą; władcy jego również jak i władcy innych miast, panowanie swoje rozpościerali po sąsiednich krajach. Przytém dynastya królów z Ur w historyi tych ziem i tych czasów szczególniejsze otrzymuje znaczenie. Władcy Karraku, Nipuru, Larsy chlubią się, jakeśmy to widzieli ze swéj władzy nad Sumirami i Akkadami. Te dwie nazwy niechybnie oznaczać mogą tylko ludy zamieszkujące podówczas wspólnie Mozopotamią. Tak więc ludność Mezopotamii, jednolita pierwotnie, w epoce, któréj sięgają te napisy, wskutek wtargnięcia nowych pierwiastków etnograficznych, rozpada się na dwa różne obozy. Jeżeli w Akkadach będziemy widzieli *turańskie* plemiona, pierwotnie w Mezopotamii osiadłe, w takim razie Sumirów przyjąć należy za ludy *semickie* (1). Otóż według Menant'a, dynastya władców Ur jest już semicką.

---

(1) W czasach ostatnich takie mianowicie zastosowanie tych nazw do dwóch ras zamieszkujących Mezopotamią zostało zmienione. Na ostatnim kongresie Oryentalistów odbytym roku 1881 w Berlinie, docent assyryologii przy uniwersytecie w Getyndze dr. P. Haupt na posiedzeniu sekcyi semickiéj starał się dowieść, że Akkadowie i Sumirowie pod względem pochodzenia stanowili jednę rasę (turańską) i że dwa języki sumirski i akkadzki stanowią tylko dwa narzecza (północne i południowe) jednéj mowy. Na téj przeto podstawie ów język, który nazywamy akkadzkim, moglibyśmy nazywać sumiro-akkadzkim.

Pierwszy ze znanych monarchów z téj dynastyi, Urkam, rozrzuca swe napisy po całéj Chaldei dolnéj, co świadczy o szeroko rozpostartéj władzy jego, i co jeszcze ważniejsze, w znacznéj części napisy te kładzie w języku asyryjskim. W napisach tych nie naśladuje władców miast innych. Długi tytuł tamtych zastępuje krótkim, zawsze jednakowo brzmiącym: Urkam, król Uru, król Sumirów i Akkadów. Władzę zaś swoją po miastach rozmaitych stwierdza faktami, wznosząc w nich świątynie i pałace i ozdabiając je swémi napisami. Takie napisy odnalezione w Erech, Larsie, Nipur, Zergul. Syn Urkama, Dungi, utrzymał w tych miejscowościach władzę ojca. Lecz między nim a następną dynastyą władców Uru, długi ubiega przeciąg czasu. Z królów późniejszych są jeszcze znani z napisów: Ismi-dagan (około 1800), Gungu-num, Gamil-Sin, Ibil-Sin. Pierwszy z nich był to monarcha możny, którego władza sięgała nawet Mezopotamii północnéj.

Napisy pochodzące z Babilonu wprowadzają nas we środek drugiego tysiącolecia. Hammurabi, władca ówczesny Babilonu, używa, podobnież jak i władcy Uru, dwóch języków w napisach swoich. Fakt ten, wykazując coraz większe wzmocnienie żywiołu semickiego, odkrywa drugie ognisko semityzmu w Mezopotamii. A nadto, badacze tych napisów w Hammurabim widzą monarchę obcego pochodzenia, Elamitę. Jeśli tak, to użycie w napisach języka obu ludów zamieszkujących Mezopotamię dowodziłoby pewnéj równowagi obu tych ludów, bądź liczebnéj, bądź téż pod względem znaczenia. Oto jest napis Hammurabiego. Jest on już dłuższy od znanych i bogatszy treścią:

„Hammurabi, król potężny, król Bab-ilu, król czterech ziem, zwycięzca nieprzyjaciół Marduka, władca miły sercu tego boga.

„Oto bogowie Bin i Bel poddali mi ludy Sumirów i Akkadów, bym panował nad nimi. Napełnili me ręce daninami przez te ludy składanemi.

„Kazałem wykopać Nahar-Hummurabi, błogosławieństwo mieszkańców Babilonu, kanał, który prowadzi do ziem Sumirów i Akkadów. Kanałem tym przeprowadziłem wody na pustynie, dostarczyłem ich wszystkim zbiornikom; bogactwem niewyczerpaném obdarzyłem Sumirów i Akkadów.

„Mieszkańców z kraju Sumirów i Akkadów przesiedliłem do miast obszernych. Pustynie przemieniłem w pola obficie zraszane; polom tym dostarczyłem żyzności i urodzajności; zrobiłem z nich przybytek szczęścia.

„Powtarzam: Hummurabi, król potężny, ulubieniec boga najwyższego.

„Stosownie do rozkazów Marduka strasznego wzniosłem ten zamek, obwarowałem go wieżami wysokiemi jak góry... Nazwałem ten zamek Dur-ummu-banit, od imienia ojca, który mię spłodził, by zachować pamięć jego w tych ziemiach.“

Z następców Hummurabiego są znani jeszcze ze swych napisów: Kara-indas i Burna-burias.

Trzymając się o ile można porządku chronologicznego, pomiędzy poprzednio wzmiankowanemi dynastyami panujących w rozmaitych miastach i władcami Babilonu należałoby pomieścić królów Sippary i Agade. Imiona atoli władców z tych miast bezpośrednio do nas nie doszły. Żadnego, dotychczas przynajmniéj, napisu ich lub o nich współczesnego im nieznaleziono. Jednakże nieulega wątpliwości, jakto wnosić możemy z innego znowu rodzaju pomników, że w dwóch miastach tych już na początku drugiego tysiąclecia przeważał żywioł semicki. Jeden nawet z władców Agade, Sargon, stał się bohatérem semickiéj legendy ludowéj.

Tak więc szereg napisów pamiątkowych zebranych w zwaliskach miast nad-eufratskich zamykają, jak na teraz przynajmniéj, napisy władców Babilonu.

Przechodzimy do miast nad-tygrysowych.

Ukryte obecnie w łonie wzgórza Kalah-Szergat, wznoszącego się o mil kilka powyżéj ujścia Zabu niższego do Tygrysu, zwaliska miasta Asur dostarczyły kilka bardzo ważnych napisów. I to miasto było zapewne wzniesione i, jak miasta południowe, przeważnie zamieszkałe przez Akkadów, skoro znany nam z napisów władca Uru, Ismi-dagan, zbudowawszy w niem świątynię, kładzie na niéj następujący napis w języku akkadzkim:

„Ismi-dagan, władca Nipuru, władca Uru, władca Eridu, Uruku, Karraku, władca Sumirów i Akkadów, bogini Melitta.“

Inne znowu dwa napisy późniejsze i już w języku asyryjskim zredagowane zaznajamiają z następnémi dwoma imionami: Samsi-bin, Iry-amtuk. Oba monarchowie pod témi imionami znani noszą powyżéj wzmiankowany tytuł *Patezi* uzupełniony dwoma wyrazami: boga Assura. Ów bóg Assur był początkowo tylko bogiem miejscowym, a ponieważ był bogiem Semickim, przeto przejście nazwy od niego na miasto całe, a następnie utrwalenie się rządów w tém mieście jego *patezi*, świadczy wymównie o zyskanéj już tam przez Semitów nad Akkadami przewadze. Napis Samsi-bina pochodzi według Menant'a z XVIII wieku, Iry-amtuka z XVI.

Po dwuwiekowéj następnie przerwie jeszcze późniejsze dwa napisy dowodzą znowu wzmożenia się potęgi władców Assura. Noszą już oni bowiem w tych napisach zwykły tytuł król, a nadto,

w wyliczaniu jego godności mieszczą nazwę dowódcy nad wojskami. Godność ta, którą widocznie się szczycą, rzuca pewne światło na pochodzenie ich władzy i główną jéj podporę. A nadto, potęgę swą chcieli już oni uwydatnić wspaniałością na zewnątrz. Przypadek chciał, że z téj epoki doszły do nas napisy przechowujące tylko imiona założycieli i mieszkańców pałaców.

„Pałac Bin-nirari, syna Pudiela, króla wojsk, króla ziem Assura.“

„Pałac Salman-asara, króla wojsk, syna Binni-rari, króla wojsk“

I znowu następuje dwuwiekowa przerwa. Jeszcze jeden pochodzi już z XII wieku i brzmi:

„Tuklat-pal-asar, ulubieniec boga Assura, syn Assur-ris-nizi, ulubieńca boga Assura, wzniósł i odnowił świątynię boga Bin, swego pana.“

Napis ten jest już ostatnim z tego miasta. W wieku XI rezydencyą królów asyryjskich staje się wyżéj na północ posunięty Kalah. I w niem znajdowano napisy. Atoli tracą one już to znaczenie, które mają dotychczas wzmiankowane. Monarcha, którego imię podaje ostatni napis z Assuru, pierwszy dzieje panowania swego przekazał w obszernéj kronice. A ponieważ od tego czasu staje się zwyczajem królów asyryjskich nie tylko w napisach, lecz kronikami obszernemi upamiętniać panowanie swoje, przeto kroniki zastępują napisy pamiątkowe, które nadal pomagają już tylko wiązać z sobą panowania monarchów bliżéj z kronik nieznanych.

2.

Pomijając pytanie, czy Tuklat-pal-asar pierwszym jest monarchą który kazał sporządzić kroniki panowania swego, czy téż on w tém naśladował już swoich poprzedników, pytanie, na rozwiązanie którego może jedynie tylko wpłynąć przypadek, odkrywając kroniki wcześniejsze, poznajmy zabytki, które bądź same z czasem przeistoczyć się w takie kroniki mogły, bądź téż tylko dostarczały dla nich materyału.

Już zabytki dwujęzyczne wykazały nam, że Akkadowie starożytni wierzyli w tajemniczy związek człowieka z otaczającą go przyrodą i uznawali zależność losów jego od zjawisk w niéj spostrzeganych. By zapobiedz szkodliwym wpływom owych zjawisk uciekali się do czarów. Czarodziejstwo stało się dla nich zawiązkiem kultu religijnego. Za jego pomocą odwracali zło w chwili danéj; za jego pomocą odgadywali przyszłość. Wierzenia te i praktyki wraz z wie-

lu innymi dorobkami kultury pierwotnéj przeszły od nich do Semitów. Ze zjawisk spostrzeganych w świecie zewnętrznym najwięcéj musiały zwracać uwagę, wskutek swego wpływu wyraźnego i znaczenia ogólnego, zjawiska meteorologiczne i astronomiczne.

Oto jest wyjątek ze znalezionych w bibliotece króla Assur-banipala a pochodzących z miasta Agade *tablic*, w których czyny bohara Semickiego Sargona i syna jego Naram-Sina są opowiedziane w związku ze zjawiskami astronomicznemi:

„Kiedy księżyc... (1).

Przepowiednia dla Sarkina, który w owym czasie poszedł na Elam i zniszczył Elamitów; rozbił zupełnie wojsko ich, rozrzucił ich członki...

Kiedy księżyc ..

Przepowiednia dla Sarkina, który w owym czasie poszedł na Syryą i podbił cztery ludy.

Kiedy kiężyc...

Przepowiednia dla Sarkina, który w owym czasie podbił Babilon... wzniósł Agade...

Kiedy księżyc...

Kasta-bilu z Kazull powstał przeciwko niemu (Sargonowi). On wyruszył na Kazull i zniósł jego wojsko... Z miasta zrobił zwaliska. Zniszczył nawet gniazda ptaków.

Kiedy księżyc...

Przepowiednia dla Sarkina; w tym czasie ludzie *Kaldi* powstali przeciwko niemu i zaskoczyli go w Agade. Sarkin wyszedł i zwyciężył nieprzyjaciół. Zmusił ich do ucieczki. Rozbił ich wojsko i obóz.

Kiedy księżyc...

Przepowiednia dla Naram-Sina, który w tym czasie pójdzie na Magannę; owładnie Maganną... Król Maganny wpadnie w jego ręce..."

Z urywku tego widzimy, że wypadki dziejowe zapisywane były w związku ze zmianami i obrotami księżyca, w celu, jak się domyślać można, wnioskowania z nich co do wpływu mniéj lub więcéj pomyślnego tych zmian na czyny ludzkie. Inne tablice wykazują prostszy już sposób upamiętniania wypadków. Oto jest urywek z tablicy pochodzącéj z czasów panowania Rim-Sina, króla Larsy.

„Miesiąc dawuzu (czerwiec) roku, w którém Rim-Sin umieścił dwa posągi bronzowe w Bit-Parra.

Miesiąc tasrytu (wrzesień) roku, w którym wielka świątynia bogini Beltis była wzniesiona.

---

(1) Opuszczam opis zjawiska.

Miesiąc sabatu (styczeń) roku, w którym król zajął z wojskiem swoim Kisur i owładnął Durilu."

By oznaczyć czas jednego wypadku w stosunku do drugiego, najważniejszy przyjmowano za erę i od niego liczono lata. Inny urywek z téj samej tablicy tego dowodzi.

„Miesiąc nizan (marzec), dzień 25 roku, w którym mężni żołnierze boga Anu i Bela zdobyli miasto królewskie Karrak."

Miesiąc ululu (sierpień), dzień 5-ty, po zdobyciu Karraku.

Miesiąc addaru (luty), dzień 30, roku 6-go po zdobyciu Karraku.

Miesiąc tasrytu, dzień 30, roku 13-go po zdobyciu Karraku przez króla Rim-Sina...

Znane są jeszcze takiego rodzaju tablice króla Hammurabiego i nieznanego zkądinąd Samsu-iluna, którego Menant utożsamia z Hammurabim, twierdząc że Samsu-iluna jestto tylko drugie imię Hammurabiego, które on przyjął, zostawszy władcą Babilonu.

Podobnie szczegółowe zapisywanie wypadków, pomimo wadliwości systemu chronologicznego i niezależnie od celu, w którym ono było dokonywane, ułatwiało synchronistyczny układ kronik dwóch miast lub krajów, będących z sobą w stałych stosunkach. W znanéj bibliotece króla Assur-bani-pala znaleziono tak nazwane *tablice synchronistyczne* zawierające dzieje dwóch krajów: Assyryi i Babilonu. Aczkolwiek są to tylko kopie, w wielu miejscach bardzo uszkodzone, zrobione w czasach późniejszych, zapewne współcześnie z założeniem Biblioteki (środek wieku VII), z oryginału niewiadomego również z daty i pochodzenia, jednakże, z przyczyny braku materyału, wielkie mają znaczenie dla pierwotnych dziejów Asyryi i współczesnych Babilonu. Obejmują one przeciąg czasu od 14-go do 9-go wieku przed erą naszą. A ponieważ w tym właśnie czasie dziejowym nastąpiło stanowcze wyniesienie się Asyryi nad inne państewka i podbój Chaldei przez monarchów asyryjskich, pomnik ten przeto, jako jedyne źródło do dziejów tego okresu, sam tylko wykazać może w jaki to sposób zaszły wzmiankowane przewroty w układzie państw mezopotamskich. Parę szczegółów z części ich pierwszéj może posłużyć w tém miejscu za wstęp do kronik królewskich.

„Kara-indas król kraju Kar-Dunias (Chaldei niższéj) i Assur-bel-nisisu, król Asyryi... zawarli z sobą przymierze...

„Buzur-Assur, król Asyryi, i Burna-buryas, król kraju Kar-dunias, zawarli z sobą przymierze...

„Za panowania Assur-u-balata, króla Asyryi i Kar-ardasa, króla kraju Kar-dunias, syna Salmu-ballita-serua, córki Assur-u-balata, ludy Kassi powstały i zabiły go (Kar-ardasa, wnuka króla asyryjskiego). Nusi-bugas, człowiek niskiego pochodzenia, był na królestwo

wyniesiony. By pomścić Karardasa, Assur-u-bulat poszedł na kraj Kar-dunias. Zabił Nazi-bugasa i zrobił królem Kuri-galzu, syna Burna-buryusa...

„Za czasów Zaman a-zikir-idina, króla kraju Kar-dunias, Asurdajan, król kraju Assura, wyruszył na kraj Kar-dunias, wziął miasta Zaba, Irrya, Agarsal, i łupy przeniósł do kraju Assura...“

Zapewne stosunki nieuniknione doprowadzały sąsiadów do częstych nieporozumień, skoro potrzeba było uroczystych przymierzy do stwierdzenia zgody. Przymierza utorowały drogę do związków rodzinnych. Te znowu dały prawo przebiegłym monarchom asyryjskim pomścić śmierć spokrewnionego monarchy babilońskiego i, zrzuciwszy jednego z tronu, osadzić na nim drugiego, który z krewnego już się stał wasalem. Gospodarka w obcym kraju spodobać się mogła. Gdy zabrakło pozorów prawnych, względów sprawiedliwości, wystarczała gotowość do walki i przewaga siły. Widzimy więc następnie monarchów asyryjskich zdobywających miasta babilońskie. Lecz i Babilończycy probowali odwetu i nawet ów odwet czasem im się udawał. Oto opis jednéj z wielu kampanii babilońskiéj:

„...Assur-ris-isi, król kraju Assura, zebrał swoje wojsko i wyszedł naprzeciw Nabu-kudur-usura (króla Babilonu). Nabu-kudur-usur widząc, że naprzód postępować nie może, spalił swój obóz i powrócił do kraju swego... Nabu-kudur-usur wrócił, by zabrać swoje wozy i bagaże. Assur-ris-isi wysłał, by je zatrzymać, swoje wozy i konnicę. Nastąpiła utarczka. Assur-ris-isi zmusił do ucieczki Nabu-kudur-usura, zniósł jego wojsko, wziął 50 wozów jego, zabrał konie, owładnął chorągwią którą noszono przed nim (1).“

Zwycięzki ów Assur-ris-isi był ojcem Tuklat-pal-asara.

Królowie asyryjscy dwojakiego używali sposobu, by kroniki panowania swego przekazać pokoleniom potomnym. Mieścili je na sporządzonych z gliny lub wyciosanych z kamienia graniastosłupach, które następnie zakopywali pod fundamenta wznoszonych dla siebie siedzib, lub rzeźbili na ścianach pałacowych a nawet, częstokroć na rozmaitych przedmiotach do ozdoby pałaców służących.

Zwaliska miasta Assur oprócz wzmiankowanych powyżéj napisów pamiątkowych dostarczyły jeszcze i *kronikę* Tuklat-pal-asara i to we czterech egzemplarzach, wyrzeźbioną na czterech 8-kątnych graniastosłupach.

Z jednakowego rodzaju dokumentów powstałe, jednym potrzebom i celom służące, kroniki królów asyryjskich pod względem for-

---

(1) G. Smith: Early History of Babylonia. Menant: Babylone et la Chaldeé. Annales des Rois d'Assyrie.

my, układu treści a nawet rodzaju wiadomości zawartych wielce są do siebie podobne. Poznanie jednéj dać może pojęcie o wszystkich (1).

Kronikę Tuklat-pal-asara (2) rozpoczyna ustęp nadający opowiadaniu ton wzniosły, religijny, łączący rzeczy ziemskie z boskiemi. Cały panteon asyryjski przesuwa się w nim przed oczyma naszemi.

„*Assur*, bóg wielki, który rządzi wojskami bogów, który rozdaje berła i korony, podtrzymuje władzę; *Bel*, władca... król... ojciec bogów, pan ziem wszelkich; *Sin*, bóg mądry, rozdawca koron... *Samas*, sędzia ziemi i nieba, widzący postępki nieprzyjaciół... *Ramas* (Bin), bóg potężny, który zatapia kraje nieprzyjaciół, góry i doliny; *Adar*, bóg silny, który zło i nieprzyjaciół niszczy, podtrzymuje odwagę; *Istar*, pierwsza z bogiń, pani bitew, która rozdaje zwycięstwa; wielcy bogowie, władcy nieba i ziemi, których wola przenika wszędzie, którzy wzmocnili władzę Tuklat-pal-asara, wielkiego władcy, ulubieńca swego, pasterza narodów: Wyście to wolą waszą jego wybrali, koroną wspaniałą ozdobili, na królowanie nad ziemią Bela (Babilonia) wynieśli, wyście zapewnili mu władzę, pierwszeństwo, potęgę; daliście mu moc i środki pobierania podatków i danin, panowania nad ziemią.

„Ja jestem Tuklat-pal asar, król możny, dowódca wojsk niezwyciężonych, król czterech stron świata, rządzący wszystkimi rządzącymi, władca wszystkich władców, król królów, król potężny, ten, który za pomocą boga Samasa błyszczące berło w ręku trzyma, rządzi ludami ziemi Bela... On rozpostarł strach w krajach zbuntowanych, on olbrzym wśród bitw ogarnął jako fale morskie ziemie niepo-

---

(1) Wydawnictwo pomników babilońsko-asyryjskich wchodzi obecnie na nową drogę. Druki asyryjskie zastępują już *fac-similia*, fotografie i autografie dawniejsze. Pokonawszy trudności wynikające ze stanu pomników, w jakim one dochodzą do nas, oraz przeszkody techniczne, asyryologowie wydawać już zaczęli teksty asyryjskie jak wszelkie inne. Przykład dał G. *Smith*, wydawszy kronikę Assur-bani-pala. Obecnie mamy już dwie inne, wydane w takiż sposób. Kronikę Tuklat-pal-asara wydał W. Lotz (1889, Lipsk) kronikę Assur-assi-Idina E. A. Budge (1880, Londyn). Lenormant wydaje teksty dwujęzyczne, Oppert i Menant zabytki prawne.

(2) W historyi *asyryologii* kronika ta jest pamiętną z faktu następnego: odczytywanie pomników klinowych asyryjskich wzbudzało początkowo wielkie niedowierzanie. Dla usunięcia go a zarazem sprawdzenia metody angielskie *towarzystwo azyatyckie* rozdało tekst téj kroniki czterem asyryologom: H. Rawlinsonowi, Fox-Talbotowi, Hincksowi i Oppertowi. Każdy z nich miał ów tekst przetłomaczyć osobno i w dniu wskazanym złożyć w *Towarzystwie. Cztery* tłómaczenia okazały się zupełnie zgodne z sobą.

słuszne, on nakazał cześć boga Bela, on gromił nieprzyjaciół boga Assura.

„Bóg Assur i inni wielcy bogowie rozszeryli moje państwo, dali mi władzę nad ludami, rządy moje nad wszystkimi utrwalili królami. Dali mi oręż, który w czasie wojny obala nieprzyjaciół po górach i płaszczyznach. Zburzyłem świątynie królów nieprzyjaznych bogu Assur, owładnąłem ich krajami. Zwyciężyłem 70 królów i od nich zakładników wziąłem. Z bitwy zawsze wychodziłem zwycięzcą. W wojnach niezliczonych nakładałem haracze. Dodawałem coraz nowsze kraje do krajów boga Assura, mieszkańców nowych do mieszkańców ziem jego. Rozszerzałem granice państwa mojego, brałem daninę z każdego kraju“...

Wspaniałe te słowa pozwalają nam poznać teorye, które sobie wytworzył Tuklat-pal-asar o swojéj władzy. Przypisawszy jéj nadprzyrodzone, od ludzkiéj woli niezależne pochodzenie, tém samém funkcyonowanie jéj wynosi po nad czyny i sądy rządzonych. Te pojęcia, które on sam wyznaje i stara się wcielić w naród, pozwalają mu wykonywać bezkarnie wszystkie zachcenia a zarazem mają chronić od zemsty bądź ogółu, bądź téż jednostek i gwarantować ciągłe powodzenie. Jest to wstęp tylko. Za nim idą szczegółowe opowiadania o wyprawach wojennych, przedsiębranych w celu podbicia danego kraju, lub, co się częściéj zdarzało, utrzymania już podbitego pod władzą swoją. Opowiadania te wykazują kierunek polityki zewnętrznéj i charakter stosunków sąsiedzkich Tuklat-pal-assara, a zarazem odkrywają, jakiemi to sposoby wychowywał on naród, jakie to instynkta głównie w narodzie swym rozwijał, jakie uczucia w nim budził i pielęgnował. Każda wyprawa wojenna daje wątek do osobnego opowiadania. Oto jest jedno z kilku:

„Wyruszyłem wówczas do kraju Kummuk, którego mieszkańcy powstali przeciwko mnie, przestali płacić podatki i składać daniny, które powinni byli składać bogu Assurowi, panu mojemu. Napadłem na cały kraj Kummuk, nabrałem niewolników, zdobyłem łupy i skarby. Popaliłem miasta, zniszczyłem je, zburzyłem. Mieszkańcy kraju Kummuk, którzy z pod mojéj władzy byli się wybili, schronili się do miasta Seryssa, po drugiéj stronie Tygrysu. By módz utrzymać się w tém mieście wzmocnili mury jego. Zebrałem wozy moje i moich wojowników. Przeszedłem z wozami o kołach żelaznych miejsca niedostępne i potoki bystre. Rzuciłem most przez rzekę i podszedłem pod Seryssę, miejsce ich ucieczki. Obsaczyłem zgromadzonych tam jako zwierzęta dzikie. Trupami ich usłałem wzgórza... Następnie zwróciłem oręż swój na kraj Kurki, z którego przybyli wojownicy na

pomoc krajowi Kummuk. W jednym czasie tych i tamtych pokonałem. Kawałkami ciał żołnierzy ich zawaliłem potoki górskie. Wpędziłem szeregi ich wojska w fale Tygrysu i do rzeki Nami. Kiliantaru. syn Kaliantara, którego królem byli zrobili, by podtrzymać swój opór, w potyczce wpadł w ręce moje. Żony jego i córki jego zrobiłem niewolnicami, synów jego zrobiłem niewolnikami. Zabrałem 180 sztuk miedzi, 10 sztuk żelaza, bogów ich, złoto, srebro; zabrałem ich skarby, zabrałem ich niewolników; ozdoby i sprzęty w ogień wrzuciłem; zniszczyłem i zburzyłem miasto jego i pałac. Miasto Urakinas, stolica ich kraju, położona w ziemi Panari, zadrżało z obawy potęgi i mocy nadzwyczajnéj Asura, boga mojego. Mieszkańcy jego, by życie swoje zabezpieczyć, porwali swe bogi i na wierzchołkach gór niedostępnych, po wąwozach głębokich, jako ptacy się schronili. Poszedłem z wozami mojemi i wojownikami na nich. Zbliżyłem się do rzeki Tygrysu. Sadityru, syn Katykni, król miasta Urakinas, padł przedemną na kolana, by mię niedopuścić do napadu na kraj jego. Przyjąłem jako zakładników synów jego, ulubieńców serca jego i jego rodzinę. Przyniósł on mi w daninie 60 *sunuk* bronzu, 90 *nirmak* miedzi, *namhar* miedzi, 120 niewolników, woły i owce. Przyjąłem to jako okup i przebaczyłem mu. Wyświadczyłem mu łaskę, darowałem życie; władzę swoją potężną na wieki nad jego rozciągnąłem krajem. Zająłem zielone ziemie kraju Kummuk i do mojego przyłączyłem państwa. Wówczas złożyłem w darze bogu Assur, mojemu panu, *namhar* miedzi, *nirmak* miedzi z łupów zabranych z kraju Kummuk, 60 *sunuk* bronzu wraz z ich bogami przeznaczyłem bogu Bin, mojéj podporze..."

Takiego rodzaju wyprawy następowały jedna po drugiéj. Zawsze wieńczył je pożądany skutek. Zawsze jedne i te same klęski oczekiwały zwyciężonych, łupy i władza zwycięzców. Powód do wyprawy zawsze się znalazł i zawsze tchnął bogobojnością, chęcią utrzymania porządku, zadość uczynienia pojęciom sprawiedliwości. Oto jest początek opowiadania o drugiéj wyprawie:

„By podtrzymać potęgę mojego oręża, któremu bóg Assur, mój władca, zapewnił zwycięztwo i władzę nad światem, wyruszyłem z wozami i wojskiem... na kraj Mildis, którego mieszkańcy są wiarołomni i buntownicy...."

Ci sami bogowie, którzy nadali władzy Tuklat-pal-asara ową wyjątkową, wprost od siebie pochodzącą moc i potęgę, nigdy nie przestawali podniecać go i nakłaniać do coraz nowszych zaborów. Jako bezpośredni powód kilku wypraw Tuklat-pal-asar podaje otrzymany rozkaz od boga Assura. Na początku bowiem kilku opowiadań czytamy następujące wyrażenia:

„Pełniąc wolę najwyższą boga Assura, mego władcy, wyruszyłem na kraj Karia.... Bóg Assur, mój władca, rzekł mi, bym wyszedł.. Według rozkazu najwyższego boga Assura, władcy mojego, zrobiłem wyprawę na kraj Sugi, który stanowi część kraju Kirki, a dotychczas nie był podbity.... Assur, mój władca, rozkazał mi napaść na kraj Musry... W czci głębokiéj boga Assura, władcy mojego, zgromadziłem wojsko i wozy; przeznaczyłem rok i dzień pomyślny, stosownie do snu, który miałem, i wyruszyłem na kraj Aram, który nie uznaje Assura swoim bogiem i nie czci go....“

Jak początek każdéj wyprawy był jeden do drugiego podobny, tak téż i zakończenie jednéj nie jest różne od zakończenia drugiéj, gdyż każde zawiera szczegółowy spis łupów w ludziach i trzodach, pieniądzach i sprzętach, każde podaje prawie w jednakich wyrazach sposób urządzenia podbitego lub tylko do posłuszeństwa na nowo doprowadzonego kraju.

Chełpliwość i żądza rozprzestrzenienia grozy majestatu swego powodowały królem, gdy kazał wymieniać szczegółowo ludy, który pokonywał, kraje, które z wojskiem przebiegał. Przechowane w tak sposób imiona ludów i nazwy krajów stanowią nieocenione dane, zarówno dla zakreślenia granic monarchii i wytknięcia głównych zwrotów jéj rozwoju, jak téż dla geografii i etnologii ówczesnego świata dziejowego. Wzmiankowanie w téj kronice tego lub owego ludu wprowadza już ów lud częstokroć do Historyi powszechnéj.

Skończywszy opowiadanie wypraw wojennych, Tuklat-pal-asar obszerny ustęp poświęca polowaniom. Jak na polu bitew ludzi, tak na polowaniu dzikie zwierzęta zabija on na cześć bogów, którzy go szczególniejszą otaczają opieką: „Ku ucieszeniu boga Adar, mojego opiekuna, ja zabiłem cztery bawoły, samce... ja ich zabiłem z łuku mojego celnego.... Zabiłem dziesięć odyńców... czterech schwyciłem żywych... Z pomocą boga Adara, który mi sił użycza, zabiłem 120 lwów; walczyłem z niemi ciało przeciw ciała, położyłem ich u nóg swoich moją odwagą; 800 lwów schwyciłem memi wozami; żaden ptak nieba w swym locie nie uniknął méj strzały...“ Skóry i zęby zabitych zwierząt przywoził, schwytanych żywemi wprowadzał jako trofea do miasta Assur.

Następnie kronika Tuklat-pal-asara dostarcza pewnych szczegółów, bardzo ważnych dla dawniejszéj historyi Asyryi. Monarcha ten wylicza swoich przodków do pra-pradziada. Pozwala to ułożyć listę królów przed nim panujących. Daléj czytamy rzecz taką: „Wtedy zdarzyło się: świątynia boga Anu i Bina, wielkich bogów, moich władców, którą za panowania swego Samsi-Bin, patezi Assura, syn Ismi-Dagana, patezi Assura, był pobudował 641 lat temu, zwaliła się.

Assur-Dagan, król ziemi Assura, rozebrał tą świątynię, lecz nie odbudował. Całych lat 60 nie dotykano się jéj podwalin...“ Znając datę panowania Tuklat-pal-asara otrzymujemy datę panowania Samsi-bina.

Ustęp ten stanowi przejście do opowiadania o administracyjnych czynnościach Tuklat-pal-asara, do opisu wzniesionych przezeń gmachów i świątyń. Wzmianka następna domyślać się każe kultu kamieni w Assyryi: „Wówczas to kazałem sprowadzić kamienie *ka*, *alta*, *kagina* z gór Nairy, które mi dał bóg Assur, i kamienie te umieściłem w *Bit hamry*, świątyni Bina, na wieczne czasy.“

Ostatnie ustępy kroniki również jak pierwsze są poświęcone bogom. Przypomniawszy im świątynie, które dla nich zbudował, zasługi, które w celu krzewienia ich czci położył, błaga o opiekę nad sobą, rodziną swą, krajem, błaga o siły i potęgę konieczną do wytępienia nieprzyjaciół. Nakoniec uczyniwszy wzmiankę o napisach pamiątkowych przez siebie na gmachach umieszczonych, o rzeźbach czyny jego przedstawiających, ze słowy następnemi zwraca się do tego „który w ciągu lat, w czasach przyszłych będzie panował“ po nim: „Ta świątynia boga Anu i Bin, wielkich bogów, moich władców i te wieże ze starości rozwalą się, odbuduj je, oczyść tablice z napisami, kamienie węgielne i rzeźby, uczyń ofiarę stosowną, połóż je na swoim miejscu i umieść swe imię obok mojego, a wtedy Anu i Bin, wielcy bogowie, udzielą ci szczęścia, radości twemu sercu, błogosławieństwa twym zamiarom.“ Lecz wspaniały, wszechpotężny ów monarcha nie wolen od trosk wszelkich. Przychodzi mu na myśl, że może znajdzie się ktoś, który jego próśb i błagań nie usłucha, który zapewne postąpi z pamiątkami po nim, jak on postępował z osobami zwyciężonych królów lub pamiątkami po nich. Poczucie w tym wypadku swéj niemocy nastraja go tragiczną grozą. Wnet za prośbami, błaganiami następują przekleństwa. Ciska on je na przyszłego władcę kraju, przyszłego burzyciela tych gmachów, niszczyciela pamiątek; grozi jemu, jego rodzinie i całemu krajowi nieprzeliczonemi a zgubnemi klęskami.

Taką więc jest kronika króla Tuklat-pal-asara, którą przyjąć możemy za typ wszystkich tego rodzaju utworów. Monarcha ten panował w drugiéj połowie XII wieku przed erą naszą. Panowanie jego zamyka pierwszy okres dziejów Asyryi. Ze zmianą stolicy następuje okres drugi.

W godnościach przypisywanych sobie przez Tuklat-pal-asara mogliśmy zauważyć miano rządcy ziem Bela. Ziemię Bela wyróżnia on wśród wszystkich ziem; posiadanie jéj stanowi dlań przedmiot chluby ciągłéj. Otóż prawdopodobnie podbicie stanowcze Babilonii

przez monarchów asyryjskich pozwoliło im posunąć po dwakroć daléj ku północy stolicę kraju, pozwoliło, usadowiwszy władzę w bardziéj centralnym i dogodnym miejscu, zamarzyć o podbiciu całego świata historycznego.

Każdy z dzielniejszych monarchów, któremu wieńczone zwycięstwem wyprawy dostarczały bogactw i rąk niewolników, wznosił dla siebie nowy, osobny pałac, by w podwalinach jego zakopać jedno opowiadanie, by na ścianach wyryć drugie, ilustrowane częstokroć odpowiedniemi rzeźbami. Gdy niejednemu przyrodzona gnuśność przeszkodziła zgromadzić odpowiednie środki do wzniesienia sobie pałacu pamiątkowego, przebudował gmach któregokolwiek z odleglejszych swych poprzedników i zamiast imienia dawniejszego jego właściciela umieścił na nim swoje. Częstokroć znowu, ci poprzednicy w absolutyzmie Ludwika XIV, zakładali sobie Wersale pod stolicami. Takim Wersalem dla Assur-nasir-pala był Balawat, na wschód Kalahu leżący, dla Sargona—Korsabad, na północ Niniwy.

Ruiny Kalahu dostarczyły *czterech* kronik. Pierwsza należy do Assur-nazir-pala. Uzupełnia ją obszerne opowiadanie o czynach tego monarchy znalezione w Balawat. Druga należy do Salman-asara, syna Assur-nasir-pala. Składa ją kilka odrębnych opowiadań, z których jedno mieści się na pięknym obelisku, drugie na wspaniałych drzwiach pałacowych z bronzu. Trzecia najkrótsza z nich, głosi dzieje Samsi-bina. Nakoniec czwarta — dzieje Tuklat-pal-asara II. Kroniki te obejmują przeszło półtora wiekowy przeciąg czasu (IX i VIII stulecia), z okresu drugiego dziejów Assyryi. Do poprowadzenia dziejów wstecz od Assur-nasir-pala do Tuklat-pal-asara I-go, czyli do związania z sobą dwóch tych okresów, służą napisy pamiątkowe znajdowane w Kalah, tablice synchronistyczne przedstawiające dzieje Assyryi i Babilonii, a nadto wzmianki o poprzednikach spotykane w opowiadaniach królów powyżéj wyliczonych.

Z przeniesieniem stolicy do Niniwy nastąpił okres trzeci i ostatni. Asyrya dosięgła w nim najwyższego szczytu potęgi państwowéj, gdyż w granicach swych zawarła cały ówczesny świat historyczny. Na to wszechświatowe stanowisko wynieśli ją czteréj z kolei po sobie panujący Sargonidowie (72.—649). Zwaliska pałacu w Korsabadzie, od których rozpoczęto rozkopywanie miast asyryjskich (1844), dostarczyły kilku szczegółowych opowiadań o Sargonie, założycielu téj potężnéj dynastyi. W zwaliskach Niniwy odkryto kroniki jego syna Sin-aki-eriba, jego wnuka Assur-aku-iddina i prawnuka Assurbani-pala. Dzięki szczególnéj obfitości faktów zawartych w kronikach, wielkiéj dokładności w samym opowiadaniu, epoka ta może się stać najlepiéj znaną z całéj historyi Mezopotamii. Atoli kronika

ostatniego z wymienionych Sargonidów, Assur-bani-pala urywa się nagle na 20-tym roku panowania jego. Będzie to rok 649. Na nim przeto kończą się znane dzieje Asyryi.

Za epilog mogą służyć dwa napisy pamiątkowe znalezione w Kalah; jednego z nich treść jest następna:

„Ja Assur-idil-ili, król wojsk, król ziem Assura, syn Assur-bani-pala, króla wojsk, króla ziem Assura, rozkazałem wyrabiać cegłę w celu wzniesienia Bit-Zida w mieście Kalah, a to dla przedłużenia dni życia mojego."

Drugi należy do niejakiego Bel-zakir-iskuna. Mieni się on w tym napisie królem Assyryi, atoli nie wyjaśnia w jaki sposób stał się królem ani też nie podaje żadnych faktów z czasów panowania swego (1). I żaden już dokument współczesny nie odkrywa biegu wypadków. A tymczasem w drugiéj połowie VII wieku miały miejsce nader ważne przewroty. Asyrya jako państwo upada. Naród asyryjski, nie sam dla siebie lecz dla monarchów swych i przez nich żyjący, dochodzi do stanu zupełnéj bezwładności. Kraj cały przeobraża się w rumowisko wielkie. Przewroty te przypadają na ostatnie lata panowania Assur-bani-pala i na panowanie dwóch jego następców, których stosunek do siebie pozostaje niewyjaśniony.

Wypadki, które spowodowały upadek Asyryi, odrodziły Babilonią. Dwa ważne dokumenty, pochodzące już z Babilonu, uzupełniają przerwaną w kronikach królów asyryjskich historyą Mezopotamii. Jeden z tych dokumentów stanowi obszerna kronika króla babilońskiego Nabu-kudur-usura. Z niego widzimy, że monarchowie babilońscy, otrzymawszy spadek państwowy po asyryjskich, zajęli ich miejsce i stanowisko w historyi. Nabu-kudur-usur jest to znany już nam dobrze typ samowładcy, opierającego swoją władzę na religii. I jego również jak monarchów asyryjskich bogowie zesłali dla rozszerzania swéj chwały i utrzymywania ludów sąsiednich w porządku; i on również jak i tamci niszczył kraje obce, by swój pozornie wzbogacać, burzył miasta obce, by swoje upiększać. W teoryi jednakże o pochodzeniu swéj władzy i osoby poszedł daléj. Nazywa siebie już poprostu synem boga. Oto bowiem co o swym pochodzeniu głosi: „Bóg Bel, sam mnie stworzył; bóg Marduk, który mnie spłodził, sam zarodek życia mego złożył w łonie méj matki."

Liczne napisy pamiątkowe stwierdzają i uzupełniają fakta podane w kronice.

---

(1) *G. Smith:* Assyrian Discoveries, Chapter XIX, 1876.

Drugi, znany zaledwo od lat dwóch (1), podaje wypadki zaszłe w czasie panowania ostatniego króla babilońskiego Nabonida, a więc opowiada o najściu na Mezopotamię Cyrusa, króla Persów i o zdobyciu przezeń Babilonu (538) co położyło koniec monarchii babilońskiéj i zapewniło panowanie nad owoczesnym światem historycznym szczepowi aryjskiemu, przedstawianemu podówczas przez Irańczyków.

3.

Wśród pomników historycznych składających grupę *trzecią*, najważniejszémi dla dziejów są spisy urzędników zwanych *Limmu*. Urzędnicy ci byli wyznaczani na rok jeden i rokowi temu, w przeciągu którego urzędowali, nadawali swoje imię. Czytamy np. taką datę: „W miesiącu Ululu dnia 7-go, roku Limmu Sagab," lub „W miesiącu Airu dnia 5, roku Limmu Bel-haran-saduja." Inne atrybucye ich władzy są nieznane. Każdy król w pierwszym roku swego panowania zostawał Limmu i rok ten nazywa od swego imienia.

Jeśli przypuścimy, że zwyczaj wyznaczania tych urzędników pochodził z konieczności obliczania lat i utrwalania w pamięci danego roku nie za pomocą liczby porządkowéj lecz imienia pewnéj osoby, to cel układania spisów Limmu'w przedstawia się nam zupełnie jasno. Spisy takie zastępowały asyryjczykom nasze tablice chronologiczne i ułatwiały obliczania dat. Jako rzecz codziennego użytku musiały one rozchodzić się po kraju w znacznéj ilości. Żaden wszelako z nich nie doszedł do nas w całości. Z licznych jednakże odłamków udało się uczonym angielskim złożyć cztery całkowite egzemplarze. Każdy z nich przedstawia bez żadnéj przerwy idących po sobie *Limmu'w* od początku IX stulecia (891 roku, nazwanego rokiem niejakiego Adar-sar-mi) do roku czwartego panowania Assurbani-pala, (665, nazwanego rokiem Tabikai). A nadto, na jednym z takich egzemplarzy oznaczone są nawet ważniejsze wypadki, które miały miejsce w przeciągu każdego roku. Ten egzemplarz obejmuje lat 112 (816—704).

---

(1) Poszukiwania archeologiczne w Mezopotamii po usunięciu się z widowni naukowéj A. H. Layarda i śmierci przedwczesnéj G. Smitha prowadzi obecnie ze strony Anglii Hormuzd Rassam. On to właśnie rozkopał wzmiankowane zwaliska w Balawat, jak również wyszukał kronikę ostatniego króla babilońskiego Nabonida, doprowadzoną do śmierci jego. Kronika ta posłużyła mi za źródło do napisania notatki historycznéj p. t. *Zdobycie Babilonu przez Cyrusa* (Bibl. Warsz. za Marzec, 1881).

W taki sposób *tablice Limmuw* pozwalają ułożyć dokładną listę królów asyryjskich począwszy od Tuklat-Samdana, ojca i poprzednika znanego z 2-giéj kroniki Assur-nasir-pala, do Assur-bani-pala. Oprócz tego zaś zapisane wypadki główniejsze 112 lat odtwarzają mniéj znane dzieje kilku panowań, od Samsi-Bina do Sargona włącznie. Pod 704 rokiem, nazwanym rokiem Pakar-Belu, rządcy kraju Anud, zapisane są dwa fakta: zabicie Sarkina,—miesiąca Abu (lipca) dnia 12 wstąpienie na tron Sin-aki-eriba.

W bibliotekach królów Asyryjskich przechowywały się zapewne i archiwa prywatne monarchów. A ponieważ, jak dotychczas przynajmniéj, tylko jedną bibliotekę króla Assur-bani-pala, odkryto przeto i dokumenta archiwalne znalezione w niéj są jedynémi tego rodzaju zabytkami. Z treści tych dokumentów poznajemy sztukę dyplomatyczną królów asyryjskich, gdyż przypuszczać należy, że Assur-bani-pal nie mógł być pod tym względem wyjątkiem, lecz wraz z tronem otrzymał i tradycye o prowadzeniu interesów dyplomatycznych i biegłych w tych sprawach urzędników.

W kraju Suziana (Elam) niejaki Ummanaldas zrzuca z tronu króla Indabigasa, zmusza go do ucieczki i sam ogłasza się królem. Wnet sprawozdanie o tym wypadku otrzymują w Niniwie. Mógł je przysłać agent dyplomatyczny. Oto treść jego:

„Do króla królów, króla mojego, Bel-ibni, sługa jego. Oby Assur, Samas i Marduk użyczyli radości sercu, zdrowia ciału, dni szczęśliwych, życia długiego królowi królów, królowi narodów, panu mojemu. Takie są nowiny z kraju Elam: Ummanaldas pobił króla dawnego, który uciekł. Jego matka, żona, dzieci i rodzina cała w trwodze opuścili miasto Madakta. Ummanaldas usiadł na tronie i rozpoczął rządy. Przeszedł on rzekę Ulai w .... udał się do miasta Talah...“ zapewne w celu ścigania zrzuconego z tronu poprzednika swego. Uszkodzenie znaczne tekstu nie dozwala dokładnie poznać losów walki rozpoczętéj, która jednakże skończyła się pomyślnie dla Ummanaldasa. Inny znowu dokument, identyczny co do formy, zawiera sprawozdanie o wypadkach zaszłych w Arabii. Ustalenie formy takich aktów mogło być owocem długiego przeciągu czasu.

Monarchowie pisywali do siebie. I już i wtedy nazywali siebie braćmi. Przechował się list wzmiankowanego w poprzednim dokumencie Ummanaldasa, już jako króla Elamu, do Assur-bani-pala. W nim taki początek znajdujemy:

„Ummanaldas, król ziemi Elam, do Assur-bani-pala, króla ziemi Assura. Pokój memu bratu.“

Następnie donosi mu o wystąpieniu przeciwko sobie plemienia Marteni, opisuje przebieg wojny; a ponieważ strona wojująca oparła

się o granice asyryjskie, wzywa Assur-bani-pala do przyjęcia udziału w téj wojnie i udzielenia sobie pomocy.

Znane również były i proklamacye do narodu, poprzedzające zwykle wojska i nasyłanych urządzicieli. Oto jedna z takich proklamacyi:

„Odezwa króla do mieszkańców z nad brzegów morza, do ich synów i sług. Pokój waszym sercom, szczęście wam!

„Czuwałem pilnie nad wami. Otwierałem na was własne swe oczy.... Obecnie posyłam wam Bel-ibni, sługę swego, posła swego. Rozkazuję wam, byście stosownie do mych rozkazów (postępowali). Oto dlaczego wyprawiam do was i wojska moje. Chcę z wami pospołu pod moim okiem strzedz życia waszego i waszego mienia.

„W miesiącu Airu, dnia 5-go, Limmu Bel-haran-saduja."

Druga chociaż odmienna w słowach wyraża te same myśli i zamiary. Skierowana do ludów, wchodzących w skład państewka elamskiego, miała wzbudzić niechęć jednych do drugich, coby ułatwiło zadanie wojsk asyryjskich, zbliżających się już.

„Odezwa króla do mieszkańców kraju Raza, mieszkańców z nad brzegu morza, mieszkańców kraju Neruti. Pokój waszym sercom, szczęście wam!

„Ja cieszyłem się wielce z pomyślności ludów Elamu. One odtrąciły moje łaski i pomoc. Za wszystko dobro, które chciałem im wyświadczyć, odpłaciły mi się niewdzięcznością. Naprzód, za dni Urtaki, gdy głód je zmuszał do opuszczania ziemi Elamu, schroniły się w ziemi Assura..." Następuje wyliczenie dobrodziejstw wyświadczonych ludom Elamu, które uzupełnione być miały ostatnim, najwyższym, mianowicie zaborem.

Szczupłe rozmiary działu trzeciego pomników historycznych wynagradza, jak to widzimy, wielka rozmaitość stanowiących dział ten zabytków.

Do pierwszéj połowy bieżącego stulecia Historya starożytnego wschodu rozpoczynała się dla nas od drugiéj połowy VI-go wieku przed naszą erą, to jest od epoki perskiéj. Przyczyną tego był brak zupełny autentycznych materyałów. Wszystko, cośmy wiedzieli tylko o przodujących narodach wschodnich (babilończykach, asyryjczykach, egipcyanach), zawdzięczaliśmy historykom greckim oraz kronikom hebrajskim.

Dwaj główni historycy greccy, Herodot i Ktezyasz, żyjąc w epoce perskiéj, patrzyli na ludy, których przeszłość chcieli opisywać, gdy żywot dziejowy tych ludów był już skończony. Czerpiąc przeto

wszystkie swe wiadomości o nich w legendach, kilkunastowiekową przeszłość Asyryi i Babilonii zawarli w dziejach kilku postaci mitycznych, w których wszystko, zacząwszy od imion, było wymysłem. W kronikach hebrajskich, redagowanych również w epoce perskiéj, znajdujemy tylko kilka imion autentycznych z czasów późniejszych i na tém koniec.

Obecnie, jak wiemy, stan ten zupełnie się zmienił.

Poznanie pomników historycznych babilońsko-asyryjskich przekonało nas, że nietylko dzieje Egiptu cofnąć możemy o parę tysięcy lat wstecz od ery naszéj lecz i dzieje Mezopotamii. A nadto, znamy względy, które pomnikom pochodzącym z Mezopotamii dodają jeszsze wyjątkowego znaczenia. Azya przednia była kolebką dwóch szczepów, które wytworzyły kulturę dziejową; w Azyi powstały religie, które objęły świat cały; wyszedłszy z Azyi Aryowie europejscy w stałych i ciągłych z pierwotną swą ojczyzną przebywali stosunkach. W tych więc pomnikach szukać musimy wyjaśnienia wielu zagadnień dziejowych.

Oprócz tego, pomniki egipskie, chociaż przewyższać mogą mezopotamskie starożytnością, odkrywają nam Egipt jako państwo zupełnie już uorganizowane; początkowych dziejów Egiptu opierając się na nich wyśledzić nie możemy. Inaczéj rzecz się ma z pomnikami babilońsko-asyryjskiémi. Przedstawiają nam one epokę najbardziéj w historyi każdego kraju tajemniczą, a mianowicie, epokę tworzenia się narodu i zawiązywania się państwa. A przytém, charakter sam pomników dozwala niby bezpośrednio przypatrywać się wypadkom; odkrywając oś główną czynności wszelkich, interes, dozwala docierać do rzeczywistéj przyczyny każdego faktu; śledzić rozwój jego konsekwentny. Stąd tryska uderzający w tych dziejach realizm, stąd wypływa pouczająca z nich prawda historyczna.

I. Radliński.

O zdolności ruchu u roślin.

(*Dokończenie*).

Do szeregu ruchów obrotowych czyli cyrkumnutacyjnych zmienionych skutkiem zewnętrznych wpływów, należy według Darwina *sen* czyli *ruchy nyktitropowe liści*, wywolane przez dzienne następstwo światła i ciemności. Ciemność sama przez się nie wywołuje sennych poruszeń, które właściwie powstają skutkiem różnicy w natężeniu światła, bo rozmaite rośliny, jak nasturcya (*Tropaeolum*), łubin (*Lupinus*) i inne, wtedy tylko układają się do snu, gdy były podczas dnia silnie oświetlone. Tak więc w tych razach senne objawy powstają nie skutkiem zmniejszenia światła wieczorną porą, ale skutkiem kontrastu pomiędzy oświetleniem wieczorném i wcześniejszych godzin dnia.

Senne ruchy liści do pewnego stopnia zostają odziedziczone, albowiem po największéj części liście powracają z rana do właściwego położenia chociaż je pozostawimy bez światła, a z drugiéj strony liście niektórych roślin przynajmniéj przez jeden dzień normalnie poruszają się w ciemnościach. Dziedziczność z różną siłą występuje u rozmaitych gatunków, ale prawdopodobnie nigdy nie jest bardzo uporczywą. Gdyby rozmaite rośliny, ze wszystkich części świata sprowadzone do naszych cieplarni i ogrodów, ściśle przechowywały odziedziczoną peryodyczność ruchów wywołanych przez zmianę światła dziennego i ciemności nocnych, tedy w naszym kraju układałyby się do snu o bardzo rozmaitym czasie, co jednakże nie ma miejsca. Nadto, rośliny we własnéj ojczyźnie zmieniają czas snu odpowiednio do zmieniającéj się pory roku.

Senne położenie liści nadzwyczajną przedstawia rozmaitość. Raz liście opuszczają się na dół, to znowu podnoszą do góry, a listeczki składanego liścia mogą się zwracać albo ku jego wierzchołkowi, albo ku podstawie. Oprócz tego liście, a zwłaszcza listki, obracają

się koło swéj osi, czasami na całe 90°. Liście osadzone na pionowych gałęziach niekiedy inaczéj się poruszają aniżeli liście wyrastające na poziomych lub pochyłych gałęziach téj saméj rośliny. Liście wszystkich gatunków danego rodzaju najczęściéj w ten sam sposób układają się do snu, lecz prawidło to przedstawia pewne wyjątki. Tak w różnych obszernych rodzajach (np. szczawika, *Oxalis*) jedne gatunki sypiają, inne nie. Niektóre gatunki nostrzyka (*Melilotus*) sypiają podobnie jak koniczyna,. inne zaś w odmienny i sobie właściwy sposób. Jedne gatunki ślizy (*Sida*) do snu podnoszą, a inne opuszczają listki.

W sennėm położeniu liście lub listki najczęściéj podnoszą się do góry; pomijając niektóre rodzaje pozostawiające pewną wątpliwość, rośliny badane pod względem snu dostarczyły 37 rodzai, u których liście i listki podnoszą się do góry, a tylko 32 z listkami i liśćmi opuszczającémi się na noc ku dołowi. U sennych liści blaszka nocną porą przybiera pionowe albo prawie pionowe położenie, ale zresztą zupełnie jest obojętném czy do góry zwróconą będzie boczna krawędź, podstawa lub wierzchołek blaszki.

Jeżeli w sennėm położeniu listki stykają się z sobą, pospolicie przylegają do siebie górnemi powierzchniami. Czasami bywa jednak przeciwnie, a mianowicie listki stykają się powierzchniami dolnemi. Wypadki tego rodzaju zdarzają się tylko wtedy, jeżeli listki opuszczają się ku dołowi nie obracając koło swéj osi. Rotacya listków, o ile sądzić można, przedewszystkiém zmierza do zbliżenia górnéj ich powierzchni, jak tego dowodzi zeczwornik (*Marsilea*), nostrzyk (*Melilotus*), czułek (*Mimosa*), siężybób (*Cassia*) i wiele innych roślin.

Pierwszy prawdziwy liść pospolicie bywa odmiennéj postaci od następnych liści, ale sypia tak samo jak te ostatnie, wszakże pod tym względem niektóre rośliny zachowują się wyjątkowo. Tak u fasoli *Phaseolus Roxburgii* pierwszy listek podnosi się nieco w górę, gdy tymczasem listki późniejszych liści składanych opuszczają się na dół. Liście ślizy (*Sida rhombaefolia*) w bardzo młodym wieku nie sypiają, lecz późniéj nocną porą podnoszą się do góry. Przeciwnie u bardzo młodéj szczodrzenicy (*Cytisus fragrans*) liście sypiają, a na starych krzakach nie okazują wyraźnych ruchów sennych.

Zdaje się, że liścienie częściéj sypiają aniżeli liście. W niektórych jednak razach sypiają tylko liście, gdy tymczasem liścienie odpowiednich ruchów nie wykonywają, albo przeciwnie, u innych roślin sennym ruchom podlegają tylko liścienie. Wreszcie, u innych jeszcze roślin sypiają liście i liścienie, ale inaczéj.

Senne ruchy w dwojaki odbywają się sposób. Raz następują one skutkiem spotęgowanego wzrostu liścia na przeciwnych jego krawędziach, albo też odbywają się przy pomocy poduszeczek naprzemian w różnych miejscach nabrzmiewających. W pierwszym razie senne ruchy ustają po zupełném wyrośnięciu liścia, w drugim zaś bez przerwy odbywają się dopóki liść nie zawiędnie, chociaż stare liście w porównaniu z młodemi mogą się poruszać w mniéj zawiły sposób. Rotacyjny ruch, jak to Pfeffer zauważył, prawie wyłącznie spostrzegać się daje tylko u liści z poduszeczkami.

Blaszka liściowa pospolicie porusza się skutkiem zgięcia najwyższéj części ogonka, zamienionej na poduszeczkę. Czasami jednak porusza się i zagina sama blaszka, jak to np. spostrzegamy u *Bauhinii*, gdzie dwie połówki blaszki podnoszą się aż do wzajemnego zetknięcia. Wreszcie może się poruszać i blaszka i ogonek. U liści składanych pospolicie porusza się także cały ogonek liściowy podnosząc się albo opadając. Na téj saméj roślinie ogonki rozmaitych liści często okazują wielce odmienną obszerność ruchów. Wiek liści nie jest tu bez wpływu, bo ogonki młodych liści wykonywają obszerniejsze ruchy; tak u poruszliny (*Desmodium gyrans*) średnio stare liście wznoszą się tylko na 46°, gdy tymczasem młode podnoszą się pionowo. U siężybobu (*Cassia floribunda*) młody liść podnosi się na 41°, a stary tylko na 12°. Czasami na obszerność ruchów wpływa wiek saméj rośliny; tak u młodziutkich Bauhinij ogonki wznoszą się nocną porą na 30° do 34°, gdy tymczasem na tym samym osobniku wyrośniętym na 2 lub 3 stopy zaledwie się poruszają. Wreszcie samo położenie liścia na łodydze zdaje się także wywierać wpływ na potęgę jego ruchu, co wynika z rozmaitego stopnia oświetlenia. U niektórych roślin ogonek porusza się w nocy w pewnym kierunku, a listki w kierunku przeciwnym. Tak np. u niektórych roślin fasolowatych ogonek wznosi się nocną porą do góry, a listki opuszczają się na dół. Wreszcie, listki mogą się tak mało poruszać, że nawet nie można im przyznać zdolności zasypiania, gdy tymczasem ogonek podnosi się na 34°. Tak mianowicie zachowują się liście siężybobu *Cassia Barclayana*.

Pomimo całéj rozmaitości sennych ruchów liści i liścieni, pomimo odmienności ruchu u różnych gatunków tego samego rodzaju, albo nawet odmienności ruchu rozmaitego wieku, zawsze ostatecznym wynikiem ruchu jest umieszczenie liścia w takiem położeniu, aby górna jego powierzchnia jak najmniéj była wystawiona na promieniowanie podczas chłodu nocnego. Trudno powątpiewać o prawdzie tego wniosku, albowiem liście poziomo rozpięte daleko więcéj cierpią podczas chłodu pogodnéj nocy aniżeli liście swobodnie ukła-

dające się do snu. To samo spostrzegać się daje na liściach swobodnie poruszających się na gałęzi nieruchomo przymocowanéj. U gatunków z ogonkami wysoko podnoszącemi się, albo z listkami przytulającemi się do siebie, cała roślina skutkiem tego jest w nocy daleko bardziéj zbita aniżeli we dnie, a tém samém mniejszą przedstawia powierzchnią i mniéj jest wystawiona na promieniowanie cieplika. Do takich stulających się na noc roślin należy sięzybób (*Cassia pubescens*), poruszlina (*Desmodium gyrans*), Bauhinia, szczawik (*Oxalis Ortegesii*) i inne.

Na pierwszy rzut oka mogło by się wydawać, że liście poruszają się tylko wieczorem podczas układania do snu, i rano podczas przebudzenia, wszakże bliższa i nieustanna obserwacya naucza, że liście bez przerwy poruszają się przez całe 24 godzin, lecz wieczorem i z rana poruszenia zostają przyśpieszone. Wyjątek stanowią rośliny których listki podczas snu ściśle przylegają jeden do drugiego, albo do ogonka lub łodygi, bo w podobnym razie są one podczas nocy nieruchome, co prawdopodobnie wynika z przyczyn czysto mechanicznych.

Liść sypiający, w ciągu 24 godzin zakreśla niekiedy jedną obszerną elipsę, która pospolicie bywa stosunkowo wysoka i bardzo wąska, czasami jednak znacznie się rozszerza. Po największéj jednak części sypiające liście, przez 24 godzin więcéj odbywają wahań do góry i na dół, ale liczba zakreślonych elips bardzo bywa różna. U niektórych gatunków zakreślają one dwie, u innych trzy, cztery, albo nawet pięć elips. Szybkość z jaką liść zakreśla elipsę jest tedy bardzo różna, tak np. u zajęczego szczawika (*Oxalis acetosella*) podczas obserwacyi zakreślił dwie elipsy, poświęcając na każdą 1 godzinę i 25 minut; liść zeczwornika (*Marsilea quadrifolia*) na zakreślenie elipsy potrzebował 2 godziny, koniczyny (*Trifolium subterraneum*) 3 godziny i 30 minut, a orzecha ziemnego (*Arachis hypogea*) 4 g. i 50 m. Liczba elips zakreślonych w danym przeciągu czasu zależy jednak od stanu w jakim się roślina znajduje, oraz od otaczających ją warunków. Jednego dnia liść może zakreślić jedną elipsę, a następnego dnia dwie. Czerwoń czyli koralowe drzewo (*Erythrina corallodendron*) pierwszego dnia spostrzeżeń zakreśliła cztery elipsy, a trzeciego dnia tylko jedną, co prawdopodobnie pochodziło z niewystarczającego oświetlenia a może i z braku odpowiedniéj temperatury. Pomimo to zdaje się, że rozmaite gatunki danego rodzaju posiadają wrodzoną skłonność do zakreślania w ciągu 24 godzin rozmaitéj liczby elips; tak listki dzięcielinki czyli koniczyny rozesłanéj (*Trifolium repens*) zakreślają w ciągu doby jednę elipsę, listki *Trifolium resupinatum* dwie, a *Trifolium subterraneum* trzy elipsy. To samo spostrzegamy

u rozmaitych szczawików, gdzie w ciągu doby listki *Oxalis Plumieri* zakreślają jedną elipsę, *O. bupleurifolia* dwie, *O. Valdiviana* dwie lub trzy, a *O. acetosella* co najmniéj pięć elips.

Droga, jaką przebiega wierzchołek liścia albo listka zakreślającego elipsę często bywa zygzakowata, oraz przerywana drobnemi pętlicami i trójkątami. Wszystkie te zboczenia występują albo na całym przebiegu linii, albo na jéj częściach odpowiadających jużto wieczornym, już rannym ruchom liścia. W każdym razie zygzaki itd. szczególnie są wybitne gdy roślina znajduje się w wielce korzystnych warunkach wzrostu.

Liście i liścienie wszystkich roślin bez ustanku poruszają się do góry i na dół zakreślając przytém w ciągu 24 godzin jedną lub więcéj elips. Te ruchy zupełnie są podobne do ruchów łodyżki, piórka, korzonka, łodygi i rozmaitych innych organów rośliny, a zatém ruchy liści i liścieni u roślin niesypiających wypada zaliczyć do téj saméj kategoryi ruchów obrotowych czyli cyrkumnutacyjnych. Jeżeli tak jest, tedy do téj saméj kategoryi należą i senne ruchy liści, a to dla następujących powodów. W najprostszym razie, jak widzieliśmy, sypiający liść zakreśla w ciągu doby jednę elipsę, która jest większa od elipsy zakreślonéj przez liść niesypiający, lecz zresztą jest zupełnie do niéj podobna, oraz bywa ograniczona równie zygzakowatemi liniami. Ponieważ liście niesypiające bez ustanku wykonywają ruchy obrotowe, przeto musimy zgodzić się na to, że u liścia sypiającego pewna część elipsy zakreślona podczas ruchu do góry i na dół z całą pewnością oznacza przebieg poruszenia cyrkumnutacyjnego, a tém samém pozostałą część elipsy zaliczyć należy do téj saméj kategoryi ruchów. Różnica pomiędzy liściem sypiającym i niesypiającym polega jedynie na tém, że u pierwszego ruch cyrkumnutacyjny jest zmieniony pod tym względem, że pod wpływem światła znikającego wieczorem lub wzmagającego się ranną porą porusza się on z większą szybkością i obszerniéj aniżeli o innéj porze dnia lub nocy. To samo można powiedzieć o roślinach sypiających, które zakreślają więcéj niż jedną elipsę. W tym ostatnim razie roślina sypiająca różni się od niesypiającéj tém tylko, że odpowiednia połowa elipsy wieczornéj i rannéj znacznie jest powiększona, bo ta połowa wydłuża się dopóty, dopóki się liść całkowicie niepodniesie i nieopadnie. Czasami liść podnosząc się kreśli prawie zupełnie prostą linię, skutkiem czego, według Darwina, zostaje zaoszczędzona energia, która tym sposobem nie zużywa się na boczne ruchy.

Najbardziéj zawiłe są ruchy takich liści, które układając się do snu wykonywają ruchy rotacyjne, lecz i ten ruch bynajmniéj nie jest

wyłącznćm znamieniem sennych poruszeń, albowiem niektóre listki okazują takie same skręcenia podczas zwykłéj cyrkumnutacyi.

Z powyższego rozbioru, zdaniem Darwina, możemy tedy wyprowadzić wniosek, że nyktitropizm czyli sen liści jest poprostu zmienioną ich cyrkumnutacyą, która w swych periodycznych objawach i obszerności jest zastosowana do następujących po sobie dziennych zmian w natężeniu światła. Sen liści ochrania górną ich powierzchnię od nocnego promieniowania. Tym sposobem wyprowadzając początek snu roślin ze zwykłych ruchów obrotowych pojmujemy, jakim sposobem tyle roślin z rozmaitych skupień mogło nabyć własność ustawiania na noc blaszki liściowéj w pionowym kierunku.

Senne ruchy liści spostrzegano u 86 rodzai należących do 28 rodzin, a mianowicie: roślin dwuliścieniowych 81 rodzai mieszczących się w 24 rodzinach; roślin jednoliścieniowych 4 rodzaje z 3 rodzin i roślin skrytokwiatowych 1 rodzaj jednéj rodziny. Najwięcéj sypiających roślin należy do rodziny strąkowych (*Leguminosae*), a następnie do rodziny ślazowatych (*Malvaceae*).

Niektóre rośliny dzienną porą ustawiają liście jakby do snu, albowiem zwracają je brzegiem do słońca, czyto podnosząc do góry, jak rozwłoka (*Amphicarpaea monoica*), akacya (*Mimosa albida*) i inne, albo téż opuszczając ku dołowi, jak szczawik (*Oxalis*), oskomian (*Averrhoa bilimbi*) itd. Te dzienne ruchy liści różnią się jednak od ruchów nocnych, albowiem niekiedy odbywają się w kierunku wprost przeciwnym, jak np. u robinii (*Robinia pseudoacacia*), gdzie listki w dzień podnoszą się, a w nocy opuszczają. Dzienne ruchy prawdopodobnie ochraniają zieleń od zbyt silnego i szkodliwego działania promieni słonecznych. Dostrzeżono bowiem że listek akacyi poziomo rozpięty wielce od silnego światła ucierpiał, gdy tymczasem sąsiednie listki, które się swobodnie poruszały w niczem nie były nadwerężone. Dzienne podnoszenie się lub opuszczanie liści nazywa Darwin *paraheliotropizmem*.

Listki drzyminu (*Porliera hygrometrica*) skupiają się dzienną porą jak gdyby senne, jeżeli roślina za mało ma wody; to zwieszanie się liści prawdopodobnie powstrzymuje parowanie wody z rośliny. W podobny sposób zachowują się pewne rośliny trawiaste, np. jęczmionka czyli wydmuchrzyca (*Elymus arenarius*), która będąc wystawiona w suchem powietrzu na działanie słońca zwija do środka brzegi swych wąskich liści. Wspomnianych ruchów nie można zaliczać do sennych objawów, zmierzających do zmniejszenia promieniowania cieplika na powierzchni liści.

Do sennych objawów roślin zaliczają także zamykanie się nocną porą korony wielu kwiatów, wszakże, jak to najprzód zauważył Hof-

meister, a następnie dokładnie zbadał Pfeffer, ruchy płatków korony bardziéj zależą od temperatury aniżeli od zmiany światła i ciemności. Niewątpliwie rozrodcze organa rośliny zostają tym sposobem zabezpieczone od promieniowania nocną porą, a przedewszystkiem pyłek znajduje ochronę przed zimnemi wiatrami oraz przed deszczem, a nadto zamknięte płatki nie dopuszczają do pyłku nieproszonych owadów nocnych.

Wpływ światła z boku padającego wywołuje rozmaite, bardzo ważne ruchy roślin. Gdy łodyga, liście lub inny organ rośliny zostanie w ten sposób umieszczony, że jedna jego strona otrzymuje więcéj światła aniżeli druga, wówczas następuje zgięcie organu ku stronie, skąd światło pochodzi. Takie ruchy heliotropowe według Darwina oczywiście są odmianą zwykłych ruchów cyrkumnutacyjnych i można wynaleść stopniowe przejścia pomiędzy obydwoma temi rodzajami ruchu. Jeżeli światło jest przyćmione i pod względem natężenia bardzo mało różni się na obydwóch stronach badanego organu, wtedy ruchy tego ostatniego składają się z szeregu elips skierowanych ku światłu, z których każda następna bardziéj zbliża się do jego źródła aniżeli poprzednia. Jeżeli różnica w natężeniu światła jest nieco silniejsza, elipsy zostają wyciągnięte w linię silnie zygzakowatą, która wreszcie, w razie odpowiedniego wzmocnienia różnicy w oświetleniu, zamienia się na linię zupełnie prostą. Według Darwina mamy podstawę do przypuszczania że nabrzmiewanie komórek jest najbliższą przyczyną ruchu obrotowego; a zatém że w razie niejednakowego oświetlenia obydwóch stron rośliny nabrzmiewanie komórek, zostaje na jednéj stronie spotęgowane, a na drugiéj zmniejszone, albo nawet zupełnie powstrzymane. Pospolicie zwiększone nabrzmiewanie komórek prowadzi do wzrostu, a zatem roślina nachyliwszy się w dzień ku światłu pozostawała by w tém położeniu, gdyby się w nocy nie prostowała skutkiem apogeotropizmu. Organa opatrzone poduszeczkami zginają się ku światłu, lecz w takim razie nabrzmiewanie komórek w żadnym nie pozostaje związku ze wzrostem organu.

Heliotropizm wywiera przeważny wpływ w całém państwie roślinném, lecz znika tam, gdzieby mógł szkodliwie oddziaływać na życie roślin, jak np. u roślin wijących się i owadożernych.

Szczególnym rodzajem ruchu heliotropowego jest według Darwina tak zwany *heliotropizm poprzeczny* Franka, czyli *diaheliotropizm*, polegający na ustawianiu się liści, w poprzek padających promieni światła; tym sposobem liście przybierają stałe położenie względem światła zwracając ku niemu górną swą powierzchnię. Doskonałym tego przykła-

dem są liścienie kiełkującéj roślinki, które wychodzą z ziemi w najrozmaitszém położeniu i ściśle do siebie górnemi powierzchniami przytulone, wkrótce jednak odginają się mniéj więcéj poziomo i od tego czasu stale zwracają ku światłu górną swą powierzchnię. W razie ustawienia roślinki przed oknem, jéj łodyżka, jako w wysokim stopniu heliotropowa, natychmiast nagina się w stronę światła, a tém samem liścienie zostają w należyty sposób względem światła ustawione, lecz w razie gdy łodyżkę nieruchomo umocujemy liścienie same przez się zmieniają położenie, czy to pochylając się, czyli téż skręcając ogonek w ten sposób, że zawsze zwracają do światła górną swą powierzchnię.

Liście roślin hodowanych na murze lub w oknie, jak wiadomo, stale wykręcają się w stronę światła i tak samo zachowują się liście na gałęziach najrozmaiciéj sztucznie zginanych, a nawet dolną stroną do góry wykręconych. Ranny powrót liści do mniéj więcéj poziomego położenia także w części przynajmniéj jest objawem diaheliotropizmu.

Ponieważ liście i liścienie bezustanku wykonywają ruchy obrotowe a pomimo to stale zachowują właściwe położenie względem światła, przeto diaheliotropizm należy uważać jako zmienioną formę cyrkumnutacyi.

Wieczorną porą liście niekiedy trochę się podnoszą, np. o jakie 2^{0} lub 3^{0}, czasami 10^{0} lub 20^{0}, a następnie z rana znowu opadają. Prawdopodobnie podnoszenie się liści nie ma tu związku ze snem i zjawisko należy w ten sposób wytłómaczyć, że w dzień liście przybierają mniéj więcéj poziome położenie skutkiem diaheliotropizmu, a wieczorem będąc od tego wpływu uwolnione ulegają działaniu apogeotropowemu. Jeżeli tak jest, w takim razie diaheliotropizm musi pokonywać dążności apogeotropowe.

De Vries mniema, że poziome położenie liści i liścieni wynika z połączonego działania epinastyi, własnego ciężaru organu i apogeotropizmu, wszakże tłómaczenie to nie zawsze jest zadawalniające. Pomiędzy innemi nie wyjaśnia ono faktu, że gdy liścienie są względem światła jeden za drugim ustawione, wtedy liścień będący bliżéj okna opuszcza się na dół, drugi zaś podnosi się do góry. Ciężar liścieni, apogeotropizm i epinastya jednakowo na obadwa liścienie działają, a tem samem powinnnyby nadawać im takie same położenie, tymczasem widzimy, że się wprost przeciwnie dzieje; teorya Vriesa jest więc w tym razie stanowczo niewystarczająca. Jeżeli łodyżka będzie nieruchomo umocowana, a obadwa liścienie bokiem do światła ustawione, wtedy jak widzieliśmy, obadwa skręcają swe ogonki tak, aby górną powierzchnię zwrócić do światła. Takie to przykła-

dy, niedające się inaczéj wyjaśnić, skłoniły Darwina do przypisania liściom szczególnéj skłonności ustawiania blaszki pod prostym kątem względem padającego światła i tę to własność nazwał on *diaheliotropizmem*. Poniżéj przekonamy się, że Wiesner bardzo silnie przeciwko poglądowi temu powstaje.

Niektóre rośliny kiełkujące nadzwyczaj są czułe na światło. Liścień mozgi (*Phalaris*) nagina się ku daleko stojącéj lampie, która wydaje tak słabe światło, że ołówek pionowo tuż obok rośliny umieszczony nie daje na papierze widocznego cienia. Liścień tedy ulega wpływowi takiéj różnicy oświetlenia, któréj oko ludzkie dostrzedz nie zdoła. Stopień pochylenia się liścieni mozgi ku światłu w ciągu danego czasu bynajmniéj nie jest ściśle odpowiedni ilości otrzymanego światła. Po zgaszeniu światła liścienie w dalszym ciągu jeszcze przez pół godziny zginają się w stronę, z któréj poprzednio były oświetlane. Zginają się one ku światłu z zadziwiającą dokładnością. Jak się zdaje, ruchy powstające pod wpływem światła zostają głównie wywołane przez różnicę w ilości światła jakie roślina w danéj chwili otrzymuje, w porównaniu z ilością poprzednio otrzymaną. Kiełkujące rośliny przeniesione z ciemności do słabego światła daleko prędzéj zaginają się ku niemu aniżeli przeniesione z silniejszego światła. Podobne zjawiska widzieliśmy u roślin wykonywających ruchy nyktitropowe. Rażącego przykładu takiego zachowania się wobec światła z boku padającego dostarczają peryodyczne ruchy liścieni siężybobu (*Cassia*). Ranną porą doniczkę z kiełkującemi roślinkami umieszczono w ciemnéj części pokoju, a wszystkie liścienie natychmiast podniosły się i stuliły; inna doniczka stała na słońcu i liścienie były rozpostarte. Następnie obiedwie doniczki umieszczono pośrodku pokoju jedną obok drugiéj; liścienie wystawione poprzednio na działanie słońca natychmiast zaczęły się stulać, gdy tymczasem przeniesione z ciemności roztwierały się. Tak tedy liścienie obydwóch doniczek poruszały się w kierunkach wprost przeciwnych, pomimo że były wystawione na światło tego samego natężenia. Ruchy liścieni zależały w tym razie od różnicy pomiędzy oświetleniem chwili obecnéj i przeszłéj.

Rośliny kiełkujące umieszczone w ciemności pochylają się ku światłu, jeżeli co trzy kwadranse będziemy je oświetlali przez dwie lub trzy minuty. Z drugiéj znowu strony, jak Wiesner dowiódł, rośliny w takim samym stopniu pochylając się ku światłu bez względu na to czy w przeciągu godziny będziemy je oświetlali przez całe 60 minut, czyli też chwilami tylko i do tego tak, że wszystkie te przerywane oświetlenia wyniosą razem tylko 20 minut. Zdaje się, że obadwa te zastanawiające fakta dają się w ten sposób wytłómaczyć,

że pobudzenie wywołane przez światło nie tyle zależy od jego ilości, jak raczéj od różnicy ilości obecnie i poprzednio otrzymanego, a w obydwóch przytoczonych wypadkach powtarzało się przejście od ciemności do światła. Według Darwina w *tych i poprzednio przytoczonych razach światło zdaje się działać na tkanki roślinne prawie w ten sam sposób jak na nerwy zwierząt.*

Bardziéj jeszcze uderzającą analogię pomiędzy tkankami roślinnemi i nerwami zwierząt przedstawia zjawisko, że wrażliwość na światło jest umiejscowiona w wierzchołku liścienia mozgi (*Phalaris*) i owsa, oraz w górnéj części łodyżki kapusty i buraka. Analogia istnieje i pod tym względem, że górna część przesyła pobudzenie do części dolnéj i tym sposobem powoduje zginanie się téj ostatniéj w stronę światła. Pobudzenie zostaje przesłane nawet pod powierzchnię ziemi, do głębokości dokąd żadne światło nie przenika. Wskutek takiego umiejscowienia pobudliwości dolna część liścienia, która bardziéj pochyla się ku światłu aniżeli część górna, może być przez godziny cale jaskrawo oświetlona, a pomimo to wcale się nie zgina jeżeli tylko wierzcholek organu pozostaje w zupełnéj ciemności. Na dowód umiejscowienia wrażliwości na światło w górnéj części łodyżki i w wierzchołku liścieni Darwin przytacza następujące doświadczenia.

Po obcięciu wierzchołka łodyżki dolna jéj część pozostaje na światło nieczułą. Daléj dolna część łodyżki nie okazuje heliotropowego zgięcia jeżeli górna część tegoż organu pozostawała w ciemności. Dla dopięcia tego celu Darwin obwijał wierzchołek łodyżki cynfolią lub złotem malarskiem, które pokrywał grubą warstwą tuszu (bo samo złoto nie powstrzymuje ruchu łodyżki). Dla utrzymania w ciemności wierzchołka liścieni Darwin używał kapturków. Jeżeli w kapturku uczyniono maleńki otworek, dolna część liścienia mozgi (*Phalaris*) pochylała się w stronę gdzie się otworek znajdował, pomimo że się sama znajdowała w silnem świetle. Tak więc kierunek zgięcia zależał od maleńkiéj ilości światła padającego na wierzchołek, a nie od wielkiéj masy światła oblewającéj dolną część tegoż organu.

U gorczycy (*Synapis alba*) wrażliwość na światło ma swoje siedlisko w wierzchołku korzonka, który będąc oświetlony wywołuje ujemno heliotropowe ruchy sąsiedniéj części tegoż organu.

Wyniki powyżéj przytoczonych badań Darwina nad heliotropizmem dodatnim i ujemnym można za przykładem Wiesnera streścić w pięciu następujących punktach:

1. Heliotropizm dodatni i ujemny jest zmnienioną formą cirkumnutacyi.

2. Heliotropizująca siła światła wzrasta odpowiednio do jego natężenia.

3. Światło działa na heliotropowe części roślin mniéj więcéj tak samo jak na układ nerwowy zwierząt, gdyż natężenie heliotropowych ruchów nie jest ściśle odpowiednie ilości otrzymanego światła.

4. Światło działa na rośliny jako bodziec, gdyż rośliny są szczególniéj czułe na jego kontrasty.

5. Podrażnienie wywołane przez wpływ światła zostaje przesłane do sąsiednich, nawet nieoświetlonych części, i może wywoływać heliotropowe ruchy nawet w takich częściach, które same przez się nie są heliotropowe, t. j. nie są czułe na światło.

Wszystkie te wnioski niezwykłéj są wagi tak ze względu na pojmowanie istoty heliotropizmu, jako téż natury roślin w ogóle i własności ich tkanek; według nich bowiem spotykamy tu własności tkanek roślinnych przypominające czynność nerwów w niemniejszym stopniu jak przy oddziaływaniu korzonka na siłę ciężkości, ucisk lub wilgoć. Wiesner stara się wnioski te obalić, a ważność przedmiotu wymaga bliższego rozpatrzenia zarzutów, które téż po kolei rozbierzemy, na późniéj jednak pozostawiając rzecz o związku pomiędzy heliotropizmem i cirkumnutacyą.

Badacz niemiecki w następujący sposób przedstawia swoje poglądy na heliotropizm.

Pod wpływem światła następuje zgięcie tylko górnéj części łodyżki, która posiada własności heliotropowe. Heliotropowo pochylony wierzchołek w tę samę stronę nagina dolną część łodyżki, pozbawioną własności heliotropowych. Skutkiem tego tkanki na wypukłéj stronie nagiętéj łodyżki ulegają rozciąganiu, a na wklęsłéj są ściśnięte. Jak już we wstępie do niniejszego sprawozdania wspomniałem, według Wiesnera organ w ten sposób nagięty szybciéj rośnie na stronie wypukłéj aniżeli na wklęsłéj, a tém samem coraz bardziéj zgina się w nadanym sobie kierunku. Zatem dolna część łodyżki będąc przez heliotropowy wierzchołek biernie ku światłu nagięta coraz bardziéj pochyla się w tę samę stronę. Łodyżka może się tedy na całéj długości pochylać ku światłu, które właściwie spowodowało heliotropowy ruch samego tylko wierzchołka. Na dowód swego twierdzenia Wiesner przytacza doświadczenie, w którem wyłączał wpływ owego rozciągania i ściskania tkanek, albowiem kiełkujące roślinki umieszczał na pozioméj osi minutowéj skazówki zegara, nadawał łodyżkom położenie tejże skazówki i oświetlał je z jednéj tylko strony. Tym sposobem, po wprawieniu w ruch zegara, każda łodyżka w ciągu godziny zakreślała swym wierzchoł-

kiem całkowity okrąg koła. Te okolice łodyżki, które w danéj chwili były rozciągane, po upływie pół godziny zostawały na ściskanie wystawione i odwrotnie; zatem ani jedno ani drugie nie mogło mieć wpływu na wzrost dolnéj części łodyżki, która téż w tém miejscu zachowywała pierwotne swoje położenie pomimo heliotropowego pochylenia wierzchołka. Tak więc, według Wiesnera, światło nie działa na tkanki heliotropowe roślin jako bodziec przesyłany do sąsiednich części, lecz nieheliotropowe (aneliotropowe) okolice łodyżki pochylają się ku światłu jedynie wskutek obciążenia przez zwieszony na bok wierzchołek.

Bardzo młode łodyżki są na całéj długości heliotropowe, a zatém mówimy tu wyłącznie o starszych łodyżkach, które już straciły u spodu zdolność oddziaływania na wpływ światła.

Wiesner utrzymuje daléj, że heliotropowe zgięcie następuje tylko w razie bezpośredniego oświetlenia odpowiedniéj części łodyżki. Okolice tego organu pozostawione w ciemności nigdy nie okazują heliotropowego zgięcia, nawet wysoce czułe na światło, chociaż jednocześnie sąsiednia heliotropowa okolica jest oświetlona i odpowiednio oddziaływa. Dowody czerpie Wiesner w doświadczeniach polegających na zaciemnieniu dolnéj, heliotropowéj części łodyżki, przy jednoczesném oświetleniu bocznem wierzchołka organu. Naturalnie wpływ tak zwanego *obciążenia* był usuwany czy w powyżéj opisany sposób, czyli téż skutkiem odwrócenia łodyżki wierzchołkiem na dół.

Przeciwko zdaniu Darwina jakoby natężenie heliotropizmu odpowiadało natężeniu światła, t. j. że silniejsze światło wywołuje silniejszy, a słabsze słabszy objaw heliotropowy, Wiesner powołuje się na własne powyżéj wspomniane spostrzeżenia, według których dla roślin silnie heliotropowych istnieje pewne najodpowiedniejsze natężenie światła; wzmacniając lub zmniejszając światło otrzymujemy w takim razie coraz słabsze objawy heliotropowe.

Fakt, że ilość światła może być bez wpływu na siłę objawu heliotropowego nie jest według Wiesnera dowodem, że światło działa na tkanki roślinne podobnie jak na nerwy. Jednakowy skutek ciągłego i przerywanego oświetlenia najprościéj daje się objaśnić działaniem wtórem, które na tém polega, że wpływ światła nie zaraz po jego zgaszeniu ustaje, lecz przeciwnie jeszcze przez pewien czas objawia się w ciemności. Poprzednio widzieliśmy, że Wiesner nazywa ten sposób działania światła *fotomechaniczną indukcyą*. Pogląd swój Wiesner na tém opiera, że działanie wtóre światła jest znane w chemii np. działanie wtóre światła na mięszaninę wodoru i chloru, co Bunsen i Roscoe nazwali *fotochemiczną indukcyą*.

Wreszcie twierdzenie Darwina: że światło działa na tkanki roślinne podobnie jak na nerwy, bo tkanki te są przedewszystkiem czułe na kontrast oświetlenia, jest według Wiesnera dla następujących powodów nieuzasadnione.

1⁰ Światło przerywane wywołuje takie same objawy heliotropowe jak ciągłe oświetlenie, ale nie wywołuje silniejszych objawów.

2⁰ Rośliny przeniesione z ciemności są bardziéj na światło czułe, bo wypłonienie czyni wzrost bujniejszym, a tém samem uzdalnia roślinę do energiczniejszego oddziaływania na wpływy zewnętrzne.

3⁰ Heliotropizm daje się spotęgować środkami nie mającémi nic wspólnego z czynnością nerwów, a mianowicie daje się spotęgować przez zmniejszenie stanu nabrzmienia komórek. Cel ten osiągamy przez zanurzenie roślinki w słaby roztwór soli, przez lekkie jéj zawiędnięcie, albo drogą jednostajnego ze wszech stron oświetlenia. Tak więc wypłoniona roślinka staje się bardziéj heliotropową po wszechstronnem jéj oświetleniu.

Diaheliotropizm uważa Wiesner jako wynik zbiorowego działania rozmaitych wpływów zewnętrznych. Dla należytego przedstawienia tego poglądu przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na rozmaite własności liścia.

Liście posiadają własności ujemne geotropowe, lecz własność ta rozwija się dopiero z wiekiem liścia, który pierwotnie jest pod tym względem obojętny. Wiek w którym liść staje się ujemno-geotropowym jest u rozmaitych roślin rozmaity, wogóle jednak poprzedza zupełny rozwój organu.

Młodociane liście są pierwotnie hyponastyczne, skutkiem czego pochylają się po nad wierzchołkiem łodygi, późniéj jednak ulegają epinastyi i rozpościerają się mniéj więcéj poziomo, nawet bez wpływu światła. Ciężar liścia powodując obciążenie ogonka może dopomagać ruchom epinastycznym, albowiem wywołuje rozciąganie i ucisk tkanek w tym samym kierunku.

Pod wpływem światła liście okazują własności heliotropowe; w słabem są one dodatnio, w silnem ujemnie heliotropowe. Nie dosyć na tem, ten sam liść bywa jednocześnie i dodatnio i ujemnie heliotrowy. Pierwsza własność cały liść zwraca w stronę światła, druga zaś kieruje blaszkę w taki sposób, że górną jéj powierzchnię ustawia pod kątem prostym względem promieni światła. Objawy obydwóch tych dążności spostrzegać się dają na roślinach wyrastających na brzegu lasu, np. na dzwonkach z wyprostowaną łodygą jak dzwonek brzoskwiniowaty (*Campanula persicifolia*) i dzwonek wielkokwiatowy (*Campanula trachelium*). Słabe, z boku padające światło wywołuje ruch liści, skutkiem którego wszystkie zwracają się w stronę

światła, a przeciwległa strona łodygi staje się tym sposobem na pozór bezlistną. Silne, z góry padające światło wywołuje znowu ruch blaszki liściowéj, która się mniéj więcéj poziomo ustawia. Tak tedy sam organ w odmienny sposób oddziaływa na wpływ światła rozmaicie silnego. Wiek liścia także ma wpływ na jego zachowanie się wobec światła. Młode liście są dodatnio, starsze przeważnie ujemnie heliotropowe: t. j. liść początkowo bogaty w miąsz posiada własności dodatniego heliotropizmu, późniéj jednak rozwinąwszy wiązki naczyniowo-włókniste staje się przeważnie ujemno-heliotropowym.

Na zasadzie przytoczonych własności liścia Wiesner w następujący sposób tłómaczy diaheliotropizm Darwina jako zbiorowy skutek rozmaitych wpływów.

Liść ulegając hyponastyi pierwotnie przytula się do pączka, lecz następnie porusza się w kierunku wprost przeciwnym, albowiem nabył własności epinastycznych, które zostają ograniczone wpływem geotropizmu ujemnego, usiłującego podnosić liść do góry. Wpływ światła wywołuje w liściu heliotropizm ujemny; liść daléj opuszcza się w kierunku nadanym mu przez epinastyę i ostatecznie przybiera położenie, w którem jest najsilniéj oświetlony. Ponieważ pewien stopień światła powstrzymuje wzrost miąszu, a tem samem powstrzymuje geotropizm ujemny, przeto liść doszedłszy do położenia najkorzystniejszego pod względem otrzymywanéj ilości światła jest od wpływu siły ciężkości uwolniony. Skoro jednak taki liść jeszcze bardziéj się opuści natychmiast mniéj światła otrzymuje, geotropizm odzyskuje nad nim władzę i podnosi go, ale skoro liść powróci do położenia w którem najsilniéj jest oświetlony, znowu zostaje z pod wpływu siły ciężkości uwolniony i przestaje podnosić się do góry. Silniejsze oświetlenie powstrzymuje także wzrost skutkiem rociągania tkanek. Tak więc wzajemne działanie rozmaitych, wymienionych powyżéj wpływów: epinastyi, geotropizmu ujemnego, heliotropizmu ujemnego i wzrostu skutkiem rozciągania tkanek, według Wiesnera zupełnie wystarcza do wytłómaczenia stałego położenia liści względem światła, bez uciekania się do przypisywania im szczczególnéj własności nazwanéj heliotropizmem poprzecznym czyli diaheliotropizmem.

U niektórych roślin geotropizm ujemny, bierze przewagę i w takim razie liście są znacznie do góry wzniesione, jak np. u mukini (*Sorbus aria*) i na wilkach trzmielicy (*Evonymus europacus*). U niektórych roślin liście nocną porą podnoszą się nieco do góry, bo wówczas, przy braku światła, geotropizm ujemny odzyskuje nad niemi władzę.

Rozmaite organa roślinne pod wpływem siły ciężkości dążą do pionowego położenia, dążenie to, jak na początku niniejszego sprawozdania widzieliśmy, nazwano *geotropizmem*, odróżniając *geotropizm dodatni i ujemny*, czyli według terminologii Darwina *geotropizm* i *ageotropizm;* według powołanego badacza należy jeszcze odróżnić trzecią formę czyli *diageotropizm*. Pierwszy polega na dążeniu ku środkowi ziemi, drugi wprost przeciwnie ku zenitowi, a trzeci na dążeniu do położenia mniéj więcéj poziomego. Według Darwina wszelkie formy geotropizmu są zmienioną formą cyrkumnutacyi. O cyrkumnutacyi korzenia poprzednio już mówiliśmy, pozostaje więc dodać, że geotropizm ujemny badany na łodygach słabo geotropowych, albo na łodygach, które wieczorną porą powracały do pionowego położenia, nadwerężonego skutkiem heliotropizmmu, według Darwina przedstawiał się jako zmieniona forma cyrkumnutacyi.

Rozmaite organa roślinne rozmaicie i w różnym stopniu ulegają wpływowi siły ciężkości, a nadto rozmaite gatunki roślin także w różnym stopniu są pod względem geotropizmu czułe. Niektóre rośliny nawet prawie zupełnie wyłamują się z pod jego władzy. Niekiedy jest to od wieku rośliny zależne, albowiem roślina zestarzawszy się może postradać wrażliwość na siłę ciężkości. Kilka przykładów wystarczy. Młoda pomarańcza opatrzona trzema tylko młodemi listkami 24 godziny pozostawała w poziomem położeniu i pomimo to wcale się ku górze nie zagięła. Łodyżka młodego sieżybobu (*Cassia tora*) poziomo ułożona podniosła się do pionowego położenia w ciągu 12 godzin, gdy tymczasem łodyżka starszéj rośliny wysokiéj 1¼ cala do uskutecznienia tego samego ruchu potrzebowała 28 godzin, a łodyżka jeszcze starszéj roślinki wysokiéj 1½ cala stale zachowywała poziome położenie w ciągu 2 dni. Z drugiéj znowu strony gatunek rośliny wpływa na jéj wrażliwość geotropową. Łodyżka buraka przebiegła kąt 109° w ciągu 3 godzin i 8 minut; liścień mozgi (*Phalaris*) przebiegł kąt 130° w ciągu 4 godzin 30 minut. Łodyga zielnéj werbeny w ciągu 24 godzin podniosła się na 90°; łodyga maliny w ciągu 70 godzin—na 67°; łodyga szczodrzenicy (*Cytisus*) w ciągu 72 godzin podniosła się na 70°, a młodego dębu amerykańskiego w tym samym przeciągu czasu— tylko na 37°. Łodyga cibory (*Cyperus alternifolius*) w ciągu 96 godzin podniosła się tylko 11°. Chociaż liścień mozgi, jak widzieliśmy, nadzwyczaj jest czuły na apageotropizm, jednakże pierwszy liść téj rośliny zaledwie pod tym względem oddziaływa. Dwa młode, jeszcze na wierzchołku skręcone listowia paprocia *Nephrodium molle* przez 46 godzin pozostawały w poziomem położeniu i przez cały ten czas tak mało się podniosły, że trudno rozstrzygnąć czy to było wynikiem apogeotropizmu.

Apogeotropizm oddziaływa przeszło pół godziny po usunięciu właściwéj przyczyny skutkiem czego łodyżki poziomo ułożone niekiedy podnoszą się po za pionowe położenie.

Torebki nasienne rozmaitych roślin zakopują się pod ziemię, gdzie powoli dojrzewają, a czasami owoce rozwijają się z kwiatów podziemnych. Jako przykład roślin zagrzebujących swój owoc w ziemi może służyć koniczyna *Trifolium subterraneum* i orzech ziemny (*Arachis hypogaea*).

U *Trifolium subterraneum* główka kwiatowa wydaje tylko 3 lub 4 zupełne kwiaty położone na obwodzie, pozostałe zaś kwiaty są zmarniałe i opatrzone pięcioma pazurowatémi działkami kielicha. Kwiaty zupełnie rozwinięte natychmiast pochylają się ku dołowi, skoro tylko zaczynają więdnąć i przytulają się do wspólnéj swéj szypułki; następnie zmarniałe kwiaty stopniowo wykonywają taki sam ruch. Gdy zupełne kwiaty pochylają się ku dołowi, szypułka zagina się na dół i znacznie wydłuża, dopóki główka kwiatowa ziemi nie dosięgnie. Jestto niewątpliwie ruch geotropowy, albowiem pierwotnie szypułka kwiatowa pod wpływem heliotropizmu wznosi się do góry i dopiero wtedy zagina się na dół, gdy kwiatki zaczynają więdnąć, a nadto ruch odbywa się i w ciemności, co dowodzi że nie zależy od apheliotropizmu czyli heliotropizmu ujemnego. Główki kwiatowe mogą się zakopywać w ziemię ogrodniczą, piasek itp. Zagłębiają się one na 1 $^1/_4$ do 1 $^1/_2$ cala licząc od powierzchni ziemi do podstawy główki. Roślina hodowana w cieplarni całkowicie zagrzebywała główkę w ciągu 6 dni. Główki zakopane nigdy nie chybiają, gdy tymczasem te, które z powodu swego położenia nie mogą się pod ziemię zagłębiać rzadko kiedy wydają nasiona.

U orzecha ziemnego (*Arachis hypogea*) kwiaty pionowo wznoszą się do góry na sztywnych gałęziach, przyczem są parę cali po nad ziemię wzniesione. Po opadnięciu kwiatu dno kwiatowe znacznie się wydłuża i na dół zagina, aż w końcu jego wierzchołek, mieszczący w sobie zawiązki, zagłębia się w ziemię, gdzie dochodzi do 1 cala głębokości i tu wykształca się jako wielki strąk. Kwiaty zbyt wysoko na roślinie umieszczone aby mogły ziemi dosięgnąć nigdy owoców nie wydają.

Rozwłoka (*Amphicarpaea monoica*) w dolnéj swéj części wydaje gałęzie, które pionowo na dół wyrastają i zagłębiają się w ziemię. Asa Gray świadczy, że podziemne strączki rozwijają się z niezupełnie wykształconych kwiatów, które wyrastają na czołgających się gałęziach; tak więc kwiaty albo się zagrzebują podobnie jak u orzecha ziemnego, albo téż gałęzie zagłębiające się w ziemię dają początek

podziemnym kwiatom i strączkom. Zresztą roślina wydaje także strączki na gałęziach powietrznych.

U innych roślin, np. z rodzaju szczawika (*Oxalis*), dojrzewający owoc tylko obwisa ku dołowi, skutkiem czego niewątpliwie znajduje w kielichu ochronę od deszczu. Zdarza się jednak, że u takich roślin torebki nasienne zostają przypadkowo zagrzebane pod mchem lub liśćmi, jak to mianowicie miewa miejsce u szczawików i gduły (*Cyclamen*).

Jak poprzednio widzieliśmy, według Darwina, wrażliwość na siłę ciężkości u wielu, może u wszystkich roślin jest umiejscowiona w wierzchołku korzenia, skąd podrażnienie zostaje przesłane do sąsiedniéj części, która skutkiem tego zagina się ku środkowi ziemi. Zarzuty Wiesnera przeciwko temu twierdzeniu także są nam znane, a zatém rozpatrywanie tego przedmiotu byłoby zbyteczne.

Rozbierając zarzuty Wiesnera przeciwko rozmaitym wnioskom Darwina, nic dotychczas nie wspomniałem o poglądzie pierwszego z tych badaczy na cyrkumnutacyę, jako powszechny, szczególny i pierwotny ruch roślin, z którego powstały inne ruchy? Pozostaje mi tedy brak ten uzupełnić, a w szczególności zastanowić się nad cyrkumnutacyą łodygi i liści, gdyż cyrkumnutacyę korzenia poprzednio już rozpatrzyłem.

W objaśnieniu ruchów, które według Darwina są objawami cyrkumnutacyi, Wiesner często powołuje się na niejednostajność, nieregularność wzrostu organu, co według niego bynajmniéj zadziwiać nie może zważywszy niejednostajność budowy anatomicznéj. Porównywając komórki téj saméj tkanki przekonywamy się, że przedstawiają pewne różnice pod względem wielkości i kształu, co niewątpliwą jest wskazówką że nie posiadają jednakowéj zdolności wzrostu. Odmienność komórek daleko wybitniéj występuje w organach złożonych z rozmaitych tkanek. Trudno przypuścić, aby pierwiastki tak dalece odmienne jak tkanki składające łodygę lub liść jednostajnie wzrastać mogły; należy się raczéj spodziewać pewnéj nieregularności wzrostu, pewnego skręcania w różne strony organu na długość rosnącego. Drobne wahania nieprzechodzące setnych lub dziesiętnych części milimetra zalicza Wiesner do rzędu takich zboczeń, wynikających z nieregularności wzrostu.

Ruchy wierzchołka łodygi lub liścia badał Wiesner albo wprost pod mikroskopem, albo na rzutach pionowych lub poziomych delikatnego włoska szklannego przytwierdzonego do badanéj części rośliny.

Łodygi prosto do góry rosnące przy zupełnym braku światła wznoszą się prosto do góry, często przytém okazując nieprawidłowe wahania na różne strony. Te boczne poruszenia pospolicie nie przechodzą setnych lub dziesiętnych części milimetra; pochodzą one z zaburzeń wzrostu, które wynikają z nieregularnego układu anatomicznych pierwiastków organu. Tym sposobem przy wydłużaniu się organu to jedna to druga jego strona bujniéj się rozrasta. Taki wzrost prosto do góry z małemi zboczeniami spostrzegał Wiesner u cebuli, pora, u *Hartwegia comosa*, balsaminy (*Impatiens balsamina*) i pieprzówki (*Peperomia trichocarpa*). Tak więc istnieją łodygi, które rosnąc, z pewnością nie wykonywają ruchów cyrkumnutacyjnych.

Łodygi ulegające falistéj nutacyi, rosnąc w ciemności, rozmaicie się zachowują. Jedne poruszają się na jednéj tylko płaszczyznie, i do tego albo w jednym kierunku, albo téż wahają się naprzód i w tył; zawsze jednak od czasu do czasu rosną prosto w danym kierunku. Inne łodygi, oprócz wahań na płaszczyznie nutacyi poruszają się nadto w bocznych kierunkach, jak np. łodyga słonecznika, bobu i fasoli wielkokwiatowéj. *U łodyg tego rodzaju spostrzegamy stopniowe przejście od nutacyi falistéj do obrotowéj.*

Wahania w jednę i w drugą stronę istnieją także u łodyg z nutacyą przerywaną.

Łodygi prosto wyrastające, będąc wystawione na działanie światła lub siły ciężkości, poruszają się prosto do światła, albo wznoszą się prosto do góry, pomijając naturalnie zaburzenia wzrostu, które powodują lekkie zboczenia w różne strony. U łodyg z falistą nutacyą, ruchy samoistne i wywołane wzajemnie na siebie oddziaływają. Powstaje ztąd ciągły ruch w tę i ową stronę, albo też powstają chwilowo, lub od pewnéj chwili stałe kierunki ruchu, w których poznajemy wypadkową rozmaitych ruchów wywołanych i samodzielnych. Ukośnie ustawiona i z boku oświetlona łodyga z falistą nutacyą porusza się w trzech kierunkach przestrzeni, czyli wykonywa ruchy cyrkumnutacyjne w znaczeniu pojęć Darwina. Jeżeli łodygę ustawimy w ten sposób, że światło, siła ciężkości i nutacya w jednym działają kierunku, wtedy, pomijając zaburzenia wzrostu, porusza się ona na jednéj i téj saméj płaszczyznie.

Należy tu zauważyć, że poruszenia pewnego punktu łodygi często zależą od ruchów w rozmaitych częściach organu i u łodyg podlegających nutacyi zdarzają się wypadki, w których prawie niepodobna rozstrzygnąć w którém mianowicie miejscu ruch się odbywa. Metoda badania polegająca na układaniu linii ruchu z rzutów poziomych lub pionowych pod tym względem stanowczo grzeszy, albowiem oznacza ruch jako powstały w samym poruszającym się punkcie, co często bywa zupełnie błędne.

Zawiły ruch liści, taki jak go Darwin przedstawia, rzeczywiście istnieje, ale Wiesner inne nadaje mu znaczenie. Zawiłość ruchu liścia zależy od rozmaitych przyczyn. Niesymetryczny układ pierwiastków anatomicznych w skład liścia wchodzących powoduje pewne zaburzenia wzrostu; daléj siła ciężkości i światło wywołują zboczenia od danego kierunku wzrostu, tém bardziéj, że jak poprzednio widzieliśmy, liść okazuje własności i dodatniego i ujemnego heliotropizmu. Ciężar samego liścia także wpływa na jego poruszenia, albowiem wywołuje rozciąganie i ściskanie tkanek; nakoniec i łodyga liście niosąca wykonywa ze swéj strony ruchy, które się liściom udzielają.

Zarzuty Wiesnera sprowadzają się do dwóch punktów:

1° Niektóre liście, przynajmniéj w pewnym wieku, rosną w prostym, tj. raz obranym kierunku bez wykonywania ruchów obrotowych.

2° Cyrkumnutacya liści, która nie wypływa z drobnych zakłóceń wzrostu polega na zbiorowém działaniu rozmaitego rodzaju ruchów samoistnych i wywołanych.

Wzrost w prostym kierunku z drobnémi zboczeniami nieprzechodzącémi setnych lub dziesiętnych części millimetra spostrzegał Wiesner na liściach smoczego drzewa (*Dracaena rubra*), jako téż na liściach roślin trawiastych. Zaliczając drobne zboczenia na karb zaburzeń wzrostu, otrzymujemy wzrost w jednym tylko obranym kierunku. U roślin dwuliścieniowych, jak u leptony (*Cuphea jorullensis*) liście rosną w raz obranym kierunku, często jednak zboczenia są znacznie większe i zależą nie od saméj nieregularności wzrostu, ale nadto od wpływu siły ciężkości, epinastii itp.

Doświadczenia z liśćmi dzwonka brzoskwiniowatego (*Campanula persicifolia*) i dzwonka wielkokwiatowego (*C. trachelium*) doprowadziły do następujących wyników.

W ciemności liście poruszają na płaszczyznie pionowéj, to wznosząc się nieco skutkiem geotropizmu ujemnego to opadając skutkiem epinastyi, albo téż po ułożeniu się obydwóch tych wpływów do równowagi liść przez pewien czas rośnie w danym kierunku. Jeżeli roślinę pochylimy, następują znaczne zmiany w ruchach liści, zwłaszcza gdy pochylenie będzie tego rodzaju, że jedna połowa liścia będzie się znajdowała powyżéj, a druga poniżéj nerwu środkowego, albowiem w takim razie liść skutkiem geotropizmu ujemnego dąży pionowo do góry, epinastya sprowadza go ukośnie ku dołowi, a rozciąganie tkanek wywołuje dążenia ku dołowi w innym znowu kierunku. Skutkiem wszystkich tych wpływów następują zmiany położenia dopóty trwające, dopóki się wszystkie wpływy nie ułożą

do równowagi, poczem spostrzegać się dają tylko drobne wahania wynikające z niejednostajnego wzrostu. Jeżeli z powyższémi czynnikami łączy się i wpływ światła, wówczas ruchy stają się tak zawiłe, że niepodobna sprowadzić ich do właściwych przyczyn. Ostatecznie jednak i w tym nawet razie liść przybiera w końcu pewne położenie i daléj w położeniu tém rośnie. Tak więc cyrkumnutacya liści jest według Wiesnera zbiorowym skutkiem rozmaitych czynników.

Wreszcie Wiesner podaje, że według jego spostrzeżeń jednokomórkowe grzyby z rodzaju *Mucor* i *Pilobolus* nie okazują ani śladu cirkumnutacyi. Grzyby te są geotropowe i heliotropowe.

Powyżéj przedstawione poglądy Wiesnera, można streścić jak następuje.

Niektóre organa roślinne nie okazują ruchów cyrkumnutacyjnych, przynajmniéj przez pewien czas.

W innych razach spostrzegamy zawiłe ruchy, często obrotowe. Czasami zależą one od zaburzeń i zboczeń we wzroście, i wtedy są nieregularne i bardzo małéj rozciągłości. W innych razach są to zbiorowe skutki rozmaitych sił i wpływów wewnętrznych i zewnętrznych (tj. nutacyi samoistnéj i wywołanéj). Wreszcie, w niektórych razach ruchy organu w przestrzeni zależą wyłącznie od przyczyn wewnętrznych, od wrodzonéj własności organu, jak to spostrzegamy u roślin wijących się, oraz tych niewijących się, które przedstawiają przejście od nutacyi falistéj do obrotowéj.

Tak więc Wiesner odrzuca cyrkumnutacyę jako powszechną własność organów roślinnych; ruchy tak zwane nutacyjne uważa za objawy wzrostowi towarzyszące i ze wzrostu na długość wynikające. Jak widzieliśmy, prawdziwą, niedającą się bliżéj wyjaśnić cyrkumnutacyę przyznaje on jedynie w razach nutacyi obrotowéj i falistéj z bocznemi wahaniami.

Ponieważ według Wiesnera cyrkumnutacya, jako samoistny ruch, tylko w tym ostatnim razie istnieje, więc téż sądzi on że sprowadzanie wszelkich ruchów nutacyjnych i warjacyjnych do téj jakoby pierwotnéj formy miejsca mieć nie może. Ztąd dalszy wniosek, że te formy ruchu, których Wiesner szczegółowo nie rozpatruje, a które nie są ruchem obrotowym, np. sen liści, nie mogą być podciągane pod tę kategoryę w rzeczywistości nader rzadko objawiających się ruchów cyrkumnutacyjnych.

Cyrkumnutacya nie jest ruchem pierwotnym, ale pospolicie pochodnym, zbiorowym; i na odwrót, heliotropizm, geotropizm, hydrotropizm, itd. są ruchami pierwotnémi, i w pewnych warunkach mogą dawać początek cyrkumnutacyi jako ruchowi zbiorowemu.

Według Wiesnera bardziéj złożone formy nutacyi można w następujący sposób wyprowadzić z form prostych.

Najprostszym i prawdopodobnie najbardziéj pierwotnym jest *wzrost w prostym kierunku.* Jeżeli jeden brzeg organu silniéj rośnie, a przeciwległy opóźnia się we wzroście, wtedy powstaje *zwykła nutacya*, do któréj zaliczyć należy *hyponastyę* i *epinastyę.* Jeżeli stosownie do wieku organu bujność wzrostu zostaje wzmocniona to na przedniéj to na tylnéj jego stronie, wtedy powstaje *nutacya falista*, nadzwyczaj w świecie roślinnym rozpowszechniona, a odbywająca się na jednéj płaszczyźnie. Organa nutacyi téj ulegające okazują dwa lub więcéj łukowatych zgięć. Jeżeli krawędź bujniejszego wzrostu jest pochyła, albo zamiast prostéj jest spiralnie skręcona, wówczas nutacya falista przechodzi w *nutacyę obrotową*, która odbywa się w różnych kierunkach przestrzeni. Obiedwie te formy ruchu łączą się stopniowemi przejściami. Z jednéj strony mamy rośliny z wyraźną, niczém niezamąconą nutacyą falistą, z drugiéj strony rośliny wijące się z wybitnémi ruchami obrotowémi, a pomiędzy temi ostatecznościami stoją roślinki kiełkujące, których łodyżka okazuje tylko ślady przejścia do ruchów obrotowych, np. bób, albo téż wyraźniejszą skłonność do téj ostatniéj formy ruchu, np. łodyżka słonecznika.

Streszczając wszystko powyżéj powiedziane widziemy, że różnice poglądów Darwina i Wiesnera są następujące.

Według Darwina pierwotnym ruchem roślin jest cyrkumnutacya; jestto własność wrodzona niedająca się bliżéj określić. Według Wiesnera pierwotnym ruchem roślin jest wzrost na długość, z którego dają się wyprowadzić wszystkie formy ruchów samoistnych tj. zależnych od organizacyi rośliny, oraz ruchów wywołanych, które polegają na wywołaniu przez wpływy zewnętrzne bujniejszego wzrostu pewnych części rośliny.

Darwin mniema że u roślin istnieją specyalne miejsca obdarzone czułością na wpływy zewnętrzne, które to miejsca będąc przez pewien bodziec podrażnione, podobnie jak ośrodek nerwowy zwierzęcia przesyła podrażnienie do sąsiedniéj części organu, która sama przez się jest na bodziec nieczuła, i tu wywołuje odpowiedni ruch. Do takich ośrodków zalicza Darwin wierzchołek korzonka, gdzie ma być umiejscowiona wrażliwość na siłę ciężkości, hydrotropizm, ucisk, jednostronne skaleczenie i heliotropizm ujemny. W wierzchołku łodyżki i w wierzchołkach liścieni ma być znowu umiejscowiony heliotropizm, tj. wrażliwość na światło.

Wiesner zaprzecza takiemu umiejscowieniu pobudliwości uważając, że ruch zawsze powstaje w części organu bezpośrednio przez wpływ zewnętrzny dotkniętéj. Energia oddziaływania na wpływy zewnętrzne zależy od bujności wzrostu. Skutkiem upośledzenia wzrostu oddziaływanie organu na wpływy zewnętrzne słabnie, albo nawet całkowicie ustaje. W odnośnych doświadczeniach Darwina nad ośrodkami pobudliwości wzrost organu sztucznie osłabiono, albo całkowicie powstrzymano.

* * *

Na zakończenie, nie ośmielając się wyrażać stanowczego zdania, do którego nie mam należytych podstaw, pozwolę sobie jedynie powiedzić, że według mego sposobu widzenia rzeczy cyrkumnutacya w znaczeniu Darwina, jako pierwotny i powszechny ruch roślin, stanowczo jest zachwiana. Poglądy Wiesnera są dla mnie daleko bardziéj prawdopodobne, jako wyłączające nową i zupełnie zagadkową zdolność roślin.

Wiesner z wielką stanowczością powstaje przeciwko umiejscowieniu u roślin wrażliwości na różne wpływy zewnętrzne, ale jego dowody i rozumowania nie zupełnie są przekonywające i stanowcze. Trudno téż zrozumiéć dla czego takie umiejscowienie pobudliwości traktuje jako rzecz w zasadzie saméj niemożliwą, skoro spostrzeżenia Darwina nad zachowaniem się roślin owadożernych przekonywają, że tkanki roślinne mogą posiadać własności wielce zbliżone do własności układu nerwowego u zwierząt.

Górną powierzchnię liścia rosiczki (*Drosera*) pokrywają gruczołki wydzielające lepką ciecz, a brzeg otaczają rozpostarte czułki, każdy gruczołkiem zakończony. Owad dostawszy się na tarczę liścia więźnie w lepkiéj wydzielinie i szamocze się, a powstałe stąd podrażnienie zostaje przesłane do najbliższych czułków, które z całą dokładnością zaginają się ku miejscu gdzie się owad znajduje i chwytają go swémi gruczołkami. Owad trąciwszy o gruczoł czułka, przylepia się do niego, a następnie czułek zagina się i zanosi zdobycz na środek liścia. Niedosyć na tém, gruczoły czułków zaginających się ku leżącemu na liściu owadowi itp. pod wpływem podrażnienia wydzielają kwaśny sok, posiadający własność trawienia połączeń białkowych. Ale niedosyć na tém, gruczoły wydzielają kwaśny sok wyłącznie pod wpływem podrażnienia przez ciało azot zawierające, gdy tymczasem wszelkie inne ciała wcale nie wpływają na zmianę chemicznego składu wydzieliny. Poruszenie czułków i wydzielanie kwaśnego soku wywołuje długo trwająca obecność drobnych ciałek azo-

towych, których wagę oblicza Darwin na 0,00001 grana, gdy tymczasem stosunkowo silne, lecz szybko mijające wstrząśnienie żadnego wpływu nie wywiera. Wreszcie liść rosiczki uczuwa obecność nadzwyczaj małéj ilości amoniaku, bo roztwór jednéj części fosforanu amonu w 2.000.000 części wody dystylowanéj wywołuje zginanie się czułków.

Tak tedy w liściu rosiczki spostrzegamy zdolność przesyłania wrażeń, wrażliwość na drobne wstrząśnienia, zdolność rozróżniania podrażnień oraz zdolność wydzielania właściwego soku pod wpływem odpowiedniego podrażnienia. Wszystko to są właściwości układu nerwowego zwierząt, a zatém analogia pomiędzy czynnością nerwów i czynnością tkanek roślinnych jest oczywista.

Podobnych faktów dostarcza także mochołówka (*Dionaea*), a u czułka (*Mimosa*) spotykamy znowu coś bardzo podobnego do przyzwyczajenia. Objawów opisywać nie będę, a czytelnika pragnącego bliżéj zapoznać się z tym przedmiotem odeślę do tygodnika „*Przyroda i Przemysł*“ (*Rośliny mięsożerne*. Rok 1876 str. V. 205, 231 244, 256, 268. *Analogiczne objawy w życiu roślin i zwierząt*. Rok VII. 1879. Str. 421, 433).

Jedném słowem objawy pobudliwości u roślin upoważniają do powtórzenia z Sachsem: „*że w żywej substancyi roślinnéj następują takie wewnętrzne wyróżnienia, skutkiem których pojedyncze części zostają obdarzone szczególnemi zdolnościami, podobnemi do władzy nerwów zmysłowych u zwierząt.*“

Pomimo możliwych błędów praca Darwina o zdolności ruchu u roślin, podobnie jak inne prace tego wielkiego badacza, imponuje szerokością poglądów, głębokością myśli i obszerną znajomością faktów. Obok doskonałego zestawienia faktów Darwin, odpowiednio do swéj metody traktowania kwestyi biologicznych, stara się wykazać znaczenie każego pojedynczego objawu dla życia rośliny, oraz zastanawia się nad sposobem powstania, spotęgowania i utrwalania objawu w organizmie rośliny.

August Wrześniowski.

DEMOKRACYA SOCYALNA

W CESARSTWIE NIEMIECKIEM.

III.

FORMOWANIE SIĘ STRONNICTWA POLITYCZNEGO.

Die deutsche Socialdemokratie etc. v. Franz Mehring. Bremen 1878. — Le socialisme contemporain p. Emile de Laveleye. Paris 1881. —Der Emancipationskampf des Vierten Standes von R. Meyer. Berlin 1875.

I.

Świetne tryumfy krasomówcze Lassalla roznamiętniły ludność robotniczą szczególnie nad Renem i w Saksonii, ale organizacya przez niego urządzona bynajmniéj nie była silną, wszystko utrzymywał w jedności tylko on sam, osoba jego była w najwyższém poszanowaniu u robotników, ale myśli jego zgoła nie przesiąkły w pojęcia ogółu, a jakeśmy o tém wspomnieli, po śmierci jego w stowarzyszeniu pozostało tylko dwóch ludzi, którzy byli w stanie zrozumiéć i ocenić plany mistrza—Liebknecht i Szwejcer. Liebknecht, niedawno wrócił był do kraju z emigracyi, był on jednym z najszczerszych wielbicieli Marxa, wcale nie sympatyzował z socyalizmem narodowym Lassalla, ale nie mając żadnych w kraju stosunków, nie mogąc rozpocząć żadnéj roboty na własną rękę, przystał do lassalczyków w nadziei, że i tu da się coś zrobić. On i Szwejcer obydwa nie byli w stowarzyszeniu popularni i żaden z nich nie mógł nawet myśléć o zajęciu stanowiska naczelnego. Prezydyum zajmowali jeden po drugim ludzie bez talentów, nie rozumiejący celu do którego mieli dążyć, nie umiejący używać środków jakie im podawała organizacya. Bernhard Becker, który nazywał siebie „prezesem ludzkości;“ Tölcke, znany z tego, że zamiast dzwonka prezydyalnego zaczął używać pałki i stukając o ziemię przywoływał zgromadzenie do porządku; Perl, który w urządzaniu chórów śpiewaków widział naj-

lepszy środek propagandy socyalnéj; hrabina Hatzfeld kolejno każdego z nich wspierała i z każdym prędko się poróżniła. Probowała też ona urządzać na swoję rękę oddzielne stowarzyszenie, nazywane linią żeńską lassalczyków. Organizacya zaczęła się rozprzęgać, rozpraszać, i lat parę istniała tylko nominalnie; te czasy anarchii przetrwała jedynie dzięki pamięci Lassalla, około osoby którego, zaraz po jego śmierci zaczęła się tworzyć legenda, opowiadano o nim rzeczy niemal cudowne, czczono go jako apostoła, jako proroka zwiastuna lepszéj przyszłości, szeptano po cichu że on nie umarł, że zjawi się znowu i odda panowanie w ręce ludności wyrobniczéj.

Tymczasem Szwejcer, stosownie do ułożonego z Lassallem projektu, od 1 stycznia 1865 rozpoczął w Berlinie wydawnictwo pisma socyalistycznego „Socialdemokrat“ i pozyskał dlań współpracownictwo wszystkich ludzi wykształconych pomiędzy socyalistami, nawet Marx i Engels przyrzekli go popierać. Nie długo jednak to trwało a Szwejcer znalazł się prędko i na tém stanowisku osamotniony. Wszyscy komuniści niemieccy, zarówno w kraju jak na emigracyi, chociaż uchylali głowę przed wyższością umysłową Marxa niekoniecznie jednak go słuchali, każdy z nich miał mniéj więcéj swoje odrębne pojęcia, a godząc się w potępianiu tego co istniało, nie mogli zgodnie brać się do roboty organicznéj, bo tu każdy swoich projektów bronił i za nimi mocno obstawał. Łączyła ich wspólna nienawiść ku sile, którą mieli do zwalczenia, a tą siłą wówczas była monarchia pruska, w tém uczuciu nienawiści, w prusofobii jednoczyli się wszyscy. Szwejcer, trzymając się ściśle tradycyi nauk Lassalla i sam jasno pojmując położenie polityczne, nie podzielał tych uczuć, prędko też bardzo wystąpił w piśmie swém z całym szeregiem artykułów zatytułowanych „Ministeryum Bismarka“ — w których dowodził bardzo stanowczémi argumentami, że w Niemczech istnieją tylko dwie siły realne: bagnety pruskie i pięście proletaryatu; że żadnéj innéj nie ma, ani rządy państw mniejszych, ani szlachta, ani mieszczaństwo niczego nie są w stanie dokazać dla ludu niemieckiego, więc proletaryat powinien iść ręka w rękę z ministrami pruskiémi. Takie twierdzenia oburzyły i odstręczyły od niego tych wszystkich którzy w jakichkolwiek bądź stosunkach byli z Marxem, ogłoszono go za zdrajcę, za agenta rządowego, za człowieka niebezpiecznego.

Liebknecht, któremu prędko wzbroniono pobytu w Prusach, osiedlił się w Lipsku i tu wydawał gazetę „Mittel Deutsche Volkszeitung,“ znalazł się on tam w otoczeniu najsympatyczniejszych dla siebie żywiołów, w czasach tych bowiem (1864—66) nienawiść do Prusaków najsilniéj grasowała w Saksonii, a gazeta jego stała się

głównym kanałem przez który przelewały się wszelkiego rodzaju zarzuty, potępienia, połajanki nawet dla polityki pruskiéj i rządów Bismarka; koło niego gromadzili się ci wszyscy wśród ludu, którzy politycznie byli niechętni panowaniu pruskiemu; o komunizmie jeszcze tam nie było mowy, bo wszyscy socyaliści ludowi, wielbiąc pamięć Lassalla, trzymali się ramek organizacyi przez niego wskazanych. Liebknecht większą część życia swego spędził na wygnaniu w emigracyi. Powiadają zwykle, że nieszczęście wyrabia charakter, uczy cierpliwości, budzi coraz silniejsze przywiązanie do sprawy z powodu któréj się cierpiało, natury szlachetne zaprawia do wytrwałości i energicznego oddziaływania przeciwko przyczynom nieszczęścia; wszystko to prawda do pewnego stopnia, ale życie emigracyjne bez domowego ogniska, bez udziału żywego w życiu współobywateli własnego kraju, bez codziennego zetknięcia z praktyką przebiegu interesów, z prądami myśli i uczuć rodzącémi się ustawicznie wśród społeczeństwa, które za swoje uważamy i które kochamy, zbyt często oddziaływa niekorzystnie na charakter człowieka. Tęsknota rodzi marzenia często chorobliwe, do których się przywyka i które powoli stają się ideałami życia, nienawiść do tych co nas od życia czynnego usunęli, stopniowo zlewa się w jedno z miłością do rodzinnego otoczenia i z czasem te dwa uczucia rozdzielić się z sobą nie dają, czyny człowieka wtedy zawsze prawie bywają zakażone nienawiścią, bardzo rzadko uniknąć mogą cechy popędów namiętnych.

Liebknecht naprzykład jest człowiekiem bardzo szanownym, urodził się on ubogim i takim pozostał dotychczas, wyróżnia się tém społecznie od Lassalla i Marxa, którzy obaj życie w dostatkach pędzili; on umie zadawalniać się najskromniejszem byle mógł pracować dla swojéj idei, wyrzeka się uczciwego nawet zarobku, jeżeliby on miał go odciągnąć od służenia celowi, któremu się poświęca, nie da się skusić pobudkom nieszlachetnym: dla zysku, dla wyniesienia osobistego z pewnością niczego robić nie będzie, ale gdzie chodzi o sprawę, nikt pewno nie potrafi w równém z nim stopniu rozmyślnie i z krwią zimną używać broni zatrutéj i nieszlachetnéj. Jeszcze w pierwszéj młodości oczarowały go pisma St. Simona, odtąd bez przerwy, bez wytchnienia dąży ciągle do urzeczywistnienia państwa socyalistycznego, teorye i krytyka Marxa wyraźniéj zarysowały przed nim ten ukochany ideał, który nieustannie nęci chorobliwie podrażnioną wyobraźnię. Fanatyk w całém znaczeniu tego słowa, posiada wszystkie dobre i złe strony tego stanu ducha, cokolwiekbądź mu się opiera, usiłuje to zburzyć środkami jakie mu nasuwać może żądza zniszczenia. Przeciwnik polityczny w oczach jego żadnych

praw mieć nie będzie, bez wahania będzie rzucał na niego podejrzenia, oskarży go o zbrodnię równie śmiało jak to czynił nieraz ks. Bismark, stronnika swego będzie bronił do ostatka sił, będzie uniewinniał czynności jego najpodlejsze. Sam nie sięgnie ręką po grosz jeden podejrzanego zysku, ale usprawiedliwiać będzie przedajność, nawet kradzież, jeżeli mu się to zda potrzebném w interesie partyi. Człowiek dobry, życia wzorowego, wszystko to więc nie jest wynikiem złości wrodzonéj ani świadoméj, ale tylko skutkiem stronniczego na świat poglądu, na którym wszystko widzi w oświetleniu swoich ulubionych teoryj. Z własnéj inicyatywy, własnemi siłami nie mógłby on wywołać w masach agitacyi, bo mu brak nici sympatycznych któreby go z ludem łączyły, on ukochał teoryą, a nigdy chociażby chwilowo nie potrafił wżyć się w naturę i życie ludu, zejść na grunt jego; wymowa jego ostra i trochę dzika nawet, znaczenie i wpływ mogła mieć tam tylko gdzie umysły ludzi weszły już na tor pojęć komunistycznych, które u niego zawsze stanowią treść myśli, mowy i uczynków.

W gazecie swojéj wylewał wszystkie zapasy żółci i gniewu na rząd pruski, póki w r. 1866 prusacy nie przyszli do Lipska i nie zabronili mu jéj wydawać. Ufając amnestyi wówczas ogłoszonéj już w Prusach udał się do Berlina, tam zamknięto go na kilka miesięcy do więzienia, wypuszczony na wolność w r. 1867 znalazł się zupełnie zrujnowanym; wśród tryumfów armii pruskiéj ludzie zapomnieli o jego gazecie i o jego namiętnych napaściach, osamotniony odszukał tylko jednego zwolennika, który mu pozostał wiernym, ale ten jeden starczył za tysiące — był to Bebel.

Bebel wówczas między robotnikami zajmował stanowisko bardzo poważne. Prosty tokarz, wykształcony w szkole elementarnéj i w szkółkach niedzielnych, na wędrówkach czeladnika nauczył się poznawać świat i ludzi; był on jakby wcielonym ideałem robotnika nowożytnego w najlepszém znaczeniu. Cichy i skromny, pełen prostoty, zawsze gotów uczyć się i oświecać, miał w sobie skłonność do myślenia poważnego; rzemiosła swoje szanuje i dotąd go nie porzucił, żyje z uczciwego zarobku, nigdy nie chciał, jak tylu innych, żyć cudzym kosztem w pozycyi fałszywéj nauczyciela ludu, pisarza politycznego lub agitatora z profesyi. Z natury zdolny, rzeczy pojmuje łatwo, widzi je jasno, umie myśléć prędko prawie instynktowo; wymowa jego prosta i jasna trafia z łatwością do przekonania wyrobników, bo żyjąc życiem tém samém co oni, umie wszystko przedstawiać w sposób dla nich dostępny, zawsze o parę kroków tylko idzie naprzód przed słuchaczami i zdaje się wypowiadać to tylko co się już w ich myślach znalazło ale jeszcze nie ma formy ani wyrazu.

Prawdziwy mąż ludu, jest klasycznym reprezentantem ludności wyrobniczéj, niewątpliwie ma téż znaczenie historyczne, bo on pierwszy pomiędzy rzemieślnikami niemieckimi wystąpił na scenę polityczną w roli poważnéj, porusza się na niéj zupełnie swobodnie, jak równy między równymi, a sposób w jaki nieraz umiał rozprawić się z koryfeuszami parlamentu jak z Laskierem lub Simsonem nie powiódłby się może doświadczeńszym i wprawniejszym mówcom. Wpływ jego na ludność wyrobniczą do dziś dnia jest ogromny, chociaż on sam zmienił się już podobno znacznie w ciągu lat kilkunastu agitowania się w sferach propagandy komunistycznéj. W r. 1863 nie przystał on do podjętéj przez Lassalla organizacyi, wolał pozostać po stronie postępowców, a kiedy oni, chcąc zapobiedz wpływom Lassalla, probowali wszystkie od siebie zależne fereiny zcentralizować w jeden ogólny związek we Frankfurcie nad Menem, Bebel był tam delegatem; w r. 1866 zasiadał w komitecie tego związku, który już wtedy zaczął się uwalniać od wpływu partyi postępu i przyjął do swego programu domaganie się o prawo głosowania powszechnego, a w ślad zatém oświadczył, że kasy Szulca z Delitzsch nie są dla wyrobników korzystne; w r. 1867 związek zerwał stanowczo z postępowcami i Bebel został wybrany prezesem komitetu zamiast Maxa Hirscha. Miał więc wtedy pod ręką wiele tysięcy robotników, a niechęć do rządu pruskiego zbliżyła go do Liebknechta.

W tymże samym r. 1867 Marx wydał swe wielkie dzieło „Das Capital,“ Liebknecht znalazł w niém cały arsenał argumentów, dowodów i wywodów teoretycznych do objaśniania i popierania swych ulubionych zasad, w Beblu znalazł najlepszego jakiego mógł spotkać apostoła swoich idei i dążności. Ale pierwéj trzeba było nawrócić samego apostoła. Przy pierwszych, pod prawem głosowania powszechnego, wyborach do parlamentu północno-niemieckiego, Bebel wybranym był w Saksonii (Glauchau) na reprezentanta, a tak bardzo był jeszcze wówczas patryotą niemieckim, że w sejmie wystąpił z ognistą filipiką przeciwko Bismarkowi za rozdarcie Niemiec na dwie połowy, twierdził zaś, że nie ma nic wspólnego z komunistami a należy do partyi ludowéj. Liebknecht postępował z nim bardzo ostrożnie, niewypowiadał od razu wszystkiego co myśli i czego pragnie, powoli starał się go opanować, łatwo go ujął za serce wskazując za cel dobrobyt i wykształcenie masy ludu, i nietrudno mu téż było oplątać w sieci misternéj dyalektyki ten umysł jasny ale prosty, nie nawykły do obcowania z abstrakcyami. Odtąd Bebel duchowo staje się kreaturą Liebknechta i służy mu za najlepszego bo szczerego i sumiennego propagatora, a kiedy przejął się już zupełnie wiarą nauczyciela i wżył się w tok myśli i pojęć komunizmu kosmo-

politycznego, Liebknecht zaczął występować otwarcie i publicznie z koniecznością przyjęcia zasad międzynarodówki.

Przedtém jeszcze wojna r. 1866 poplątała i pomięszała szyki wszystkich organizacyi zarówno lassalczyków jak i postępowców; silne rozbudzenie ducha patryotycznego, ściągnienie do wojska i wyprowadzenie do boju ogromnéj liczby ludzi, rozerwało myśli, pokrzyżowało projekta i plany wodzów i szeregowców. Zaraz po wojnie jednak otwarły się nowe a szerokie widoki polityczne i społeczne. Prawo głosowania powszechnego nadane z góry, usuwało wprawdzie sam cel agitacyi lassalczyków, ale dozwalało zarazem działać czysto praktycznie, teraz można już było przemawiać do wyrobników nie w imię teoryi i zasady, ale w imię interesu dotykalnego; zniesiono mnóstwo drobnych zawad i przeszkód do komunikowania się wzajemnego, przyznanie prawa swobodnego przesiedlania się wprawiło w ruch wielką ilość ludzi, ożywiło cały naród. Wielka opozycya parlamentu pruskiego rozwiała się wobec tryumfu planów Bismarka, uwieńczonych tak wspaniałym powodzeniem. Szeregi postępowców rozpadły się, znaczna ich większość zlała się nanowo w partyą liberalnych narodowców, która ochoczo wprzęgła się w rydwan tryumfalny Bismarka i odtąd przez lat dwanaście wiernie mu służyła. Opozycya zachowała nazwę postępu, ale ze wszechwładnego w parlamencie stronnictwa, została niewielką grupą deputowanych, którzy już nie mogli marzyć o wywieraniu wpływu na bieg interesów kraju, a tylko krytykować, ostrzegać i rezerwować przyszłość; skłaniało to ich tém bardziéj do jednania sobie popularności wśród ludu, do którego wotów głosowanie powszechne dawało przystęp i w tych celach nie zaniechali dalszéj organizacyi stowarzyszeń.

Rok 1867 przeszedł na porządkowaniu się wszystkich organizacyi, na naprawie szczerb jakie im wojna zadała. Lassalczycy doszli już byli do ostatecznego rozstroju, chcąc nie chcąc więc musieli wybrać sobie na prezesa Szwejcera, widząc że on jeden chyba był zdolny wprowadzić porządek w ich stowarzyszenie. Był to człowiek zdolny i wykształcony, teoryami mało się zajmował, ale prawdziwie praktyczny, jako naczelnik partyi tę miał nieoszacowaną zaletę, że nie łudził się pozorami, a rzeczy widział takiémi jakiémi były w rzeczywistości, obdarzony z natury niezwykłą cierpliwością i wytrwałością nie dawał się zachwiać niepowodzeniom, a zarazem umiał naginać się do wymagań politycznych danéj chwili. W życiu jego pełno niewytłómaczonych zagadek, zdawałoby się że żądza używania życia i towarzyszący jéj sceptycyzm światowego wytwornisia, stanowiące najwydatniejsze rysy jego charakteru, nie mogły go zaprowa-

dzić do zgromadzeń wyrobników i kazać tam perorować o ucisku jaki kapitał na pracę wywiera i o cierpieniach biednego pracowitego ludu; a jednak cztery lata pracował zawzięcie w téj sprawie, nie tylko doprowadził stowarzyszenie do porządku, ale postawił go na stopie poważnéj i wtedy nagle zrzekł się prezydentury. Syn bogatéj patrycyuszowskiéj rodziny z Frankfurtu nad Menem, już w pierwszéj młodości użył i nadużył wszystkich rozkoszy, z powodu licznych skandalów, przystęp do życia publicznego w mieście rodzinném stał się dlań niemożebnym, zanadto rozumny i zanadto silny ażeby zadowolnić się samemi zmysłowemi rozkoszami, a nie mogąc z powodu zepsutéj reputacyi wejść na pole działania politycznego legalnego, chwycił się propagandy Lassalla jako gry hazardownéj wyższego gatunku, która mu obiecywała nowe wrażenia, z początku niepopularny wśród robotników, powoli i stopniowo zaczął im imponować wyższością umysłową i umiejętnością dobierania środków odpowiednich prędzéj do celu prowadzących, tak że go okoliczności same wyniosły na stanowisko w stowarzyszeniu naczelne. Ani zasad moralnych ani sumienia dopatrzyć w nim nie było można, ale miał w sobie coś z ducha dawniejszych *condotierów*, kiedy się do czego zobowiązał nie szczędził sił i pracy, nie przebierał w środkach żeby zrobić to czego wymagano od niego. W maju został wybrany prezesem, w jesieni już on i dr. Reincke wybrani byli przez lassalczyków do parlamentu, a w kilku innych miejscowościach kandydaci ich mieli za sobą poważną mniejszość. W sejmie przemawiał rozumnie i rozważnie, rzeczy niemożebnych nie żądał, ale dopominał się opieki prawa dla robotników, ograniczenia godzin pracy w fabrykach, uprawnienia zmów robotniczych w celach podwyższenia zarobku i organizowania statystyki przemysłowéj, wprawdzie wnioski jego większość deputowanych odrzucała, ale udało mu się przeprowadzić parę poprawek w projektach do praw.

Wspomnieliśmy już wyżéj, że w tym roku Bebel stanąwszy na czele komitetu zjednoczonych fereinów organizowanych poprzednio przez postępowców, zerwał zupełnie z tymi ostatniémi i zbliżył się do Liebknechta; po wojnie więc i uspokojeniu kraju, zamiast dawniejszéj jednéj organizacyi socyalistycznéj Lassala stoją obecnie dwie, jeszcze sobie nawzajem nieprzyjazne, ale obie zarówno wrogie porządkowi społecznemu a odciągające umiejętnie znaczną liczbę ludu od popierania legalnych kroków rządu i parlamentu.

W roku następnym wzmaga się ruch organizycyjny, wymyślono nowe środki zelektryzowania ludności wyrobniczéj. Rada centralna międzynarodówki ze smutkiem widziała, że w Anglii, właśnie w miejscu najbliższém jéj działania, najmniéj się ono okazuje sku-

teczném; robotnicy angielscy powiązani w korporacye w swoich *trades-unions*, z niedowierzaniem słuchali agentów rady; każdy z takich związków miał swój kapitał używany jako pomoc przy zmowach i wymawianiu roboty; nie mieli oni ochoty swoich funduszów poświęcać na cele międzynarodowéj agitacyi, i nie wierzyli w szumne obietnice rady dostarczenia im pieniędzy w razie potrzeby. Wskutek tego na kongresie międzynarodówki w Brukselli r. 1878 postanowiono, żeby w innych krajach starać się o formowanie związków podobnych do trades-unions angielskich, a w Anglii przystępować do istniejących i w ten sposób zaszczepić im ducha komunizmu od którego się broniły. Szwejcer myśl tę w lot pochwycił, pierwéj nawet nim ją przyjęto na kongresie w Brukselli, zaczął w wykonanie wprowadzać. Policya tymczasem znajdując się w obec tylu rozlicznych związków rozwiązała pierwotne „Ogólne stow. robotników Niemieckich w Lipsku"—Szwejcer natychmiast poddał się rozkazom policyi, zamknął stow. lipskie zawiązując zaraz drugie w Berlinie z témi samémi statutami i jednocześnie zarządził, żeby rzemieślnicy i wyrobnicy ulegający jego wpływom, w każdéj miejscowości składali już nie jeden związek ale kilka, wedle fachów do jakich należeli, żeby takie związki miejscowe łączyły się w całych Niemczech w jedno ciało, także wedle swych specyalności, kierownik każdego ogólnego fachowego związku miał się znajdować w Berlinie, tam kierujący między sobą składać będą powszechny niemiecki związek rzemiosł, który wyznaczy z pomiędzy siebie prezydyum z trzech członków.

Tego rodzaju związki nazwano w Niemczech *Gewerkshaft*, a nowa metoda znacznie ożywiła cały ruch robotniczy, bo wskazywała każdemu za interes najważniejszy to właśnie co go najbliżéj obchodziło, sprawy jego własnego rzemiosła, fachu czy fabryki. Max Hirsch, który pomiędzy postępowcami najczynniéj zajmował się sprawą robotników, pojechał umyślnie do Anglii studyować tameczne trades-unions; na wieść że Szwejcer już coś podobnego organizuje, odwołany do kraju przez swych kolegów, pośpieszył urządzać podobne gewerkshafty pomiędzy swoimi zwolennikami. Pomiędzy związkami angielskiémi a niemieckiémi zachodzić musiała ogromna różnica z saméj natury rzeczy wynikająca. Rzemieślnicy i wyrobnicy angielscy sami, z własnego popędu, łączyli się między sobą w stowarzyszenia, bez żadnych innych celów, jak wspólnemi siłami dobijać się wyższych zarobków i przewadze, jaką miał nad każdym z nich fabrykant kapitalista, oprzéć się siłą zjednoczoną wszystkich robotników jednéj fabryki, albo w razie potrzeby i siłą robotników wszystkich fabryk pewnego fachu w jakiejś miejscowości; wysokość składek oznaczali sami, i z właściwą Anglikom wytrwałością wnosili je regularnie, ze-

branych zaś pieniędzy używali przezornie i oszczędnie. W Niemczech rzecz się miała inaczéj – tam każdy przedewszystkiém miał na oku cel polityczny, chodziło głównie o zwiększenie partyi, o pomnożenie liczby swoich stronników; do łączenia się w związki i stowarzyszenia trzeba było robotników wzywać i namawiać, a więc wskazywać jakieś korzyści, coś obiecywać i to tém bardziéj że od każdego żądano aby zaraz opłacał składkę. Szwejcer swoim lasalczykom obiecywał że: skoro rząd uwolni się od przewagi mieszczaństwa udzieli im kredytu na zaprowadzenie własnych warsztatów, a tymczasem jednocząc się mogą sami lepiéj się bronić od ucisku kapitalistów. Liebknecht swoim adeptom wskazywał wszystkie dobrodziejstwa państwa przyszłości, których się dobiją trzymając się razem i głosząc zasady na kongresach międzynarodówki za jedynie prawdziwe uznane. Ale partya, czy raczéj odłam partyi postępowców cóż mogła obiecywać? ludzie ci zanadto sumienni i zanadto poważnie polityczni, żeby się puszczać na agitacyą nieokreśloną, potrzebujący jednak agitować się żeby większą ilość wyborców sobie zapewnić, uwierzyli, że to nie robotnicy angielscy wytrwałością i energią swoje trades-unions postawili na stopniu poważnym, ale że sama organizacya tych związków dała anglikom energią i wytrwałość, nawoływali więc do swoich gewerkszaftów każdego kto ich chciał słuchać, że zaś korzyści jakiekolwiek wskazać musieli, wzięli więc pod swą opiekę zmowy robotników, uznali ich sprawiedliwość i zasadność.

Wymawianie roboty fabrykantowi przez zmówionych robotników nie raz okazywało się dla nich korzystném i w Anglii i w innych krajach, obecnie prawo niemieckie dozwala już tego, ale każdy krok tego rodzaju chociaż prawny, nie mniéj jest niebezpiecznym, znacznie niebezpieczniejszym dla robotników niż dla fabrykanta, dla téj prostéj przyczyny, że tego ostatniego może on narazić tylko na straty pewne, kiedy tamtych może pozbawić chleba powszedniego i po prostu o głód przyprawić. Nie można decydować się na krok tak stanowczy, nie mając pod ręką środków utrzymania się bez roboty przez czas pewien, ani nie rozpoznawszy uprzednio dokładnie warunków w jakich znajdują się w danéj chwili fabrykanci, bo zmowa nieudana będzie ruiną robotników, strąci ich w nędzę znacznie gorszą aniżeli stan ich uprzedni, zmusi ich przystać na gorsze warunki i mniejsze zarobki. Dlatego należy zostawić te sprawy własnéj rozwadze robotników mięszać się zaś do nich ze strony, a tembardziéj mięszać się dla celów jakichś pobocznych, będzie co najmniéj lekkomyślnością w polityce jeżeli nie ciężkim grzechem w obec ludzkości. Z powodu agitacyi postępowców na korzyść gewerkszaftów, zawiązała się zmowa pomiędzy robotnikami górniczémi na Szląsku

w Waldenburgu, któréj przebieg okazał się nieszczęśliwym; przedsiębiorcy właściciele kopalń nie ustąpili, nędza i głód zapanowały nagle wśród kilkunastutysięcy ludzi, kierownicy stronnictwa poczuwając sie do winy musieli przyjść z pomocą, zebrali około 30.000 talarów, które wydali na zażegnanie biedy i ostatecznie stracili zaufanie robotników. Daléj jednak prowadzili swe dzieło, ale już z tym smutnym skutkiem, że każdy prawie sformowany przez nich gewerkszaft, po zorganizowaniu się, uporządkowaniu i obliczeniu sił swoich, przechodził w całości od nich do obozu lasalczyków albo komunistów, dokąd ich wabiły nie korzyści dotykalne wprawdzie a ułudne na przyszłość obietnice.

Obie grupy socyalistów wzrastały w ten sposób liczebnie, a wodzowie ich czując się coraz więcéj na siłach, to się między sobą kłócili to probowali pogodzić się i zlać w jedno oba stronnictwa. Liebknecht podburzał przeciw Szwejcerowi wszystkich miejscowych przywódców stanowiących niby arystokracyą związku, Swejcer usiłował obronić swoich od wpływów kosmopolityzmu i utrzymać ich jako organizacyą narodową. W r. 1869 w sierpniu Liebknecht i Bebel zwołali swoich stronników na kongres do Ejzenachu w zamiarze ukonstytuowania się prawidłowego jako partya polityczna, przybyli tam i lassalczycy probowali przeszkadzać téj robocie, jednakże im się to nie powiodło; chociaż potrafili zająć przygotowany lokal, Liebknecht przeniósł się ze swoimi do innéj sali, rzucił klątwę na organizacyą Szwejcera nazywając ich zdrajcami, socyalistami rządowemi (Regierungssocialisten) swoich zaś stronników mianował *Uczciwymi* (die Ehrlichen) i ułożono tu zaraz program. „Socyalno-demokratycznéj partyi robotników,“ która żądała: prawa wotowania dla każdego dwudziestoletniego mężczyzny zarówno w gminie jak w państwie, prawodawstwa przez lud, uzbrojenia ludu a zniesienia wojska stałego, nauki darméj, podatku jednego bezpośredniego i progresyjnego od dochodu i sukcesyi, opieki państwa dla związków robotniczych i kredytu państwowego dla stowarzyszeń współdzielczych. Liebknecht użalał się, że musiał jeszcze robić koncesye dla nieprzygotowanych umysłów a nie mógł wystąpić poprostu ze zniesieniem prawa własności, ale zalecił wszystkim sympatyą dla zasad międzynarodówki. Na zebraniu w Ejsenachu znalazło się 262 delegowanych, którzy uważali siebie za reprezentantów 150.000 członków. Organami czynnémi partyi miały być: komitet zarządzający i komisya kontrolująca, każda z nich rezydować miała w inném miejscu i trzech członków do każdéj miało być wybieranych corocznie, na kongresie z delegowanych na ten cel wybranych,—za organ partyi uznany tygodnik

demokratyczny „Volksstaat“ redagowany w Lipsku przez Liebknechta.

W dowcipném tém urządzaniu wpływ realny musiał naturalnie przypaść pismu pozostającemu stale w ręku Liebknechta, podczas kiedy organa zarządu zmieniały się koło niego corocznie; zakładały się w ten sposób fundamenta do dyktatury moralnéj Liebknechta i stojącego za nim Marxa, wśród pozorów ultra demokratycznéj zmienności kierowników, którzy mogli sobie wyobrażać, że ich wpływ działa tu przeważnie. Lassale nie chciał pośredników między ludem a sobą, potrzebował tylko pomocników do roboty, ulubionym jego pojęciem był wpływ myśli najwyżéj wykształconéj na elementarną siłę ludu, Szwejcer trzymał się téj tradycyi, w związku swoim rozporządzał despotycznie i usuwał wszystkie pokuszenia o władzę organów pośrednich;—Liebknecht powstawał ciągle przeciwko temu despotyzmowi, a sam go w swe ręce zagarniał bezimiennie. Do niego téż zaczęły się zbiegać wszystkie żywioły niepokoju społecznego, ludzie niedouczeni, którzy ani sami myśléć porządnie nie mogli, ani ulegać cudzéj woli nie chcieli, wszystko co zajmowało stanowiska pośrednie, nawpół niezależne, co lubiło agitować, ruszać się, działać a nie miało do tego dostatecznego pola w życiu realném. Stronnicy jego rekrutują się głównie pomiędzy nauczycielami wiejskimi, subjektami handlowymi, pisarzami w biurach adwokatów lub rejentów, drobnémi księgarzami i handlarzami i wśród tym podobnych warstw społecznych. Wszyscy oni prawie czują najwyższą cześć dla frazesu dźwięcznego, dla myśli niejasnéj, którą owładnąć nie mogąc, poddają się pod jéj panowanie; lubują się w ruchu dla ruchu, w mglistych nadziejach na przyszłość, z któremi wiąże się ich osobiste znaczenie. Prawa niemieckie nie pozwalają żadnemu stowarzyszeniu wchodzić w związki i stosunki ze stowarzyszeniami zagranicznémi, dlatego niemożebném było połączenie urzędowe z międzynarodówką. wynagrodzono to sobie wkładając na każdego obywatela należącego do partyi demokracyi socyalnéj obowiązek moralny, zapisania się osobiście do międzynarodówki, cała zaś partya miała starać się o ścisłe trzymanie się jaknajbliżéj zasad wielkiego związku. Bebel brał na seryo moralne te obowiązki i odtąd nieprzestał wyrzekać na obojętność obywateli, na każdym zjeździe i kongresie powołując ich do tego i uskarżając się, że liczba wykupionych kart międzynarodówki nigdy w Niemczech nie doszła do tysiąca; zato Liebknecht usiłował najsumienniéj zasady międzynarodówki w swém piśmie propagować i o ile mógł najbliżéj podsuwał się do czystego komunizmu, wystrzegając się tylko wyraźnego zaprzeczenia prawa własności, aby nie zrazić chłopów, a jak objaśniał to w liście do jednego

z przyjaciół: „Wprawdzie niepotrzebujemy chłopów do zrobienia rewolucyi, ale żadna rewolucya nie utrzyma się długo, jeżeli przeciwko niéj będą chłopi.“

Silne to i porządne ukonstytuowanie się komunistów, zatrwożyło trochę Szwejcera, lękał się żeby go oni w ruchu postępowym nie prześcignęli; dla popularności więc ogłosił, że należy uznać za zbawienne zasady na kongresie w Bazel wypowiedziane, unikał jednakże objaśnienia tych zasad i rozwodzenia się nad nimi, odbył za to podróż agitacyjną po kraju, gdzie jednał sobie na nowo zwolenników. Tymczasem udało się lasalczykom ustalić wpływ swój w Berlinie, gdzie na kilku zebraniach publicznych zarządzonych przez postępowców, Tölcke jeden z dawniejszych prezesów stowarzyszenia wybierany był na przewodniczącego, a lasalczycy nie dawali nawet odzywać się postępowcom, aż nakoniec ci ostatni musieli się z sali wynosić pośpiesznie w obawie skandali i guzów; odtąd już ustaje czynność agitacyjna postępowców, wracają oni na rozważniejszą drogę działania powolnego ale skutecznego przez instytucye trwałe, a wyrzekają się rozgłosu i dysput. Socyaliści zostają panami na tym polu w dwóch grupach równie silnych liczebnie, z których każdą składało około 15000 ludzi czynnych, karnych i płacących składki; między sobą wiodą wojnę zaciętą, ale na zewnątrz trzymają się już razem, w sejmie liczą siedmiu deputowanych od swego stronnictwa, którzy im opiekę prawną starają się zabezpieczyć, ale nie występują tam jeszcze z żadnémi projektami reformy społecznéj. Tak rzeczy stały w przededniu wojny roku 1870.

II.

Na pierwszy odgłos rozpoczynającéj się wojny Szwejcer wezwał wnet swoich aby stawali chętnie w obronie ojczyzny; Liebknecht zaś i Bebel wystąpili z potępieniem wojny, jako akcyi czysto politycznéj, a więc zgubnéj dla ludu, który krwią i chlebem swoim będzie musiał okupywać tryumf klas panujących. Wojna sama naturalnie stłumiła wszelką czynność organizacyi, a władze wojskowe zarządziły nawet uwięzienie komitetu demokracyi socyalnéj i tych wszystkich, którzy probowali głośno przeciwko wojnie powstawać. Po powrocie armii z Francyi kierownicy stowarzyszeń socyalistycznych zaczęli na nowo porządkować i obliczać swoje bardzo przerzedzone szeregi. W zapale uniesień z powodu nowéj wielkości zapominano po trochu o komunistach, i nikomu nie było pilno przystawać do nich, tak iż przy pierwszych wyborach do sejmu Cesarstwa niemieckiego tylko dwóch demokratów socyalnych stanęło między deputowanymi Bebel i Szraps.

Szwejcer nie wybrany, zmęczony już czteroletnią robotą, w której powodzenie zaczął wątpić, zrażony niewdzięcznością wyrobników i ciągle robionémi mu zarzutami zdrady, złożył prezydenturę związku i usunął się zupełnie od organizacyi, na miejsce jego wybrano prezesem Hazenklewera, garbarza z Halwer, człowiek to dobry i uczciwy pełen prostoty i zupełnie szczery, ale zdolności bardzo małych, nie był on wstanie zrozumiéć myśli Lassalla, ani kierować wykonaniem jego planów; jakoż od czasu usunięcia się Szwejcera, chociaż „stowarzyszenie ogólne robotników niemieckich“ przedstawia się jeszcze liczebnie dość poważnie, ale powoli traci siłę moralną, a kilka lat ostatnich jego trwania, są tylko czasem stopniowego nawracania się lassalczyków na naukę Marxa. Liebknecht i Bebel coraz to energiczniéj się krzątają, i jeszcze w ciągu r. 1871 zakładają cztery gazetki dla szerzenia propagandy.

W roku następnym 1872 rzeczy zaczynają przybierać obrót zupełnie nowy, agitacyą mało kto z prowodyrów się zajmuje, ale ona sama zaczyna się rozwijać i rosnąć własnemi siłami, okoliczności napędzają demokracyi socyalnéj coraz to więcéj stronników. Wodzowie schodzą ze sceny, Szwejcer usunął się dobrowolnie, Bebel i Liebknecht, po wytoczonym im procesie o zdradę stanu, dostają się na lat dwa do więzienia, najzdolniejszy z ich pomocników Karol Hirsz wyjeżdża do Paryża i wyrzeka się spraw socyalizmu, sam Marx w tym roku doczekał się rozpadnienia się międzynarodówki. Ale zato przybyłe z Francyi miljardy budzą ducha spekulacyi, nastaje epoka szacherki (szwindlu) a za nią krach i smutne jego następstwa, które lat kilka ciążą nad całą ludnością Niemiec. Kiedy mania przedsiębiorstw (gründerstwa) opanowała spekulantów, zarobki poszły w górę; robotnicy, widząc mnożące się coraz to nowe fabryki, zażądali wyższych opłat za robotę, ustępowano im z łatwością w nadziei przyszłych zysków, a prędzéj jeszcze ażeby mieć pod ręką robotników dla projektowanych coraz to nowych przedsiębiorstw; zmowy robotników wiodły się im pomyślnie, a w miarę wzrostu zarobków i pretensye ich rosły też szybko, prędko jednak liczne bankructwa zmieniły położenie, roboty zabrakło, nie tylko zarobki zaczęły opadać, ale coraz to gęściéj szerzyły się bezrobocia; krótki czas lepszego bytu okupywał się teraz coraz to gorszym, rozpaczliwym już prawie położeniem. Nic tak nie szerzy niezadowolnienia jak zawiedzione nadzieje, nic tak łatwo usposobić nie może robotnika do słuchania obietnic reformatorów, jak niedostatek nastający po pewnym peryodzie obfitości. Chętnie też nadstawiali oni ucha poszeptom komunistów i stawali po stronie demokracyi socyalnéj, chociaż nie śpieszyli zapisywać się w szeregi zorganizowanych stowarzyszeń. W ciągu lat dwóch obie organiza-

cye socyalistyczne nie zyskały razem więcéj członków nad dwadzieścia tysięcy, a jednak przy wyborach do sejmu w roku 1874 okazało się że około 350.000 wyborców podało głosy za kandydatami demokratów socyalnych.

Czasy szachrajstwa i fikcyjnych przedsiębiorstw poniosły swe wpływy w inne jeszcze sfery; nagłe przemieszczanie bogactw z ręki do ręki, kolosalne fortuny powstające w krótkim czasie, i prędzéj jeszcze niknące, zrodziły i w sferach wykształconych wątpliwość co do zalet porządku społecznego. Pomiędzy uczonymi sformowała się nowa szkoła socyalistów z katedry, którzy przedsięwzięli naukowo badać wady ustroju społecznego, i obmyślać zaradcze środki. Więcéj wrażliwa młodzież studyująca po Uniwersytetach zaczęła lgnąć do czystego socyalizmu; szersza publiczność teraz dopiero zaczęła rozczytywać się w ognistych broszurach Lassalla, plątać się wśród dyalektycznych formuł Marxa, socyalizm wszedł w modę pomiędzy młodzieżą, i jak dawniéj rzadko kto ze studentów nie próbował pisać ballad lub sonetów, albo późniéj zaciekać się nad zgłębieniem absolutu, tak obecnie pierwsze semestra studyów przechodziły na upajaniu się pismami Lassalla i układaniu własnych planów poprawy społeczeństwa i uszczęśliwienia ludzkości. Wprawdzie komunizm kosmopolityczny nie wiele ma w sobie uroku dla dojrzalszych umysłów, przywykłych obcować z poważnemi myślami wielkich autorów, to téż mało kto z ludzi wyżéj wykształconych pozostawał w szeregach jego zwolenników, każdy prawie prędzéj lub późniéj uciekał z tego obozu samych mierności i sztucznéj nauki. Pomiędzy przywódcami demokracyi socyalnéj Bebel szczególnie, wiedziony w tém trafnym instynktem, ciągle usiłuje jednać dla partyi ludzi rozumnych i wykształconych, ale mu się to nie udaje; myśli zaś i zasady od których cofają się umysły wyższe nie mogą liczyć na powodzenie trwałe ani na zaszczepienie się w życie narodu. Takiemi uwagami starają pocieszać siebie niemieccy krytycy socyalizmu, powiadają oni ze wśród komunistów nie ma miejsca dla umysłowéj wyższości, każdy kto głową tłum przerasta piętnuje się tam mianem zdrajcy, wszak takie za rzuty nie minęły Lassalla, Szwejcera, samego Marxa, a nawet Liebknechta, który poświęceniem swym dla sprawy wszystkich ich prześcignął; dla tego téż, dodają oni, jeżeliby kiedykolwiek rozrastająca się liczebnie demokracya socyalna potrafiła wywołać jakiś przełom i chwilowo uchwycić władzę w ręce, byłby to tylko wybuch motłochu, któryby natychmiast osłabł w nieładzie i rozstroju, a pierwszy lepszy dyktator na czele zbrojnéj siły łatwoby go rozpędził.

Nie bierzemy na siebie wypowiadać sądu o prawdzie tych opinij, jednakże wybory roku 1874, które wysłały do sejmu 9 deputowanych,

i wykazały owe blisko 350.000 wyborców (liczba ta wynosi 6,5% wszystkich wotujących) podających głosy za kandydatami demokracyi socyalnéj, zwróciły na nią baczną uwagę całego kraju. A najprzód zrobiono rzecz najłatwiejszą do zrobienia; prokuratorya rozwiązała obie organizacye a zarazem wszystkie gewerkszafty i fereiny, które miały z nimi stosunki. Energiczne wystąpienie policyi uprzątnęło jednę z przeszkód do zlania się obu odłamów socyalizmu w jednę całość, bo zniosło owe stanowiska naczelne z których zapewne mało kto by chciał ustąpić aby iść pod czyjeś rozkazy; do tego przyłączyły się przyczyny inne: agitacya przedwyborcza prowadzona wspólnemi siłami była już pierwszym polem zbliżenia, deputowani w sejmie znaleźli się w małéj grupie w obec nieprzyjaznych sobie wszystkich stronnictw politycznych, musieli więc trzymać się razem, porozumiewać między sobą, co nastręczyło im nie jeden powód do zbliżenia się osobistego, a że Liebknecht i Bebel byli jeszcze w więzieniu więc grupę deputowanych składało osób siedm, a pomiędzy nimi nie było nikogo coby większémi talentami lub większą popularnością mógł budzić zazdrość lub podejrzenia w towarzyszach, wszyscy oni stali na równym stopniu mierności umysłowéj, bliższa zażyłość a co za tém idzie i zaufanie wzajemne zaczęły się między nimi przejawiać. Że zaś grupa Ejzenachska daleko sprężystszą czynność rozwijała, zręczniéj umiała prowadzić propagandę, umiejętniéj posługiwała się pismami peryodycznémi, które pod jéj wpływem mnożyły się w rozmaitych miejscowościach; lassalczycy zaś trzymali się razem tylko pamięcią mistrza, i powtarzanémi jako dogmat wiary przedśmiertnémi jego słowami. „Związek powinien trzymać się organizacyi, ona jedna da mu zwycięstwo,“—więc chociaż lassalczycy liczebnie byli liczniejsi, ale tylko nazwiskiem już bodaj i formami organizacyi różnili się od komunistów, pojęcia coraz bardziéj zbliżały się ku sobie, a z tém usuwały się powody do zaciętych sporów. Wszystko to razem działało tak skutecznie, że już w jesieni tego roku od lassalczyków wyszły propozycye zgody i zlania się w jednę całość. Liebknecht uwolniony z więzienia chwycił się tego oburącz, dla formy i przyzwoitości porobił niektóre ustępstwa, Hazenklewer przystał na nie i zwołano na maj rok 1875 kongres do Gotha w celu przeprowadzenia ostatecznych układów.

Wedle umówionych zawczasu warunków nastało tutaj zlanie się w jednę całość obu odłamów socyalistów, obliczono dokładnie siły, okazało się, że w dotychczasowych stowarzyszeniach było 25000 ludzi płacących składki i ulegających rozkazom komitetów. Liebknecht ułożył program i statuta nowego postępowania, przyjęto dla wszystkich razem nazwanie urzędowe „partyi demokracyi socyalnéj“

wyrzeczono się nadal wszelkiego organizowania się cząstkowego, urządzono się jako stronnictwo polityczne w cesarstwie niemieckiem, które narówni z innemi partyami weszło w używanie legalne praw ogólnych, agitując przy wyborach tak samo jak inne stronnictwa i szerząc zasady swoje jako program polityki wewnętrznéj, który miał prawo wyrażać się w sejmie. Nie obeszło się wprawdzie bez małych odszczepieństw, kilka nielicznych grup nad Renem i w Saksonii, przyjętych czcią fanatyczną dla pamięci Lassala i wiarą w jego nieomylność, chciało wytrwać przy jego nauce, probowały wydawać ulotne pisemka, ale były one tak drobne, że nowy kongres partyi z łatwością doprowadzał ich do posłuszeństwa, albo spychał na stanowisko nic nie znaczące. Pismo Liebknechta „Volksstaat" przechrzczono na „Vorwärts" i uznano za organ urzędowy partyi.

Propaganda bardzo czynna działała coraz skuteczniéj. Przesilenie przemysłowe i handlowe zawsze jeszcze ciążyło nad ziemią niemiecką, a w skutek tego biéda coraz gorsza grasowała wśród klasy wyrobniczéj i coraz więcéj zwolenników napędzała demokracyi socyalnéj. W roku 1877 środki propagandy partya obliczała nie małe: służyło jéj 150 dobrze wyćwiczonych agitatorów, mówców i redaktorów, miała swoich 41 pism peryodycznych a pomiędzy niémi jedno ilustrowane „Die neue Welt" o 40.000 prenumeratorów, drukarń posiadała 14, kalendarza partyi „Der arme Konrad" drukowano 50.000 egzemplarzy; skutki téj naprawdę poważnéj działalności okazały się przy wyborach do sejmu w r. 1877. Deputowanych stanęło w sejmie wprawdzie tylko 12, ale za kandydatów socyalnych oddano przy wyborach głosów 493.285, co stanowiło 9,1% wyborców rzeczywiście wotujących. Głosy te rozproszone po całym kraju, w wielu miejscowościach pozostały w mniejszości. Jeżeliby wyborcy wyznania socyalistycznego grupowali się odpowiednio do sił innych stronnictw mogliby mieć w sejmie 35 deputowanych, bo liczebnie w kraju całym jako stronnictwo polityczne zajmowali wówczas trzecie miejsce, ustępowali pierwszeństwa tylko liberalnym narodowcom i katolikom, równoważyli prawie zachowawców, a znacznie przewyższali postępowców i wolno-zachowawców (freiconserwativ).

Marzenie Lassalla o poważnéj mniejszości w sejmie, pędzącéj prawodawców na drogę reform społecznych, zdawało się już bliskiém urzeczywistnienia, a to tém bardziéj że w tym samym roku udało się socyalistom dostać się do paru sejmów krajowych i prowincyonalnych (Saksonia, Gera) a także do rad miejskich i do nadzorów kościelnych. Weszli więc w pełne używanie wszystkich praw politycznych na równi z innemi stronnictwami w kraju, zaaklimaty-

zowali się zupełnie, ludność cała oswoiła się z nimi, przestali być czemś wyjątkowém, osobliwością podziwienie lub postrach budzącą. Nie mieli jednak pomiędzy sobą żadnego polityka wyższego rzędu, któryby potrafił usiłowania ich skierować na jedynie skuteczną drogę prawodawstwa praktycznego. Posłowie ich wnieśli projekt do prawa „opieki nad robotnikami“, ale zarzucają im że projekt ten dosłownie prawie skopiowali z przepisów angielskich i szwajcarskich, nie mozoląc się nad zastosowaniem go do miejscowych warunków życia i okoliczności, wśród których rozwija się przemysł niemiecki. Co prawda socyaliści niemieccy mało zdają się zajmować studyowaniem życia ludu niemieckiego, dotychczas główną ich robotą jest tłómaczenie i popularyzowanie twierdzeń Marxa, opartych wyłącznie na badaniu przemysłu angielskiego, badaniu pilném i niewątpliwie głębokiém, ale zawsze jednostronném, bo tylko złe, tylko ujemne strony tego przemysłu zdają się przemawiać do umysłu Marxa i dostarczać mu materyału do teoryi jego o kapitale i pracy. Projekt do prawa wniesiony na sejm przez deputowanych demokratów socyalnych nie był przez nich ani motywowanym ani bronionym dostatecznie i zatonął téż w biórach komisyj sejmowych.

Statystyka wyborów r. 1877 stwierdza jednakże opinią, że ruch socyalny niemiecki ma przedewszystkiém charakter opozycyi politycznéj, że masa ludzi niezadowolnionych ze stosunków politycznych w kraju garnie się pod chorągwie wodzów opozycyi najostrzejszéj. W miejscowościach gdzie opozycya przeciw systematowi rządowemu występuje w imię interesów narodowych lub religijnych, tam albo zgoła nie było głosów oddanych kandydatom demokracyi socyalnéj, albo niezmiernie mało: w Alzacyi i Lotaryngii, w Westfalii ani jednego, w Bydgoszczy 0,1%, w Poznaniu 0,4%, kiedy w Królestwie Saskiem było ich 38%, w Berlinie 39,2%, w Hamburgu 40%, w małych zaś państewkach Niemiec środkowych gdzie ludność przeważnie rolnictwem się trudni, a zatém mniéj przystępną być może wpływom socyalizmu, liczba stronników demokracyi socyalnéj wzrosła niepospolicie np. w księstwie Reuss linii starszéj stanowi 51,2% wyborców.

Wobec takiego powodzenia agitacya znacznie złagodniała, mając do utrzymania w kupie setki tysięcy ludzi, nie można było kwestyi społecznéj stawiać zbyt ostro, ani wyraźnie wskazywać ostatecznych celów komunizmu; na kongresie partyi odbytym jeszcze w ciągu tego roku Bebel uskarżał się na osłabienie zasad, na to, że agitatorowie polują na głosy wyborców i w tym celu, albo wymagania demokracyi socyalnéj przedstawiają ze zbyteczném umiarkowaniem, albo i wcale o nich nie wspominają. Znajdowali się za to ochotnicy,

którzy na swoję rękę starali się wlać nowe życie w agitacyą, wprowadzając ostro pobudzające materye, tak Most rozpoczął kampanią proponując jawne występowanie z kościoła i wyrzekanie się wszelkiego wyznania; niektórzy duchowni protestantcy, jak np. znany krzewiciel anti-semityzmu Stöcker, dając dowód większego zapału religijnego aniżeli biegłości politycznéj, wyzywał Mosta na dysputy publiczne, które zbyt wiele skandalu i rozgłosu sprawie téj nadały; dysputy prowadzone były nawet w zgromadzeniach wyłącznie z kobiet złożonych, nie nawróciły jednak bodaj nikogo, bo tylko gorące i zapamiętałe zwolenniczki bezwyznaniowości zjawiały się na zebraniach.

III.

W ciągu tego samego r. 1877 komuniści napełnili raz jeszcze Europę rozgłosem dysput o zasady i obudzili obawę o zmartwychpowstanie międzynarodówki. Wspominaliśmy już o tém, że po rozmaitych krajach europejskich pod hasłem komunizmu zawiązywały się najróżnorodniejsze organizacye, w których dobijano się przedewszystkiém rozmaitych celów miejscowych, a że sama doktryna komunizmu od r. 1872 rozpadła się była na dwa wielkie odłamy, na czele których stali Marx i Bakunin. Bakuniści w Niemczech nie mieli zgoła zwolenników; stowarzyszenie ich zawiązane w Szwajcaryi, miało niejako charakter protestu ludów rasy romańskiéj przeciwko przewadze germańskiego ducha, jednakże ani w Szwajcaryi ani we Francyi nie słychać było o ich skutecznéj czynności; za to we Włoszech, w Hiszpanii, w Ameryce nawet byli bardzo popularni, a najruchliwszémi okazali się w Rosyi. Po śmierci Bakunina poczuli potrzebę rozpatrzenia się w swych siłach, skontrolowania czystości zasad, ożywienia swego stronnictwa, jakoż zarządzili w tym celu w pierwszych dniach września kongres powszechny komunistów z całego świata w Gandawie. Na 9 września stawiło się tam 46 delegowanych rozmaitych narodowości, chociaż z bardzo wątpliwemi mandatami. Liebknecht, upoważniony przez swych niemieckich współwyznawców, stanął tam jako obrońca zasad i pojęć Marxa, James Guillaume, rodem ze Szwajcaryi, bronił anarchistów. Kilkanaście kwestyj przekazano dalszym studyom, a spór głównie toczył się o jedyną zasadę: rząd czy anarchia? Stronnicy Marxa twierdzili: że państwo, czyli rząd jako reprezentant państwa, być musi właścicielem ziemi, kapitału, materyałów i narzędzi do pracy; uczniowie Bakunina dowodzili, że wszystko to powinno być własnością pewnych grup wolnych robotników, które się same ukonstytuują; chodziło o zdecydowanie téj

kwestyi. Liebknecht, a raczéj De Paepe, belgijczyk, który w dyskusyi po francusku prowadzonéj rozwijał argumenta Marxa, stawił twierdzenie: że anarchia nie doprowadzi do niczego, w niczém bowiem nie zmienia dzisiejszych warunków produkcyi, a podstawując grupy w miejsce pojedyńczych osób, tylko uświęca konkurencyą i dodaje jéj sił nowych. Guillaume zaś rozwodził się nad tém, że komunistyczne państwo przyszłości to niewola, jakiéj nie widziano dotąd na świecie, jakiéj nie wymarzyła fantazya ludzka. Obadwaj mówcy mieli niewątpliwie słuszność w tych zarzutach, bo każdy z nich stawał na punkcie skrajnym pojęć ludzkich; ale pomiędzy témi dwoma biegunami, swobodą nieokiełznaną a niewolą, od początków cywilizacyi rozwijają się prawa, instytucye, obyczaje i same pojęcia ludzkie o prawach i obowiązkach; nauka zaś komunizmu trzymając się na jednym lub drugim ze skrajnych punktów usiłuje dyalektyką i abstrakcyami zastąpić stosunki realne życia praktycznego i porusza się w próżni. Kilkodniowe spory nie mogły doprowadzić do porozumienia, na zakończenie postawiono wniosek, który miał pogodzić wszystkich, a przyjęty był większością tylko kilku głosów, mianowicie: „Państwo reprezentuje i obejmuje sobą cały lud, ono ma być właścicielem ziemi i wszelkich narzędzi pracy, w nim zaś organizują się swobodnie gminy wolne.“ Jak dokazać téj sztuki, żeby gminy organizowały się swobodnie i pozostały wolnemi w państwie, które do wszystkiego ma prawo własności? — nad rozwiązaniem téj zagadki kongres już nie pracował.

Za to zgodzono się jednomyślnie, że przekształcić społeczeństwo można tylko siłą i gwałtem, ale w praktyczném téj rzeczy pojmowaniu przejawiły się znowu różnice w opiniach. Marxiści biorąc udział w czynnościach politycznych, mają nadzieję w ten sposób dobić się kiedyś w każdym kraju większości, dojść do władzy i wtedy siłą przerobić porządek społeczny. Bakuniści nieuznają żadnéj roboty legalnéj, a ciągłémi wybuchami rewolucyjnémi chcą dla swéj sprawy przygotować i wyćwiczyć wojsko, któreby w dniu stanowczym w sile poważnéj mogło stanąć do walki z porządkiem legalnym. Tu znowu praktyczniejsi Niemcy zarzucają: że ciągłe podszczenie do wybuchów rewolucyjnych wzmacnia tylko reakcyą, zapędza pod jéj chorągwie wszystkich co mają znaczenie, wpływ, środki działania, a przez to odżywia ją i nowych sił jéj dodaje. Anarchiści zaś dowodzą, że biorąc udział legalny w robotach politycznych, trzeba myśléć o wyborach i wyborcach; zmusza to do ustępstw do kompromisów i doprowadza prostą drogą do skażenia czystości zasad i osłabienia energii pomiędzy swoimi. Ostatecznie kongres postanowił: że proletaryat, jako partya organizowana, powinien uży-

wać wszelkich środków politycznych dla dobicia się emancypacyi społecznéj. Anarchiści nie chcieli na to przystać, a widząc się w mniejszości, oświadczyli: że obecnie różnica w zasadach jest zbyt wielka ażeby można było dojść do porozumienia, obie frakcye muszą więc pozostać każda przy swojém, co jednak nie ma im przeszkadzać szanować się wzajemnie i żyć pomiędzy sobą w zgodzie, jak to zwykli czynić, pomimo przeciwności w zdaniach, ludzie uczciwi i przyzwoici.

* * *

Powodzenie polityczne demokracyi socyalnéj zwróciło na siebie uwagę ks. Bismarka, przedsięwziął on zabrać się na seryo do uspokojenia umysłów w Niemczech i zażądał od sejmu praw wyjątkowych przeciw socyalistom. Sejm odrzucił podane sobie projekta do praw; wkrótce potém dwa zamachy na życie cesarza Wilhelma, zwróciły w inną stronę prądy opinii; sejm został rozwiązany, przy nowych wyborach rozpadła się partya liberalnych narodów, wszechwładna dotąd w parlamencie; ks. kanclerz odwrócił od niéj swoje oblicze i rozpoczął zabiegi około sformowania nowéj, zdatnéj do rządzenia partyi.

Nowy sejm wotował chętnie prawa przeciw socyalistom, skutkiem ich było: że ucichła wszelka głośna propaganda. — Czy ustała? Niewątpliwie nie. Liebknecht zaraz po kongresie gandawskim zastrzegł się, że ustanowione tam „Zjednoczenie socyalizmu międzynarodowego“ nie jest bynajmniéj wskrzeszeniem międzynarodówki, któréj czas jeszcze nie nastał, ale zarazem tłómaczył szeroko, że taktyka demokratów socyalnych niemieckich służyć musi za wzór do naśladowania komunistom całego świata, że oni sami uznani już są za wodzów proletaryatu w walce jego z tysiącletnią kulturą. Nie zdaje się być zbyt śmiałym wniosek, że ludzie, którzy swych zwolenników liczyli na setki tysięcy, nie łatwo ustąpią pod naciskiem prokuratury, stosującéj chociażby wyjątkowe prawa wśród „małego stanu oblężenia.“ To tylko zdaje się być pewném, że o ile ucichła propaganda jawna, o tyle musiała wzmagać się tajna; jakiemi zaś drogami ona obecnie chodzi, tego naturalnie wiedzieć nie możemy. Ale kiedy na wyborach r. 1878, pod wrażeniem zamachu na życie cesarza, mało kto z socyalistów dostał się do sejmu; po trzyletnim działaniu praw wyjątkowych, po zamknięciu mnóstwa dzienników i pisemek socyalistycznych, po wygnaniu lub ucieczce z kraju wielu przywódców, na ostatnich wyborach w listopadzie r. 1881 już 13 deputowanych od demokracyi socyalnéj znalazło się w sejmie.

Ks. kanclerz nie omieszkał chwycić się innych środków, sam podejmuje się opieki nad robotnikami i rozwiązanie, a przynajmniéj kierownictwo kwestyi socyalnéj chce utrzymać w ręku rządu. Dotychczas projekta jego w sejmie powodzenia nie miały; przy rozbiciu się stronnictw liberalnych na grupy mniéj liczne, przy małéj liczbie posłów stronnictwa zachowawczego, a dość znacznéj sile katolików, projekta te zapewne o tyle będą przyjęte, o ile kanclerz potrafi zjednać sobie partyą środka. Rząd, wszedłszy raz na drogę reform społecznych, sam z własnéj woli zatrzymać się na niéj bez wątpienia nie będzie już mógł, dzisiaj zaczyna od projektów zabezpieczenia losu robotników w wypadkach nieszczęścia i zapewnienia im na starość wypłat emerytalnych, ale daléj będzie musiał organizować coraz to nowe pomoce, droga to trudna i daleka, nawet najbystrzejszy i najenergiczniejszy polityk w Europie nie łatwo sprosta temu zadaniu. Siła okoliczności i przekonania polityczne ks. kanclerza zdają się prowadzić go na drogę, na którą Marxa zaprowadziła analiza i krytyka, zdają się popychać go do organizowania wszechwładnego państwa, któreby pochłonęło w siebie wszystkie funkcye życia społecznego.—Czy takie państwo jest możebne? Nim przyszłość pokaże co na téj drodze w końcu wieku dziewiętnastego stać się może, przeszłość uczy nas, że wszelkie sztuczne urządzenia ekonomiczne, najczęściéj doprowadzają do skutków przeciwnych tym, które osiągnąć usiłowano; bogactwo narodowe, którego obfite plony mają być sprawiedliwiéj dzielone, wymyka się z rąk dzielących, rozwiewa się w nicość, a urządzenia, które miały nieść dobrodziejstwa, doprowadzić mogą ludy do zubożenia. Dużo i słusznych zarzutów wypowiedziéć można przeciwko absolutnéj swobodzie w stosunkach ekonomicznych, samopomoc może nie mieć siły dostatecznéj dla wyrwania z nędzy lub biédy człowieka, który oprócz rąk dwojga nic nie posiada, ale tém mniéj można mieć nadziei, aby on żyć potrafił o własnych siłach, jeżeli się siły jego skrępują przepisami, a los jego zależéć będzie od organów wykonawczych wszechwładnego państwa, chociażby ono nosiło nazwę i cechy państwa socyalnego.

A. Oskierka.

WYSPY NUKUORO

(Z PODRÓŻY PO OCEANIE WIELKIM).

Pomiędzy grupami archipelagu Karolin wielkich, jedną z najbardziéj interesujących pod względem etnograficznym, jest grupa wysp zwana po krajowemu *Nukuoro* i znana jeszcze pod nazwą wysp *Montevezda*, od żeglarza tego nazwiska, który ją odkrył w r. 1806. Grupa ta leży na 3°51' Szr. półn. i 155°2' dłg. ws., 115 mil ang. na południo-wschód od wysp Mortlocka.

1.

Krajowcy zwą wyspę główną swéj grupy: Nukuoro i tém samém mianem obejmują ogół wysp całéj grupy, która jest atolem koralowéj formacyi i która w niczém się nie odróżnia od reszty wysp archipelagu całego, chyba tylko swą drobnością i odosobnieniem od innych grup.

Laguna grupy jest okrągłą i niedochodzi dwóch mil angielskich w przecięciu, rafa obwodząca lagunę ma na sobie czterdzieści ośm wysepek, które się głównie skupiają na trzech wschodnich stronach, tak że strona zachodnia jest ogołoconą. Wejście do Laguny znajduje się na południowo-wschodniéj stronie rafy, a nie na zachodniéj, jak dotąd mniemano Idąc od passażu na północ, nazwy pojedyńczych wysp są następujące:

1. Se nutu itai	7. Te motu	13. Palaijasi
2. Mohili ni atua	8. Oahu sisi	14. Motu owcka
3. Masakumani	9. Pakhau	15. Paonga
4. Nukuoro	10. Sungau oahu	16. Oahu roroa
5. O taha mana	11. Tuita	17. Motu no otura
6. Ratii	12. O hatu kanae	18. Oahu e tolu

19. Motu o wae
20. Te ahu
21. Te ahu
22. Te ahu
23. Te ahu
24. Te ahu
25. Sapinimatohu
26. Motu potai
27. Motu i tua
28. Oahu i lota
29. Tahanga rou
30. Tahanga tapu
31. Oahu rekareka
32. Masakumani
33. Niu rekisa
34. Oahueranni
35. Tolu na hale
36. Tala kei wao
37. Motu ija
38. Motu nni
39. Namo i lotoa
40. Oahu otika
41. Kapiniwele
42. Talai namo
43. Te nuga a kelekele

Dotąd wyliczone wyspy są na Wschodzie i Północy Zachodnia rafa jest bez wysp. Na Południu znajdują się:

44. Mokelekele ilaha
45. Oromoanga
46. Te ahua
47. Mokelekele i loto
48. Kausema

Nazwy wymienionych tu wysp świadczą już dostatecznie o pochodzeniu ich mieszkańców i przy pobieżnéj nawet znajomości języków Oceanu Wielkiego, łatwo poznać żywioł polinezyjski, przedstawiający się nam tutaj na samym skraju Mikronezyi. „Motu“ znaczy w języku samoańskim i otahajskim: wyspa. „Ahu“ znaczy w otahajskim języku, kupę nagromadzonych kamieni albo wyspę, wysepkę małych rozmiarów na rafie koralowéj (w samoańskim języku „a'au,“ znaczy rafę koralową). „Nuku“, w tongańskim języku także „Nuku“ np. Nukualofa na Tongatapu, głównéj wyspie królestwa Tongu (wysp przyjacielskich), „Nu'u“ na wyspach Samoa, oznacza miejsce, wieś, kraj. „Nui“, „rou“ i „loa“ wyraża wielkość we wszystkich narzeczach polinezyjskich, „Unga“ oznacza żółwia; Kelekele, w samoańskim „ele ele“ znaczy: ziemię, piasek (np. Te unga a kelekele wyraża, żółw na piasku, albo wyspę gdzie żółwie wychodziły lub wychodzą na ląd). „Hale“ w samoańskim „fale“ dom; „i tua“ tylny; „i loto“ wewnętrzny; „tolu“ „tny“ i „talai“ w tongańskim języku, ogładzony, obtarty np. na rafie koralowéj falą morską, i t. d. Nazwy wszystkich wysp są złożone i zachowały swe pierwotne, każdému krajowcowi zrozumiałe, znaczenie i powyższe przykłady świadczą, że nazwy te przybyły z południa, z Polinezyi. Kilka nazw, jak np. Namo i lotoa i Kapiniwele przypominają nomenklaturę geograficzną mikronezyjską.

Z powyżéj wymienionych wysp, tylko wyspa główna Nukuoro jest zamieszkaną, pozostałe wyspy są rozdzielone między ogół mieszkańców, liczebnie bardzo ograniczony.

Ponieważ ogólna geologiczna budowa tutejszego atolu zgadza się zupełnie z innemi atolami Karolin, przeto wypada tu tylko wspomnieć nieco o faunie i florze tutejszéj. Ta ostatnia odpowiada florom

innych atolów. Chlebowe drzewo znajduje się obficie na wschodniéj stronie atolu, ale to tylko w jednym gatunku, (Art. integrifolia) którego owoce mają wielkie nasiona kształtu kasztanów. Z innych drzew dających pokarm a rosnących dziko, znajdują się pandau i aroworost. Pod pieczą człowieka rośnie tu kilka gatunków tara (Pula i Taro), banany (te huti) i zupełnie wyjątkowo na wszystkich wyspach koralowych, kurkuma (te ango). Identyczne nazwy dla drzewa chlebowego (te huru), dla tara i kurkumy z samoańskiemi: „ulu", „pula", „talo" i „lenga", dowodzą że Nukuorczycy przynieśli znajomość tych roślin ze swéj południowéj ojczyzny; tak samo, jak i zgodność nazw dla innych drzew, np. „hutu" dla Barringtonia, „hau" dla Hibiscus „milo" dla Thespesia Siliacaea, z samoańskiemi: „futu", „fau", „milo" na jeden i ten sam początek obu ludów wskazuje. Nazwa „te huti" dla bananów przypomina nazwy z wysp Mikronezyi, gdzie np. na Ponape, zwą się „ucz" a na wyspach Ruk „ut".

Świat zwierzęcy jest bardziéj ograniczony niż na innych grupach koralowych. Z ssących znajduje się tylko szczur (tiki moa) a braknie Pteropusa i Emballonury znajdujących się na wyspach Mortlocka. Z ptaków lądowych znajdują się tylko trzy gatunki: Carpophaga oceanica (te manu kono), Calomis Kitlitsii (te móso) i Calamoherpe syriax (te manu i te pua). Z ptaków morskich znajdują się: Strepsilas (te kiwi kiwi), Ardea sacra (te kaka), Numenius (te kewe), Actitis (te kuriri), Charadrius (te turi), Tachypeles (te kataha), Phaeton (te tawaha), Anous stolidus (te ugongo) Anous temirostris (te rakija), Stema melanauchen (te tala), Stema Bergii (te ake ake), Gygis alba (te lepita) i Dysporus (te kajruru). Kura była tu pierwotnie nieznaną.

Z gadów znajdują się dwa gatunki żółwia: unga kea i laumei, odpowiadające żółwiom reszty wysp i z których pierwszy daje szyldpat handlowy i kilka gatunków małych jaszczurek takich jak na innych wyspach, z których Lygosoma, zwie się po krajowemu „te tupula." Gekonów reprezentowanych na wszystkich innych wyspach, tutaj niema.

W ryby laguna nukuorska obfituje i wykształcili krajowcy rybołówstwo u siebie do wysokiego stopnia, tak że wraz z krajowcami wysp pelanskich, należy ich zaliczyć do najlepszych rybaków archipelagu.

Mieszkańcy wysp Nukuoro choć niewątpliwie pochodzenia zmięszanego, zachowali swój typ pierwotny, polinezyjski, nie tylko w mowie ale i w ogólnym zewnętrznym wyglądzie ciała. Są oni w ogóle silniéj i piękniéj zbudowani, niż inni wyspiarze archipelagu. Mężczyzni przechodzą często 6 stóp wysokości, kobiety odznaczają

się silną budową i skłonnością do nabierania tuszy, nigdzie nie spotkanéj na sąsiednich wyspach. Barwa czoła jest więcéj jasno niż ciemno-brunatną, odznacza się gładkością i miękkością rasy polinezyjskiéj. Włosy są przechodnio obfite, czarne i dosięgają u mężczyzn do pasa. Krajowcy odróżniają „te lau soe“, włosy proste, i „te lau hati hati,“ włosy kędzierzawe, które to odróżnienie znajduje się na wszystkich wyspach Oceanii bez względu na pochodzenie mieszkańców. Zarost na twarzy bywa czasami silnym ale jest zawsze rzadkim, i rozwija się bardzo późno. Zarost na ciele jest silnym i wbrew zwyczajowi innych wyspiarzy, nukuorczycy pielęgnują go pod pachą i na częściach rodnych.

Czaszka nukuorczyków odznacza się krótkością i pod tym względem wskazuje swe zbliżenie do rasy samoańskiéj. Rezultaty mych pomiarów czaszkowych dały mi wskaźnik 79.1—80.8, stosunku długości do szerokości, czego niepodobna napotkać na pozostałych wyspach Mikronezyi, z wyjątkiem jednych wysp pelauskich, których mieszkańcy zdają się również być krótkoczaszkowymi.

Twarz nukuorczyków przedstawia typ dwojaki. Jedna forma jest krótką i okrągłą, z rysami w ogóle grubémi, nosem płaskim, ustami szerokiemi; druga jest długą, owalną, na dole śpiczastą. Obie formy odznaczają się wielką szerokością licową.

Oczy są zawsze barwy ciemno brunatéj, położenie ich jest bardzo skośne; w rzeczywistości skośne to położenie oczu jest wyraźniejszém i częstszém na Nukuoro, niż na innych wyspach archipelagu. Zęby odznaczają się białością i regularnością budowy i zajmują pierwsze miejsce na Karolinach.

2.

Mieszkańcy wysp Nukuoro są wyraźnie polinezyjczykami i opierając się głównie na ich mowie, pierwotnéj ich ojczyzny należy szukać pomiędzy Samoa i Rarotonga. Mniemanie takie znajduje poparcie w tradycyi, podług któréj nukuorczycy wywodzą swój początek z wyspy Nukuhetan (Nukufetan, jedna z grup wysp Tokelan albo Ellice, na północo-wschód od Samoa i zaludniona przez Samoańczyków), zkąd przybyli pierwotnie pod dowództwem swego naczelnika Wawe (vave znaczy, prędki, szybki) i jego brata, w dwóch czółnach. Całe swe urządzenie społeczne przypisują krajowcy tym dwóm naczelnikom pierwotnym, którzy są jeszcze dzisiaj ubóstwiani i mają w publicznem Marae (rynku) swe posągi albo obrazy. Innym z dowodów tego pochodzenia polinezyjskiego jest od pierwotnych czasów

datująca znajomość wysp rozmaitych jak: Nanumea, Nanumanga, Tonga, Tongatapu, Rarotonga, Ruaniwo, Rotuma, Hiti, Tapiteuwea, Rapoi, które wszystkie dają się utożsamić z rozmaitémi wyspami Oceanu Południowego. Z północnych wysp były krajowcom znane: Katao, Pingilapa, Natiki, Ponepe, Paheini, Makeni, Noto, Pahila-melangi, Rueatuhenai i i..

Z ostatnich wysp „Katao" ma być wysokim lądem, leżącym poza Ponape, co zdaje się wskazywać na wyspę Stronga, zwaną na Ruk „Ażan", albo po krajowemu „Kusaja." „Pahila me langi" musi być, sądząc po wskazanym kierunku, karolińskiém „Pikiram", gruppą wysp na zachód od Nukuoro, nazwaną wyspy Greenwich, a po krajowemu „Kapeneilong." „Rua utuhenai" i „Noto" mają być nie daleko od „Makeni" (Mukin w grupie Kingsmilla).

Bezwątpienia część tych nazw została przyniesioną do Nukuoro przez czółna zaniesione, przez prąd morski, świadomość o których zachowała się w części w pamięci ludzi. Przypędzanie takowe (tahea, w samoańsk. tafea) musiały być częstemi, gdyż nietylko że dla czółen takich istnieje oddzielna nazwa: „se waka (czółno) raro (z pod) te langi (nieba)", i dla przybyszów taką drogą: „Kan mai waka (z czółna)", ale wielka liczba takich przypędzeń bywa jeszcze dzisiaj przypominaną. Wyliczam tutaj niektóre:

1. Czółna z Noto i z Makeni (w archipelagu Kingsmilla) z krajowcami obojga płci, przybyły tutaj raz za czasów naczelnika „Temanea". Zostali oni przyjęci przyjaźnie i niektórzy z mężczyzn pożenili się z kobietami nukuorskiemi i mieli potomstwo. O tych przybyszach tradycya mówi, że dwóch mężczyzn i jedna kobieta, zabili jednego mieszkańca krajowego w ten sposób, że wbili mu kość zaostrzoną śpiczastą w poza oko i oświadczyli, że został zabity przez spadający orzech kokosowy. Jeden z towarzyszy, krajowiec z Mukin, który był obeznany z tym sposobem zabijania, odkrył prawdę i mordercy zostali skazani na wypędzenie na otwarte morze. Syn jednego ze skazanych został przybranym przez naczelnika i potomstwo jego żyje do dnia dzisiejszego. „Wanga ma" była nazwa uratowanego dziecka.

2. W dawnych czasach przybyło kilka czółen z „Ponepe" (Ponape).

3. Z „Hiti" (Viti, wyspy rybackie) przybyło raz wielkie czółno podwójne (se hao rua) z wielką liczbą ludzi. Nukuorczycy wzbronili lądowania, dopóki liczba przybyszów nie zmalała na jednę dziesiątkę. Tym resztkom pozwolono się osiedlić i zmięszać z ludnością miejscową.

4. Z „Rua niwo“ przybyło jedno czółno, którego osadę przyjęto przyjaźnie.

5. „Taruesi“ (Dźjaludź, Bouham) dostarczyło jedno czółno.

6. „Nailo“ dało również jedno czółno.

7. Z „Medźjoro“ (wyspy Ratak w archipelagu Marshalla) przypędziło raz, w dawnych czasach jedno czółno, z osadą, która nauczyła nukuorczyków kilku jeszcze dzisiaj lubionych tańców. W ostatnich czasach przed 20 około laty, przypędziło inne czółno, na którém znajdowało się 12 mężczyzn i 6 kobiet. Z mężczyzn kilku pobrało żony na miejscu i żyją jeszcze dzisiaj, reszta rozbitków wróciła do swéj ojczyzny w 1872 na pokładzie okrętu „Matautu.“ Z obecnie na Nukuoro żyjących medźjowczyków, znanym mi jest osobiście jeden, nazwą Rangirangi. Od niego dowiedziałem się, że czółno ich miało na celu wyspy Ebou, ale uniesione prądem na Zachód, znalazło po kilkunastu dniach ławę piaskową na rafie, na któréj było kilka palm kokosowych (wyspy Bordelaise, St. Augustin). Tutaj zatrzymano się trzy miesiące i sądząc nareszcie, że pora przyjazna, rozpięto żagel, by się dostać do ojczyzny na Wschodzie. Silna burza złamała jednak maszt i czółno bezwładnie pędziło na Zachód i dosięgło po dniach pięciu brzegów Nukuoro.

8. Na miesiąc jeden przed ostatnim przypędzeniem z Medźjoro, przybyło czółno z Namoluk, z dziewięcioma krajowcami. Byli oni dostatecznie zaopatrzeni w żywność i odpocząwszy dni kilka, ruszyli napowrót na Ocean by szukać własnego kraju.

9. Z wyspy Sap, zwanéj tutaj „Sapa“ przypędziły czółna kilkakrotnie. Ostatnim razem było ich dwa. Jeden z dzisiejszych krajowców, około 25 lat wieku liczący, jest wnukiem jednego z przybyłych japczyków.

Oprócz wyżéj wspomnianych czółen wymieniane są jeszcze czółna: z Namunjesa, Talau, Rotuma, Orowalu, Katao, Pingilupa i Tarawa.

Owe uniesienie czółen prądem morskim zachowane w pamięci ludu, jest bardzo interesującą okolicznością i pomaga do zrozumienia stosunków panujących w zaludnieniu Karolin. Gdyby wszystkie wyspy Karolin pamiętały swą przeszłość, jak Nukuoro np., to historya Karolin byłaby nam znaną. Lecz na żadnéj z grup odwiedzanych przezemnie nie znalazłem tradycyi tak wyraźnych. Wszędzie interesa miejscowe, rozdział polityczny, wojny panujące pomiędzy pojedyńczemi rodami, zerwały solidarne poczucie i przeszłość zaginęła w chaosie teraźniejszości. Społeczeństwo nukuorskie jest tak drobném liczebnie i żyje w tak ograniczonym obrębie, że możnaby je nazwać jedną rodziną, przeszłość utrzymała się więc tutaj w pa-

mięci ludu, gdyż nie było tutaj wpływów zewnętrznych nieprzyjaznych.

O wyspach „Saloan“ mieli krajowcy tutejsi wiadomości pierwotnie, ale bytność wysp „Ruk“ była im nieznaną. Oprócz powyższych krajów, znane były przez pośrednictwo bogów nazwy krajów: Fale, Sawai, Sawaela, Matangi, Upolu i Osiwa. Jakkolwiek ogólna nazwa Samoa była nukuorczykom nieznaną i przyniesioną dopiéro przez białych, to jednak nazwy Sawai i Upolu wskazują, że pierwotni nukufetanczycy o swéj pierwotnéj ojczyznie słyszeli i że nazwy te uważane są jako przekazane przez bogów lub duchów, świadczy tylko, że od chwili ich pierwotnego wyjścia upłynąć musiało wiele czasu.

Tradycya o przybyciu z Nukufetan mówi, że dwa czółna z ludźmi płci obojéj przybyło do Nukuoro pod dowództwem Ko Wawe i jego brata. Nukuoro było niezaludnionem i nowo przybyli utrzymywali stosunki z dawną ojczyzną. Brat Ko Wawe, którego nazwa zaginęła, udał się do Nukufetan i potém do Rua niwa, gdzie został przez krajowców znanych z swéj bitności — zabitym. Ko Wawe udal się z swemi ludźmi do Rua niwa wyszukać brata, ale został odpartym i wrócił do Nukuoro. W powrocie jednak żeglarze zagubili drogę i bóg „te ariki tu i te rangi“ (naczelnik będący w niebie) w postaci ryby „tahola,“ oświadczył przez „Te akhu,“ ojca Ko Wawe, który był kapłanem bóstwa, że wtedy tylko wrócą do Nukuoro, jeżeli Ko Wawe się poświęci na ofiarę. By swych towarzyszy ocalić, Ko Wawe rzucił się w morze i duch jego wstąpił w słońce i czółno żeglując w kierunku tegoż przybyło nareszcie do Nukuoro.

Ko Wawe był pierwszym naczelnikiem nukuorskim i dzisiejsi naczelnicy pochodzą od niego. Duch jego jest bogiem, czczonym pod nazwą „Maurusanga“ w postaci kamienia umieszczonego na rynku publicznym. Te akhu, ojciec Ko Wawe, był pierwszym wielkim kapłanem Nukuoro (te ariki tako tonga) i od jego czasu do dzisiaj urząd ten piastowanym był przez 199 następców, których nazwy są zachowane w pamięci starszych ludzi i kapłanów.

Okoliczność ta, że tradycya wylicza dwieście kapłanów naczelnych imiennie, skłania do chęci oznaczenia czasu istnienia dzisiejszych nukuorczyków. W roku 1871 umarł przedostatni wielki kapłan a dwóchsetny z kolei, nazwiskiem Kàmi jest dzisiaj już lat dziewięć w urzędzie (piszę w 1880). Krajowiec nazwiskiem Rua, koło 30 lat mieć mogący, pamięta dziesięciu wielkich kapłanów. Urodził się on był za czasów kapłana Oraniia i następcy jego byli: Murieo, Pain, O hale khoelu, Rualle, Mangalo, Moung, Tipatohi, Taro i Suiia, po którym nastąpił wyżéj wzmiankowany Kami.

Chociaż ostatni kapłan Kami sprawuje swój urząd od lat dziesięciu, przecięciowe trwanie urzędu pojedyńczego kaplana jest daleko krótsze, gdyż np. w pamięci 30-letniego Rua było ich dziesięciu, co dałoby tylko lat trzy dla jednego. Tak krótki czas trwania tłómaczy się łatwo tém, że do urzędu „te ariki takotonga“ wybiera się najstarszy człowiek społeczeństwa, bez względu na pochodzenie i inne stosunki. Przypuściwszy więc, że każdy z owych dwustu kapłanów piastował urząd swój od 3 do 5 lat, to możemy śmiało przyjąć, że dzisiejsze Nukuoro zaludnionêm jest od lat 600—1000. Ominąwszy wszystkie przypuszczenia, któreby można oprzéć na tym rezultacie, jak np. stan Karolin i Samoa i innych wysp Oceanii w czasach pierwotnych, zadziwić się można, że nukuorczycy zachowali swój typ polinezyjski fizyczny i moralny bez zmiany, przez tak długi czas. Gdyż wziąwszy tylko połowę albo i czwartą część skrajnego czasu, więc lat np. 250, widzimy, że przymioty fizyczne polinezyjskie, pomimo obcéj domieszki (zresztą tylko podrzędnéj) okazały się dziedzicznemi i że krótkoczaszkowość samoańska się utrzymała, chociaż zwyczaj sztucznego nadawania formy przez obkładanie kamieniami został zapomniany.

Cała ludność wysp Nukuoro wynosi zaledwie 124 dusz, z tych 64 jest mężczyzn a 60 kobiet, w któréj to liczbie objęte są i dzieci. Ludność ta dzieli się na pięć klas, stanów albo części zwanych po krajowemu „te haka se alunga.“ Nazwy ich są: 1) Seheke, 2) Seala, 3) Se kawe, 4) Sehenga, 5) Setoro.

Prawdziwe znaczenie tego rozdziału trudno jest określić. Z okoliczności, że wszyscy naczelnicy i następcy, albo potomstwo pierwszego naczelnika Ko Wawe należą do stanu „Seheke“ należy wnosić, że nazwy te, przyniesione z pierwotnéj ojczyzny, odnoszą się do oddzielnych rodzin, których członkowie wzięli udział w pierwotnéj podróży i stali się w Nukuoro przewódcami nowopowstałego społeczeństwa. Każdy z tych stanów ma swe własne bóstwa, świątynie i kapłanów. Wszystkie uznają jednego naczelnego władcę ze stanu Seheke, którego tytuł jest „te areki toholiki;“ ten jest naczelnikiem świeckim. Oprócz tego istnieje tytuł: „te ariki tako tonga,“ to jest naczelnik duchowny, albo „te ariki sili“ t. j. naczelnik (pan) silniejszy, główny, który jednakże jak wyżéj wspomniałem, wybieranym jest obecnie z mężczyzn najstarszych wiekiem i nie ma bezpośredniego znaczenia politycznego. W każdym razie znaczenie pierwotne tego podziału społecznego zatarło się, gdyż dzisiaj ma ono znaczenie społeczne czysto dowolne. Członkowie obu płci jednego i tego samego stanu mogą się żenić między sobą i potomstwo ich należy do tego samego stanu. W małżeństwach mięszanych dzieci zostają dzie-

lone. Dziecko pierworodne należy do stanu ojca, następne do stanu matki i t. d. Ten rozdział społeczny odróżnia się od mikronezyjskich rodów, lub polinezyjskich familij (ainga) i wydaje się urządzeniem czysto miejscowém; z drugiéj strony owe wyraźne odznaczenie naczelnika duchownego, przypomina tytuły japońskie Mikado i Tajkuna albo stosunki pierwotne wysp Tonga, gdzie „Tui Tonga" najwyższy kapłan, był najwyższym naczelnikiem.

Ponieważ ludność nukuorska jest liczebnie tak ograniczoną i ponieważ doświadczenie ogólne dowodzi, że ludność Oceanu tutejszego z postępem cywilizacyi ginie i marnieje, załączam więc imienny wykaz ludności Nukuoro z 1878 roku. Może wykaz ten będzie pomnikiem ludu, pełnego interesu dla nauki, a zogrożonego zakończeniem swego istnienia, może dla przyszłego podróżnika i badacza skalą porównania.

Wykaz ludności wysp Nukuoro w roku 1878.

Stan Seheke.

Mężczyzni:

1. Sukilauporo
2. Rua
3. Rosele
4. Ohulisaki
5. Owejliki
6. Kawei
7. Taukiaitu
8. Ngakiia.

Kobiety:

9. Karena
10. Poro
11. Mane
12. Okualo
13. Paregatá
14. Saurudu
15. Osau
16. Oteheahamai.

Stan Seala.

Mężczyzni:

17. Wasai
18. Terohanga
19. Okami
20. Turanga
21. Osema
22. Mausiki
23. Tepua
24. Tahetonga
25. Osao.

Kobiety:

26. Teurutai
27. Atailiki
28. Sroro i le ala.

Stan Sekawe.

Mężczyzni:

29. Omatua
30. Teoro
31. Ohengaketeoro
32. Rapoto
33. Tuhunga
34. Kasura
35. Sapito
36. Fatauroma
37. Tolotua
38. Fanamo.
39. Teanga
40. Pua
41. Pelu
42. Taruma
43. Nukuangiangi
44. Teungaru
45. Tararo
46. Terausei
47. Sematara
48. Nakinga
49. Natanga
50. Torokisemau i.

Kobiety:

51. Kelimai
52. Otino
53. Teilimai
54. Uotekuru
55. Opouti
56. Tepale
57. Tirotemanga
58. Tepenu
59. Uatoro
60. Tausi
61. Katinga
62. Saniu
63. Taunui
64. Tosia
65. Teanea.

Stan Sehenga.

Mężczyzni:

66. Wadila
67. Kokata
68. Raoto
69. Mauototo

70. Opitaki
71. Tekenga
72. Maugina
73. Teataruo
74. Raunija
75. Tauurija
76. Kirikiri
77. Tejao
78. Pakira
79. Tapunga
80. Orasae
81. Apitara
82. Mangalo
83. Suka
84. Sapeni
85. Wakai
86. Mataman.

Kobiety:

87. Utehesutara
88. Hilisea
89. Urukitonga
90. Oatairaro
91. Maile
92. Takasipo
93. Pitoone
94. Osà
95. Tehakaane
96. Taualawa
97. Opaliki
98. Ooho kake
99. Rakau tapu
100. Rikengi
101. Nuuli.

STAN SETORO.

Mężczyzni:

102. Maewa
103. Majlapa
104. Hakamau
105. Kokaja.

Kobiety:

106. Pia
107. Sauwali
108. Matalima
109. Taromahauo
110. Pakuja
111. Teunahi
112. Kaunake
113. Matalahake
114. Hakatala
115 Olematau
116. Sejango
117. Olisé
118. Tarauake
119. Takaroma
120. Sauilangi
121. Oatutara
122. Osina ihale
123. Mane
124. Otekarasa.

Powyżéj wymienione nazwy pojedyńczych krajowców są czysto polinezyjskie i są dalszym dowodem ich pochodzenia.

Jak wyżéj wspomniałem, nukuorczycy odznaczają się ogólnym wyglądem ciała bardzo korzystnie od innych mieszkańców Karolin wielkich. Że pomimo tego ludność jest tak nieliczną, należy chyba przypisać nieszczęsnemu zwyczajowi dzieciobójstwa, który tutaj ogólnie panuje do dnia dzisiejszego.

Warunki hygieniczne miejscowe są bardzo dobre. Chorób właściwych tym wyspom niema. Syfilis i choroba skórna podobna do ichthyosis, zostały wprowadzone przez białych lub sąsiednich wyspiarzy. Świerzby i wrzody na ciele, tak ogólne na innych wyspach także tylko w ostatnich czasach zaczęły się objawiać i to jedynie u dorosłych, i polinezyjskie „tona“ małe, bardzo bolesne wrzody pod podeszwami jest tu nieznaném. Elephantiasis arabum, tak ogólne na Oceanii, występuje tu słabo i tylko u mężczyzn, w postaci miernego nabrzmienia części rodnych pozostawiając wolnemi kończyny, które u sąsiednich wyspiarzy, np. już na Mortlock, nabrzmiewają do wielkości potwornéj. Kalectw przyrodzonych niema, np. ślepo lub głucho urodzonych, czasami natrafia się wymowa utrudniona.

Ubiór krajowców jest bardzo ograniczony. Mężczyzni noszą „malo,“ szeroki pas tkany z włókien bananów, przewinięty około bioder i między udami. Kobiety mają „titi,“ spódnicę krótką z liści kokosu. Reszta ciała zostaje bez ochrony i zwyczaj zakazuje po-

krywać się czemkolwiek w obrębie Nukuoro i w dzień. Na morzu i w nocy zwyczaj pozwala mężczyznom używać kapeluszy dla pokrycia głowy.

Zbytnią czystością ciała nukuorczycy się nie odznaczają. Kąpią się oni czasem w wodzie morskiéj ale to tylko gdy mają zapas wody deszczowéj by się opłókać, gdyż jak na wszystkich innych wyspach, krajowcy tutejsi mają wstręt do wody słonego morza. Gdy jednakże krajowcy używają bardzo oleju i kurkumy do swéj toalety, przeto wygląd ich nie jest tak niechlujnym jak niektórych innych wyspiarzy np. rukczyków.

Włosy bywają zawsze noszone długo i mężczyzni wiążą je w węzeł podwójny, kobiety w pojedyńczy, zawijając go na wierzchu głowy.

Ze sztucznego przyozdobienia ciała należy wspomnieć tylko przebijanie uszów i tatowanie. Otwór w uchu jest bardzo małym i służy tylko do wkładania zausznic podczas uroczystości, gdyż zwykle ozdób tych nie noszą. Tatowanie ma miejsce w stopniu bardzo ograniczonym i jest tylko u kobiet obowiązkowém i z licznemi ceremoniami połączoném. Tatowanie to obejmuje tylko wzgórek łonowy, na którym zostaje nakłutym mały płytki trójkąt, podstawą odwrócony do góry, kształtu załączonego szkicu (Fig. 1). Mężczyzni nie są obowiązani do tatowania i zwykle nakłuwają wzory drobne i dowolne. Tylko przy tatowaniu najwyższego naczelnika obserwowane bywają wszystkie ceremonie religijne tak samo jak i u kobiet. Rysunek w tatunku naczelnika jest bardzo prosty i stanowi pojedyńczą linią idącą przez barki i pierś, tak jak to widzimy na drewnianych bożkach nukuorskich.

Fig. 1.



Do tatowania służą grabki szyldkretowe (te au) i mały kawałek drzewa do uderzania (te tatau). Za czernidło służą sadze z palonéj żywicy (se toi), która tu falą morską przynoszona bywa.

W codziennym życiu swém krajowcy unikają strojenia się, tylko podczas religijnych uroczystości i z nimi związek mających tańców, nacierają się kurkumą i wkładają w ucho „te kai pinilapa,“ rodzaj ozdoby, przytém stroją swe włosy w sposób właściwy i przepisany na te uroczystości.

3.

Urządzenie polityczne społeczeństwa nukuorskiego przypomina pierwotne czasy na wyspach Tonga, gdyż najwyższa władza

rozdzieloną jest między dwóch naczelników: świeckiego i duchownego.

Władza naczelnika świeckiego, zwanego „te ariki hotoliki" jest w posiadaniu jednéj familii stanu Seheke i jest ona dziedziczną z ojca na dziecko, bez względu na płeć. Obecny naczelnik jest kobietą, nazwiskiem Kauna, która objęła tytuł po swéj matce Ohakapisa. Poprzednikami téj ostatniéj byli: jéj ojciec Teuruaki, jéj dziadek Teinaho, jéj pradziadek Suitaiporo, przed którym tradycya wspomina jeszcze ojca ostatniego Temanea i jego dziadka Oweliki. Zwyczaj stanowi, że naczelnik mianuje przed śmiercią swego następcę i wybór jego znajduje zawsze potwierdzenie. W razie bezdzietności, wybór paść może na brata lub siostrę lub inne pokrewieństwo, albo nawet na członka obcego familii, by tylko członka saalunga Seheke. Dzisiaj panująca Kauna niema syna i jest jeszcze niewiadomem czy wybór jéj padnie na jedną z jéj siostr lub z jéj córek.

„Te ariki sili" albo „ariki takotonga" przewodzi duchowieństwu i chociaż wpływ jego odnosi się wyłącznie do kultu religijnego, bywa mu dawaném więcéj poważania i czci zewnętrznie, niż naczelnikowi świeckiemu, który chociaż jest prawdziwym władcą, nie odbiera żadnych oznak zewnętrznych szczególnego uszanowania. W pierwotnych czasach urząd ten był piastowanym przez ojca lub starszego brata naczelnika świeckiego i niewytłómaczoném jest, zkąd powstał zwyczaj, że urząd ten obecnie oddawanym jest najstarszemu mężczyznie z trzech pierwszych stanów, t. j. Seheke, Seala i Sekawe. Ów naczelnik duchowny albo wielki kapłan, którego tytuł „sili," wyraża, że ma on być większym albo ważniejszym od „te ariki hotoliki" i który jest przewódcą wszystkich obrzędów religijnych, nie potrzebuje być z powołania kapłanem i zostaje w początkach sprawowania swego urzędu pod dozorem właściwych „tangata takotonga" t. j kapłanów, którzy go wtajemniczają w sekreta swego urzędu. W rzeczywistości znaczenie jego jest raczéj formalne, a prawdziwa władza spoczywa w ogóle kapłanów.

Władza naczelnika świeckiego była dawniéj i w niektórych razach jest jeszcze i dzisiaj nieograniczoną, lecz uważanym on jest jako „nie-takotonga" t. j. nie święty. Mniemanie ogólne przyjmuje, że nie potrafi on pośredniczyć i mówić do bogów, albo przynajmniéj nikt nie oczekuje od niego znajomości takiéj z mocy jego urzędu. W zgromadzeniach w świątyni, znaczenie jego jest równém znaczeniu wszystkich innych krajowców. Zwyczaj kłaniania się i inne oznaki zewnętrzne czci nie istnieją, jak również niema zwyczaju oddawać mu regularnego trybutu lub daniny z produktów lub owoców. Tak, że Kauna np. musi uprawiać z familią swą własną ziemię

i zapewnić sobie utrzymanie, gdyż jakiekolwiek samowolne wkroczenie na grunta swych podwładnych, zostałoby energicznie odpartém. Znaczenie prywatne naczelnika jest zupełnie oddzielone od znaczenia urzędowego i oba stoją po za obrębem pozorów religijnych. Po śmierci zwykłego krajowca zabronioném jest wzmiankować jego nazwisko i sam naczelnik podlega temu przepisowi; natomiast nazwisko wielkiego kapłana może być wymówioném. Możeby temu zwyczajowi należało przypisać tę okoliczność, że nazwiska wszystkich wielkich kapłanów zachowały się w pamięci ludu, gdy tymczasem nazwy naczelników zostały zapomniane i ledwie że istnieją w kilku ostatnich generacyach.

Gdy jednak naczelnik działa w duchu i w obrębie swego urzędu, ma on władzę nieograniczoną i religia staje mu się służebną i podporą, gdyż prawie wszystkie rozporządzenia naczelnika są mniéj lub więcéj połączone z „takotonga,“ t. j. z ceremoniami religijnemi, które mogą być wykonywanemi tylko przez kapłana właściwego, ale wykonanie których ceremonii, zależy jedynie tylko od woli naczelnika.

. Naczelnik jest nominalnie rozporządzicielem albo raczéj administratorem całéj ziemi, to jest gruntów, lecz władzę wykonawczą objął tutaj zwyczaj i ogół pospólstwa. Od najdawniejszych czasów ziemia została rozdzieloną pomiędzy familie i stała się dziedziczną w tychże, przyczém jednak woli ojca przed śmiercią, daną jest przeważne znaczenie. Ojciec dzieli swe grunta między potomstwo, albo daje je bratu, gdy jest bezdzietnym, albo zresztą może je dać zupełnie obcemu, jeżeli ten mu się szczególnie usłużnym i pożytecznym okazał. Matka odziedzicza ziemię od swych rodziców i albo rozdziela ją między dzieci, albo zwraca ją do swéj rodziny. Własność rodziców t. j. małżeństwa, pozostaje rozdzieloną i woli przedśmiertnéj dawaném bywa posłuszeństwo bezwarunkowe. W razie śmierci nagłéj np. na morzu, gdzie więc niema rozporządzeń co do własności i jéj podziału, najbliższy krewny, zwykle brat, obejmuje ziemię i wychowywa dzieci, przyczém jednak cały lud staje się opiekunem zwierzchnym i czuwa by prawom dzieci stało się zadosyć. Gdy najbliższy krewny znanym jest jako niechętny do zmarłego i jego dobréj woli względem sierot ufać niepodobna, wtedy obcy ludzie biorą dzieci do siebie i wchodzą w posiadanie ich gruntów aż do czasów dojścia ich do pełnoletności. Gdyby krewny chciał posiąść ziemię zmarłego, ku szkodzie jego dzieci, wtedy cała gmina staje w ich obronie i przywłaściciel zostaje z przyzwoleniem naczelnika karanym. W dziedzictwach takich synowie otrzymują zwykle grunta suche z palmami kokosowemi i chlebowém drzewem, córki zaś dostają plantacye tara, opracowanie których należy do kobiet.

Władza naczelnika polega w części na tém, że jemu wyłącznie przynależy prawo nakładania „tapu" t. j. zakazu na cokolwiekbądź, na czas dowolny. W używaniu tego prawa jednak naczelnik musi być ostrożnym i w rzeczywistości wykonywa je tylko w razach potwierdzonych przez zwyczaj i tradycye. Nie może on tutaj być dowolnym i „tapu" opiera się na przyczynach religijnych, nie zawsze zrozumiałych, albo na powodach, mających na celu dobrobyt ogółu. Dla tego „tapu" zachowuje swe znaczenie i jest wszechpotężném.

Do innych praw albo prerogatyw naczelnika, należą np. zakaz ścinania drzewa chlebowego w celu wykończania czółen, bez specyalnego pozwolenia naczelnika, który otrzymuje za takowe oddzielną zapłatę. Wszystkie żółwie złowione przez krajowców należą do naczelnika. Naczelnik oznacza czas uroczystości religijnych dorocznych objętych nazwą „takotonga" w ogóle. Uroczystości te miewają zwykle miejsce podczas żniwa t. j. tutaj—zbioru owoców drzewa chlebowego, czasu ciszy na morzu, a więc ogólnych połowów rybackich i są połączone z tańcami i zabawami publicznemi. Jest to czas ogólnéj uciechy i dostatku, którego użycie zależy jednak od woli naczelnika. Pomiędzy prerogatywami naczelnika, pozornie najgłówniejszym należałoby nazwać prawo rozstrzygnięcia losu nowonarodzonych dzieci. Lecz i tutaj władza jest mniéj dowolną, jak raczéj dyktowaną zwyczajem i okolicznościami. Np. dzieci zrodzone z kobiet, które jeszcze nieotrzymały tatowania są bezwarunkowo skazane na śmierć i temu prawu musiałaby uledz i sama Kauna, tak jak i rzeczywiście jedna z jéj córek straciła w ten sposób swe pierwsze dziecko. Gdy jednakże los wszystkich dzieci zrodzonych i po tatowaniu zależy do rozstrzygnięcia naczelnika, przeto wpływ jego na rozwój społeczeństwa jest wielki.

W rzeczywistości władza naczelnika nad życiem lub śmiercią nowonarodzonego dziecka jest dowolną, t. j. naczelnik może uratować od śmierci każde dziecko; lecz gdy zwyczaj dzieciobójstwa dla naszych pojęć tak potworny i nienaturalny, dyktowany jest tutaj warunkami bytu całego społeczeństwa tutejszego i głównie ma na celu przeszkodzenie albo zapobieżenie przeludnieniu ogólnemu i w szczególności, stara się zapobiedz, by familie biedne nie zostały obarczone za liczném potomstwem, przeto pozostał zwyczaj by urodzenie każdego dziecka miało miejsce pod szczególném „tapu" połączonym z długo trwającemi obrządkami, podczas których kobieta ciężarna musi być opatrywaną w żywność przez jéj familią dla niéj, dla bogów i dla kapłanów. Jeżeli więc kobieta jest zamężną, rodzeństwo jéj jest wstanie zadosyć uczynić wymaganiom zwyczaju; gdy jednakże jest biedną i rodzeństwo jéj nie wstanie dostarczyć potrzebnych

pokarmów, wtedy zależy to od naczelnika, czy zechce z własnych produktów utrzymać ją a tém samém jéj dziecka życie. Gdy jednak naczelnik z własną familią musi uprawiać własną ziemię, jak każdy inny krajowiec, przeto względom i uczuciom swoim musi kłaść pewne granice i ograniczać się w swéj pomocy, do bliżéj spokrewnionych rodzin tylko. Gdy więc naczelnik nie dostarczy swych krewnych by uprawiali „taro,“ główny artykuł żywności, kobieta musi sama pracować w swéj plantacyi i nie ma czasu podledz wymaganym ceremoniom (o których poniżéj) i dziecko jéj zrodzone po za „tapu,“ zostaje pozbawianém życia po urodzeniu, jeżeli nie zapobieżono temu przez przedwczesne spędzenie płodu.

Po obu wyżéj wymienionych naczelnikach, kapłani bóstw miejscowych stanowią najważniejszą część tutejszego społeczeństwa. Urząd kapłana jest dowolnie dziedzicznym w familii, t. j. ojciec wybiera jednego członka z swéj rodziny i obznajmia go z tajemnicami swego urzędu, który po śmierci ojca przechodzi do wybranego następcy. Kapłan pełny ma pewne szczególne bóstwo i świątynię temu wyłącznie poświęcony, taki kapłan zowie się „matai.“ Ogół ludzi mających zetknięcie z obrzędami religijnemi, aspiranci i kandydaci do urzędu kapłana, objęci są ogólną nazwą „tangata takotonga.“

Wpływ kapłanów musiał niegdyś być bardzo wielkim, gdyż jak to późniéj zobaczymy, prawie każdy krok codziennego życia był nieodłącznym od pewnych obrządków religijnych. Z czasem jednak wpływ ten musiał się zmniejszyć w społeczeństwie tak drobném i liczebnie codziennie się zmniejszającém. Wobec faktu, że nukuorczycy liczebnie tak nieliczni, żyją w pokoju przy obfitości żywności, owa wielka liczba religijnych praw i obrządków, musiała znacznie w praktyczném znaczeniu osłabnąć, szczególniéj od czasu, gdy agenci handlowi, pierwsi posłowie naszéj cywilizacyi, osiedlili się między krajowcami. Starali się oni zapobiedz dzieciobójstwu i zbytnim ofiarom religijnym, gdyż cywilizacya obraca oléj kokosowy na mydło.... a jéj handlarze szukają dolarów.

4.

Jeżeli w społeczeństwie przechodzącém ledwie 100 dusz i które zawdzięcza swe istnienie lecz niestety i swój koniec, swemu odosobnieniu od reszty świata, można mówić o polityczném urządzeniu się i rządzie, to należy go szukać raczej w tradycyi i zwyczajach ogólnych.

Nukuorczycy poczuwają się więcéj rodziną niż narodem. Żadne wpływy zewnętrzne nieprzyjazne, nie przerwały nici ich spokoj-

nego bytu. Nie znając wojny i kłótni społecznych, bronili się podług tradycyi przed przypędzonymi prądem krajowcami z Viti, drewnianemi dzidami, temi samemi które im służyły do łowienia ryb. Rozdział ludu na „ariki“ naczelników i na „tangata humuli“ zwykłych krajowców, rozdział na wyżéj wymienione stany są więcéj tradycyą niż rzeczywistością, gdyż w gminie liczebnie tak małéj sztuczne rozdziały społeczne utrzymać się nie mogły. Porządek społeczny łatwo się tu utrzymuje, gdyż każdy krajowiec jest świadomy zwyczajów i jest niejako strażnikiem ich zachowania.

Prawa i zakazy społeczne są tu objęte pod pojęciem „tapu“ i najgłówniejsze z nich są:

1. Niewolno z dzidą (do łowienia ryb) chodzić na lądzie.

2. Niewolno więcéj nad pięć sztuk takich dzid posiadać.

3. Niewolno wszczynać kłótni lub bijatyk.

4. W Nukuoro właściwém (wszyscy krajowcy żyją w jedném osiedleniu albo wsi, na południowym końcu wyspy Nukuoro położonéj) zakazanem jest: robić hałas, chodzić w nocy z ogniem, ciskać kamienie z brzegu wewnątrz osiedlenia.

5. Niewolno stać lub leżéć w czółnie, na brzegu wewnętrznym t. j. frontowym głównego miejsca Nukuoro.

6. Niewolno się zatrzymywać w pobliżu publicznego „Marae“ i świątyni „Amalau,“ w czasach nieobjętych uroczystościami publicznemi.

7. W czółnie niewolno wiosłować w ten sposób, by woda wypryskała do góry. Ten sposób wiosłowania używanym jest tylko w okazyach wyjątkowych (np. przy pogrzebach) lub jako sygnał dla czółen wracających z morza, gdy te znalazły okręt lub obce czółno przypędzone prądem albo gromadę ryb wartych połowu szczególnego.

8. W używaniu czółna należy jeden jego koniec uważać za przedni i takowego dowolnie zmieniać niewolno (na innych wyspach każdy z obu końców czółna może być przednim lub tylnym).

9. W miejscu głównem t. j. Nukuoro, niewolno podczas dnia pokrywać głowy i górnéj połowy ciała.

10. Niewolno robić kurkumy prywatnie po za domami publicznemi, szczególnie na ten cel przeznaczonemi.

11. Niewolno wstępować na wyspę Oromanga bezwarunkowo.

12. Na wszystkich niezaludnionych wyspach laguny niewolno spędzić nocy po za czasem uroczystości publicznych.

13. Niewolno otwierać orzecha kokosowego za pomocą patyka.

14. Drewnianego lub kamiennego obrazu bóstwa (te tino aitu= ciało boga lub ducha) niewolno dotknąć ręką.

15. Poza rafą koralową laguny, niewolno wzmiankować nazw: „hatu“ (kamień), „Tahola“ (wieloryb) i honu (żółw) natomiast należy mówić: „te kirikiri“, „te ia tele“ (wielka ryba) i „takojpea.“

16. Wielki kapłan nie może się pokazywać publicznie lub zajmować pracą ręczną poza domem.

17. Kobiety mogą, się udawać po za rafę laguny tylko w miesiącach Maitiki i Majlapa.

Tego rodzaju zakazy, szczególniéj, jeżelibyśmy do tego przyłączyli czysto religijne, wyrosłyby do znacznéj liczby. Tapu znaczenia czysto-społecznego są jednak ograniczone i zachowania tych tapu przestrzega cała gmina, przyczem naczelnik jest formalnie sędzią, choć kara za pewne przestępstwo przekazana jest zwyczajem i naczelnik ją tylko potwierdza.

Przestępstwo drobniejsze pociąga za sobą nagane prywatną najbliższych sąsiadów, w ważniejszych razach wdaje się cała gmina. Przestępca ulega karze „saesae“ tj. związaniu i przywiązaniu do drzewa. Zaostrzeniem kary bywa bicie grubą liną, głód i wystawienie na słońce. Na noc przestępca, zawsze związany, zamykanym bywa w oddzielnym domu znajdującym się w pobliżu domu publicznego Sopuku, oba tuż przy rynku publicznym, gdzie kara zostaje zawsze wykonywaną. Stosownie do stopnia przestępstwa i sposobu zachowania się winowajcy, kara zostaje powtarzaną przez dni kilka i czasami kończy się śmiercią takowego, bądź przez umyślne zamorzenie, bądź w skutek cierpień poniesionych.

Gdy „Sae sae“ ze wszystkiemi stopniowemi zaostrzeniami jest niedostateczną karą, wtedy naczelnik skazuje winowajcę na wygnanie na otwarte morze, co tu się nazywa „awe i te wasa“ (wysłać w podróż). Dokonywa się to w ten sposób, że skazanego związują i wkładają w czółno i bez jadła i wiosła puszczają po za rafę laguny.

Przestępstwa i kary za nie są bardzo nieliczne. W ostatnich trzech dziesiątkach lat tylko trzy razy dokonano „sae sae“ a wygnanie na morze nieprzytrafiło się i znaném jest tylko z tradycyi. Wypadki związania były następne.

1. Pewien krajowiec zagniewany na bóstwo Maurusanga, z powodu śmierci swéj córki, przestąpił „tapu sili“ tj. zakaz główny, przewróciwszy na rynku obraz tegoż bóstwa. Związany, zbity, umarł śmiercią głodową.

2. Kobieta pewna (bezwątpienia cierpiąca na pomięszanie zmysłów) okazywała się bardzo gwałtowną i dziką publicznie i w zgromadzeniach religijnych i po kilkorazowém powtórzeniu związania, umarła zamorzona głodem.

3. Pewien krajowiec w przystępie zazdrości o żonę przygotował tajemnie dzidę rybacką, zapewne w celu użycia jéj na rywala. Odkryty, został związanym i po pierwszém obiciu obiecał poprawę i został natychmiast uwolniony.

Owe dwa wypadki wygnania na morze odnoszą się do dawnych czasów. Karze téj podległo raz dwóch nukuorczyków za kradzenie orzechów na wyspie Oromanga, któréj zwiedzanie przez krajowców jest ściśle wzbronionèm. Pozostałe wygnanie odnosi się do wyżéj już wzmiankowanych przybyszów z Medźjoro czy Mukin, za zabicie jednego krajowca.

Owe wyjątkowe przytrafianie się przestępstw i rzadka potrzeba kar surowych, jak również duch wielu z wyżéj dotkniętych „tapu“ czyli zakazów, najlepiéj dowodzą spokojnego usposobienia krajowców i jak to poniżéj zobaczemy, wiedli oni przed przybyciem białych byt wprawdzie odosobniony, ale dostatni i zadawalniający.

5.

Religia nukuorczyków bierze swój początek w pierwotnéj religii polynezyjskiéj, któréj ślady znajdowały się w czasach przedchrześciańskich prawie na wszystkich wyspach południowych Oceanu. Z okoliczności, że zachowała ona w Nukuoro swój pierwotny mistyczny charakter, należy wnosić, że oddzielenie się nukuorczyków od pnia rodzinnego musiało mieć miejsce w bardzo dawnych czasach.

Nukuorczycy odróżniają dwa gatunki bóstw lub bogów, „Tupua“ i „te aitu tangata.“ Do pierwszych należą bóstwa przyniesione z pierwotnéj ojczyzny, których początkowe powstanie zaginęło w odległéj przeszłości; drugi gatunek bóstw jest nukuorskiego pochodzenia i oznacza duchy niegdyś żyjących naczelników, podniesionych do znaczenia bogów. Oba rodzaje bóstw objęte są ogólném mianem „aitu“; każde z nich ma swego kapłana „matai“, swą świątynię, „te hale suki aitu“, swe obrazy w postaci posągów, kamieni lub zwierząt „te tiuo aitu“ i swój oddzielny kult, „the haka takotonga.“ Charakter polinezyjski religii tutejszéj objawia się nadto przez obecność „marae“ na którym wyobrażenia bogów są umieszczone, przez zwyczaj modlenia się do bogów (tarotaro) i przez obecność ofiar (taumaha).

Ubóstwianie duchów przodków nukuorskie tém się odróżnia od powszechnie na karolinach panującego spirytyzmu, że w Nukuoro tylko duchy pierwszych naczelników z czasów pierwotnych, stały się bogami, ogólny zaś zwyczaj ubóstwiania duchów swych krewnych

zmarłych nie istnieje. Do ograniczonéj liczby bogów tego rodzaju, łączących swe powstanie z początkami Nukuoro, należą: Maurusánga, Wáe te uruáki, Tehua i maráe tóli, Tehéke, Taura i Te hau hále.

Maurusánga jest nazwą religijną pierwszego przywódzcy Ko Wawe i jest on bóztwem ogólném, opiekuńczém nukuorczyków. Na otwartém morzu nazywa się on, Te halua ariki," i pod tą nazwą jest szczególnym patronem rybołówstwa i rybaków. Jego „tiuo (ciało)" wyobrażoném jest przez kawał koralowego kamienia, około dwóch stóp wielkiego, który stoi z innemi wyobrażeniami bogów na publiczném „Marae."·Obrządków kapłańskich połączonych z jego ubóstwianiem dopełnia sam wielki kapłan.

Wae te uruaki, którego doczesne nazwisko zaginęło, był bratem Ko Wawe. Jego posąg drewniany stoi w świątyni „Te háka asula" i uważanym on jest jako bóztwo właściwe stanu Seheke.

Tehuaimaraetoli był krewnym Ko Wewe (nazwisko za życia nieznane) i jest bogiem specyalnym stanu Sehénga. Wyobrażeniem jego jest orzech kokosowy pokryty pasami kurkumy (żółtego koloru), przymocowany do końca prętu drewnianego, zawieszonego pod środkiem dachu w świątyni Tehalewaka.

Teheke jest bóstwem tego samego rodzaju co „tiuo" w świątyni Tahinoa.

Taura był niegdyś człowiekiem i szczur jest mu poświęconém zwierzęciem. Nie oddają mu czci szczególnéj, tylko w świątyni mu poświęconéj Teraoki niewolno zabijać szczurów.

Tehaukula była kobietą, ptak „móso" (Calornis) jest jéj poświęconym, ma ona również małą świątynię Oteakunuku.

Na powyżéj wymienionych bóstwach ogranicza się tutejszy kult religijny duchów zmarłych przodków. Najgłówniejsza część tutejszéj religii odnosi się do bóstw gatunku „Tupua", które nie są świadomie duchami zmarłych ludzi, lecz przypuszczalnie istnieją pierwotnie, czego dowodzi i ich nazwa. „Tupu" oznacza powstawać, poczynać, następnie być głównym, naczelnym, pierwszym. Bóstw tego rodzaju znajduje się liczba bardzo wielka i możnaby między niemi zrobić rozdział na takie, których znaczenie jest wyraźnie określone i które mają własny kult i na takie, których znaczenie jest przeważnie mitologiczne tylko.

Co do przedmiotu najpierwotniejsze podanie mówi o początku ziemskiego świata i bogów. Podług tego, niebo „te rangi" rozpościerało się nad ziemią płaską „te papa", i pomiędzy oboma znajdowało się w ilości nie wielkiéj morze „te tai." Każdy z tych żywiołów posiadał swego pierwotnego władzcę boga „tupua", z których tupua nieba zwał się „te ariki tu te rangi (naczelnik (pan) w niebie)" i był

najsilniejszym. Bóg ziemi zwał się: „Te ariki tu te natoaki, (pan świata dolnego)“, a bóg morza: „Tetoroetai“ (pełzacz na morzu). Te trzy bóstwa pierwotne są początkiem wszystkich pozostałych bogów, przedstawiają one wzięte razem powstanie wszechświata i objawy wszechprzyrody, są uzmysłowieniem ich i ich potomstwa.

„Te ariki tu te natoaki“ objawia się w swém licznem potomstwie pod nazwą „te Tupua te kirikiri“ i znajduje swe zmysłowe przedstawienie w piasku wybrzeża morskiego.

Potomstwo „Toroetai“ jest również liczne i wyobrażoném jest przez pianę rozbijających się fal morskich, „te hunga hunga paue.“

Bóstwo główne „Tearikituterángi“ dało początek bóstwom objętym nazwą ogólną: „mangu te arohi langi“, których uzmysłowieniem jest tęcza i deszcz.

Potomstwo tych głównych bóstw jest bardzo liczne jak to ich symbole szczegółowe wskazują: piasek wybrzeża, krople piany, deszcz i tęcza. Podanie notuje wiele nazw dla pojedyńczych bóstw tego rodzaju, które jednak po największéj części są tylko znaczenia podrzędnego i niemają szczególnego kultu i kapłanów. Bez bliższego określenia, uważane są one za bóstwa opiekuńcze ogólne społeczności nukuorskiéj. Ze szczegółowych nazw notuję tutaj:

1) dzieci bóstwa ziemi: Nateoro, Tirotu, Tahaki oro, Ura mea, Ura toto, Tahe te uwanga, Tikokha i inne;

2) dzieci bóstwa nieba: Tahaki sema, Haroa sema, Osema, Tarau, Mangatiakhi i troje najgłówniejszych: Tumua, Tuhenua i Tutoro.

O tych ostatnich podanie mówi, że, znajdując się dawniéj pomiędzy ziemią i niebem, starali się podnieść firmament przez długi czas bezskutecznie, gdy jednak z wiekiem wzrośli w siłę, podnieśli takowy i w tak otrzymaném miejscu powstały wyspy i morza.

Najgłówniejsza część obrządków religijnych odnosi się głównie do owych trzech głównych tupua-bogów i do ostatnio wyliczonych trzech bóstw Tumua, Tuhenua i Tutoro.

Te ariki tu te rangi, zwany także „te aitu matua“ (bóg dawny, stary), albo i „te tupua sili“ (bóg główny), ma swój posąg w świątyni Sapokanga i jego głównym kapłanem jest sam „ariki takotonga“. Kult tego bóstwa polega na tém, że oprócz ofiar w szczególnych okolicznościach i modlitw, otrzymuje ono od czasu do czasu nowe pokrycie i zostaje strojonem podczas uroczystości kwiatami w postaci swego posągu. Nadto każdego dnia o wschodzie słońca odbywa się obrządek zwany „te haka ruru“, w którym wielki kapłan z kilkoma „matai“ udaje się bez względu na pogodę nad brzeg laguny, gdzie wszyscy siadają rzędem. Jeden krajowiec obchodzi wtedy granice osiedlenia Nukuoro i wykrzykuje po drodze: „haka ruro o! haka ru-

ru o! „Obszedlszy do koła osiedlenie, wraca nad brzeg, gdzie wielki kapłan odprawia swe „taro taro“ tj. modlitwy, w których bóstwo bywa wzywaném o opiekę dla całego ludu. Temuż bóstwu poświęconą jest jaszczurka „tapula“ (Lygosoma), która nie bywa nigdy zabijaną przez krajowców.

Bóstwom Tumua, Tuhenua i Tutoro poświęconą jest wyspa Oromanga, któréj zwiedzanie jest surowo zakazaném. Każdy nowy „ariki takotonga“ obowiązany jest po objęciu swego urzędu udać się na tę wyspę i wykonać pewne zwyczajem nakazane obrzędy. Stosownie do liczby bogów, znajdują się na zewnętrznym wybrzeżu téj wyspy, trzy kamienie koralowe, z których każdy ma w sobie otwór. Każdy nowy wielki kapłan winien osadzić w tych kamieniach drewniane pręty, do których przywiązanym jest pęk liści kokosowych, poczém wyspa zostaje zamkniętą przez „tapu“ aż do objęcia urzędu przez następnego wielkiego kapłana. Kult tych bóstw jest bardzo dawny i w ostatnich czasach tajemnice jego zaginęły wskutek śmierci kapłanów właściwych. W ostatnich latach znalazł się jeden krajowiec, który kult ten zagubiony odżywił. Podług jego słów, miała mu się objawić bogini Kokawe i nakazała mu iść na wyspę Oromanga, gdzie obiecała nauczyć go zagubionych tajemnic. Słuchając swego snu, udał się na wyspę wspomnianą pomimo „tapu“, wybudował tam szałas i tam Kokawe przychodzila do niego każdéj nocy i uczyła go kapłaństwa. Krajowiec ten, choć nie jest prawdziwym „matai“, stał się kapłanem nowego kultu i asystuje wielkiemu kapłanowi przy obchodach na Oromanga, jak również zostaje przy nim przez jeden miesiąc późniéj i towarzyszy w „te haka ruru“ Kult wyżéj wymienionych i spokrewnionych bóstw ma znaczenie ogólne dla wszystkich nukuorczyków.

Obrazem bóstwa „te ariki tu te natoaki“ jest płyta bazaltu czarnego, którą miał przynieść z sobą pierwszy naczelnik Ko Wawe ze swéj pierwotnéj ojczyzny. Kamień ten zachowanym był w świątyni głównéj Amalau, stojącéj tuż na wschodnim końcu publicznego „marae.“

Bóstwo „Toroetai“, które uchodzi za władcę morza, wyobrażoném jest przez sztukę drzewa okrągłą i około metra długą, wstawioną pionowo w świątyni Mónaki. Jest ono patronem stanu Setoro i bywa wzywaném podczas burzy morskich. Ma ono również drugą świątynię „te hale tapau.“ Ofiary z owoców przeznaczone dla Toroetai, wrzucane bywają do morza.

Z pozostałych bóstw gatunku „tupua“ znane są jeszcze:

„Te tupurua“ potężne bóstwo morskie podług mniemania, identyczne z Toroetai.

„Sauwarowaro“ bóstwo leśne, szczególniéj przyjaźne śmiertelnym.

„Mohoputeheke“ i „Manutapu“ bóstwa stanu „Seala“ w świątyni „Hakaakenou.“

„Wae matua“ zwane także „Hilingi ana pea“ jest bóztwem podwójném. Pod pierwszą nazwą wyobrażoném jest ono przez dzidę wielkich rozmiarów, która jest postawioną pionowo na publiczném marae.“ Pod ostatnią nazwą, przedstawia je bałwan drewniany postawiony w świątyni Sapokanga. Kult tego bóstwa polega na pieczołowitości o utrzymanie w stanie dobrym jego obrazów i odnawianiu ich od czasu do czasu. W razach, gdy dzida stojąca na rynku ma być zastąpioną przez nową, ta ostatnia zostaje złożoną poprzednio na jedną noc do świątyni Sapokanga, gdzie spoczywa oparta na barku drewnianego bożka.

„Tehitapu“ jest tupua z drewnianym bożkiem w świątyni Amalau.

„Kokawe“ jest przypuszczalnie żoną naczelnika Ko Wawe a drewniany jéj posąg olbrzymich rozmiarów znajduje się w Amalau.

„Sope“ jest bóstwo wyobrażone przez 6 bałwanów w Amalau.

„Kawe tele ao“ ma posąg w Sapokanga.

„Sahumani matua“ i „Sahumani aitu“ są przedstawione przez dwa kamienie na publiczném marae, oprócz tego „Sahumani aitu“ posiada świątynię „Kuporu.“

„Tarau“ i „Tikokha“ są bóstwami opiekuńczemi przyrządzania kurkumy, wielkie tu znaczenie mającéj, które odbywa się przy zachowaniu rozmaitych obrzędów w umyślnie na ten cel przeznaczonych domach publicznych, w których bóstwa tę bywają wzywane pod jedną nazwą: „Oautama i tautonga.“

Wszystkie wyobrażenia bóstw, posągi i kamienie, bywają ubierane od czasu do czasu, co się zwie „hai se maroaitu.“

Znaczenie tych wszystkich bóstw dla codziennego życia krajowców jest bardzo wielkie, gdyż prawie każdy objaw tego życia podlega wpływowi którego z bóstw, tak, że krajowcy codziennie prawie muszą prosić tego lub owego „matai“ o pośrednictwo. Przy budowaniu domów i czółen, przy żenieniu się, przy porodach, w chorobach i w przypadkach śmierci krajowcy zwracają się do swych bóstw szczegółowych. Ceremonie i obrządki tych okoliczności najlepiéj będzie przedstawiać w opisie tych okoliczności tutejszego życia krajowców; tutaj wspomnę tylko o obrzędach ogólny charakter noszących.

Bóstwa umieszczone w Amalau (świątyni głównéj) i na publiczném rynku (marae) są bóstwami ogólnemi całego narodu i głównie

one tylko są przedmiotem czci podczas uroczystości religijnych dorocznych.

Około miesiąca Plejad zwanego tu „mataariki“ (na Karolinach: Meriker) poczyna się czas „święty“ (takotonga) na Nukuoro, jeżeli „te ariki hotoliki“ daje swe przyzwolenie na rozpoczęcie takowego. Uroczystości te rozciągają się na kilka miesięcy i podczas tychże, wiele tapu i zakazów zostaje zawieszonemi, np. krajowcy obu płci mogą dowolnie robić wycieczki na sąsiednie wyspy i spędzać tam noce itd. Czas ten, obejmuje wszystkie zabawy i rozrywki publiczne i do takowego zostaje zwykle odkładaném: publiczne tatowanie kobiet i uroczystości „Otehauhaime“, z powodu publicznego ubierania bożków. Uroczystości wszystkie mają miejsce głównie w Amalau i na marae, i na ten czas tapu zostaje zawieszoném, gdyż ludność cała zgromadza się tutaj każdodziennie o wschodzie słońca, by uczestniczyć w obchodach religijnych w świątyni.

Amalau jest największą świątynią w Nukuoro i obejmuje wygodnie całą ludność dzisiejszą. Jest to długi budynek czworoboczny o trzech stronach otwartych, strona czwarta, krótka, ma ścianę, przed którą są ustawione posągi drewniane wyżéj wyliczonych bóstw. Wnętrze świątyni wysłane jest matami i wzdłuż otwartych boków świątyni siadają w pierwszym rzędzie mężczyzni a po za nimi kobiety. Przed posągami bożków siedzą rzędem kapłani „matai“ i wielki kapłan. Całe wnętrze świątyni jest próżném.

Bożkowie są ozdobieni kwiatami i każdy ma na głowie rodzaj korony zwanéj: „Tidi“, którą mają także i obecni kapłani. Krajowcy wszyscy są przystrojeni świątecznie. Włosy ich są ułożone w sposób przepisany i przyozdobione przez „hatihatina“, w uszach tkwi „kai pinilapa.“ Maro, przepaska biodrowa, jest nową lub świeżo ufarbowaną. Kapłani są namaszczeni na czole i barkach kurkumą, a tancerze są takową obficie pomalowani na całém ciele.

Obrządki poczynają się ofiarą dla bogów. Ofiarowane owoce i produkta zostają składane przed bogami i kapłan naczelny mrucząc modlitwy niezrozumiałe dla ogółu, ofiarowuje takowe bogom i kosztuje sam poprzednio z każdéj ofiarowanéj potrawy. Po skończoném ofiarowaniu, jadło zostaje rozdzieloném między obecnych i z wykrzykiem: „Kai-o-o!“ zgromadzenie posila się publicznie. Jadło jest dostarczaném przez wszystkie familie. Po téj uczcie, wstępują przystrojone kobiety do środka świątyni i wykonywują tańce, po których (około środka przedpołudnia, tj. koło 10-éj zrana), zgromadzenie się rozchodzi do domów, by wrócić na uroczystość wieczorną. Wieczorem ofiarowanie i uczta się powtarzają, lecz tańce wykonywane zostają przez

mężczyzn. Ze zmierzchem kobiety się oddalają a mężczyni tańczą i śpiewają w noc dowolnie. To powtarza się przez dni kilkanaście, dopóki nie nastąpi publiczne tatowanie kobiet.

6.

Wszystkie dziewczyny w wieku do tatowania, zostają rozdzielone na partye z 5 lub 10, stosownie do ogólnéj liczby, i zostają umieszczone w rozmaitych świątyniach (z wyjątkiem świątyni głównéj Amalau). Ma to miejsce na trzy miesiące przed rozpoczęciem czasu „takotonga.“ W dniu przeznaczonym na tatowanie, wszyscy mężczyzni zbierają się na brzegu morskim, a kobiety pomalowane obficie kurkumą odkładają swe „titi“ (fartuchy) i idą nago do morza, kąpać się. Wróciwszy do swéj świątyni, każda dziewczyna zostaje wziętą przez mężczyznę mającego wykonać tatowanie. Kładzie się ona na ziemi, przykrywa twarz kawałkiem materyi i mężczyzna wykłuwa szybko na wzgórku łonowym ów prosty rysunek tatunku, który jest charakterystycznym dla Nukuoro i którego szkic znajduje się powyżéj. Jeden z kapłanów przewodzi operacyi i dogląda porządku i po ukończeniu takowéj, pokrywa łono nowo tatowanéj kobiety trzema kamieniami (te hatu ngae) i jéj pierś trójkątnemi kawałkami szyldkretu (te haunga). Po trzech dniach, przez które kobieta podlega ścisłému „tapu“, rany zadane tatunkiem zasychają i wolno jéj wychodzić po za obręb domu.

7.

Po tatowaniu kobiét ma miejsce tak zwane „Sawiugi.“ Jestto zabawa publiczna, w któréj w obec kapłanów i nowo tatowanych kobiet rozsiadających na wybrzeżu piaskowem morza, mężczyzni wieku młodszego biegają na wyścigi. Ustawiwszy się w pewném oddaleniu od mety, biegną na dany znak i zwycięzca zostaje namaszczonym kurkumą i musi przepędzić trzy dni w świątyni pod ścisłém „tapu.“ Naturalna rzecz, że nowo tatowane kobiety nie zapominają zwycięzcy.

8.

Po wyścigach następuje „te tautau“ albo publiczne mocowanie się, trwające dni cztery z rzędu. Takowe ma miejsce na okrągłéj i nowo opielonéj arenie, w koło któréj zgromadza się cała ludność. Dwóch mężczyzn mocuje się i gdy jeden zostaje powalonym, lud zgro-

madzony wita zwycięzcę okrzykami „mahé!“ (silny). Dnia ostatniego przynoszą jadło, ze wszystkich domostw i następuje uczta ogólna.

9.

Do téj pory kobiety świeżo tatowane muszą zostawać nocą w świątyni i żyją ciągle pod „tapu.“ Po ukończeniu „Te tautau“ następuje „Turauwángo“, po którém kobiety tatowane odzyskują wolność i „tapu“, nad niemi zawieszone, upada. W „Turauwángo“, nowo tatowane kobiety z kapłanem swym, udają się na pewne miejsce poza osiedleniem, gdzie nagromadzone jest jadło przez kraj cały. Tutaj zgromadzenie całe rozsiada się na wybrzeżu. Potém następuje część główna całego obrzędu, mianowicie: kapłan przewodzący uroczystości całéj, rozdziela na wybrzeżu piaskowém, w oddaleniach krótkich od siebie, plecionki z liści kokosowych kształtu maty, na każdéj z których znajduje się korzeń kurkumy; nad każdą taką matą (te ahi taokili) kładzie się jedna nowo tatowana kobieta i opierając się na rękach, stara się bić zadem o ile być może najwyżéj. Po tym gimnastycznym ale mało estetycznym wysiłku następuje ogólne zjedzenie przyniesionych zapasów i kobiety nowo tatowane wracają do domów własnych. Znaczenie tego całego obrzędu jest zagadką dla całego ludu.

10.

Po „Turauwángo“ następują tańce męzkie zwane „masáki.“ Mają one miejsce na „tumaraerae“ i trwają również dni cztery. Ostatniego dnia następuje uczta publiczna. Tańce te wykonywają mężczyzni, których kilku wstępuje w koło, każdy mając w ręku kij drewniany, którym wybija takt o kije swych towarzyszy, przyczém następuje ciągła zmiana figur. Bezwątpienia taniec ten wprowadzili tutaj japscy rozbitkowie.

11.

Po kilku dniach ma miejsce, ośm dni i nocy trwające „kapiniwali“, w którém wszystkie kobiety nukuorskie wraz z nowo tatowanemi udają się na brzeg morski przed dwa budynki publiczne zwane Sukupu i Maurisanga, w których są zebrani mężczyzni. „Tapu“, zakazujące kobiecie wstąpić do takiego domu, zostaje zawieszoném i obie płcie mogą się mięszać i zabawiać dowolnie. Każda tanecznica ma swych przyjaciół przez ten czas, którzy ją karmią, gdyż kobiety wszystkie spędzają noce z mężczyznami i nie oddalają się do własnych do-

móstw. Ósmego dnia kobiety się oddalają i wracają z zapasami tara i trzciny cukrowéj, jako zapłatą za otrzymaną gościnność i ryby. Następuje więc wspólne zjedzenie nagromadzonych zapasów i kapiniwali jest skończoném.

W kilkanaście dni po owych tańcach żeńskich, ma miejsce „Tahola“, łowienie, ryb przy świetle pochodni, a zdobycz cała zostaje oddaną naczelnikowi, niejako jakby żnak uznania ludu za przybyte uroczystości, które tém samém znajdują swój koniec. Wszystkie „tapu“ wracają do swego znaczenia i świątynia Amalau zostaje zamkniętą aż do roku przyszłego.

12.

Komunikowanie się krajowców ze swémi bóstwami w przypadkach życia codziennego jest bardzo częstém i odbywa się zawsze za pośrednictwem właściwego „matai.“

Podczas choroby tylko bóstwo pomódz może, znajomości leków i środków krajowych tu niema. Krewni chorego biorą sztukę tara i udają się do matai, który idzie do świątyni, zakopuje przyniesioną ofiarę w sieni tuż pod nogami bóztwa i mruczy niezrozumiałe zaklęcia i formuły. Za swoje pośrednictwo kapłani nie otrzymują zapłaty.

W razie śmierci krajowca naczelnik zostaje zawiadomionym o takowéj i daje rozkaz przenieść ciało do domu umyślnie na to przeznaczonego, zwanego „hale hei matenga.“ Dom ten jest otwarty ze wszystkich stron i leży na końcu osiedlenia tuż przy brzegu morskim. Wszystkie obchody połączone z pogrzebem „takotonga te tangala mate“ odbywają się w tym domu. Przeniesienie zwłok do takowego zależy od woli naczelnika i czasami następuje bardzo późno, w ogóle od jednego do sześciu dni. Hale hei matenga jest otwartą szopą czworobocznego kształtu, swemi bokami krótkiemi zwróconą na wschód i na zachód. Ciało zmarłego przynoszą na stronę północną i składają na ziemi głową do wschodu. Tu się odbywa ogólne pożegnanie ze zmarłym. Dwadzieścia orzechów kokosowych przynoszą i każdy z osobna przytykają do ust zmarłego, przyczém wymawiają się słowa: „tahá he háka po oái tau“, poczem składają ciało na środku wnętrza domu. Zwłoki leżą odkryte na dwóch grubych matach, u wezgłowia siedzi brat lub najstarszy męzki krewny, u nóg—żona. Inni krewni znajdują się w domu nieopodal stojącym, część ich i znajomi wraz z kapłanami siedzą półkolem przed zachodnią stroną domu i śpiewają noc całą śpiewy żałosne i treny (nilau). Przy śpiewach tych wszyscy obecni siedzą z pochylonemi, na lewéj ręce opartemi głowami, na szyjach ich zawieszone są, luźno liście palmy kokosowéj.

Ahi áhi tuánge makohalálo. Hokié...... Langi súlu ma móli o ta ĺoto. Hokié...... Tearoaka misi i ta na noho. Hokié... Hétakai i tino he ma naii. Ho-o-ki-é..... rozlega się żałośnie po lagunie i niemém osiedleniu nukuorskiem.

Następnego rana przybywa parzysta liczba ludzi by zabrać ciało do „kauwaka aitu.“ By duch zmarłego nie był im szkodliwym, podwiązuje im kapłan włosy przepaską kokosową, poczém wynoszą oni ciało przez zachodnią stronę do czółna stojącego na pogotowiu. Zwłoki zostają przewiezione na pewne miejsce poza obrębem osiedlenia i tu następuje ,,kauwaka aitu“ tj. obwinięcie zwłok w maty. Tutaj ciało zostaje obwiniętém spiralnie, począwszy od nóg, w ośm sztuk mat małych ale tak, że ręce i głowa zostają wolnemi. Tu ciało zostaje obwiązaném ośm razy sznurkami kokosowemi, ręce zaś wyprostowane są skrzyżowane na brzuchu tak, że prawa ręka leży ku górze. Następnie zwłoki zostają zawinięte w dwie większe maty i znowu obwiązane ośm razy sznurkiem, poczém składają je na czekające u brzegu czółno; na którém znajduje się pewna parzysta liczba ludzi. Krewni zmarłego zostają na brzegu, czółno zaś udaje się na środek laguny by pogrzebać zmarłego w jéj łonie (teliki i te tai). W lagunie znajdują się dwa miejsca używane zwyczajnie na ten cel i do jednego z nich czółno się udaje Przybywszy na miejsce, zwłoki zostają obciążone 12-ma kamieniami i ostatecznie owinięte w grubą sieć i zatopione, przyczém głowa zwraca się do wschodu a twarz ku dołowi. Kamienie znajdują się głównie na piersi i brzuchu, tak że ciało tonie horyzontalnie; gdyż zwyczaj zakazuje by zwłoki tonęły pionowo i by głowa lub nogi dotknęły dna. Ludzie biorący udział w zatopieniu ciała uważani są za nieczystych i przybywszy na ląd, zostają nacierani mlekiem kokosowém i dwóch z ich liczby musi pozostać przez dni trzy w domu umarłych.

Żona i najstarszy krewny zmarłego pozostają w tym domu przez cały miesiąc i doglądają obrzędów i ofiar po śmierci. W miejscu, gdzie przedtém ciało leżało, zostają składane: jeden orzech kokosowy dojrzały, jedno taro i jedno pura i nad temi zostaje łamanych 30—40 młodych orzechów tak, że mleko tychże oblewa je. To ma miejsce codzienie przez miesiąc czasu. Każdego piątego dnia, ów orzech zostaje rozłupany i wraz taro i pura zawinięty w matę i zatopiony w tém samém miejscu, co i zmarły. Po pięciokrotym powtórzeniu téj ceremonii obrzęd pogrzebowy jest ukończony i kobieta jest znowu wolną szukać męża nowego.

Tym samym obrządkom podlegają dorośli obu płci bez względu na stan, tylko ilość owoców i jadła dawanego w ofierze, zależna od stanu zamożności rodziny zmarłego, stanowi jedyną różnicę.

Dzieci zmarłe bywają chowane na brzegu morskim, zwłoki zabitych po urodzeniu w piasku suchym, dzieci starsze zmarłe naturalnie, nieco niżéj, tak że woda morska pokrywa zwłoki.

Rodzice kochają bardzo swe dzieci i czują silniéj stratę dziecka niż starszego członka rodziny. Często bywa pamięci dziecku wystawianą mała kapliczka (hale tahao) gdzie od czasu do czasu rodzice składają ofiary z jadła i czasami zatrzymują się na dni kilka.

Nukuorczycy nazywają duszę „te mouri“ i przedstawiają sobie, że takowa idzie po śmierci albo na którą z gwiazd, albo do kraju podmorskiego, gdzie panuje ariki aitu „Terawenga“ i gdzie dusze naczelników (te ariki) żyją oddzielnie od dusz ludzi pospolitych (te tangata humuli).

Duchom zmarłych krewnych nie oddaje się żadna cześć, zakazaném jest tylko wymawiać nazwę zmarłego. Tylko nazwa wielkiego kapłana stanowi jedyny wyjątek. Jeżeli duch zmarłego się objawia po śmierci, np. w snach rodziców po stracie szczególniéj kochanego dziecka, to duch taki otrzymuje szczególową nazwę.

(*d. n.*) *Jan Kubary.*

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

VII.

Niedaleko od Puław, w Rykach, mieszkała rodzina Kickich, która brała zawsze udział we wszystkich uroczystościach i zjazdach puławskich. Pan Onufry Kicki, koniuszy koronny, wierny i przywiązany urzędnik i przyjaciel króla Stanisława, posiadał w wysokim stopniu jego zaufanie i choć nie należało to doń z urzędu, wszystkie pieniężne interesa króla załatwiał. Wskutek tego własną fortunę swoję zawikłał i nadwyrężył. Ryki posiadał jako starostwo i dostał je po swoim stryju wojewodzie ruskim, ten zaś objął je po ojcu króla Stanisławie Poniatowskim, kasztelanie krakowskim, który tu umarł i w kościele w Rykach pochowany.

Onufry Kicki był wysoki, łysy, przystojny, uśmiech miał miły i pełen dobroci, co dokładnie malowało jego naturę, bo téż był nieporównanie dobrym i poczciwym. Jedyną jego przywarą była pasya opowiadań zmyślanych. Plótł duby smalone, nikomu wprawdzie nieszkodliwe, i sam śmiał się z nich najpierwszy. W Rykach wiecznie czytał Dykcyonarz Morer'ego i innéj książki żadnéj w pokojach jego nie było. Mieszkał w oficynie, cały pałac do użytku dam odstępując, towarzyszem jego nieodstępnym był turek Hassan, stworzenie dziwnie głupie, którego cała funkcya ograniczała się do nakładania fajki. Pani Kicka, żona jego, z domu Szydłowska, siostra jenerałowéj Grabowskiéj, trzy córki i syn składali całą rodzinę. Najstarsza z córek panna Teresa, wysoka blondynka, nietylko ogromną urodą i piękną figurą, ale znakomitem wykształceniem i rozumem celowała. Zakochał się w niéj książę Konstanty Czartoryski i szczerze chciał ją pojąć za żonę, ale sami Kiccy widząc, że córka ich nie bardzo chętnie byłaby widziana przez Czartoryskich, po latach kilku

zerwali te amory. Druga Ewa, do ojca z rysów podobna, nie tyle wdziękami, ile układem, wesołością i dowcipem się odznaczała. W 1808 r. za pośrednictwem i staraniami pani Bentkowskiéj z Ułęża wydana została za jéj krewnego, księcia Antoniego Sułkowskiego. Książę ten, urodzony z niemki, z domu Bubna, miał w charakterze swoim coś sztywnego i niemieckiego. Swoim kosztem wystawił 9-ty pułk piechoty Księstwa Warszawskiego i na jego czele w parę tygodni po ślubie wraz z Sobolewskim i Feliksem Potockim udał się do Hiszpanii. Żona jego przed ślubem prawie go nie widziała, a po ślubie także bardzo krótko z nim była, a gdy nieobecność jego do kilku lat się przeciągała, ciągle tém się trapiła, że męża nie pozna, kiedy z Hiszpanii powróci. Książę Sułkowski był odważny, dzielny żołnierz i jeszcze w 1807 r. odznaczył się pod Gdańskiem i Tczewem. W Hiszpanii niemniéj zaszczytnie walczył pod Olkano i Almanacis i mianowany został gubernatorem Malagi, a późniéj generałem brygady. W r. 1811 wrócił do ojczyzny, został generałem dywizyi i odbył całą kampanią 1812 r., dwie tylko rany poniósłszy, z których jedna pod Smoleńskiem od bagneta w brzuch otrzymana, była bardzo niebezpieczna. W 1813 r. po bitwie pod Lipskiem, z pominięciem starszych dwóch generałów: Dąbrowskiego i Sokolnickiego, został zamianowany dowódcą szczątków wojska polskiego. Krukowiecki rozpoczął wtedy przeciwko niemu intrygi i podburzał oficerów, żeby ci żądali to Dąbrowskiego, to Sokolnickiego, albo żeby upierali się, że ponieważ król Saski pozostał w Lipsku, nie należy działać bez jego rozkazów. Te wszystkie podżegania miały ten skutek, że oficerowie zebrali się tłumnie i wymogli na Sułkowskim słowo, że za Ren nie przejdzie, tylko do téj rzeki Napoleona odprowadzi. Współcześnie austryacki generał Bubna, wuj Sułkowskiego nie przestawał przysyłać swych adjutantów i parlamentarzy i usiłował nakłonić księcia, żeby Napoleona odstąpił, obiecując za to imieniem sprzymierzonych, że byt Księstwa Warszawskiego zachowanym zostanie, że wojsko będzie mogło swobodnie wrócić do kraju i tam oczekiwać końca wojny. Wszystkie te konszachty doszły do wiadomości Napoleona i pod Gelenhausen, o parę mil od Hanau, przybył do Polaków, a zebrawszy wkoło wszystkich oficerów, wytłómaczył im treściwie na jaką hańbę by się narazili porzucając go; zapewnił nadto, że byt księstwa bynajmniéj pominięty nie będzie w przyszłym traktacie i zagroził, że ponieważ wszystkie fortece obsadzone są jego garnizonami i że ponieważ jedna wygrana przeniesie go na brzegi Wisły,— wtedy za zdradę zemścić się nie omieszka. Urok cesarza na wojsko był zawsze potężny, to téż ci, co dopiéro opuścić go myśleli, krzyknęli: *Vive l'empereur!* i przysięgli na

kraniec świata mu towarzyszyć. Książę Sulkowski mógł albo żądać, żeby mu dane słowo zwrócono, albo nawet nic czyniąc tego, pójść za ogólnym zapałem. On jednak zamiast tego, ze szefem swego sztabu Henrykiem Zabiełłą poprosił o dymisyą, tę natychmiast otrzymał i z Gelenhausen udał się do Leszna. W roku następnym powołany do tworzenia nowego wojska polskiego i mianowany generał-adjutantem, przesiedziawszy parę miesięcy w Petersburgu, wziął dymisyą i do swojéj ordynacyi w Poznańskiem powrócił. Żona jego wtenczas już od lat kilku nie żyła, a zostawiła mu tylko syna i cztery córki. Sam Antoni Sułkowski umarł w 1836 r. a syna król Pruski wziął na opiekę i w 16-tym roku życia do pułku kirasyerów pruskich go oddał.

Pani Kicka ze wszystkich córek najwięcéj lubiła Sułkowską. O śmierci jéj nigdy nie uwiadomiona, naprzód utyskiwała, że Ewunia tak rzadko pisze, a późniéj i sama o niéj zapomniała zupełnie.

Trzecia córka, panna Józefa, w młodym bardzo wieku wydana została za Biszpinga, litwina,—przeniosła się z nim na Litwę i skutkiem tego do towarzystwa puławskiego nie należała. O synu Ludwiku, będziemy mieli sposobność wspominać często poniżéj.

Raz w zimie, jadąc do Warszawy, wstąpiłem do Ryk. Panie mieszkały w Warszawie, a koniuszy paląc fajkę nad Marerym fatalnie się nudził. Zatrzymał więc mnie przez całą dobę i, nie krępując się już niczém, nie przestawał opowiadać swoich fantazyj. Zaraz po moim przyjeździe rzekł mi:

— Poczęstuję cię marynowanym wielorybem, zobaczysz co to za szczupak. Ale bo téż imaginuj sobie: parę tygodni temu wybrałem się na polowanie. Przyprowadzono mi mego kucyka, którego za to szczególniéj lubię, że jest tak mały, iż jak mi się podoba spuszczam z nóg strzemiona i idę sobie piechotą, a koń podemną stępa kroczy. Otóż byliśmy we czterech. Ja, leśniczy, gajowy i poczciwy Janiszyc (kucharz). Kiedyśmy koło Bogusz zjeżdżali z góry, słyszymy szum i hałas jakiś niezwykły. Na stawku pod Boguszami fale jak na morzu się piętrzą, a wiatru żadnego nie było.

— Janiszyc — co to jest? — pytam.

— A to chyba wieloryb, jaśnie wielmożny panie.

— Janiszyc, kochanku — mówię mu — polowanie za nic. Wracajże do Ryk, wołaj stawniczego, spędź ludzi, przywieź sieć co rychło, a śpiesz się, żeby czasem wieloryb nie umknął.

Zakładają tedy sieci, ciągną, ale liny pękają, a dwóch ludzi omal że nie utonęło, tak silnie szczupak ten sieć szarpał. Nakoniec wyciągnęliśmy to monstrum. Wyobraź sobie cały był czarny, zielonym mchem porosły, a kilkanaście łokci długi. Nowy kłopot jak go

tu do Ryk zawieść. Musieliśmy dwa wozy związać i sześć koni do nich założyć. W domu nowy ambaras, bo szczupak do kuchni zmieścić się nie mógł i na dziedzińcu Janiszyc toporem w kawałki rąbać go musiał. Ale co najdziwniejsza — i co na to powiesz — oto wewnątrz znaleźliśmy w nim guziki metalowe od fraka i zegarek srebrny repetyer. Biedaka jakiegoś połknął jak pigułkę. Zegarek darowałem Janiszycowi.

Przyniesiono ową marynatę, a dzwonka jéj były małe, mówię więc do koniuszego:

— Przyznam się panu, że nie bardzo wielką mam ochotę jeść tego ludożercę.

— Ej, nie uważaj na to — perswaduje — może to on tylko frak z zegarkiem połknął.

— Ale, jak na takiego ogromnego szczupaka — dodałem — to dzwona wcale nie są wielkie.

— To sztuka Janiszyca — odparł wcale niezmięszany koniuszy. Umyślnie tak je powykrawał, bo całe dzwona nie dałyby się zamarynować.

Pan koniuszy w polityczném swém życiu szedł w dwóch odmiennych kierunkach. Przyjaciel poufny króla, należał do partyi dworskiéj i podczas sejmu czteroletniego był takimże patryotą jak i monarcha. Skoro zaś Stanisław August przyłączył się do Targowicy, on stanął zaraz na czele konfederacyi województwa mazowieckiego. Kiedy zaś w 1809 r. istnienie kraju zmieniło swą postać, został senatorem, naprzód kasztelanem, a później wojewodą i niepodlegle już myślał i działał, bo nie miał nad sobą wpływów królewskich.

Trudno mi wyliczać wszystkich dość licznych sąsiadów, jacy często odwiedzali Puławy i stanowili stałych członków tutejszego towarzystwa—nie odgrywali oni w ówczesnym politycznym układzie żadnéj ważniejszéj roli i dlatego wspomnę ich tylko z nazwisk. Należeli do nich generał Byszewski z Baranów, z dwoma synami i trzema córkami, z których jedna została panią Skarbek, Rudnicki z Żyżyna, którego córka wydana była za Sołtyka, Bętkowski z Ułęża, Jagniątkowski, Cieciszowski, Jawornicki i wielu innych.

Do oryginalnych dość postaci należał książę Stanisław Jabłonowski, *galant dans toute l'acception du terme*, serce swe oddał pannie Ewie Kickiéj, mimo że był żonaty i choć z żoną nie żył, nie był z nią jednak rozwiedziony. Podczas czteroletniego sejmu odznaczał się jako gorliwy patryota i do Berlina posłował. Będąc częstym gościem i niemal domownikiem w Puławach, kupił po królu Stanisławie piękną grupę Tankreda i Kloryndę za 1500 dukatów i tę w sekrecie do Puław sprowadził i w nocy w dolnym ogrodzie, naprzeciw

balkonu pałacowego ustawił. Zrana, przy śniadaniu, księżna Czartoryska dar ten cenny spostrzegła i była z niego niezmiernie uszczęśliwiona.

Często także po kilka miesięcy przebywał w Puławach książę stolnik Czartoryski z Wołynia, ostatni z linii tak zwanéj Koreckiéj, nie zostawił bowiem męzkiego potomka, tylko pięć córek, z których najstarsza wydana została za Jana Potockiego z Boćków, druga Teresa za księcia Henryka Lubomirskiego, trzecia za Eustachego Sanguszkę, któremu już sądzoném było z Czartoryską się ożenić, bo gdy dostał rekuzę od ks. Wirtemberskiéj, do stolnikówny uderzył. Czwarta, Józefa, została żoną Alfreda Potockiego, a piąta była za Rzyszczewskim. Książę stolnik często z trzema najmłodszemi córkami, które za moich czasów były jeszcze pannami, Puławy odwiedzał, a był z niego oryginał nie lada. Chudy, wysoki, miał przysłowie: „Ba! mości dobrodzieju“— i to w rozmowie swojéj przynajmniéj za każdém trzeciem słowem powtarzał. Nosił strój zupełnie czarny, frak *en habit habillé* i dziwnéj formy trzewiki, zapinane na duże metalowe sprzączki. Założył on u siebie w Korcu fabrykę porcelany, która tak świetnie była prowadzona, że nawet bardzo cenne i delikatne przedmioty w niéj wyrabiano. Księcia feldmarszałka bliski krewny, zawsze bardzo gościnnie w Puławach był podejmowany.

Czartoryscy z gałęzi, do któréj ks. feldmarszałek należał, pisali się na Klewaniu i Żukowie, a ks. stolnik na Korcu. Cała rodzina wogóle utrzymuje, że pochodzi od Giedymina i dowodem historycznym téj ich procedencyi ma być przywiléj Władysława Warneńczyka, wydany w Budzie 1442 r., gdzie król książąt Czartoryskich braćmi swoimi stryjecznymi zowie. Przywiléj ten wszakże nie rozjaśnia wątpliwości, czy od Olgierda, syna Giedyminowego, czy téż od brata jego Lubarta ród swój wiodą. Cała rodzina wyznawała wiarę grecką i dopiero w 1616 r. książę Jerzy katolicyzm przyjął, a gdy syn jego Mikołaj, wojewoda wołyński, pojął w małżeństwo ostatnią księżniczkę Korecką, odziedziczyli Czartoryscy Korzec i w XVII w. na dwie rozszczepili się linie: Klewańską—starszą i Korecką—młodszą. Książę Józef—stolnik w trzecim stopniu pokrewieństwa z linią Klewańską zostawał.

Lubił on niezmiernie wiele i niezmiernie szybko chodzić i w spacerach tych, które czasami dwie i trzy mile wynosiły, rzadko kto placu mu dotrzymał. Jeden tylko ksiądz Poirsenau, francuz, nauczyciel języka francuskiego na puławskiéj pensyi panien, niezmiernie długiemi obdarzony nogami, stanowił zwykłą jego kompanią.

Szczególną skłonność do dziwactwa, jaka odznaczała ks. stolnika malują pomiędzy innemi jego stosunki z Ropelewskim. Ten Ro-

pelewski legionista, złamawszy nogę i do służby niezdatny, wrócił do kraju, a szukając sposobu do życia, trafił na ks. stolnika, u którego dobra Wałowice, leżące nad Wisłą, zadzierżawił. Majątek w dzierżawę oddał mu książę bardzo tanio, bo tylko za 6,000 złp., ale natomiast do urzędowego kontraktu wprowadził rozmaite śmieszne warunki. Tak naprzykład, że nie będzie się wolno dzierżawcy ożenić bez pozwolenia księcia, że co roku na rachunek raty dzierżawnéj kupi korzec śliwek węgierek, sam je zje i pestki w naznaczoném miejscu posadzi, że trzymać będzie w służbie ekonoma złodzieja i cnotliwego człowieka ma z niego uczynić i t. d. Ropelewski jadł śliwki i pestki sadził, ekonoma kijem do cnoty nawracał, ale po trzech latach uzbierawszy trochę grosza przedstawił księciu, że mu się koniecznie ożenić wypada, choćby dlatego, żeby mieć gospodynię. Książę słuszność żądania uznał, ale sam żonę wybrać mu postanowił. W tym celu zaczął po Sandomierskiém jeździć i znalazłszy panienkę przystojną, ale biedną znacznym posagiem ją obdarował.

Książę stolnik za Stanisława Augusta powołany był do służby dyplomatycznéj i przy dworze Saskim posłował.

Najwięcéj mnie zawsze bawiło, kiedy pan koniuszy Kicki zaparłszy w kąt ks. stolnika, po godzinach całych plótł mu swoje androny. Książę słuchał ich cierpliwie, twarz mu się przedłużała i co chwila tylko: — Ba, mości dobrodzieju — powtarzał.

Do bardzo oryginalnych także figur należał Kralewski, generał dywizyi ze służby francuskiéj, z powodu ran dymisyonowany. Chudy i żywy, nosił zawsze generalski francuski mundur i fryzurę starannie wytapirowaną. Wskutek długiego pobytu we Francyi nabrał manier przesadnéj galanteryi i szczególnego ugrzecznienia dla kobiet. W kieszeni zawsze miał na ich cześć przygotowany sonet i odę i za pierwszą okazyą je recytował. Lubił namiętnie fechtowanie się i zawsze wszystką młodzież na szpady wyzywał, łatwo zaś zwycięzką palmę uzyskiwał, bo my wszyscy przyzwyczajeni szablą tylko wywijać, nie tędzy byliśmy na rożenki. Jeden przeciwnik wszakże raz za wszystkie odniesione nad nami tryumfy się zemścił, fechtując się z nim bowiem wobec dam, zrzucił mu perukę, która tak misternie okrywała jego głowę, że nikt się nie domyślał nawet, że generał był łysy jak kolano. Ten wypadek tak go zmartwił, że obłożnie zachorował.

Przez czas jakiś bawił tu także generał Kopeć, a było to prawdziwie biedne stworzenie. Po sejmie grodzieńskim z brygadą swą wcielony został do wojska rosyjskiego, ale dowiedziawszy się o powstaniu Kościuszki, z tąż brygadą z Owrucza wyruszywszy, przerznął się przez wojska rosyjskie i z Kościuszką się złączył. Pod Maciejowicami ranny i do niewoli wzięty, zesłany został do Kamczatki.

Jadąc tam, w kraju Tunguzów, poczęstowany był jakiemiś grzybami, które zjadłszy stracił zupełnie pamięć wydarzeń i ani niewoli swojéj, ani uwolnienia nie umiał porządnie opowiedzićć. Cesarz Aleksander I dobrotliwie zachował mu stopień wojskowy i pensyą odpowiednią kazał wypłacać. Mówiono mi, że Kopeć późniéj spisał swe życie i wypadki. Książki téj nie miałem w ręku, ale znając go osobiście, przypuszczam, że nie mógł wiernie przeszłości odtworzyć.

W takim samym wypadku jak Kopeć, był Wyszkowski, podówczas major, który także przez wojska rosyjskie się przedarłszy, złączył się z Zajączkiem. Ten jednak uniknął niewoli i uciekłszy do Paryża, na miejscu Barsa, przy konwencyi i dyrektoryacie był reprezentantem interesów polskich. Brat jego zasłużony w literaturze tłómacz dzieł Zachariae'go, ożeniwszy się z ks. Czetwertyńską, popadł w łaski w. księcia Konstantego i uzyskał dla brata przebaczenie, a dla siebie dobrą pensyą. Major z żoną osiadł w Monachium i tu gościnnie dla współrodaków dom swój otworzył, będąc ich przewodnikiem po mieście i częstując ich gościnnie barszczem i kapuśniakiem. Oboje byli bardzo w podeszłym wieku, kiedym ich poznał w 1846 r., on bowiem miał zgórą lat siedmdziesiąt, a ona dochodziła do sześćdziesiątki. Śladów słynnéj piękności znać już na niéj nie było, ale lubiła naprowadzać rozmowę na Petersburg i wzdychając spoglądała na zawieszony w salonie portret w. księcia Konstantego. Kiedy kto z obecnych oczne te wycieczki dostrzegł, rumieniła się jak szesnatoletnia panienka *surprise en peccadille*. Druga Czetwertyńska, jéj siostra, wydana za hr. Naryszkina posiadała serce Aleksandra I i podobno przywiązanie to było silne i jedynie prawdziwe.

Z cudzoziemców, odwiedzających Puławy należy wspomnieć lorda Russel, syna księcia Bedford, który ścisłą przyjaźnią ze Stanisławem Zamojskim złączony, przybył do Puław głównie dla zwiedzenia biblioteki. Rzeczywiście całe dwa tygodnie w niéj przepędził, tyle tylko wychodząc, ile dla koniecznego posiłku było to potrzebném. Mówił bardzo mało i tylko po angielsku, to też o przyszłych wielkich zdolnościach jego nikt nie wiedział i znano go tylko jako zapalonego bibliografa i bibliofila.

Również Pozzo di Borgo, agent anglo-austro-rosyjski, pokilkakroć po kilka tygodni tu bawił. Wiecznie polityką zajęty i osobisty Napoleona nieprzyjaciel, choć także korsykanin, zawsze przeciwko Napoleonowi występował, a spotykając tu i cudzoziemców i polaków, starał się na nich wpływy swe wywierać. Trzymając się strony Paolego, wraz z nim Korsykę anglikom oddał, ale we własnéj swéj ojczyźnie znienawidzony, uczepił się lorda Elliot, który podówczas był posłem w Wiedniu i od r. 1795 zaczął prowadzić awanturnicze

życie, służąc jako tajny agent Austryi, Prusom, Anglii i Rosyi. Ciągłe jego podburzanie Niemców przeciwko Francyi i deklamowanie przeciwko tyranii Bonapartych skłoniły wreszcie Napoleona, że w warunkach Tylżyckiego pokoju wymienione było żądanie, żeby Pozzo di Borgo, przestał być agentem rosyjskim. Ten warunek był właściwie podstawą fortuny awanturnika, gdyż Aleksander I przypomniawszy sobie późniéj, jak Napoleon oddalenia Pozzo di Borgo się domagał, przywołał go na swoje usługi z Konstantynopola, gdzie bez zajęcia pozostawał. Umieszczono go w sztabie, mianowano generałem i obwieszono orderami, a gdy jeszcze w 1813 r. wymógł on na sprzymierzonych, żeby Paryż zajęli i gdy się impreza ta udała, znaczenie jego jeszcze więcéj podniosło. Mianowany posłem należał dotąd do wszystkich kongresów. W 1830 r. popadł w niełaskę, bądź że nie umiał zapobiedz lipcowéj rewolucyi, bądź że dowiedziano się o ogromnym kilkumilionowym prezencie, jaki od Ludwika Filipa otrzymał. W 1837 r. wrócił do Paryża i tu mieszkał aż do końca życia, to jest do 1842 r. Zostawił dwanaście milionów majątku. Stanowi on rzadki przykład dziwaczności losu. Bez nauki, bez szerszych na rzeczy poglądów, bez talentów, za pomocą zręczności jedynie doszedł do majątku, najwyższych godności i urzędów. Burbonowie mianowali go hrabią, a jedynem marzeniem jego było zostać parem Francyi i ministrem spraw zagranicznych.

Pani Krüdener przez kilka tygodni bawiła także w Puławach, a nie chcąc w oficynie przyjąć mieszkania, kwaterowała w oberży. Mnie księstwo przeznaczyli żebym był jéj adiutantem, a obowiązki moje polegały tylko na tém, żem wypytywał o wszystkie jéj życzenia co do życia i wygód, rzeczy żądanych dostarczać kazał, rano przyprowadzał ją lub przywoził do pałacu, a wieczorem odprowadzał na kwaterę.

Pani ta, imieniem Walerya, z domu Wittingraff czy Vittinghof, była wnuczką słynnego marszałka Münicha, a żoną pana Krüdener, kurlandczyka, który piastował urząd posła w Berlinie. W r. 1802 napisała romans *Valerie*, który w piękny, egzaltowany styl ujęty zwrócił powszechną uwagę. Że zaś imieniem go swém zatytułowała, przeto wielu myślało, że własnego tam życia opisuje wypadki.

Wtenczas kiedy w Puławach była pani Krüdener liczyła około lat czterdziestu. Blada była, mizerna, o rysach regularnych i bladobłękitnych oczach, zupełnie pozbawionych wyrazu. Mówiła gładko i płynnie, ale w najpotoczniejszéj nawet rozmowie nie mogła się od egzaltacyi powstrzymać. Z obowiązku, jaki mi przy niéj był naznaczony, uważałem za potrzebne nauczyć się na pamięć kilka ustępów z jéj Waleryi, które wyrecytować nieomieszkałem. Szczęśliwa

wielce była z tego, bo w ogóle bardzo lubiła pochlebstwo. Kiedy raz w piękną noc księżycową odprowadzałem ją do austeryi, prosiła mnie żebym się zatrzymał, i uklęknąwszy na stopniach katolickiego kościoła, który się wówczas budował, więcéj jak pół godziny się modliła. Wstawszy, powiedziała mi, że nigdy przy nikim obcym się nie modli i uczyniła to tylko w towarzystwie mojém, ponieważ do mnie ma zupełne zaufanie.

W literackiéj jéj działalności po „Waleryi“ nastąpiły rozmaite pisma i broszury o ludzkości, gdzie pogrążając się w mistycyzm, jako prorokini się przedstawiała. Od r. 1806 aż do 1814, bez względu na słabe zdrowie i wycieńczone siły, zaczęła przebiegać pieszo Rosyą, północne Niemcy, Holandyą i Francyą i zgromadzała naokoło siebie słuchaczy, rozdając im pieniądze i broszury. Zasady jéj nauki, tak powtarzanéj w pismach, jak i rozpowszechnianéj żywém słowem polegały na wprowadzeniu w życie zasad pierwotnego kościoła chrześcian i na zaniechaniu bojów i wojen. Nadto, usunięcie kary śmierci, zwrot swobody ujarzmionym narodowościom i ścisłe wykonywanie miłosierdzia chrześciańskiego dopełniały ten filantropijny system. Wzniosłe i piękne te myśli, które kiedyś przeważą zapewne w przekonaniach, w epoce działalności pani Krüdener nie wielu liczyły zwolenników. Cała Europa wydawała się jednym obozem, a Napoleon, z jednéj, angielskie intrygi z drugiéj strony do gruntu ją burzyły. Każdy myślał o marszałkowskich buławach, księstwach, dotacyach, któremi Napoleon obficie szafował, i kiedy jedni do ciągłych podbojów wzdychali, inni tymczasem myśleli jakby skruszyć Napoleońskie jarzmo. Jéj więc apostołowanie, mogące tam tylko mieć przystęp, gdzie orły francuzkie nie dotarły, nie bardzo do przekonań trafiały. Widząc, że drogą perswazyi do celu nie dojdzie, zaczęła prorokować i wróżyć upadek *anioła czarnego* (Napoleona), którego zwalczy *anioł biały* (Aleksander).

Wskutek tego Aleksander chciał ją poznać, a wyznać trzeba, że odpowiadało to po części jego skłonnościom do rzeczy tajemniczych, w życiu bowiem tego monarchy wiele podobnych przykładów da się przytoczyć. Kiedy z wojskami wszedł do Paryża, pierwszą wizytę słynnéj pannie Lenormand złożył i od niéj kabały zażądał. Słynna ta kabalarka zaczęła tasować karty i podawszy mu je do zebrania, wręczyła także ołówek, żądając, żeby na papierze dowolną ilość kresek położył. Cesarz nakreślił ich jedenaście i rzekł: — Może już będzie dosyć. — Jako najważniejsza część kabały wyszło twierdzenie, że cesarz Aleksander będzie jeszcze jedenaście lat panować i że następca jego umrze wśród niepokojów i ciężkich zawikłań.

Do Paryża niebawem przybyła i p. Krüdener i spotkanie jéj z cesarzem Aleksandrem nastąpiło. Aby dojść do swego ideału i o ile możności usunąć przyczyny wojen, podała ona wtedy główne zasady Św. Przymierza. Cesarz plany jéj akceptował i sam główny ich program podług jéj teoryi skreślił. Ten swój program wręczył następnie p. Alopeusowi i polecił mu porozumiéć się w tym względzie z ks. Metternichem. Wiadomo powszechnie, że Metternich względem zamiarów cesarza Aleksandra stanowił żywą opozycyą, a żądanie wcielenia Saksonii do Prus, a księstwa Warszawskiego do Rosyi było tego głównym powodem. Dopiero powrót Napoleona z Elby politykę austryacką zmienił. Chwycono się Św. Przymierza, rachując, że za pomocą niego potęgę Rosyi skrępują, i choć na kongresie Wiedeńskim główne jego zasady położono, wszakże rozwinięto je dokładnie na kongresie w Aix-la-Chapelle, w r. 1818.

Przez cały przeciąg tych lat czterech p. de Krüdener ciągle pracowała nad cesarzem Aleksandrem, a ustaliwszy wpływy przeważne nad jego umysłem, popychała go do mistycyzmu, religijności i odstąpienia od zasad liberalnych. Późniéj udała się do Krymu, gdzie zajęła się nawracaniem Tatarów, i tam 1825 r. w tymże samym czasie, co i cesarz Aleksander, umarła.

Chcąc właściwie ocenić tę prawdziwie wyższą istotę, trzeba jéj darować nadmiar egzaltacyi i zrozumiéć, że ta cecha jéj charakteru wiodła ją do błędów. Mając wzniosłe i moralne cele przed oczyma, dążyła do nich z namiętnością i nad wybieraniem środków zastanawiać się nie umiała.

W Puławach także w 1806 czy 1807 r. oglądałem słynnego kapitana okrętu Kruzensterna, który między 1803 a 1806 r. odbył podróż naokoło świata i wydał kilka dzieł wielce szacownych. W Puławach przejazdem bawił tylko dni kilka i miłe wspomnienie po sobie zostawił.

Z innych cudzoziemców, o rodzinie gubernatora Geisrucka już wspominałem. Po nim objęli ten urząd naprzód hr. Urmeny, a póżniéj Maylath. Ostatni został późniéj kanclerzem węgierskim. Lubił on nieposolicie flaki i skoro tylko do Puław przybył, zaraz o tę potrawę prosił. Obadwaj zawsze w węgierskich narodowych strojach, rozmawiali z księciem Feldmarszałkiem po węgiersku i szczególniéj mego współucznia Hallera pieścili.

Daléj bawiła tu czas jakiś ks. Solms, wdowa po bracie króla pruskiego za ks. Solms wydana, i pani Bagration. Ta ostatnia, żona słynnego wodza, który zginął pod Możajskiem, była wówczas w kwiecie swéj młodości i piękności, choć może nie dosyć była wysoka w miarę swéj tuszy... Pochodziła podobno z jakiejś familii litewskiéj

i po śmierci męża ciągle mieszkała w Paryżu, czasami tylko na lato do Baden-Baden wyjeżdżając. Kiedy była jeszcze młodą, stała na czele elegancyi paryzkiéj i z panią Récamier i ks. Liven o lepsze walczyła. W miarę wieku znikał jéj piękny rumieniec i cera stawała się bladą. To stało się przyczyną, że miała szczególniejszą antypatyą do osób rumianych i na ich widok wpadała w spazmy i pokazywać się lubiła częściéj w nocy, aniżeli we dnie. Wskutek tego prawdziwie nieznośną była dla swéj służby, a szczególniéj dla kucharzy, gdyż w wyborze potraw wielce wybredna, coraz żądała czegoś nowego, a zwłoką się niecierpliwiła. Wyszła za mąż za Anglika, p. Carradock, więcéj znanego pod nazwiskiem lorda Hampden, tego, który jest teraz posłem w Madrycie. Wskutek bankructwa bankiera Tharneissen straciła majątek, wpadła w rozpacz i ze zgryzoty umarła 1857 r. W czasie pobytu w Puławach towarzyszyła jéj piękna księżniczka Zubów i obie one przez kilka tygodni do ożywienia zabaw wielce się przyczyniały.

Chociaż wyliczając wspomnianych tutaj cudzoziemców, chciałem na nich zamknąć szereg figur, które przed oczyma mojemi w Puławach się przesunęły, niepodobna mi jednak nie wrócić jeszcze do kilku swojskich postaci. Tak naprzykład wspomniéć tu trzeba o rodzinie Nagórskich, Litwinów, jadących do Rzymu, którzy tu na parę tygodni się za trzymali. Byli to brat i siostra rodzeni, którzy się ze sobą pożenili i jechali do Ojca Świętego pozwolenie i błogosławieństwo uzyskać. Czy celu swego dopięli nie wiem, bo późniejsze wypadki zupełnie mi o nich zapomniéć kazały.

Z dziecinnemi wspomnieniami mojemi także silnie się łączyły postać ks. Piramowicza, gdyż on pierwszéj spowiedzi mnie słuchał. Naprzód proboszcz w Kurowie, późniéj w Międzyrzecu, jak go zapamiętam, był już w wieku bardzo posunięty. Stracił wzrok, ale się do tego nie chciał przyznawać. Listy sam zawsze pisywał i nie uważał tego, że kreśli niezrozumiałe hieroglify i że najczęściéj większa połowa listu zostaje na stole. Wzrostu nizkiego, otyły, żywy, ruchliwy, oczy miał małe, nos gruby i prosty, usta duże. Życie jego poświęcone było naukom. Oprócz kazań i mów rozlicznych tłómaczył on Dykcyonarz Starożytności i jako członek komisyi edukacyjnéj i towarzystwa do ksiąg elementarnych, wypracował poezyą i wymowę dla szkół narodowych. Lwowianin, pochodzący z ormiańskiéj rodziny, wraz z bratem swoim Stanisławem, który późniéj po nim objął probostwo kurowskie, wstąpił w młodych leciech do zakonu jezuitów. Po kasacyi zakonu Eustachy Potocki, generał artyleryi, użył go za mentora do swych synów Ignacego i Stanisława. Z niemi odbył podróż po Francyi i Włoszech i w r. 1775 do ojczyzny powrócił.

Szczególnym trafem i uczniowie i ich profesor znaleźli się znowu razem w Komisyi Edukacyjnéj, któréj Piramowicz był sekretarzem. Umarł w końcu r. 1801.

Również często odwiedzał Puławy ks. Aleksander Lubomirski, dziedzic Opola, w którém podobnie jak w Puławach był drugi punkt zborny szlachty lubelskiéj. Książę Aleksander ciężkie poniósł straty przez bankructwo Teppera i innych bankierów warszawskich i wtedy w pozostałych mu dobrach Opolskich i Józefowskich zajął się szczerze gospodarstwem, odznaczając się rządnością. Folwarki pojedyncze w porządne budowle zaopatrzył i na każdym z nich dom mieszkalny dla siebie wystawił, tak że wszędzie mógł bawić tyle, ile mu się podobało. Wzrostu więcéj jak średniego, postawy poważnéj, nosił się zawsze w stroju francuzkim, w peruce tapirowanéj i pudrowanéj. Żonaty z Chodkiewiczówną, stracił swą żonę w Paryżu, w czasie rewolucyi francuzkiéj. Pani ta bawiąc w Paryżu w czasie ścierania się jakobinów z żyrondystami, przez Mostowskiego, kasztelana Raciąskiego wprowadzona została do salonu p. Roland, któréj mąż, także żyrondysta, zgromadzał u siebie głównych przedstawicieli tego stronnictwa. Książęca jéj godność i zaprzyjaźnienie się z panią Roland stały się dla Robespierra powodami wystarczającęmi do uwięzienia jéj i oddania pod sąd po upadku żyrondystów. Niebawem skazano ją na śmierć, a przyjaciele jéj doradzali, żeby ratując się, zeznała iż jest w stanie poważnym, coby na kilka miesięcy, zanim inne środki ratunku się nie znajdą, życie jej przedłużyło. Lecz Lubomirska, z krwi Chodkiewiczów, nie chciała splamić się kłamstwem, tém więcéj że przez takie zeznanie cnotę swą podałaby w podejrzenie. I tak, na kilka miesięcy przed upadkiem Robespierra, pod gilotyną życie swe zakończyła. Książę Aleksander powtórnie się nie ożenił i do śmierci wdowcem pozostał. Córka jego Rozalia późniéj za Wacława Rzewuskiego wydana, w młodych swych latach z ochmistrzynią często Puławy odwiedzała, a po śmierci ojca dłuższy czas tutaj bawiła aż do swojego do Wiednia wyjazdu.

Oprócz niego często tu bywał ks. Fryderyk Jabłonowski, *tirbouchon* zwany, ks. Pelagia Sapieżyna, wówczas żona ks. Franciszka, familia Bystrych, bardzo poważna, Olędzkich, z Czartoryskimi spokrewnionych, książę Sanguszko, wojewoda Wołyński, pan Pokutyński i ks. de Fleury, emigrant. Ci dwaj ostatni wiecznie ze sobą grywali w karty i w bilard, niezmiernie drogo bo po 50 luidorów partya.

Co do emigrantów francuzkich zabawną między nimi figurą był ksiądz Balivier, a właściwie Balievre. Był on wielkim jałmużnikiem dworu Ludwika XVIII, ale z pozoru nie wyglądał wcale na księdza.

Jedyną oznaką duchownego jego stanu była czarna chustka na szyi kiedy inni nosili jedynie białe. Zresztą inne suknie podług ostatniéj mody, fraki kolorowe, buty palone, z ostrogami, a w ręku zamiast laski nosił zawsze szpicrutę, któréj główka drogimi kamieniami była ozdobiona; konno jeździł wybornie, do dam się przymilał i wieczorami na gitarze hiszpańskiéj serenady pod oknem pani Mierowej wygrywał. Wszystko to gniewało ogromnie mego guwernera ks. Laville, który nie mógł strawić, że Ludwik XVIII takiego jałmużnika sobie wybrał. Ile razy ks. Balivier do Puław przyjechał, on się zawsze u siebie zamykał i na pokoje nie wychodził.

Ścisłą przyjaźń z ks. Czartoryską zawiązała pani Wincentowa Tyszkiewiczowa, rodzona siostra ks. Józefa Poniatowskiego, i często także pomiędzy nami bawiła. Średniego wzrostu, blondynka, byłaby bardzo piękną, gdyby nie to, że straciwszy nie wiem z jakiego wypadku oko, zastąpiła je szklannem. To rysy jéj twarzy szpeciło. Nigdy jéj inaczéj nie widziałem ubranéj jak w amazonce i kapeluszu męzkim na głowie. Nosiła téż długie pukle włosów, które z pod kapelusza na czoło spadając, oko jéj trochę zakrywały. W kilka lat potém, kiedy Talleyrand, książę Benewentu, zamieszkiwał w Warszawie, zawiązała się między nimi szczególniéj ze strony pani Tyszkiewiczowéj tak silna przyjaźń, iż opuściła Warszawę i brata i za Talleyrandem do Paryża się przeniosła i bądź w téj stolicy, bądź w zamku Valençay przemieszkiwała. Talleyranda pieściła, dogadzając wszelkim jego fantazyom ze szkodą własnego majątku. Codziennie, między innemi dawała mu woreczek z 500 frankami, które tenże przyjmował i do gry wieczornéj w karty ich używał. Stosunek ten tém był dziwniejszy, że Talleyrand choć słynął z dowcipu, wdziękami wcale się nie odznaczał. Kulawy, o rysach twarzy nieprzyjemnych, oprócz rozumu nie posiadał nic takiego, coby serce kobiety podbić zdołało. Żonaty, z żoną nie żył, i ta okoliczność stosunki jego z Tyszkiewiczową ułatwiała. Jemu też całe swe życie poświęciła i, bawiąc ciągle w tych miejscach, gdzie on przebywał, w Paryżu życia dokonała. Dziwnym zbiegiem okoliczności, kiedy ona przeważnie w wązkim gustowała stroju, mąż jéj, jak Ludwik XVIII, w spódnicy chodził. Opowiadała mi o niéj pani Gutakowska, że kiedy w młodości swéj w zamku mieszkała, wybiegła raz do gościnnych komnat i tu spotkawszy Szydłowskiego, starostę Mielnickiego, długo z nim na rozmowie się zatrzymała. Usłyszawszy odgłos nadchodzących, z obawy przed guwernantką w piec się schowała. Nieobecność panny Poniatowskiéj wkrótce wykryto; ale napróżno jéj szukano i dopiero szelest sukien w piecu, pobyt jéj tam wydał. Wleźć jednak przez wązki otwór do

pieca było łatwo, ale wynijść ani podobna, i musiano aż mularzy sprowadzać, którzy kafle porozbierali.

Księżna Wirtemberska, rozwiedziona z mężem, także najczęściéj przesiadywała u rodziców, zajmując się wychowywaniem swego synka Adama, a kiedy książę Ludwik, jego ojciec, matce go odebrał i kiedy cesarzowa wdowa umieściła go w pułku huzarskim gwardyi rosyjskiéj—księżna Wirtemberska zimy spędzała w Wiedniu, a na lato przejeżdżała do Puław.

Hrabia Stanisław Zamojski, ożeniwszy się z księżniczką Czartoryską, przez dwa lata po Francyi i Anglii podróżował, 1802 r. wrócili do kraju ze służbą całkiem z Anglików i Francuzów złożoną. Po powrocie zajął się stawianiem pałacu w Klemensowie, w ordynacyi, i urządzaniem małego domku wiejskiego w Maciejowicach. Tu ogrodnik Francuz, biegły pomolog p. Le Gras założył piękne sady, które dotąd słyną z dobroci i obfitości fruktów. Z powodu bliskości Maciejowic często pp. Zamojscy przesiadywali w Puławach. On całe ranki trawił tu na grze w piłkę, na biegania do baryery i na jeżdżeniu konno. W piłkę grywano za pomocą bębenków, nimi podbijając ją w górę. Potrzeba było do tego pewnéj zręczności i ks. Poirsenau tak w téj grze, jak i w bieganiu celował. Jazdy konne zbierały zawsze osób kilkanaście, a ponieważ Zamojski piękne wierzchowce angielskie posiadał, zwykle więc każda przejażdżka kończyła się wyścigami, do których błonie pod Włostowicami wyborne przedstawiało pole.

VIII.

Prawdziwa świetność Puławskiego dworu i towarzystwa tutaj się zgromadzającego trwała właściwie od 1797 do 1806 r. W tym czasie wojna i powstanie księstwa Warszawskiego powoli i młodzież i dojrzałych mężów zaczęły rozpraszać. Pierwsi opuścili nas Szumlański i brat mój stryjeczny Konstanty Dembowski.

W r. 1804 przejeżdżał przez Puławy pułkownik Witt, szef pułku kirysyerów. Ten zaprzyjaźnił się z Szumlańskim i namówiwszy go, żeby wstąpił do wojska rosyjskiego, stopień mu majora wyjednał. Szumlańskiego długo do tego namawiać nie było potrzeba. Przed dziesięciu laty służył on w wojsku polskiem, a późniéj do legionów przeszedł. We Włoszech ranny w twarz pałaszem, zachował nazawsze szeroką kresę na twarzy, ale ta bynajmniéj bardzo pięknego jego oblicza nie szpeciła. Następnie wysłany z depeszami do Egiptu do jenerała Bonapartego, pojmany został przez turecką flotę i w Stambule w straszném więzieniu przebywał. Wyrwawszy się ztamtąd

wrócił do Puław tak wynędzniały i zbiedzony, że widok jego litość obudzał.

Wstąpiwszy nanowo do wojska rosyjskiego, niedługo w niém przebywał i po kampanii austryackiéj w stopniu pułkownika przeszedł do armii księstwa Warszawskiego. Ugrzeczniony, bywalec, dowcipny i przystojny, pozyskał sobie szczególne względy pani de Vauban i ta w spazmy wpadała, skoro go nie widziała na zebraniach w swoim salonie. Za jej staraniami zaliczony do sztabu, bez żadnego wyraźnego zajęcia, za jedyny obowiązek utrzymywanie konwersacyi na zebraniach uważał. Po r. 1812 osiadł w Galicyi, ożenił się majętnie i przywdział strój polski, w którym mu jeszcze więcéj było do twarzy. Córka jego wyszła za ministra Rewitzky'ego.

Konstanty Dembowski, kiedy po ukończonéj w Puławach edukacyi o dalszym losie przemyśliwał, za poradą ojca mego wstąpił do wojska. Wszedł więc jako junkier do Izmaiłowskiego pułku gwardyi i ztąd wkrótce w stopniu podporucznika przeniesiony został do pułku ułanów w. ks. Konstantego. W bitwie pod Austerlitz wzięty został do niewoli. Trzeba wiedzićć, że wówczas ani komunikacye nie były łatwe, ani nie było wielkiéj mnogości gazet, a i te, co istniały, z wielką trudnością dochodziły. W pierwszych więc jeszcze dniach stycznia 1806 r. powszechnie mniemano, że sprzymierzone pod Austerlitz siły otrzymały świetne zwycięztwo i zmusiły Napoleona do przyjęcia uciążliwego pokoju. Szumlański, który wracając z téj wyprawy, do Puław wstąpił, jako oficer gwardyi pogłosce o powodzeniu oręża sprzymierzonych zaprzeczać nie chciał i o bitwie saméj bardzo dwuznacznie się wyrażał. Nadto przywiózł wiadomość, że Konstanty Dembowski poległ na placu boju. Opłakiwaliśmy go wszyscy a szczególniéj siostra jego Rozyna w żalu utulić się nie mogła. Aż tu zaledwie Szumlański do Petersburga wyjechał, wpada w ułańskim swoim mundurze nasz Konstanty. Ten dopiero o austerlickiéj bitwie dokładnie nas uwiadomił i losy swoje tak opowiedział. Wzięty do niewoli, odprowadzony został do Berna, gdzie komendantem fortecy zastał Zajączka, dawnego znajomego swojego ojca. Ten rannego do swéj kwatery przyjął, leczeniem jego się zajął i po zawarciu pokoju uwolnił, środkami na drogę zaopatrzył i do ojczyzny odesłał.

Konstanty Dembowski w r. 1809 opuścił służbę rosyjską i wstąpił do huzarów Umińskiego i tu w tym pułku bitnym lecz nie karnym do r. 1812 zostawał. W 1813 przeznaczony do sztabu marszałka Oudinot w randze pułkownika, po skończonych wojnach już nie wszedł do formującego się wojska polskiego, ale na wsi osiadł, ożenił się majętnie ze swoją kuzynką Witosławską i umarł 1856 roku.

W tymże samym r. 1804 opuścił także Puławy książę Dominik Radziwiłł, zabierając z sobą Łopota, Teodora i Marcina Michałowskich i Jana Narbutta. Przed odjazdem jego wszakże odbyłem jeszcze razem z nim dwie wesołe wycieczki—jednę do Podzamcza, drugą na Zielone Świątki do Warszawy.

Zamojski wyjednał dla miasteczka Maciejowic jakieś nowe jarmarki i na pierwszy z nich całą puławską młodzież, a także i dojrzalszych zaprosił. Że zaś pałacyk w Podzamczu był niewielki, goście więc zajęli stodoły i przez kilka dni wesołośmy się tutaj bawili. Stół, usługa, desery, wina wyśmienite, a uprzejmość gospodarstwa nie do opisania. Co do samego jarmarku, najlepiéj na nim zyskali dworscy służący, którzy pozakładali sklepiki z piłkami, bębenkami, laseczkami i szpicrutami i niemiłosiernie drogo je sprzedawali. Ponieważ każdy uważał za obowiązek na jarmarku coś kupić, przeto prędko ten towar rozchwytano.

W towarzystwie naszém znajdował się p. Julian Ursyn Niemcewicz i tu, o ile mógł spamiętać, okazywał nam i objaśniał plac słynnéj bitwy, w któréj wraz z Kościuszką dostał się do niewoli. Że jednak od lat dziesięciu pozakładano tu klomby, postawiono budowle i parkany, przeto dokładne uprzytomnienie szyku bojowego było dość trudne. Płynie tu mała rzeczułka Okrzeja, środkiem bagnistéj łąki, zarośniętéj rzadką olszynką i ona prawie okala maleńką wzniosłość, którą teraz niemal całą dworskie budynki zajmują. Te wzgórza zajmowała szczupła siła wojska polskiego, a rozmieszczenie jego było takie, jak załączony planik podług wskazówek Niemcewicza nakreślony przedstawia.

Dwie głównie przyczyny smutny rezultat spowodowały. Dywizya księcia Ponińskiego, pod Żelechowem zostawiona, na czas nie przybyła i rachunek, że po bagnistéj łączce nie przejdą działa rosyjskie okazał się mylny. Poniński tak, jak Grouchy pod Waterloo, opóźnieniem swojem katastrofę spowodował, ale czy jego była w tém wina, dziś rozsądzić to trudno. Z początku głos publiczny o to go obwiniał, ale jeśli rzeczywiście Poniński nie otrzymał rozkazu, to wina naczelnika, że myśląc o walnéj bitwie potrzebnych sił do niéj nie ściągnął.

Wycieczka na Zielone Świątki do Warszawy odbyła się z całą swywolą księciu Dominikowi właściwą. Wyruszyliśmy dwoma powozami. W jednym siedział książę, ja i Łopot, w drugim dwaj Michałowscy i Narbutt. Ponieważ po dukacie tryngielta dawano, ośmnaście więc mil piasków w przeciągu jednego dnia-śmy przebyli. Po drodze wyprawiano rozmaite figle po karczmach i pocztach i sowicie za wszystko płacono. W Warszawie stanęliśmy w pałacu Ra-

dziwiłłowskim, dziś Namiestnikowski zwanym. Ogromny ten gmach był zupełnie pusty, a burgrabia na przyjęcie pryncypała ani łóżek, ani materaców przygotować nie zdołał. Na sianie więc założyliśmy obóz a po pustych komnatach na wyścigi biegali. Zresztą nie można było tracić czasu na oglądanie téj rezydencyi, bo książę zajęty był przygotowaniem wystąpienia na Bielanach. Skupowaliśmy więc konie, zaprzęgi, powozy i w poniedziałek Łopot, Narbutt i ja paradowaliśmy powozem, a książę z Michałowskimi konno. Na Bielanach nie mięszaliśmy się do wyższego towarzystwa, ale opanowaliśmy karuzele i diabelskie młyny, a książę hojnie traktując rzemieślników, całkiem ich względy pozyskał.

Wieczorem będąc w teatrze, spostrzegliśmy w loży księżnę Bagration z panną Zubów. Załóż się, rzekł do mnie książę, że nie będziesz miał odwagi pójść do loży i przez cały jeden akt rozmową swoją bawić damy. Powiedzenie to ubodło moję ambicyą i zakład przyjąłem. Kiedym jednak do loży wchodził, serce mocno mi biło, a rumieniec na twarz wystąpił. Księżna była osoba dobra i właśnie przed kilkunastu dniami dopiero Puławy opuściła, tam ją widywałem często i nawet parę razy z nią tańczyłem, ale zawsze dla piętnastoletniego wyrostka, zadanie to nie lada bawić tak dostojne damy. Panie przyjęły mile moje odwiedziny, a ja chcąc lepiéj się postawić, na wstępie skłamałem. Powiedziałem, że dopiero co z Puław przybywszy, mam polecenie od ks. Czartoryskiéj złożyć im uszanowanie i oświadczyć wiele ich pobyt w Puławach wspomnień miłych pozostawił; że zaś nie wiedziałem ich mieszkania, korzystam z téj okoliczności, iż je dostrzegłem w teatrze. Księżna podziękowała mi wdzięcznie i na obiad do siebie na dzień następny zaprosiła. Oprócz więc dziesięciu pomarańcz w zakładzie wygranych, zyskałem jeszcze że przez cały czas pobytu w Warszawie, codzień po parę godzin u księżnéj przepędzałem.

Za poprzedniéj mojéj jeszcze z ojcem w Warszawie bytności, miałem sposobność widziéć pokilkakroć Tadeusza Czackiego, z którym ojciec mój jakieś układy zawierał. Nie wiem dla czego, ale ile razy go spotykałem, zawsze on był ubrany w galę, z orderem i wstęgą Orła białego.

Za tamtéj także bytności, pani Sołtykowa kasztelanowa, Sapieżanka z domu, zaprosiła mojego ojca i mnie na podwieczorek dawany w Foksalu dla młodzieży mojego wieku. Ogródek ten nie wielki, na Nowym Świecie położony, składał się z jednéj alei lipowéj, na któréj końcu znajdował się usypany kopiec, dający piękny widok na Saską Kępę i zawiślańskie okolice. Moda ówczesna, władczyni towarzyskich stosunków, obrała maleńki ogródek Foksalu za ulubione

miejsce schadzek i kiedy Łazienki, Ogród Saski i Krasińskich pustkami stały, tu ścisk był niepojęty. Wieczorem zwykle muzyka grzmiała i ulice iluminowano. Po podwieczorku, piątym już zdaje się z kolei, podzieliliśmy się na dwa stronnictwa. Jedno, w którém Ludwik Kicki i ja znajdowaliśmy się, miało bronić kopce, drugie pod dowództwem Romana Sołtyka miało go atakować. W liczbie zdobywających szczególną natarczywością odznaczał się książę Agenor de Grammont, żywy i zapamiętały francuzik. Ten pomimo że kilka razy od kopca był odepchnięty, wdzierał się nań ciągle nanowo z takąż samą natarczywością. Ludwik Kicki, choć młodszy odemnie, ale krępy i silny, nie wiedząc jak się pozbyć napastnika, wziął go wpół i rzucił nim jak piłką. Francuz potłukł się trochę, ale uraził się jeszcze bardziéj i wyzwał natychmiast Kickiego na pojedynek. Ze dwudziestu malców, z których najstarszy czternaście lat liczył, zaprzestało natychmiast zabawy, poprzysiężono tylko wypadek w tajemnicy zatrzymać i co ważniejsza, sekretu dochowano. W istocie nazajutrz pojedynek miał miejsce na pałasze i książę Agenor został lekko zadraśnięty.

W Warszawie także widziałem Ludwika XVIII z ks. Augoulême i ks. Berry. Król francuski bardzo otyły, toczył się raczéj wahając, aniżeli chodził. Książę Augoulême chudy, a książę Berry barczysty, czerwony i pokryty krostami na twarzy. Pozostając w Warszawie, prowadzili życie skromne i bez żadnéj wystawy, nie uczęszczając do towarzystw i nie przyjmując u siebie. Mieszkali na Krakowskiem Przedmieściu obok Bernardynów w domu Wernera i u siebie podobno etykiety przestrzegali surowo. Po niedługim pobycie tutaj, przenieśli się naprzód do Mitawy, a następnie do Anglii.

W tym także roku opuścili Puławy: Maksymilian Fredro, Joachim, Stanisław, Józef i Antoni Hemplowie, Mogilnicki i Białopiotrowicz, do legionów wstępując. Jan Goltz ożenił się z panną Czempińską, kupił dobra Komarno na Podlasiu i tam osiadł, Kruszyński i Deboli wstąpili na drogę urzędniczéj karyery.

Przysłano także po Hallera, żeby go zabrać do Węgier. Przez czas trwania jego edukacyi często go odwiedzali rodzice, ale o to jakie pobiera nauki nie bardzo się troszczyli i nigdy o to nie zapytywali. Dopiero przysłany po niego, jakiś zabity madziar wziął Emiego na surowy egzamin i po zadanych kilku pytaniach zadecydował, że wychowanie jego jako Węgra zupełnie chybione. Aczkolwiek rodzice na czas pobytu w Puławach dodali synowi swemu Węgra Janusza, który miał z nim po węgiersku i po łacinie rozmawiać, jednak, jak to często się dzieje, Haller z Januszem mało się nawet widywał. Teraz dopiero okazało się, że Emi po węgiersku bardzo źle

mówi, praw węgierskich nie zna, a po łacinie wyraża się wprawdzie biegle językiem Horacego i Tacyta, ale nie rozumie łaciny *culinaris*, w powszechnem użyciu u Węgrów będącéj. Pamiętam, że w puławskiéj bibliotece znajdowały się mowy Cycerona, drukowane w Budzie i tłómaczone na *łacinę węgierską*, dla posługiwania się niemi w czasie obrad i sejmów. Tém wszystkiem szczerze się zmartwił poczciwy ksiądz Laville, a i księstwu nie było to bardzo miłem. Z tém wszystkiem, po powrocie do ojczyzny, młody, Haller, oddany do akademii, prędko nabył wiadomości, których mu Puławy dostarczyć nie mogły, i w dalszym ciągu swego życia powszechnie szanowany, był bardzo godnym obywatelem.

Niedługo potém bo około r. 1806 i pensya pani Januszewskiéj pustoszéć zaczęła. Oprócz wydanych za mąż panien Poświatowskiéj i Drużbackiéj, powychodziły za mąż panny Dembickie, panna Tańska i wreszcie panna Weronika Dzierżanowska, którą w Puławach powszechnie za brzydką uważano. Była ona blondynką o wiele jaśniejszą od siostry, oczy miała duże ale wytrzeszczone, co jéj wyraz głupowaty nadawało. Szpeciła ją nadto długa szyja i jakaś niezgrabność figury. Nazywano ją pospolicie to *łabędziem*, to *gęsią* i na balach nikt z nią tańcować nie chciał, tak, że książę i księżna napędzali do niéj tancerzy. Aż między towarzystwem warszawskiem, Puławy odwiedzającém, zjawił się Rautenstrauch, podówczas kapitan przy sztabie księcia Józefa. Był on synem obywatela warszawskiego, posiadającego fabrykę skór wyprawnych i safianów w okolicy Żoliborza. Nim do wojska wstąpił, był domownikiem pod Blachą, nosił mundur Jabłonny i mimo że natura obdarzyła go szczególną brzydotą twarzy, przez swoje staranne wychowanie, dowcip i ubieranie się wyszukane, zdobył miejsce w gronie drugorzędnych elegantów warszawskich. Otóż on odkrył w pannie Weronice wdzięki, jakich nikt w Puławach nie zgadywał. Oświadczył się o jéj rękę i z wielką radością księstwa, a podziwieniem nas wszystkich, z nią się ożenił. Po kilkomiesięcznym pobycie w Warszawie i przy starannéj Rautenstraucha edukacyi z panny Weroniki zrobiła się sławna i rzeczywista piękność. Ale okoliczność ta, zamiast stanowić szczęście męża, owszem stała się jego zmartwień powodem. Pani Rautenstrauch mnóstwem wielbicieli otoczona, męża porzuciła i potrzeba było podać się o rozwód. Mieszkała późniéj w Klewaniu, od siostry swéj pensyą pobierając.

W Puławach w tym roku były w modzie gonitwy piesze i zabawa zwana *zabójcza*. Gonitwy odbywały się w ulicy, prowadzącéj z Włostowic do Parchatki— meta bardzo odległa. W Parchatce damy oczekiwały zwycięzcy i tu otrzymywał on z rąk księżnéj Wir-

temberskiéj wstęgę koloru swéj damy. Gonitw takich kilka się odbyło, lecz gdy wskutek nich jedni mdleli, drudzy się pochorowali, zabawę tę zastąpiono inną, polegającą na braniu szturmem domu na wzgórzu w Parchatce. Całe towarzystwo dzieliło się na zdobywających i broniących. Pozycya obrońców była dość łatwa, bo góra z trzech stron była wielce stroma, prawie prostopadła, z czwartéj zaś strony tylko przez ciasny mostek dostać się tu można było. Zatknięcie sztandaru na górze oznaczało zdobycie fortecy. Zabawa miała długie powodzenie i polegała głównie na podstępach, za pomocą których twierdzę wziąść można było. Następujący po batalii suty podwieczorek i długie po ślicznych górach parchackich spacery, sprawiały, że do rozrywki téj powracano z zapałem.

Wspomnieć także należy o zaszłéj w tym czasie mistyfikacyi Nosarzewskiego. P. Nosarzewski, elegant warszawski, choć w dojrzalszym wieku, późniéj szef biura przy księciu Bassano, zakończył życie we Francyi. Był on bardzo przystojny, dowcipny, a przedewszystkiém zawsze wesoły. Pani Aleksandrowa Potocka rozmawiała raz z nim długo wieczorem o strachach i w końcu zrobiła zakład, że o północy do kaplicy na Parchatce pójść nie będzie miał odwagi.

Zakład stanął, a Nosarzewski znając usposobienie pani Potockiéj, że niezmiernie z ludzi drwić lubiła, przewidywał, że zechce go straszyć. Postanowił więc ją uprzedzić i wcześnie z Puław do Parchatki się wybrał. Przybywszy na miejsce, ulokował się w kaplicy i odziany długiem prześcieradłem, z przyprawioną brodą i twarzą okrytą płótnem nasmarowanem fosforem cierpliwie oczekiwał. Parchatka położona jest na stoku wzgórz, które z jednéj strony ciągną się pod Kazimierz i Dobre, z drugiéj po za Lublin aż do Wąwolnicy. Wioska pobudowana u stoku wzgórz i z niéj rozliczne ścieżki prowadzą na wyniosłości. Na połowie góry wybudowany ładny domek gotycki z cudownym widokiem na Puławy, Kazimierz i Janowiec, daléj domek, o zdobycie którego tyleśmy się razy kusili, wreszcie rozdół, na którym rzucony śmiały mostek i po za mostkiem zaraz rozwaliny kaplicy. Koło jedenastéj w nocy przybyła pani Potocka w towarzystwie służebnych, niosących pakiety zapewne do przebrania służyć mające. Przebyły szczęśliwie mostek, ale z kaplicy naprzeciw nich wyszła straszna postać przebranego Nosarzewskiego. Przestraszone kobiety, rzuciwszy co niosły z sobą, w popłochu do powozu stojącego we wsi uciekły, a Nosarzewski ze zdobyczą tryumfujący do Puław powrócił.

W tym roku także przyjechał do Puław świetny młodzieniec p. Stanisław Grabowski. Świetnym nazwały go całe Puławy, gdyż rzeczywiście głębokością posiadanych wiadomości i obcych języków

wszystkich oczarował. Wracał on z Włoch, z kampanii odbytéj przeciw bisurmanom. Rodzina jego zabiegała usilnie, żeby mógł dostać komandorią maltańską, czyniącą około 24,000 złp. rocznego dochodu, a płatną z dóbr ordynacyi Ostrogskiéj. Choć więc obowiązki zakonu maltańskiego stały się już w tym czasie czczą formą, trzeba było im zadość uczynić i Grabowski, w mundurze maltańskim się noszący, odbył tak nazwaną kampanią, która była prostem zwiedzeniem Katanii, Messyny, Palermo i wierzchołka dymiącéj Etny i złożeniem uszanowania wielkiemu mistrzowi. Grabowski wracając z téj ekspedycyi, zabawił kilka tygodni w Puławach i tu ogólne zyskał pochwały. I do uczonéj dysputy i do towarzyskiéj zabawy ochoczy, tańcował zawsze wiele a w tańcu głowę na lewą stronę pochylał. Z Puław wybrał się do Petersburga, a zdaje się, że powodem téj jego wyprawy były starania o Krzywowierzbę. Król Stanisław August w ostatnich latach swego panowania te dobra stołowe nadał Grabowskiemu. Czyniły one około 40,000 złp. intraty, a ponieważ znajdowały się o parę mil od Włodawy i do Litwy się liczyły, w posiadłość ich wprowadzał Grabowskiego ks. Repnin, podówczas generał-gubernator wileński. Lecz w kilka miesięcy ustanowiono ostatecznie granice trzech dworów i Krzywowierzba odpadła do nowéj Galicyi. Rząd austryacki nadanie królewskie uznał za nieważne, królowie bowiem polscy dóbr swych stołowych nie mieli prawa rozdawać, odebrano więc Grabowskiemu ten majątek i teraz on zamierzył, wsparty protekcyą dworu rosyjskiego, na nowo starania rozpocząć.

Współcześnie w okolicy Puław pozachodziły ważne zmiany. Kurów, dobra po marszałku Potockim na żądanie wierzycieli sprzedane, nabył p. Kuczyński, obywatel majętny z Podlasia. Był to człowiek zacny, lecz słabego zdrowia i tetryk. Kilka lat przedtém, gdy się raz znajdował w towarzystwie w Lublinie, nastawano na niego czemu się nie żeni. Odpowiedział, że w przywiązanie kobiet nie wierzy i przez żart dodał, że z tąby się chyba ożenił, która nie zważając na ludzkie języki, żeby mu dać dowód przywiązania, oknem w biały dzień do mieszkania jego by weszła. W towarzystwie między innemi znajdowała się p. Moraczewska, żona adwokata lubelskiego i matka dwóch córek. Ta nazajutrz w samo południe na Krakowskiem Przedmieściu do domu Henowéj, gdzie właśnie mieszkał Kuczyński przez okno wlazła, wybierając czas, w którym najwięcéj ludzi na ulicy się znajdowało, lub do restauracyi wchodziło. Szlachcica wzięto za słowo i cofać się nie było podobna. Rozpoczęto rozwód, p. Moraczewski za 10,000 złp. praw swych małżeńskich odstąpił i Kuczyński ożenionym się ujrzał. Niedługo jednak swojém

szczęściem się cieszył, bo prędko potém na kuracyi w Reinertz umarł, żonie Kurów i dobra na Podlasiu zapisując. Familia Kuczyńskich długo ją o nieważność testamentu procesowała, ale w końcu nastąpił układ, z mocy którego Kurów i większa część majątków przy wdowie pozostała.

Markuszów nabył hr. Tarnowski, ale rzadziej tutaj, częściéj w Drążgowie mieszkał, żona jego jednak wkrótce owdowiawszy, w Markuszewie osiadła i często Puławy nawiedzała. Ugrzeczniona i z dobrem sercem, ale zanadto dumna i pełna etykiety. Syn jéj Władysław, jedynak, chrzestny syn cesarzowéj Katarzyny II, jeszcze w czasie zjazdu Kaniowskiego zakochał się w pannie Rożnieckiéj, siostrze generała, matka atoli uważając związek ten za niestosowny, wysłała go na wojaż za granicę pod opieką księdza Koźmiana. Ksiądz ten, późniéj surowy biskup kaliski, był w owéj epoce labusiem elegantem, strojącym się w kolorowe fraki i za rozrywkami goniącym.

W tym także roku dłużéj w Puławach bawiła księżna Solms, o któréj już wspominałem, a która nie odznaczała się niczem osobliwem, tylko wysokim wzrostem, ubiorem bogatym i tą szczególnością, że pożerała ogromną masę kartofli.

Przez Lublin przejeżdżali arcyksiążę palatyn węgierski, który poślubił siostrę cesarza Aleksandra i w. ks. Konstanty. Na ich powitanie wyjechał z Puław do Lublina książę feldmarszałek, a z listów przez księżnę do mojéj matki pisanych mogę wnosić o wrażeniu, jakie spotkanie to na nią wywarło. Oboje księstwo zgadzają się że palatyn przyjął ich z całą dumą i sztywnością niemiecką i wysiadłszy z powozu, głową kiwnął, ale w dłuższą rozmowę się nie wdawał. Przeciwnie książę Konstanty zachowywał się z wyszukaną uprzejmością, która tak staruszka księcia feldmarszałka omamiła, iż wyraża się nawet, że jest to bardzo piękny młodzieniec. Podobno tylko on jeden z księżną Łowicką opinią tę podzielał.

Kiedy myśmy w Puławach bawili się i szaleli, książę feldmarszałek tymczasem męczył się platoniczną miłością, która i dla żony jego i dla całéj rodziny były zabawy przedmiotem. Nie wiem gdzie poznał jakąś panią Leżyńską, podobno w Wiedniu czy w Krakowie. Ani w Puławach, ani w Sieniawie, ani w Bardyowie nigdym jéj nie widział i tylko ojciec mi opowiadał, że była to osoba młoda, otyła, ale nieosobliwéj piękności. Przy pierwszym spotkaniu podbiła staruszka zupełnie i od téj pory bezustannie pisywał do niéj strzeliste listy, prosząc żeby albo do Puław zjechała, albo naznaczyła mu miejsce, gdzieby mógł do niéj przybyć. Do listów dołączane zawsze szły bywały sute prezenta, na które sumy niemałe. Pani Leżyńska

ani do Puław przybyć nie chciała, ani miejsca pobytu swojego nie wskazywała, kręcąc się ciągle między Lwowem, Warszawą, Krakowem i Wiedniem. Gdziekolwiek tylko ruszył się książę o biletach, bukietach i podarkach dla damy swego serca nie zapomniał. Księżna Wirtemberska pisze z Wiednia do mojéj matki, że od rana do nocy chodzi z ojcem po sklepach, wybierając prezenta dla znajoméj damy. W Warszawie obowiązek ten włożony był na p. Borysławskiego, a bukiety z Puław p. Boczkowski odwoził, co zaś do wyboru kwiatów długie zawsze odbywały się narady. Kilka lat trwały te zabawne marzenia i ograniczyły się tylko na korespondencyi, ani razu bowiem książę swéj Dulcynei nie spotkał.

W tym roku także wrócił z Paryża p. Żaboklicki, który zwykle bardzo często i długo w Puławach przesiadywał. Ostatnia jego bytność w Paryżu nabrała wielkiego rozgłosu, kiedy bowiem prezentowano go Napoleonowi, ten niezmiernie głośno, tak że wszyscy zebrani słyszeli, zaczął przed nim tłómaczyć stanowisko swe względem Ludwika XVIII i protestować przeciwko licznym koalicyom, jakie mocarstwa przeciw niemu wiążą. Żaboklicki, Bogu ducha winien, nic nie odpowiedział i długo nie mógł wyjść z osłupienia, ku wielkiéj uciesze francuskich dworaków.

(*d. c. n.*).

Przyczynek do literatury mazurskiéj.

Rozprawka, którą poniżéj ogłaszamy, stanowi ustęp z pracy obszerniejszéj, któréj drugi rozdział wydano w roku bieżącym w Poznaniu. Ukończeniu całości stanął na przeszkodzie przedwczesny zgon autora, mało jeszcze u nas znanego.

Julian Jan Ossowski, doktór fil. uniwersytetu Królewieckiego, rodem z Pomorza Gdańskiego, czyli tak zwanych dzisiaj Prus Zachodnich, zamiłowany był przeważnie w lingwistyce, zajmował się sanskrytem, językiem starosłowiańskim; pracował téż na polu etnografii, próbował tłómaczyć Mahabharatę i największy utwór poetyczny litewski—„Rok“ Donalicyusza; pisał o „Zabytkach języka dawnych Prusaków“ w drugim tomie Roczników towarzystwa naukowego Toruńskiego, a do „Słownika geograficznego“ nadesłał—ciekawe wiadomości o Mazurach pruskich. Miał lat 26 zaledwie, kiedy śmierć dnia 4 lutego roku bieżącego w Królewcu przerwała pracowite a skołatane przeciwnościami życie, wtenczas właśnie, gdy z jego działalności naukowéj i praktycznéj rokować można było najlepsze owoce i dla piśmiennictwa naszego i dla biednych Mazurów pruskich, o których nawet najbliżsi pochodzeniem i sąsiedztwem bracia, Mazurowie nasi, zdają się zupełnie zapominać.

Gdyby praca niniejsza Ossowskiego przyczyniła się do rozbudzenia u nas żywszego zainteresowania Mazurami północnymi, byłoby to najpiękniejszym dla pamięci zmarłego pomnikiem.

Prusy Wschodnie należą pod względem etnograficznym do najciekawszych prowincyi pruskiego państwa. Ludność, która im nadała imię, wymarła przed dwoma wiekami, w jej miejsce wstąpili osadnicy Niemcy, posprowadzani z różnych niemieckich okolic. Półno-

cno-wschodnią część prowincyi zajmowała i zajmuje poniekąd dziś jeszcze część narodu litewskiego, która dostawszy się pod panowanie Krzyżaków, dzieliła dotąd losy reszty mieszkańców Wschodnich Prus, z wyjątkiem ma się rozumiéć Prusaków, od których znacznie dłużéj potrafiła się oprzéć wpływowi germanizacyi. Na południe od pruskich Litwinów napotykamy nareszcie ludność polską, która przyszedłszy z Mazowsza, zajęła opróżnione siedziby dawnych Sudawitów i Gulindów. I tu aż do najnowszych czasów stosunkowo nie zbyt daleko postąpiła germanizacya. Język polski zachował się u ludu w téj mierze, że jeszcze dziś w większéj części pruskiego Mazowsza ludność wiejska jest przeważnie polską. W licznych wioskach mazurskich można zastać dosyć ludzi, szczególnie kobiet—nie umiejących ani słowa po niemiecku. Po polsku rozmawiają rodzice z dziećmi gospodarz z parobkiem; w kościele musi pleban przemawiać do ludu po polsku, obywatel, kupiec, a nawet urzędnik mający z ludem do czynienia, jest zmuszonym, używać języka polskiego.

Ale też na tém koniec polskości u Mazurów: poczucia narodowego brak tam zupełnie, czemu się zresztą nie dziwić, bo Mazury przez tyle wieków od Polski odcięte, zostawały i zostają całkiem pod wpływem niemieckim. Wszystko, co ma jakikolwiek wpływ na ludek mazurski, działa w duchu germanizacyjnym: kościół, szkoła, większa posiadłość ziemska, wojskowość a nie pomału wreszcie i *literatura mazurska*, jeżeli tą nazwą oznaczyć wolno objawy piśmiennictwa, z jakiemi się poniżéj mamy zapoznać.

Pruski Mazur nie wiele czyta. U wyrobnika tłómaczy się to nie trudno, ale i gospodarz, któremu stosunki zewnętrzne pod tym względem nie stawiają przeszkód i który ma odpowiednie wykształcenie, nie zawsze znajduje czas i ochotę, by zasiąść nad książką. Biblia, kancyonał, postyla, dalej kalendarz, pisemko przynoszące wiadomości ze świata, w najlepszym razie książeczka z powiastkami lub wierszami, otóż i cała biblioteka naszego Mazura.

Jest tego więc nie dużo, ale i w tych drobnostkach mieści się dosyć ciekawego, zasługującego tém więcéj na uwagę, że okolice, w których owa literatura powstała, należą do najmniéj znanych polskich stron.

Do najbardziéj rozpowszechnionych płodów literatury mazurskiéj, należą niewątpliwie.

Kalendarze.

Bez kalendarza trudno się obejść. Częściéj wypada zajrzéć do właściwego *calendarium*, poradzić się stuletniego kalendarza „jakie będziem mieli powietrze, to znaczy ale za wolą Bożą“ zobaczyć, na

jakie dni przypadają jarmarki po sąsiednich miastach itd. Ztąd nawet wyrobnik odkłada po kilka groszy aby się zaopatrzyć w kalendarz, choćby tylko szczupłych rozmiarów.

Najmniejszym z mazurskich kalendarzy był:

Kalendarz pruski na rok po narodzeniu Chrystusa Pana (1835—43), który jest rokiem (zwyczajnym, przestępnym) zawierającym w sobie (365, 366) dni. W Królewcu, drukowany u Fryderyka Thewinga.

Treść tego kalendarzyka stanowi zwykłe *calendarium* i spis jarmarków p. t. *Rejestr kiermaszów i jarmarków w Prusach Wschodnich i Zachodnich, jako też w miejscach pogranicznych.* Druk, jak u wszystkich kalendarzy, gocki—papier bardzo lichy, format: mała ósemka.

Nie wiele większym od poprzedniego był kalendarz, wychodzący przez niejaki czas w Morągu u Rautenberga. Tytuł jego taki:

Domowy Przyjaciel, kalendarz na rok... na wdzięczne i pożyteczne używanie w polskim języku wydany od C. L. Rautenberga Godło:

Czytelniku nie bacz nadto na błędy,
Jeszcze nie było ksiąg, ni co je wydał wszędy,
Ni co je kupił, ni co je czytał
Wolności od błędów używał (!)

Podług południka królewieckiego, w Mohrungu, nakładem C. L. Rautenberga.

Domowy Przyjaciel zawiera prócz *calendarium*: „Spiskę jarmarków wszystkich w obwodzie regencyi w Królewcu w Gumbinnen, w Kwidzeniu w Bydgoszu i w Poznaniu;“ daléj *wieniec opowieści* który otwiera następujący wiersz:

Na nowy rok.

Miną lata i nastają
A my z niemi schodziem:
Dzieje Pańskie wydawają
Zawsze co nam dobrém.
Z dziękowaniem przyjmijże
Jego dobrodziejstwa;
Tedy wszystko, coć Bóg zdarzy
Dać błogosławieństwa.

Godzina błoga nie zwisła (!)
Od nas biednych ludzi,
Gdyż ję Pan tylko przysyła
Co go proszą w pracy.
Rob wiernie, patrz do góry,
Zkąd wszelki darek dobry,

Zsyłan bywa temu, który
Funtem szafuiąc wierny.

Otóż nabądź w roku nowém
Nowe serce i ufność;
Boć zachodzisz pewném krokiem
Coraz bliżey w wieczność.
Obudź się już Panu Twemu,
On Pasterzem wiernóm
Oddaj się we wszystkiem jemu
A będzie Twym Bogiem.

Następuje kilka pomniejszych powiastek, tłómaczonych po większéj części z niemieckiego. Język i styl równie potworny, jak w powyższym wierszu. Przytaczamy niektóre wzory:

„Królowa po cichu zakrzyknęła, a król sam nie mógł zadziwienia zatrzymować. Bowiem złoto i złoto z woruszka wykulgnęło padając na górę złotą, która się na stole z świeceniem podnosiła. Nuż, wprawdzie! zawołał król, dziwuiąc się z tego—moi gospodarze w Żuławach Wiślijskich mają kasy oszczemne“ (Rocz. 1863. str. 12). Albo:

Przed weselem.

Pogawędziem sobie, ma kochano, twojéj mowy chcę czatować! Glos twój sluchać już cię pozutulę za moje zbawienie. Oprócz ciebie żyć nie można. Albo ty, albo pistolet, Z(a) jedno pocałowanie cały świat tobie kladę do nóg. Żądaj odemnie moje życie za nie, a ofiaruięć z radością. Ach, a ten czas gdy będziesz moja oddana małżonka! Żadnego tedy słowa surowego odemnie nie usłyszysz.

Po weselu.

Ale też to dziwno, żeby ty się twoją mową wszędzie musisz wtykać, już to nie do wystanku, że wy kobiety zawsze musicie szeptać. Jak też są już szczęśliwi młodzięci! małżeństwo na diabla się podało! Mój Boże, na te wszystkie wydawki żaden poczciwy mąż nie zarobi. Już zaś nową miotłę! Do wszystkich d......“

Albo wreszcie:

„Idący w niedzielę na iaytę, (niemieckie *jagd*) a nigdy nie trafiący nic, lubił wiele powiadać o trafnych dziejach swoich na jaycie. Słuchaj wacpan—mówił mu po chwili ktoś—daj mi wacpan talara a chcę panu przez cały dzień być za zaiąca.“

Pisane to niby dla ludu, ale podnosimy tu wyraźnie, że lud mazurski podobną polszczyzną bynajmniéj nie mówi. Germanizmy, błędy gramatyczne, niewłaściwe wyrażenia itd. przypadają całkiem na karb autorów, albo raczéj tłómaczy, którzy zapewnie ze słownikiem

w ręku wywiązywali się ze swego zadania. Zresztą w innych kalendarzach polszczyzna znacznie lepsza, jak to zobaczymy poniżéj. Pod względem treści kalendarze Rautenberga zajmują także nader niskie stanowisko. Powiastki w nich zawarte są pisane w duchu pruskim i mają pouczać Mazura, że nad rząd pruski nie masz lepszego; jaką wartość mają dykteryjki i wiersze, poznał czytelnik z przytoczonych powyżéj przykładów. Na odwrotnéj stronie okładki ma *domowy przyjaciel* „godło.“

Boga się bój
Króla w uczciwości miéj
Bliźniego miłuj!

Jako najlepszy—ale tylko co do treści i tendencyi—uważać należy kalendarz, który wydawał *W. Mencel* w Ełku p. t.

Kalendarz królewsko-pruski na rok po narodzeniu Pana Chrystusa (1848—62) który jest rokiem (zwyczajnym, przybyszowym) zawierającym w sobie (365, 366) dni. Kalendarz astronomiczny i kościelny jest dla prowincyi Prus i jéj południka z Królewca, jako téż oznaczenia dni jarmarkowych podług królewskiego kalendarza normalnego na rok... oddrukowany.

We Łku, nakładem i drukiem drukarni W. Mencla. Na odwrotnéj stronie tytułu czytamy:

„Poświęcono wszystkim czcigodnym wieśniakom mazurskim.

Kalendarz ten wychodził początkowo w ósemce na dosyć lichym papierze, późniéj w zgrabniejszym formacie i ozdobniejszém wydaniu.

Mencla kalendarz zasługuje pod niejednym względem na uwagę, dla tego zamierzamy przedstawić czytelnikowi po krótce treść niektórych roczników.

I tak rocznik 1853 zawiera: pieśni *Na nowy rok* i *w święto żniw*, o których autorach niestety niczego się nie dowiadujemy. Pieśń „na nowy rok“ powtarza się i w kilku innych rocznikach, przytaczamy ją przeto, jako wzór języka i stylu:

Tobie bądź, Panie, chwała wszystkiego świata,
Żeś nam dał doczekać nowego lata;
Daj abyśmy się wszyscy odnowili,
Grzech opuściwszy, w niewinności żyli.

Użycz pokoju, użycz twéj świętéj zgody;
Niech się nas boją pogańskie narody,
A ty nas nie chciéj, odstępywać Panie
Ale nam racz dodać pomocy na nie.

Łaska twa święta niech już będzie z nami
Boć nic dobrego nie uczynim sami
Mnóż w nas nadzieję, przyspórz prawéj wiary
Niech rozeznamy prawdziwe twe dary.

Błogosław, Panie, ziemi z swojéj szczodrości
Niechaj nam doda dostatek żywności.
Uchowaj głodu i powietrza złego
Daj wszystko dobre z miłosierdzia swego.

Następuje przegląd polityczny z ubiegłego roku p. t. „*Z lat przeszłych*, w dzień narodzenia Jego królewskiéj mości 15 października napisano.“ Artykuł pisany przez W. M. (więc pewnie Mencla samego) odznacza się bardzo złym językiem. I tak czytamy: „Pamiętnik (t. j. pomnik) sam jest piękne dzieło czułości, początek mające od zastępców prowincyi a wystawione z powszechnéj dobrowolnéj składki wiernych obywatelów jéj. Z błyszczącego kruszcu dobytych działów lany, wysoko stojący na świecąco-szlufowanym kamieniu granitowym, wystawia króla w mundurze jeneralskim a w fałdzistym płaszczu królewskim, siedzącego na wybornym koniu, na głowie mającego wieniec laurowy...“ Podobne zdanie jest dla chłopa mazurskiego całkiem niezrozumiałem. Daléj idą: *Słowa miłościwego napomnienia dla naszych służących* kończące się następującym wierszem:

Folgując światu złemu, srodzem w grzechach zbłądził,
I żem potępienia winien, samém się osądził.
Ratunku już potrzeba, mój Panie, twojego
Bowiem ty nie chcesz zatracić stworzenia swojego.

Rozprawa *o Zabobonach* podaje—w stylu pierwszego artykułu—nauki o powstaniu i istocie zabobonów. „Zabobony zowią się próżne, fałszywe, marne mniemania, niby próżnowiarstwa, marnowiarstwa, dziwnowiarstwa. U Egipczyków, Rzymianów i Greków była wróżba kunsztem sławnym i częścią religii pogańskiej... Kiedyśni Niemce, chcący się badać przyszłych rzeczy, przypatrywali się pewnym gałązkom i święconym białym koniom, których mieli za przyjaciele Bogów swoich. Niemce osobliwie pewnym niewiastom przypisywali dar zwiastowania przyszłych rzeczy, postępując podług rady ich. Takowe osoby Weledy lub Alruny zwane, miano w wielkiéj *zaczy*... Zamawianie lub lekowanie jest innym sposobem pomnażania zabobonów. Za ojczyznę tych guseł będą poczytane ziemie Medske, Perske i drugie z tymi graniczące w Azyi... (!)

Następuje kilka pomniejszych artykułów, z których jeden („*o róże*“) poucza nas, że „róża jest zapalenie, zajmujące skórę z palącym bólem i pospolicie z gorączką połączone...“

Pod rubryką *Różne rzeczy* podaje wydawca kilka bajek tudzież porad gospodarczych.

Inny rocznik (1858) zawiera prócz przytoczonéj już pieśni na nowy rok *Niebieską pieśń chwały*, tj. tłómaczenie hymnu ambrozyańskiego. Pierwsza zwrotka brzmi:

Wielki Boże wielbimi Cię
Wychwalamy możność twoję,
Świat przed Tobą kłania się
I podziwia sprawy twoje
Jak byleś od dawności
Tak będziesz i w wieczności.

A ostatnia:

Zmiłuj, Panie, zmiłuj się
Użycz twego pożegnania.
Niech twa chwała cieszy wsze
Dla twojego zmiłowania
Niech nie będziem zgubieni
Ale wiecznie zbawieni.

Następujące *słowa pociechy w nowym roku, które ojciec domowy ma do swych przynależących mówić* zawierają rozmaite nauki i napomnienia.

Nauka starego Richarda, jakim sposobem się można stać bogatym a szczęśliwym jest nieudolném tłómaczeniem z niemieckiego. W dosyć gładkim języku odzywa się daléj, pewnie ksiądz jaki, *do ludu wiejskiego*, napominając go, aby się starał raczéj o dobra wieczne, aniżeli doczesne.

Artykuł *o chowaniu bydła* jest bardzo rozwlekły a nadto złym pisany językiem.

Następują *Rozmaitości*, pomiędzy któremi kilka bajek, mianowicie *pszczółka i gołąb*, *owieczka cierpliwa*, *mrówki* i *świercz* (tak). Przytaczamy tu drugą z rzędu:

Owieczka cierpliwa.

Owieczka piękna, młoda, mała,
Jak pokorna, tak i śmiała (?)
Wełnę jakby jedwab miała
Wszystkim chłopcom się udała.

Arędarza syn z rozpusty
By z nią igrał, swawolował,
Wziął ją do swéj izby pustéj
I tam sobie oną chował.

Wnet owieczki ładność znikła,
Chłopcu także też obrzydła,

W izbie siedzieć nie przywykła,
Wypędził ją więc do bydła.

Gdy z owcami się złączyła,
Niewygoda, mróz ze słotą
Była owcy zawsze miła
Ponosiła je z ochotą,

I nożyców się nie bała
Dała się strzydz bez lękania.
Kto przywykły, cierpieć z mała
Umie cierpieć bez stękania.

Ucz się, z młodu być cierpliwym,
Choć ci krzywdę drugi zrobi.
Odpuść chętnie—być cnotliwym,
To człowieka nader zdobi.

Żałować należy, że polszczyzna w naszym kalendarzu taka niepoprawna. Co do tendencyi stoi on znacznie wyżéj od kalendarzy jańsborskiego i leckiego, z którymi się spotkamy poniżéj. Działa i on w duchu prusko-ewangielickim, ale nie szerzy przynajmniéj wprost nienawiści ku polskości, jak to czyni p. Gąsiorowski w jańsborskim, albo ku katolicyzmowi, co sobie jako główne zadanie postawił p. Jersz w leckim kalendarzu.

Pod względem treści przyznać trzeba, że wydawnictwo leckie podaje wcale zdrowy pokarm duchowy dla ludu. Czasami zasługuje ona i zkądinąd na uwagę. I tak znajdujemy w roczniku 1855 pieśń ludową, używaną na Mazurach przy okrężném. Czy się zresztą ta pieśń śpiewa wszędzie tak, jak podaje kalendarz, nie umiemy powiedzieć. Załączamy kilka zwrotek:

Plon.

1. Plon, niesiem plon
Ze wszystkich stron.
Oto z niwnym wiankiem
Idziem raźni żeńcy
Com to wyszli rankiem
Dziewki i młodzieńcy,
Plon, niesiem plon.

2. Plon, niesiem plon
Ze wszystkich stron.
Radujcie się wszyscy
Mili oraczkowie,
Jużci dożynają
Pilni żynaczkowie.
Plon, niesiem plon.

4. Plon, niesiem plon
Ze wszystkich stron
Krążylim. krążylim
Już żytka dożęlim
Dożęla dzieweczka
W upale słoneczka
Plon, niesiem plon.

8. Plon, niesiem plon
Ze wszystkich stron.
Idziem wyśpiewując
Żniwny wianek nosim
I o sutą ucztę
Gospodarza prosim.
Plon, niesiem plon.

25. Plon, niesiem plon
Ze wszystkich stron.
My się nie lenimy,
Nie boim się pracy,
Bogu się też w niebie
Podobają tacy.
Plon, niesiem plon.

Wszystkich zwrotek razem jest dwadzieścia ośm.

Niekiedy znachodzą się pieśni, opiewające jakiś wypadek z historyi mazurskiéj, jak np. pieśń przytoczona w kalendarzu na rok 1857, p. t.

Mor w Prusach w r. 1709
Nóta jako: Usłysz prośby moje.
1. Miła Pruska ziemio, łzami się oblewaj
„Rozżalże się Boże“ mów—a smątnie śpiewaj,
Pomiąc na to, jak śmierć czyściła te kąty
Gdy pisano tysiąc siedmset i dziewiąty.

Widać, że nasz autor niestety za mało obeznany z prawidłami języka polskiego, zkąd idzie, że jego elukubracye robią wcale dziwne wrażenie. Cóż powiedzieć np. o następujących zwrotach?

11. Kogo ta zaraza morowa ruszyła,
W tego zdrowiu tedy miarna ufność była.
Gdy od gruczół, wrzodów wielki ból ponosił,
O koniec zbawienny Pana Boga prosił.

21. Choć którzy zostali, ze swém biadę mają
Sąsiedzi téż zdrowi od nich uciekają.
Nikt *się przyjąć* nie chce, swe zdrowie szanując
Smętnie już pogląda, bliźniego żałując.

22. Jeżli też który padł morem zarażony,
Żeby się kto przyjął, trudno znaleziony.
Tak długo tam leżał, aż się kto zmiłował,
Że śmierdzące trupy zaledwie pochował.

23. Często—żal się Boże—trupy nie schowane
Leżały, gdzie padły, jak wodą zalane,
Nie przyszły i w ziemię gdyż psi nie jednego
Pożarli do szczętu. Cóż nadto gorszego?...

Tenże rocznik zawiera ciekawy wzór plebańskiéj poezyi z dawniejszych czasów. „X. Tomasz Molifor, Pleban we wsi Różyńsku, okręgu Jańsborskiego, ur. 1616—1682 r. ułożył dzień przed śmiercią jako nadgrobek dla siebie, czyli raczéj pożegnanie z życiem i zborem swoim i wszystkim Parafianom i kościelnym przyjacielom a osobliwie panu Borowemu, zboru kościelnemu a komornikowi parafii Różyńskiéj z serca przypisał. Te rymy, przez różne osoby przepisywane, do dziś dnia w Różyńsku się przechowały.“

Poemat jest zbyt rozwlekłym, aby go tu cały przytoczyć, podajemy więc tylko początek:

Tu w téj trumnie zwiędniałe leżą moje kości,
Które Jezus w sądny dzień wzbudzi do radości.
I te téż ciało moje, co teraz zgrzybiało,
Będzie się jako słońce na niebie świeciało.
Tam się kostka z kosteczką, stawek z stawkiem złączy,
Nie będzie z nich leniwy, każdy będzie rączy,
Wszystkie będą ochotne w służbie panu swemu
Już nie będą podległe upadku żadnemu,
Moje ręce niewładne będą w ziemi spały
I Jezusa swojego będą obłapiały,
Ten mój język, co teraz w gębie niemym się stał,
Będzie pieśni anielskie z radością wykrzykał.
I te teraźniejsze tu głuche uszy moje
Usłyszą z wdzięcznéj struny pieśń i radość swoję.
A ta teraz umarła moja trupla głowa
Do korony niebieskiéj będzie już gotowa.
Moje teraz ospałe i oziębłe nogi
Nawiedzą z wesołością one wieczne progi...

Z rokiem 1859 zaprowadził nasz kalendarz zmianę tytułu, mianując się (ale tylko na okładce): *Łeckim kalendarzem gospodarskim.* Stosownie do téj zmiany, zajmuje rubryka p. t. *Gospodarstwo* znaczną część; za nią idą jak dawniéj wiersze—przeważnie religijnéj treści, powiastki, „nauki obyczajowe“, bajki itd.

Niemal równocześnie z Kalendarzem łeckim wychodził w Jańsborku kalendarzyk pod tytułem:

Prawdziwy Prusak ewangielicki. Religijno-patryotyczny kalendarz na rok (zwyczajny, przestępny ....) wydany przez A. Gąsiorowskiego. Johannisburg, nakładem i drukiem Antoniego Gąsiorowskiego.

Kalendarz ten wychodził w małym formacie (w 16-ce), od roku 1866 w 8-ce i to w nakładzie Ernesta Lambecka w Toruniu, pod zmienionym nieco tytułem.

Każdy tomik zawiera prócz kalendaryum i spisu jarmarków: Rocznik do kalendarza ewangielickiego na rok .... wydany przez A. Gąsiorowskiego. Johannisburg na Mazurach, druk i nakład wydawcy.

Dedykacya, umieszczona na odwrotnéj stronie tytułu, brzmi: „Wszystkim prawdziwym Prusakom z powinszowaniem Nowego Roku — Wydawca."

Z tytułu samego nietrudno wnioskować, że głównym celem „prawdziwego Prusaka" jest propagowanie niemczyzny na Mazurach. W jaki sposób p. Gąsiorowski stara się temu zadaniu sprostać, niech nam pokaże treść niektórych roczników jego kalendarza. Bierzmy pierwszy lepszy, np. Kalendarz na rok 1857. Zawiera on:

„*Zegarek duchowny* to jest krótkie nabożne rozmyślania na każdą dnia godzinę, przez które człowiek chrześciański do pilnego przestrzegania czasu samego siebie pobudzić może." Napisy, położone nad pojedyńczemi godzinami, brzmią: „gdy zégar 1 i t. d. bije" (po niemiecku: wenn die Uhr eins schlägt). Jest to germanizm, do którego się lud już także przyzwyczaił, bo używa powszechnie: „o dwa zégar, o dziesięć zégar..." (po niem.: um zwei uhr, um zehn uhr).

Następuje: „*dzień 25 Czerwca*, pamiątka publicznego ogłoszenia konfesyi auszpurskiéj przed cesarzem i książętami niemieckimi, w roku 1530." Daléj: „*Duchowny posiłek* dla żołnierzy i dla wędrownéj czeladzi" zawiera różne napomnienia i przestrogi. Za témi artykułami idzie kilka pomniejszych, mianowicie: *Historya* (ma znaczyć: powiastka). „*Dzień 31 Października*, pamiątka początku reformacyi, czyli oczyszczenia albo poprawienia kościoła Bożego."

Pod napisem „*Odezwy gospodyń do pozostałych*" następują trzy pieśni, w których zmarłe gospodynie „pozostałych" żegnają. Pierwsza z nich (na nótę: „Z samego nieba wychodzę") brzmi:

Kochany mężu Michale,
Dzieci zostańcie na skale,
Która w Chrystusie wam dana
Śpiewajcie mu Hozianna.
    Krystyno, córko płacząca
    Z sierotami tu stojąca

Sieroty twoje wychowaj
W bojaźni Bożéj umacniaj.
Janie i ty żono Jana
Cztery me wnuki do Pana
Prowadźcie jako rodzice
By były mu służebnicy.
Ty, pokolenie Wojciecha
Stań się Boża pociecha;
Uciechą Bożą się staniesz,
Kiedy mu wiernym zostaniesz,
Józefie, czwarty w domie mojém
Ze żoną i dzieckiem twojém,
Ach naśladujcie i tego
Wykupiciela waszego.
Katarzyno Karolowa
Zostańże mi i ty zdrowa
Zdrowie dobre da Zbawiciel
Gdy go chwalisz jak Jan Chrzciciel.
Marcinku, mój synu drogi
Nie przekroć mi grzechu progi.
Marcin imię przypomina
Dobrego chrześcianina.
Basiu, któraś z wioski naszéj
Odeszłaś tam do sąsiedzkiéj,
Z daleka méj mogiły
Natężaj tam wiary siły.
Marynko i ty Andrzeju,
Ostatnie mego rodzaju,
Słuchajcie ojca waszego
I téż Boga wszechmocnego.

Artykuliki następujące: *Dzień 15 Października* narodzenie Najjaśniejszego Króla i Pana naszego Fryderyka Wilhelma IV," — *Wielki herb* Królestwa Pruskiego (z ryciną) i *Dzień 24 stycznia*, pamiątka narodzenia Fryderyka II (Wielkiego) ś. p. króla pruskiego" -- nic osobliwszego nie zawierają. Tém ciekawsze są *Pieśni prusko-patryotyczne*, których nasz rocznik podaje dwie. Nazwisko poety nie jest co prawda wymienione, przypuszczać należy, że p. Gąsiorowski — z którym się na tym polu spotykamy nieraz — jest sam ich autorem. Przytaczamy tu pierwszą:

Na urodziny królewskie.

(mel. Chrystus żywotem moim).

Królowi chwała, szczęście
Tak, szczęście od Ciebie
Ty Boże, który wszędzie
Go bronisz w potrzebie.

Nowy rok życia Jego
Dałeś mu zaś Panie,
Więc z miłosierdzia swego
Przyjmij dziękowanie.
Tyś go na przykréj drodze
Łaskawie prowadził
I częstoś w wielkiéj trwodze
Królowi doradził.
Ty wziąłeś serce Jego
Pod swoją obronę
Cieszyłeś stroskanego
Strzegłeś jego tronu.
Słowa Twoje są Jego
Posileniem, Boże
On słucha i Twojego
Przykazania strzeże.
On z serca lud miłuje
Jego cześć, cześć nasza.
On z ludem boleść czuje
Dla niego uprasza.
Więc dziś od Ciebie, Panie,
Lud pruski z pokorą
Ach daj mu długie trwanie
I bądź mu podporą.
My zaś ślubujem wiecznie
Stać za naszym Panem
Trwać w szczerości statecznie
Daj to Boże, Amen.

Druga z „pieśni patryotycznych“ p. t. *Stary rycerz do swojego syna* jest dosyć nieudolnym przekładem niemieckiego poematu: *der alte Ritter an Seinen Sohn.*

Kilka powiastek, porad gospodarczych i leczniczych, dykteryjek (o Sowizdrzale) zamyka rocznik.

W Kalendarzu na rok 1860 znajdujemy:

Słowo *do czytelników* w którém wydawca życzy wszystkim stanom prawdziwego pokoju.

Pod napisem: *Przelanie krwi w Toruniu w roku 1724* następuje bardzo długa relacya o znanym procesie Jezuitów toruńskich przeciw burmistrzowi miasta i spólnikom. Cały artykuł jest zresztą wyjętym z *Prawdziwego ewangielika polskiego*, pisemka, jakie przez krótki czas p. Gąsiorowski sam wydawał.

Dalszą treść tworzą artykuły pod napisem: *Modlitwa strapionego* (wierszem). *Śmierć najprzewielebniejszego generalnego Superintendenta prowincyi Prus pana D-ra Sartoriusa w Królewcu;* wiersz *do Boga* z takim końcem:

Gdy nadejdzie chwila sądu straszliwego,
Nie trać mnie nędznego, Boże.
Nie karz mnie w grzechach tak zapędzonego
Gdyż odtąd grzeszyć się trwożę.

Za tym wierszem idzie: *Pamiątka reformacyi 31 października*, dalej tłómaczenie *pieśni Lutra: Eine feste burg ist unser Gott*, cokolwiek odmienne od tłómaczenia, jakie podaje mazurski kancyonał; kilka powiastek i porad, a wreszcie znowu trzy *pieśni patryotyczne*. Pierwsza z nich jest ułożoną *na pamiątkę dnia 27 stycznia 1859* i zawiera pomiędzy innemi następujące zwrotki:

Chociaż po polsku mówimy,
Rząd pruski sobie chwalimy,
Bo rząd pruski sprawiedliwy
Ku poddanym dobrotliwy.
  Polacy w Księstwie Poznańskiem
  W Szląsku, w kraju Pomerańskim
  I w Prusach Ciebie witają
  Bogu cześć winną oddają.
Polakami nie pogardzaj
I kraje tylko obieżdżaj,
Toby ich wielce cieszyło,
Miłość ku tobie mnożyło.
  Oni ci hołd oddawają
  Pieśni radośne śpiewają
  Królewiczu urodziwy
  Radość wielka — to nie dziwy!

Pod pieśnią czytamy, że „powyższe wiersze patryotyczne na pamiątkę urodzin Prynca Pruskiego, który za łaską Boga czasu swego będzie królował w kochanéj ojczyźnie naszéj, nadesłał pewien szanowny kapłan z W. Ks. Poznańskiego.“

Dwie następujące są tłómaczone z niemieckiego i to pierwsza podług pieśni: *dem König sei mein erstes lied*, druga podług piosnki *König Friedrich Wilhelm lebe*. Początek pierwszéj taki:

Najpierwszą pieśń, Królu Tobie, śpiewać ja powinny,
Boś obrońcą, twierdzą mocną dla naszéj ojczyzny....

Druga rozpoczyna się od wiersza:

Jeszcze Fryderyk Wilhelm, król nasz żyje, nam Bogu dzięka....

a podaje jako przedostatnią zwrotkę:

Co jego ojcowska wola przed (1) lud swój dla dobrego
Wymądrzyła, niech to pełni każdy z serca szczerego.

---

(1) *przed* zamiast *dla* używa się powszechnie na Mazurach.

To tedy błogosławieństwa wiele każdy użyje,
Jeszcze Fryderyk Wilhelm, król nasz żyje, nam Bogu dzięka.

W *korespondencyi ze Szląska austryackiego* wyraża pewien szląski ewangielik swe zadowolenie, że pan Gąsiorowski wydaje *Prawdziwego ewangielika polskiego*, którego wita prozą i wierszem. Polszczyzna zresztą i tu bardzo niepoprawna.

Kalendarz na rok 1861 pokazuje pomiędzy innemi, w jaki sposób p. Gąsiorowski wyrabia „patryotyczne pieśni pruskie." Umieszczona na str. 73: *Modlitwa dla patryotów pruskich* („Nóta znajoma") brzmi:

Boże, coś Prusy przez nieliczne (!) wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś je zasłaniał tarczą Twéj opieki
Od nieszczęść, które przywalić je miały,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Prawo słuszności daj nam poznać, Panie (!!).
Ty, któryś potém tknięty ich upadkiem
Walczące wspierał za najświętszą sprawę,
A chcąc świat cały mieć twych sądów świadkiem,
W rozbiorze Polski pomnażał ich sławę,
Przed twe ołtarze i t. d.
Boże, którego ramię sprawiedliwe,
Złociste berła władców świata kruszy,
Zniszcz wrogów naszych zamiary szkodliwe
Obudź uczciwość w każdéj pruskiéj duszy.
Przed Twe ołtarze i t. d.
Boże najświętszy, przed Twojemi cudy
Kiedy chcesz, znikną żądze złego boju;
Węzłem pruskości połączysz Twe ludy
Pod jedno berło pruskiego pokoju.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Sprawiedliwości naucz Prusy, Panie (!).

Komentarz byłby tu zbytecznym.

Zresztą zapożycza się p. G. i przy innych sposobnościach. I tak artykuły: *Przekład biblii na język polski* i *Towarzystwo Gustawa Adolfa* (rocz. 1865) są wyjęte z *Rocznika ewangielickiego, poświęconego rzeczom kościoła i szkoły*, wydawanego przez *Jana Śliwkę* w Cieszynie 1863 roku.

Dziwnie od tendencyi całego kalendarza odbija korespondencya z austryackiego Szląska (r. 1865) w któréj autor występuje przeciw tendencyjnemu uciskaniu języka polskiego, wyrażając się np. w ten sposób: „Zapewnie przyszliby i ci do poznania opacznego mniemania swego, którzy myślą i sądzą, że człowiek umiejący cokolwiek język niemiecki już jest człowiekiem wyćwiczonym i mą-

drym. Jeżli wyćwika i mądrość od znajomości niemieckiego języka zależy, na cóż niemcom szkoły? Wzdyć już tam małe dzieci, nawet i pasterki z przyrodzenia po niemiecku mówić umią! A jeśli się polskie dzieci dla jakiegoś pożytku, zwłaszcza dlatego po niemiecku uczyć mają, aby się z niemcami porozumieć mogły, czemuż dla tego pożytku niemieckie dzieci po polsku się nie uczą? Czy wielka część ludu niemieckiego niema z ludem polskim do czynienia? żyjąc nawet między nim. Czemuż niemieckie dzieci nie marnują młodego wieku swego na nauce cudzego języka, jako się tego od polskich dziatek domaga, a przez co one inne potrzebne wiadomości zaniedbywać, lub całkiem opuszczać muszą? Z téj przyczyny też śmiało rzec można, że przytrzymywanie polskiéj młodzieży do nauki języka niemieckiego jest największą zawadą i przeszkodą podniesienia się ogółu ludu polskiego na wyższy stopień oświaty i doskonałości umysłowéj.“

Co spowodowało p. G. do umieszczenia podobnéj korespondencyi, tego trudno dociec. Czy nie wiedział on o tém, że właśnie rząd pruski chwyta się skwapliwie wszystkich środków, mogących posłużyć do wyparcia ze szkół języka polskiego. Czy mu nie miało być wiadomém, że nawet w podręcznikach, używanych po szkołach (*Heinel*, Gedrängte übersicht der vaterländischen Geschichte) stoją takie zdania: „Es ist ebenso falsch, als *abgeschmackt*, dass man heute zu tage die beiden landschaften Sudonen und Galinden mit dem namen Masuren zu bezeichnen pflegt. Nie haben diese landschaften zu Masuren oder zu Masovien gehört, und wenn die polnische sprache in diesen gegenden *leider!* noch immer die vorherrschende ist, so ist diese *klägliche* erscheinung nur aus der grenznachbarschaft mit Polen, zu erklären. Es wäre übrigens wohl an der zeit, dass die bewohner Sudanens und Galindens aufhörten, sich selbst Masuren zu nennen, ein name, der *sie wahrlich nicht ehrt*, und dass sie endlich der *edlen* deutschen sprache vor der *traurigen* slawischen mundart, in welcher sie reden, den verdienten vorzug geben möchten.“ a na innném miejscu: „ziemt es denn dem Preussen, dem bewohner eines deutschen landes, seiner sprache nach ein Pole bleiben zu wollen? Sie ist ein slawischer eindringling, *der auf preussischem boden nicht geduldet werden muss.*“ Rząd, który podobne książki rozpowszechnia po szkołach ludowych, nie spojrzałby pewnie zbyt przyjaznném okiem na ową szląską korespondencyą — gdyby ją czytał!

Z rokiem 1866 powiększa się format i liczba rycin; duch i tendencya pozostają tymczasem te same, co dawniéj. Opowiadania z historyi Prus (o elektorze Fryderyku Wilhelmie, o Fryderyku II i t. d.) zajmują główną część.

Kalendarz na rok 1867 dodaje jeszcze obrazki z wojny austryackiéj, na któréj uświetnienie załączona tamże:

„Pieśń od jednego Landwermana dzień po téj wielkiéj bitwie pod Koeniggrätz to jest 4 Juli napisana, a od G. Schulz w Jańsborku na polski język przetłómaczona."

Podajemy tu trzecią zwrotkę téj pieśni:

Zwycięztwem umrze (Prusak). Trzęsą doły, góry
Gdyż z kanonów błyskawica trzaśnie.
Choć krwawe mu się otwierają spory
Prusak stoi, choć ogień nie zgaśnie.
Prusak walczy, od szturmu się nie chwiejąc
Z zwycięstwem śmierć, powinność mu się zda.
Smierci naprzeciw idzie się nie bojąc
Prusak umrze, jednak się nie podda.

„Możnaż to czytać i rozważyć, ale do śpiewu za licho ułożone," dodaje pan Gąsiorowski od siebie!

Przeszedłszy na własność *Lambeck'a* w Toruniu, zmienił nasz kalendarz tytuł na *Ewangielicki kalendarz narodowy.* Zgodnie z tym nowym tytułem ustępuje wygórowane propagowanie patryotyzmu pruskiego, jakiém jest napiętnowany *prawdziwy Prusak* i to tak dalece, że np. w rocznikach 1870--1871 nie masz ani słowa o wojnie francuskiéj. Za to znajdujemy tam (r. 1870) dobrze napisany życiorys Amosa Komeniusza, daléj p. t. *Kruświca* ustęp z bajecznéj historyi polskiéj, w którym czytamy następujące zdania: „Jeżeli Niemiec wśród swéj ojczyzny posłyszy wzmiankę o W. Ks. Poznańskiém, wystawia sobie, że tam nie masz nic do znalezienia nad płaszczyznę, piasek, tu i owdzie cokolwiek boru, małe mieściny i nikczemne wioski. O licznych historycznych starożytnościach naszych miast najstarszych mało co jest wiadomo. I jakże téż inaczéj być może, gdy w prowincyi saméj jeszcze tak dużo znajduje się mieszkańców, którzy nic o tém wiedzieć nie chcą. Także przyjemne brzegi naszych niezliczonych jezior, krajobrazy wzgórzystych okolic, na których prowincyi naszéj nie zbywa, mało co są znane."

Tak więc z czysto mazurskiego kalendarza stał się ogólnie polsko-ewangielicki.

Zastępcą kalendarza jańsborskiego został na Mazurach:

„Kalendarz królewsko-pruski na rok po narodzeniu Chrystusa Pana .... który jest rokiem (zwyczajnym, przestępnym) zawierającym w sobie (365—366) dni, podług południka królewieckiego. Ułożył go i wydał *M. Gerss*, pierwéj rektor przy kościele w Wielkich Ster-

ławkach, dopiero w Lecu mieszkający komyssaryusz majątków, prezes rady mieszczkich (tak!) zastępców i członek Towarzystwa starożytności się badającego i Prusyą zwanego w Królewcu. Z obrazikami przez prof. Gubyca w Berlinie. — W Królewcu, nakładem księgarza Theodora Theile (Ferd. Becker)." (1).

Kalendarz ten — zwykle *leckim* zwany (od miasta Lec (Lötzen) w którém mieszka p. Gerss) — zaczął wychodzić z r. 1858 a wychodzi dotąd p. t. *Kalendarz królewsko-prusko-ewangielicki* i t. d. w Królewcu, nakładem drukarni Hartungskiéj.

I tu sądzimy, że sobie czytelnik najłatwiéj wyrobi sąd o tém wydawnictwie p. Gerssa, jeżeli go zapoznamy z treścią kilku co ważniejszych roczników.

Kalendarz na rok 1860 zawiera prócz zwykłego calendaryum *tablicę do stawienia zégara*, która to tablica „pokazuje jak wiele minut i sekundów dobrze chodzący kieszonkowy albo ścienny zégar w południe więcéj albo mniéj pokazać ma; jak porządnie wystawiony zégar słoneczny." Daléj idzie: *Spis monarchów w Europie*, na końcu którego czytamy, że „jest jeszcze więcéj małych Państw w Niemczech i we Włoszech, ale ku wyliczeniu wszystkich książąt nie ma rumu [niemieckie *raum*] w kalendarzu naszym."

Następuje: *Lenora, powieść bardzo piękna* „przetłómaczył ją M. Gerss z niemieckiego jak 13 lat stary był" (2). Jest-to tłómaczenie znanéj ballady Bürgera, poprzedzone wstępem, podającym treść ballady w prozie. Gdyby p. Gerss w trzynastym roku życia był mówił cokolwiek lepiéj po polsku, tłómaczenie byłoby stosunkowo nie najgorszém; niestety nieszczęsne germanizmy pozbawiają je wszelkiéj wartości. Załączamy dla przykładu dwie zwrotki, pierwszą i ostatnią.

1. Lenora czasu rannego
Z ciężkich snów się porwała
I Wilhelma kochanego
Bardzo tęsknie żądała.
Bo on był z królem swym z Litwy
Pociągnął do Pragskiéj bitwy,
Lecz czy zdrów jest, czy chory,
Nie pisał do Lenory.

32. A przy księżycznéj światłości
Duchowie tańcowali
Dokoła w wielkiéj prędkości

---

(1) Pierwszy swój kalendarz wydał p. Gerss w r. 1848 w Rastemborku, ale że w tym samym czasie wyszły kalendarze lecki i jańsborski, nie mogło się wydawnictwo Gerssa ostać i dopiero w 12 lat późniéj ukazał się „Kalendarz królewsko-pruski."

(2) Germanizmem tym grzeszy tylko nasz autor i jemu podobni poeci. Chłopek mazurski powiedziałby: Jak mu było trzynaście lat.

I tę piosenkę śpiewali:
Nie łajaj nigdy na Boga
Miéj cierpliwość choć i trwoga.
Zmarłaś — jéj duszy, Panie
Daj w niebie twém mieszkanie."

Znaną bajkę o gosposi idącéj z mlekiem do miasta zastosował — zapewnie także p. Gerss — do stosunków mazurskich w taki sposób:

Gospodyni z mleki(e)m.

Raz pani Grydzyna
Wziąwszy ze sobą z mlekiem naczynie,
Pójść umyśliła na targ do Ryna (1)
W leciuchnéj zatém jopczynie (2)
Szła sporym krokiem, a dla lżejszéj drogi
Zrzuciła spódnicę i obuwie z nogi.
Więc nasza jejmość, tak podkasana,
Buduje w myśli już cały dobytek
Na swojém mleku, a z jednego dzbana
Dalszy zaczęła układać pożytek.
Myśliła kupić jajek tak ze trzysta
A do nich kilka kluków przysadzić. (3)
Gospodyni ta była z *Małego Notysta*,
Dobrze umiała dom swój prowadzić.
Nie trudno mi będzie — rzekła,
Bylem się zdrowo do domu dowlekła,
Kurczęta wywieść za pomocą Boga,
Choćbyć je i jastrząb zjadał,
I lis je czasem przykradał,
Byłaćby kara niebios już zbyt sroga,
Żeby z nich dla mnie nie ostało się
Aby na jedno prosię.
Z prosięcia będzie i wieprzyk tłusty.
Tego ja przedam w zapusty.
A tak — po troszę, po troszę
Zbiorą się grosze.
Nikt nie zabroni przy takim użytku
Do większéj sumy mojego dobytku
Stargować krówkę; a przy krowie
— Daj Boże tylko zdrowie —
Będzie potém i ciele, które ujrzę rada
Skaczące niegdyś wśród mojego stada.
W tych to myślach podskoczy,
Aż tu jéj płasko przed oczy
Naczynie z gliny. Ach smutny losie!

---

(1) Miasteczko na Mazurach, po niem. *Rhein.*
(2) Niemieckie *joppe.*
(3) Niemieckie *Glucke.*

Kurczęta, kluka i jajek trzysta
Krowa i cielę i wieprzyk i prosię
Zginęły z mlekiem. A gospodyni
Co się tak była już można uczyni,
Z niczem się wróci do swego Notysta.

Dalszą treść rocznika stanowi kilka powiastek, ułożonych podług niemieckiego.

Z czasem powiększył się kalendarz lecki znacznie: podczas kiedy pierwsze roczniki nie obejmowały wiele nad dwa arkusze, zapełnia treść późniejszych nieraz i po dziesięć arkuszy (2). Głównym — czasami jedynym — współpracownikiem jest wydawca sam. Jego pióra są pieśni—oryginalne i tłómaczone z niemieckiego—opisy z dziedziny nauk historycznych i przyrodniczych, poglądy polityczne i t. d. Przeważna część artykułów tchnie duchem anti-polskim, a może więcéj jeszcze anti-katolickim. Rozumie się to szczególnie o kalendarzach na lata, w których się *kulturkampf* najbardziéj dawał we znaki. Otóż treść jednego z nich (na r. 1871).

Na pierwszém miejscu stoi *Modlitwa na nowy rok*, ułożył M. Gerss w Lecu, na nótę: „Kto się w opiekę poda panu swemu.“ W kalendaryum roczném znajdujemy dodane do każdego miesiąca rymowane reguły, podług których rolnik z pogody odnośnego miesiąca może wnioskować, jaka będzie pogoda w następującym; daléj napomnienia, żeby budować domy z cegły i „przykrywać je dekówką“ bo

Trwalszy z cegły postawiony
I w dekowkę opatrzony —
Przez to wielką sławę macie,
Jak w pałacu w nim mieszkacie.

Po wyliczeniu innych zalet takiego „pałacu,“ tudzież niedogodności domów drewnianych, konkluduje autor:

Nie brak wszystko razem kupać,
Lecz powoli możesz stupać —
Kilka lat się przygotować
Potém domek twój budować.

Za spisem jarmarków idzie „Spis monarchów i rządów w Europie,“ w którym naturalnie dom pruski najobszerniéj traktowany. O niektórych z jego członków podaje kalendarz nietylko daty genealogiczne, ale i najgłówniejsze fakta z ich życia. Tak dowiadujemy się o następcy tronu, że:

---

(1) Liczba egzemplarzy kalendarza leckiego dochodzi dziś do 11,000.

Kronprync nasz zowie się Frycem,
A ten rzeże, jako biczem
I wojuje mocą lwią.
Wert i Wysembork powiada,
Jaką krzepę on posiada,
Tam pisalim dobrze krwią.

O papieżu w Watykanie czytamy, że „nie ma nic więcéj, jak ten pałac.“

Drugą część kalendarza tworzy: „*Książka roczna*, rozmaite wiadomości w sobie zawierająca i pożyteczna ku czytaniu i ku nauce na rok 1876. Ułożył ją i wydał M. Gerss w Lecu mieszkający.“

W niéj znajdujemy: artykuł o *Janie Husie* (z ryciną); dłuższe opowiadanie z historyi francuzkiéj; „cokolwiek o innych narodach“ i to o *Persach*... „po większéj części podług Herodota, dawnego pisarza greckiego“ Daléj: „cokolwiek z biblii“ (jak Dawid Goliata zabił), „cokolwiek z historyi o naturze“ (o bawełnie), „cokolwiek z fizyki, czyli z nauki o naturze“ (o balonach czyli baniach lub okrętach powietrznych). Pod rubryką *Powieści* zastajemy powiastkę p. t. o *jefreytrze z Alzacyi, w wojsku niemieckiem służącym* i „kilka bajek, które ułożył *Ignacy Krasicki*, sławny poeta polski.“

Artykuł *o rzeczach konfesyjnych czyli na wyznawanie wiary się ściągających* dzieli się na cztéry części, mianowicie:

1. *Pielgrzymka nabożna.* Tu wylał p. Gerss całą swą ewangielicką gorliwość. Na obrazku uwydatniającym taką pielgrzymkę „widzim księdza katolickiego, który zawsze jest prowadnikiem pielgrzymki, bardzo gorliwie z kobietą czy panną rozgwarzającego.“ Daléj dowiadujemy się, że pielgrzymi „przeszkadzają robocie i ludziom pilnie pracującym, a co gorsza, to napadają czasem ludzi, spokojnie drogą idących,“ w czém zresztą nic nowego, bo „osobliwie szukają papieżnicy *gomonu*“ (tyle co *burdy*). Najwięcéj gniewa się p. Gerss na „niewstydliwych popów.“ Że zresztą z pielgrzymki nie ma się ani odpuszczenia grzechów—„tak bowiem twierdzą papieżnicy“— ani nabożeństwa, dowodzi autor z biblii i z doświadczenia.

2. *O dalszych postępkach papieża i papieżników czyli ultramontanów.* Wykazuje p. Gerss, że „papież i zwolennicy jego w walce z rządem kłamią, uwodzą i podburzają lud, aby świeckiéj zwierzchności nie słuchał.“ Jak haniebnie sobie „papieżnicy“ postępują, widać i ztąd, że głoszą („machlują“), jakoby papież był uwięzionym, podczas gdy tenże „podług prawdy hojnie używa.“ Dołączony obrazek dowodzi tego *ad oculos*. Na jednéj stronie widać, jak papież leży na słomie, a po drugiéj podaje mu ubrana podług najnowszéj mody dama świętopietrze itd. Szkoda, że p. Gerss zapomniał dopisać, zkąd wyjął

te ryciny; jak się zdaje, są one przedrukami może z „kladderadatscha,“ bo rzeczy papieżowi podawane noszą niemieckie oznaczenia, np. „fluchsammlung“ itp. „Przeciw ustawom (rządu) wyrwał się papież, jak Filip z konopi i wydał d. 5 lutego okólnik, „w którym podług dawnego zwyczaju swego mocno klnie...“ Dołączone są portrety „grafa Ledochowskiego, byłego arcybiskupa poznańskiego i gnieźnieńskiego i Förstera, księcia biskupa wrocławskiego.“

3. *List otwarty wydawcy kalendarza leckiego do papieża Piusa IX w Watykanie.* Datowany: w Lecu d. 18 sierpnia 1875 w dzień na pamiątkę batalii zwycięzkiéj pod Grawelottą 1870 r.“ List ten po prostu klasyczny! Szanowny autor rozgniewał się, że papież „wezwał wszystkich, którzy nie są katolikami, aby do katolickiéj wiary przystali,“ a więc i p. Gerssa. To właśnie spowodowało go do napisania owego listu, w którym prosi, żeby go papież przekonał z biblii o prawdziwości swych twierdzeń, w czém tymczasem autor naszego listu upatruje z góry niepodobieństwo. Mimo to zdaje się, jakoby p. Gerss chętnie debatował z papieżem „o rzeczach religijnych“, bo kończy swój list pocieszającém zapewnieniem, że „w drugim liście więcéj rozprawować będziemy.“

4. *Śmierć doktora Marcina Lutra* (z ryciną).

Artykulik o *rzeczach kościelnych* podaje opis jubileuszu pewnego superintendenta. *Statystyczne sprawozdanie z kosztów łożonych na dom sierot w Lecu* poucza nas pomiędzy innemi, że „myto nauczycielów i czeladzi wynosiło 300 talarów 10 gr. 7 fen.“ *Z króciuchnego przeglądu zdarzeń w Europie w czasach ostatnich* dowiadujemy się „o boju rządu z papieżnikami,“ że ci „już cokolwiek nosy pozwieszali.“

W *dokończeniu* zwraca p. Gerss uwagę czytelników na to że od roku 1875 wydaje „na żądanie wielu“ *Gazetę Lecką* o któréj prawda „niektórzy przypisali mu, że im się bardzo zdarzyła i że ją aż do śmierci trzymać będą?—która tymczasem zawsze jeszcze nie dosyć rozpowszechnioną...

Że p. Gerss prócz tego jest i bardzo gorliwym patryotą pruskim, byłoby zbytecznėm długo się rozwodzić. Pod tym względem stoi Gerss na jednym stopniu z poprzednikiem swym, Gąsiorowskim. Czasami przewyższa go nawet, jak np. w kalendarzu na rok 1880. gdzie znajdujemy pod „*pieśniami nabożnemi, które w polskim kancyonale nie stoją*“ następujący „króciuchny opis życia Najjaśniejszego cesarza niemieckiego i króla pruskiego Wilhelma I, który dnia 22 marca 1879 r. 82 lat wieku swego dokończył. Ułożył M. Gerss w Lecu. Na nutę: „Pola już białe, kłosy się kłaniają.“ Pierwsza zwrotka téj „pieśni nabożnéj“ brzmi:

Ośmdziesiąt i dwa latek przeminęło
I w morze wieczne lotem upłynęło,
Gdy król i cesarz z nieba nam jest dany,
I z łaski Bożéj na ten świat przysłany..."

A cały „króciuchny opis" składa się z 44 podobnych zwrotek!

Tylko pod jednym względem można kalendarzowi leckiemu przyznać pewną wartość: umieszcza on poniekąd „poezye" mazurskich autorów, dość podrzędne co do formy i treści ale zasługujące na uwagę o tyle, że dają pogląd na pewną stronę życia duchowego na Mazurach. Najczęściéj spotykamy się z pp. Donderem z Różyńska i Janem Luśtychem gospodarzem w Małych Zawadach. Ostatni lubi pisać pieśni moralizujące np.

O poniechaniu picia gorzałki.

Na nótę: Ocuć się duchu w téj chwili.

O jakby to dobrze było
Gdyby zapoprzestano,
Pić, co Bogu nie jest miło,
Od niego zakazano.
Oby Bóg się sam, zlitował,
Swiatu rozum ten darował,
Ażeby szalonego
Trunku nie pił żadnego.

Rozum, który jest od Boga,
Od tego odtrącony,
Którego tam ciagnie noga,
Gdzie szatan go dogoni.
I zachęca do głupiego
Trunku nader szalonego,
Aby mógł duszę zgładzić,
Do piekła ją wprowadzić.

Tam, gdzie nie ma wybawienia.
Ani wdzięcznéj ochłody,
Dla płochego przewinienia
I głupiéj, lichej wody.
Dla gorzałki, dla palonéj,
Dla śmierdzącej i szalonej,
Dla brzydkiéj, nierozumnej,
I chytréj, glupiej, dumnéj.

O jakiż to człek cierpliwy
Co gorzałki nie pije.
Tego Pan Bóg dobrotliwy
Pod skrzydła swe ukryje,
I do nieba go zachowa,

Gdzie już radość jest gotowa,
Tym co w trzeźwości żyją
I gorzałki nie piją.

Wszechmogący Panie Boże!
Pomóż się jej wyrzekać—
Wypędź z serca ostre noże
Nie daj nam na sąd czekać.
Daruj nam trzeźwości, Panie
Niech raz przyjdzim przed skonanie
Do żywota wiecznego
Trzeźwym obiecanego.

Daj, niech będzie okazały
Tryumf naszéj trzeźwości,
Niechże przyjdziem do twej chwały
Bo wszyscy, co w niskości
Gorzałczyska nie pijali
Będą w kraju królowali
W łasce u Boga swego
W niebiesiech żyjącego.

Czytelnik zauważył zapewnie z zadowoleniem, że nasz gospodarz pisze lepiéj po polsku od samego p. Gerssa, znacznie niżéj od owego poety wiejskiego stoją także nauczyciele, na których język wywiera niekorzystny wpływ czytanie niemieckich książek a brak lektury polskiéj. Do lepszych objawów poezyi nauczycielskiéj należy pieśń umieszczona w kalendarzu na rok 1881 p. t.

O strasznéj śmierci dwojga małżonków w Olecku.

ułożył *Bogdan*, nauczyciel w Golubiach pod Oleckiem.

Posłuchajże, mój człowieczku,
To co się stało w Olecku,
Roku tysiąc ośmsetnego
Siedmdziesiąt i dziewiątego,

Ogień wybuchł u pewnego.
Mistrza warku piekarskiego,
W chlewie bliskim założony,
Aby piekarz był zburzony.

Lecz to się nie wykonało,
Co szatańskie serce chciało.
Boska ręka odwróciła,
Co djabelska sporządziła.

Domek został ocalony,
Ale chlewek jest spalony;

Dwoje ludzi w nim zgorzało
Które w nim swój nocleg miało.

Hermani się nazywali,
Chlebek po wsiach roznaszali;
Zapewnie się zadusili,
Niż się ze snu ocucili.

A nazajutrz znaleziono
I z pod gruzów wywleczono
Ciała obu popalone
I okropnie skaleczone.

Miasto łaskę okazało,
Ciała ich pochować dało,
Bóg mu to pobłogosławi,
Miłym ojcem mu się stawi.

Bez dzwonienia i śpiewania
Poszli do odpoczywania,
Pokoju w ziemi trwałego
Do dnia sądu ostatniego.

Tego, który to sporządził,
Pan Bóg ostro będzie sądził,
Sprawiedliwy Pan jedyny
Za bezecne takie winy.

Zbrodniarz sprzątnął dwie te duszy
Niech go ciężka trwoga ruszy,
Niech jak plewy się rozwije,
Kiedy na nie wiatr powieje.

Czujmyż i módlmy się szczerze:
Wzmacniaj nas, o Panie, w wierze,
Nie wódź nas na pokuszenie
A daj wieczne nam zbawienie.

W tymże roczniku podaje p. Gerss niektóre wzmianki o własnéj osobistości, które tu za nim przytaczamy: „Choć już mam 72 lat, jednak jestem tak czerstwy i zdrowy, że od poranku do wieczoru bez przestanku pisać i studerować mogę i że znów mogłem nowy wydać kalendarz na rok 1881. To wszystko sprawia nasz wieczny, wszechmogący i łaskawy Bóg i ojciec nasz niebieski. Niech będzie jemu za to cześć i chwała i uwielbienie. Przedziwnym sposobem jeszcze i dopiero żadnych nie potrzebuję okularów. Ale i żyję miernie, nie pijąc ani gorzałki, ani piwa, ani araku, ani rumu, ani groku, nie palę żadnéj tabaki i nie jem mięsa świniego. I w jedzeniu jestem miernym."

Stargane siły sędziwego wydawcy kalendarza leckiego, mimo „miernego" sposobu życia nie pozwalają przypuszczać, żeby długo jeszcze wydawnictwo swe prowadził. Nie wiemy, kto wstąpi w jego ślady, ale nie podlega wątpliwości, że stanowczego zwrotu ku lepszemu spodziewać się niestety nie należy. Może znowu w jakim pozasłużbowym nauczycielu znajdzie rząd powolnego pomocnika w propagowaniu tendencyi, przebijających się w niemal wszystkich mazurskich kalendarzach. A gdyby się nawet miał znaleść wydawca, który mając dobro ludu na oku, chciał się postarać o polepszenie treści pod względem materyalnym, natenczas obawiać się należy, że i ów przyczyni się do dalszego wynarodowienia Mazurów, przemawiając do nich—że się tak wyrazimy—polską niemczyzną.

Juliusz Jan Ossowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Szkice historyczne z życia żydów w Warszawie od pierwszych śladów pobytu ich w tém mieście do chwili obecnéj, skreślił Hilary Nussbaum. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego. 1881 str. IV i 269.

„Warszawska gmina starozakonnych, w rodzinie gmin żydowskich większych miast Europy najliczniejsza, jest pod względem dat historycznych stałego w tém mieście pobytu najmłodszą z sióstr swoich.“ W istocie, dopiero za rządów pruskich, w ostatnich latach zeszłego stulecia otrzymali żydzi prawo, lubo obostrzone różnemi ograniczeniami i opłatami, osiedlenia się w Warszawie, a pierwszy popis z r. 1797 (nie 1793 jak mylnie wydrukowano na str. 25) wykazał 6,997 głów płci obojéj. Dawniéj wolno było żydom przebywać tylko w czasie sejmowym, stałego zaś pobytu wzbraniali im mieszczanie i magistrat na mocy przywilejów z XVI wieku, zatwierdzanych niejednokrotnie przez konstytucye. Już sam wzrost niezmiernie szybki, w ciągu jednego niespełna stulecia do liczby stutysięcznéj, czyni gminę warszawską zajmującym i ważnym przedmiotem badania; autor zaś nadał swéj pracy jeszcze wyższy interes, wytykając sobie za cel poszukiwanie tych faktów „które opóźnienie starszéj braci (izraelskiéj) w ogólnym pochodzie cywilizacyi spowodowały.“ Jako współzałożyciel „nowéj synagogi z chórem i kazaniami polskiemi,“ w któréj czcigodny rabin p. Kramsztyk w r. 1852 wygłosił pierwsze kazanie w języku krajowym; jako wytrwały i gorliwy pracownik na polu zreformowania i oświecenia współwyznawców swoich, a zarazem jako znawca ksiąg religijnych i wychowaniec byłéj szkoły Rabinów, p. Nussbaum posiada najlepsze kwalifikacye do osiągnienia zapowiedzianego celu.

Służyły mu za źródło archiwa: gminy Starozakonnych, magistratu m. Warszawy, Okręgu naukowego i niektórych starszych instytucyj gminnych; dopomagały mu w wielu razach podania „wiarogodnych Starców wyznania Mojżeszowego“ i pamięć własna sięgająca o pół wieku wstecz. Nie gardził też drukami, literaturą, pracami Sobieszczańskiego i Wejnerta, zasłużonych dziejopisów Warszawy, a niejednokrotnie wypadło mu dostarczać objaśnień z obszerniejszych i odleglejszych dziejów Izraela.

Rozdział I jest poświęcony walce przeciwko osiedleniu się żydów w Warszawie, a właściwie zarysowi rozrządzeń prawodawczych i administracyjnych w dawnéj Polsce o Żydach, poczynając od Bolesława Pobożnego i Kazimierza W-go. Nie łatwe-to zadanie, gdy materyał źródlowy jest rozproszony po lustracyach, dyaryuszach, broszurach, pamiętnikach, archiwalnych zabytkach, opracowań zaś dotychczas ukazało się bardzo mało. P. Nussbaum wynalazł przywiléj Zygmunta Augusta z r. 1570 (str. 6), reskrypt Władysława IV z r. 1646 (str. 7), akta o wynajmowaniu sklepów i mieszkań w Marywilu, na Pociejowie, Tłómackiém etc. (str. 18), pozwolenie osiąść w Golędzinowie na Pradze (str. 27) i przywiléj Stanisława Augusta na założenie cmentarza praskiego (str. 28). Szkoda że prócz dwóch ostatnich nie znajdujemy cytat dokładnych, tylko ogólnikową wskazówkę archiwum miejskiego lub Głównego w Królestwie Polskiém. O cmentarzu Praskim i o fundatorze onego Szmulu Jakubowiczu, mógłby autor znaleźć kilka ważnych dokumentów w Aktach Zarządu Gminy Starozakonnych Warszawskiéj Vol. I, lit. C; jest w nich ślad istnienia Bractwa Żydowskiego Warszawskiego w r. 1791 pod zwierzchnictwem Szmula, który otrzymał od wdzięcznych współwyznawców tytuł „starszego nad starszymi.“ Nie zna autor memoryału podanego przez plenipotentów ludu Żydowskiego w r. 1791, podanego do Komisyi Policyi Obojga Narodów, która w rezolucyi swojéj pomiędzy innémi punktami oświadczyła, że w wykonaniu konstytucyi 3 maja „gdy opieka rządowa nad wszystkimi kraju mieszkańcami rozciągniętą została, przeto komisya i żydów z pod tejże wyłączonych nie widząc tém samém prawo Neminem captivabimus nisi iure victum i do narodu Żydowskiego rozciągnione być widzi“ (1). Zresztą wymagać zupełnéj dokładności nie mamy prawa, gdy cały ten rozdział jest właściwie wstępem historycznym do badań nad wiekiem XIX; winniśmy owszem wyrazić uznanie autorowi za wynalezienie kilku nieznanych dokumentów jako też za wyjaśnienia, czerpane

---

(1) Relacya delegowanych od Najj. Konfederacyi do egzaminu Komisyi Policy str. 15—16 (druk spółczesny z r. 1792).

z życia i obyczaju; z wyjaśnień takich skorzystaliśmy parę razy do swojéj pracy, która obecnie wychodzi z pod prasy drukarskiéj.

Główną stronę dzieła stanowi wykład instytucyi administracyjno-religijnych, ścierania się prądów umysłowych i stronnictw w łonie gminy izraelskiéj, poczynając od dawnych zjazdów generalnych i kahałów aż do walki pomiędzy talmudystami, kabalistami, chassydami i grupą postępową. Okazuje się, że kraj nasz był ojczyzną wszystkich sekt, obecnie istniejących, i najsławniejszych w świecie żydowskim rabinów. Tu w r. 1817 był wynaleziony „cherem“ czyli wielka klątwa, któréj przekład urzędowy znajduje się na str. 44—48 i o któréj treści autor wyraża się następnemi słowy: „Wzdryga się człowiek myślący, czytając ten dokument głupstwa, niedorzeczności i przesądu, ten płód wylęgły w mózgownicach przewodników religijnych, rabinów polskich.“ Kabaliści ukazują się w XVII w., a patryarchami ich byli Samson Ostropol w Zasławiu i Natan Szpiro. Utrzymywali oni, że mają swych duchów domowych i przepowiadali przyszłość. Założycielem chasydyzmu i pierwszym Cadykiem był Izrael z Międzyborza na Podolu, zwany Beszt (1698—1759), po nim największéj sławy używał Zelman z Lidy (1751—1813) miasteczka gub. Wileńskiéj (nie zaś „niedaleko Witebska“ jak sądzi autor na str. 123). W XIX w. było trzech sławnych cadyków, z tych jeden Itsche Majer z Góry mieszkał w Warszawie przy ulicy Chmielnéj a żył do roku 1866. Obecnie naczelnicy chasydyzmu rezydują w Białéj, Górze Kalwaryi, Grodzisku, Kocku, Kozienicach, Mogielnicy, Mszczonowie, Przysusze, Radzyminie, Radoszycach i Warce. Do tych zjeżdża się po kilkanaście tysięcy ojców familii zbliska i zdaleka, opuszczając na cały miesiąc swoje rodziny. „Z nich wyborowa cząstka tylko i najbogatszych lub najpobożniejszych dostępuje szczęścia napawania się bezpośrednim widokiem oblicza Cadykowego i dosięga zaszczytu obdzielania się okruchami ze stołu jego świątobliwości, co wielkiemi zawsze ofiarami okupione być musi. Inni, mniéj szczęśliwi, kontentują się usłyszeniem głosu modlącego się Cadyka, który swoim donośnym i żałośnym lamentem obecnych na wskróś przejmuje. Jeszcze niżéj postawieni zadawalniają się ujrzeniem rąk swego przewodnika duchowego, któremi bezustannie w czasie modlitwy macha i wywija na znak niby znoszenia się z aniołami, którzy go otaczają.“ Warszawa dostarcza największego kontyngensu tych pielgrzymów, ponieważ ⅔ jéj ludności żydowskiéj składa się z Chasydów.

I cóż to za szczególna mądrość, jakie zalety pociągają ku naczelnikom sekty ową masę wielbicieli, dochodzących aż do fanatyzmu? Autor nie wykłada, poprzestając na przytoczeniu wydanych

w r. 1792 i 1807 przez rabina Loebla dzieł, które „wyświetlają najskrytsze matactwa i najohydniejsze czyny sekty, przedstawiają nagie fakta praktycznego życia.... oraz szkodliwy wpływ nietylko na Judaizm, ale na całe społeczeństwo krajowe“ (str. 124). Wspomina jeszcze o cudach, czynionych nad bezpłodnemi kobietami za złożeniem hojnych darów pydion zwanych. Wolelibyśmy zamiast takiéj ogólnéj charakterystyki znaleść chociażby streszczenie pism Loebla, dla ogółu nieprzystępnych. Jest wszakże dosyć rysów i faktów do okazania czytelnikom, jak straszną jest otchłań ciemnoty i obłędów mistycznych, w któréj obraca się milionowy gmin żydowski i jak trudném jest zadanie gromadki żydów postępowych, którzy pragną te ciemności rozwidnić. Zasługuje téż na uwagę dziwna okoliczność, że chasydyzm gnieździ się obecnie tylko w Królestwie, chociaż wylągł się w guberniach zachodnich; do wytępienia sekty wystarczył zakaz schadzek ogłoszony przez rząd pod groźbą kar surowych.

Nie będziemy poruszali innych spraw, jak np. przeobrażeń w zarządzie gminy, budowania nowych synagog, aż do ostatniéj, tak okazałéj na Tłomackiém, prac nad oświatą, urządzeniami dobroczynnemi i t. p. Sądzimy, że przytoczone ustępy dają wyobrażenia o wartości dzieła; możemy je polecić wszystkim, kogo obchodzi tak ważna w kraju naszym kwestya żydowska. *T. Korzon.*

Zbiór wiadomości statystycznych, odnoszących się do dóbr ziemskich, obciążonych pożyczką Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Król. Polskiem, wydany staraniem naczelnych władz tegoż Towarzystwa. Warszawa, 1881 r.

Podług obowiązujących przepisów, dobra, przystępujące do pożyczki Tow. Kred. Ziem., winny przedstawić dokładny opis majątku. Opisy takie dla dóbr biorących pożyczkę z taksy, jako sporządzone przez delegacyą sprawdzającą stan rzeczy na miejscu, zasługują na wiarogodność większą od opisów podawanych przy pożyczkach z mnożnika, które przygotowuje sam właściciel i tylko dwóch sąsiadów stowarzyszonych musi opis podpisami stwierdzić. Opisy podobne dotyczą wszystkich stron dóbr, począwszy od przestrzeni. Mieszczą się w nich więc dane o produkcyi rolniczéj, inwentarzu, zakładach fabrycznych, służebnościach i t. p., tak że dają one poniekąd dokładne pojęcie o majątku, służyć mającym za ubezpieczenie pożyczki. Wprawdzie bezwzględnéj wartości nie posiadają lecz chyba tylko pewien stopień przesady zarzucić im można.

Nagromadzone w ten sposób dane, władze Towarzystwa poleciły zestawić i odpowiednio ułożyć, a rezultatem téj pracy jest wymieniony w nagłówku Zbiór.

Pierwsza kwestya, powstająca przy rozbiorze rzeczonego zbioru, dotyczy metody.

Powołane opisy dóbr nie pochodzą z jednego roku, lecz związane są z czasem przystąpienia każdego majątku do pożyczki. Wynika ztąd, że jeśli jeden opis może przedstawiać stan danych dóbr z r. 1870 np., inny dla innych dóbr odnosi się do roku 1875. Tymczasem wszystkie tak zebrane cyfry zostały łącznie dodane i w jednę całość ujęte. Powstaje teraz pytanie, z jakiego czasu są to cyfry? Odpowiedzą nam, że są to przeciętne za pewien okres czasu, lecz nauka inaczéj pojmuje cyfry przeciętne. Aby je otrzymać, należy posiadać liczby za pewien peryod dla wszystkich dodawanych jednostek, jak w obecnym wypadku — pojedyńczych majątków, i dopiero póżniéj łączną cyfrę należy podzielić przez liczbę lat a iloraz będzie żądaną przeciętną. Metoda przyjęta zaś przez redakcyą Zbioru jest zupełnie niemal wadliwa i całą jego wartość sprowadza do zera. Przejdźmy zresztą pojedyńcze rozdziały.

Rozdział 1-szy omawia przestrzeń. Wobec trzebienia lasów, przestrzeń gruntów ornych ciągle się zmienia. Dodanie więc cyfr z pojedyńczych lat dla różnych majątków nie daje żadnego o rzeczy pojęcia a cyfra lasów i ziemi ornéj, łąk i t. d. w Zbiorze zamieszczona o niczém nie poucza.

Rozdziałowi 2-mu traktującemu o zabudowaniach gospodarskich i zakładach przemysłowych, prócz ogólnego zarzutu postawilibyśmy jeszcze inny, mianowicie: że rozróżnia budowle z ogniskami i bez ognisk, gdy tymczasem kuźnie należące do pierwszych, nie pozwalają określić dokładnie ilości budynków mieszkalnych. Co do zakładów przemysłowych, to nie rozumiemy celu podawania ich liczby. Jako niewpływające na szacunek dóbr czasami tylko są zamieszczane w opisach; stąd nieścisłość ich liczby. Możemy tak wnioskować między innemi z bliżéj nam znanéj gubernii płockiéj, gdzie ilość powołana w tablicach statystycznych różni się od rzeczywistéj.

Jeśli dane o przestrzeni i budynkach wobec wadliwéj metody nie są wcale dokładne, to cóż dopiero mówić o inwentarzu żywym? Ilość jego zmienia się ciągle, czegoż więc mogą dowodzić cyfry spisane w pojedyńczych latach? To samo daje się powiedzieć o produkcyi rolniczéj. Jak nieprawdopodobne są podane cyfry, świadczy ta okoliczność, że podług Zbioru siano, rośliny pastewne, nigdzie nie są zbywane. Jest to najzupełniéj fałszywe i nie wytrzymuje krytyki.

Z cyfr o szacunku ogół czytelników nie wyciągnie żadnego wniosku. Wprawdzie dla przystępujących do pożyczki, ciekawą jest taksa Towarzystwa, lecz o rzeczywistéj wartości dóbr nie można stąd nabrać żadnego wyobrażenia.

Małą wartość liczb o długach hypotecznych stwierdza własnemi słowy redakcya *Zbioru*: „obciążenia czyli długi o których mowa, wypisywane były z wykazów hypotecznych ryczałtowo, bez bliższego oceniania natury i znaczenia odnośnego wpisu, oraz bez względu na to, że tenże sam dług, jak to się często zdarza, mieści się niepodzielnie na kilku oddzielnych hypotekach dóbr, należących do jednego a nawet do różnych właścicieli; albo że niektóre z tych długów, pomimo że już zostały zaspokojone, z powodu rozmaitych przeszkód prawnych, dotąd z hypoteki wykreślone być nie mogły.“ Tak więc, pomimo że wykazy hypoteczne sprawdzano jednocześnie, i ten rozdział nie daje jasnego o rzeczy pojęcia. Jedynie pewne są cyfry pożyczek samego Towarzystwa. Cyfry o podatkach i opłatach przedstawiają najwięcéj prawdopodobieństwa z całego *Zbioru*. Podatki i opłaty nie ulegają tak raptownym zmianom i dlatego zbieranie o nich danych z różnych lat nie stanowi tak wielkiego błędu.

Zdawać by się mogło, że rozdział o służebnościach tą samą zalecać się będzie ścisłością, gdyż redakcya *Zbioru* starała się o poznanie w tym względzie obecnego stanu rzeczy. Lecz za jedyne źródło służyły tu wykazy hypoteczne, gdy tymczasem pomiędzy istotném zniesieniem serwitutów w danym majątku a ich wykreśleniem z hypoteki znaczny stosunkowo upływa czas.

Uogólniając wszystkie przytoczone tu uwagi o *Zbiorze*, dojdziemy do wniosku, że przedstawia on wartość bardzo względną, że na mocy podanych w nim cyfr rysować obrazu większéj własności w naszym kraju wcale nie można. Przypuszczamy, że władze towarzystwa zamierzały przysłużyć się nauce, lecz w danym wypadku nie można przyjąć dobrych chęci za uczynek. Sądzimy jednak, że Towarzystwo może błąd swój naprawić i dokładny obraz dóbr stowarzyszonych przedstawić. Robotę taką dałoby się podług naszego zdania przeprowadzić w sposób następujący: Szematy ułożone, przez zaproszoną w tym celu komisyą z grona specyalistów w połączeniu z przedstawicielami Towarzystwa, należałoby za pośrednictwem Dyrekcyi szczegółowych rozesłać do wszystkich stowarzyszonych z prośbą o ich zapełnienie. Stowarzyszeni mogli by tu wpisać wszystkie cyfry prócz długów hypotecznych, które znowu z ksiąg hypotecznych winny być z większą starannością wypisywane. Co do podatków, to te— jeżeliby to wielkiéj trudności nie przedstawiało — możnaby wykazy cyfr odpowiednich otrzymać od władz gubernialnych, w przeciwnym zaś razie i sami stowarzyszeni odnośne cyfry podaćby mogli. Uczynionoby nam może zarzut, że podobne szematy grzeszyłyby niedokładnością, lecz na to odpowiemy,

że w Galicyi na podstawie takich odezw, stosowanych do rozmaitych urzędów i osób prywatnych. Biuro statystyczne wydaje cenne swe roczniki, a zresztą możnaby żądać stwierdzania opisu świadectwem dwu innych sąsiadów. W każdym jednak razie odezwa Tow. Kred. nie wzbudzałaby podejrzeń co do podniesienia podatków i t. p. i ziemianie zapewneby dokładne dane komunikowali.

W ten sposób ułożone szematy mogłaby wyżéj powołana komisya zestawić i dopiero na téj podstawie tablice opublikować. Mamy nadzieję, że myśl rzuconą tu w ogólnych zarysach może wezmą władze Towarzystwa pod rozwagę. Pierwsze niepowodzenie nie powinnoby odstręczać, boć zawsze pierwsze próby muszą być niedoskonałe, i od razu na właściwą drogę trafiać zbyt trudno; korzystać zaś z doświadczenia i poprawiać niedokładności i błędy pierwszych usiłowań zawsze będzie cechą ludzi rozumnych, a tém bardziéj instytucyi publicznych; ogół zaś nasz ma pewne prawo żądać od tak zamożnéj instytucyi, jak Towarzystwo Kredytowe ziemskie, wydania dokładnego Zbioru wiadomości statystycznych o dobrach stowarzyszonych. Grosz na ten cel użyty przynieść może rzetelną korzyść nauce, a przyczyni się do rozpowszechnienia w naszém społeczeństwie maksymy zbawiennéj: „znaj siebie samego.“

Henryk Konitz.

Katalog rękopisów biblioteki Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich wydał dr. Wojciech Kętrzyński, dyrektor tegoż zakładu, Tom I, Lwów 1881, 8^{0}, str. VII i 759.

Podanie tylko chodziło pomiędzy historykami aż do obecnéj chwili, że zbiory rękopiśmienne zakładu Ossolińskich bogate są w materyały do historyi polskiéj; podanie tylko powiadam, albowiem rzeczywistość lub raczéj prawdziwość jego pewną była dla niewielu, którzy te zbiory dokładniéj znali i z nich korzystali,—Ossoliński, Batowski, Szajnocha, Bielowski, Kubala, Kantecki Klemens, oto zdaje się, że wszyscy. Podejmując wydanie katalogu, p. K. jedna więc sobie nieskończoną zasługę, wykazuje bowiem jasno, jakie to są bogactwa, co nie tylko dla przebywających w miejscu uczonych, ale i dla zamiejscowych pożyteczną jest rzeczą.

Wydawca oddał w ręce ogółu obecnie dopiero pierwszy tom katalogu zawierający opisanie 226 rękopismów, a że zbiory posiadają ich 2901, więc cały katalog z pięciu co najmniéj tomów składać się będzie i za lat kilka dopiero w całości wyjdzie. Co do sposobu spisywania rękopismów, to p. K. bierze je z porządku według nume-

rów, któremi są oznaczone, podaje najprzód materyał rękopismu, następnie stólecie, z którego pochodzi, czy jedną czy kilku pisany jest rękami, format, liczbę kart lub stronic, rodzaj oprawy; potém wykazuje szczegółowo treść rękopismu i na końcu notuje napisy lub wiadomości, tyczące się pochodzenia lub historyi manuskryptu, jeżeli takowe podać jest w możności, ilość kart niezapisanych itp. Znam bardzo wiele pisanych i drukowanych katalogów rękopismów wielu bibliotek krajowych i zagranicznych, z pewną więc racyą co do kompetentności lub prawdziwości mego zdania powiedzieć mogę, że katalog p. K. ze wszystkich jest najlepszy; ustępują mu pierwszeństwa nawet katalogi bibliotek Wiedeńskiéj, Monachijskiéj i Jagielońskiéj, które to katalogi do wzorowych się liczą. Najgłówniejsza jego zaleta i pierwszeństwo przed innémi polega na wielkiéj dokładności i zupełności w podawaniu treści rękopisów, osobliwie w zbiorach *Silva rerum* lub *Miscellanea*, które w innych katalogach zazwyczaj zbywane bywają ogólnikowém podaniem treści, tutaj zaś szczegółowo są opisane: wskazany każdy dokument, jaki się tylko w nich znajduje; taka metoda powiększa wprawdzie pracę nad układaniem katalogu, objętość jego (np. opisanie trzech rękopismów NN-ra 224—226 zajmuje 32 stronice) i koszta wydawnictwa, lecz te opłacają się sowicie korzyścią naukową.

Tytuły rękopismów lub dokumentów podane są tak, jak brzmią w samych rękopismach; w ich braku tylko sam wydawca podaje treść; błędów w tym względzie i w objaśnieniach spostrzegłem bardzo mało; oto kilka z nich na użytek poprawek, jakie zapewne w swoim czasie pojawią się: str. 253 (nr. 1) Caligari nie był kardynałem, tylko episcopus *Bertinorensis*, nie zaś Britoniensis; w rękopiśmie N. 156 listy pod liczbą 47 i 120 razem należało połączyć, gdyż „pater Magius“ (dodaję Laurentius) i „provincialis jesuitarum per Austriam“ są jedną i tą samą osobą; toż samo NN. 99 i 141 (secretarius episcopi Montis regalis=Rugierus Tritonius, który wydał Vita Vincentii Laurei... Bononiae 1599, dziełko ważne a u nas nieznane), jak również NN. 117 i 118 (Stanislaus jesuita—pater Warszawicki); str. 280 (nr. 182) Antoni Santacroce nie był jeszcze kardynałem w tych latach; str. 97 (nr. 16) ma być *Larissenus* zam. Lansenus; str. 248 (nr. 57) *Singkmoser* zam. Singkmostr; str. 262 (nr. 95) *Sirletum* zam. Scerletum; str. 264 (nr. 152) *Contarenum* zam. Contarellum; str. 268 (nr. 9) i 280 (nr. 179) *Cerioli* zam. Cirioli; str. 307 (nr. 19) i 338 (nr. 19) *Rorarium* zam. Rosarium; str. 309 (nr. 61) *Sublaci* zam. Sublati; str. 319 (nr. 222) *Junii* zam. Julii.

Dołączonym jest do katalogu dokładny—albowiem znajdują się w nim i nazwiska osób, które w rękopismach cytowane są tylko z ty-

tułów—spis (dla czego „Indeks“?) nazwisk osobowych i miejscowych (1) który jednak mimo swoich zalet i szczegółowości nie pomaga nam w zupełności do odszukiwania bezimiennych pism lub utworów, wyrażam więc życzenie, ażeby p. K. i temu zaradził, umieszczając w tym celu przy ostatnim tomie odpowiedni szematyzm ze wskazówkami lub odnośnikami, jaki np. znajdujemy przy każdym tomie katalogu rękopismów biblioteki nadwornéj w Wiedniu (Tabulae codicum manuscriptorum praeter orientales et graecos, qui in bibliotheca palatina Vindobonensi asservantur).

Teodor Wierzbowski.

— **Sprawozdanie z czynności Towarzystwa historyczno-literackiego** *od 1 kwietnia 1881 do 1 kwietnia 1882 oraz z konkursu 1880—1882. Ogłoszenie konkursu na dwulecie 1882—1884* (Paryż, 1882, str. 14). W roku bieżącym *Towarzystwo historyczno-literackie* w Paryżu skończy pięćdziesiąt lat swego istnienia zapełnionego, względnie do środków, któremi rozporządzało, i trudnych okoliczności, wśród których się rozwijało, działalnością wagi niemałéj. Z ważniejszémi momentami téj działalności obiecuje dzisiejszy zarząd Towarzystwa (prezes ks. *Władysław Czartoryski*, wice prezes *Aleksander Chodźko*, konserwator biblioteki *Władysław Chodzkiewicz*, podskarbi *Józef Rustejko*, sekretarz i dyrektor biblioteki *Lubomir Gadon*) zapoznać ogół polski w osobném sprawozdaniu. Obecnie daje rzut oka na czynności towarzystwa z roku ubiegłego. Na posiedzeniach odbywanych co miesiąc, z wyjątkiem pory wakacyjnéj, czytywano rozprawy treści historycznéj, z których przedewszystkiém zaznaczyć potrzeba dwie prace zmarłego niedawno w młodym bardzo wieku (lat 26) a już chlubnie znanego historyka, nieobcego téż i czytelnikom „Ateneum“, *Stanisława Lukasa*: Jedna z nich miała za przedmiot rzecz *O rozwoju dziejopisarstwa polskiego*, druga zaś przedstawiała jednę chwilę *Z dziejów polskich XVII wieku.* Z innych odczytów wydają się interesującemi ze względu na treść: *Adama Rzążewskiego* „O Panslawizmie“, *Konstantego Wolskiego* „Rumunia, jéj przeszłość i teraźniejszość“, *Władysława Czartoryskiego* „Nieco o kolejach zbiorów Puławskich,“ *K. Gregorowicza* „Prawa historyi w zastosowaniu do polity-

---

(1) Zauważam mimochodem, że Andreas episcopus Quinqueecclesiensis do str. 285 nr. 3 nazywa się Dudycz, niewłaściwie więc figuruje w spisie pod imieniem zamiast pod nazwiskiem; niepotrzebny tu także i Uchański Arnulf, do str. 309 nr. 65, gdyż wojewodą Bełzkim w 1575 roku nie był on ale Andrzéj z Tęczyna.

ki.“ Pomijając szczegóły dotyczące pomnożenia, dość znacznego, biblioteki Towarzystwa, zanotujemy, że stan kasy w porównaniu z bezpośrednio poprzedzającym rokiem przedstawia się dosyć pomyślnie; gdy bowiem wtedy pozostałość nie dochodziła 6 tysięcy franków, obecnie dosięga blisko 14 tysięcy. Najdonioślejszym niewątpliwie wynikiem działalności Towarzystwa była wywołana konkursem, przez Towarzystwo w r. 1880 ogłoszonym, rozprawa dra Aleksandra Semkowicza, wykazująca krytycznie a szczegółowo, na jakich źródłach opiera się praca Długosza w pierwszych siedmiu księgach. Referenci oceniający tę rozprawę (pp. Smolka i Piekosiński) wyrażają się o niéj nadzwyczaj pochlebnie, przyznając autorowi „doskonałą, wytrawną i na najlepszych wzorach wyrobioną metodę krytyczną, ścisłość badania bez zarzutu i benedyktyńską prawdziwie pracowitość.“ „Ktokolwiek—powiadają referenci—mając dzieło autora, zajmować się będzie dziejami X—XIII w., znajdzie w tym komentarzu pewne i niezawodzące wskazówki, czy dany ustęp Długosza polega tylko na zestawieniu, amplifikacyi a często mylnéj kombinacyi znanych źródeł, czy téż zawiera wiadomości, z nieznanych źródeł zaczerpnięte, na które praca badawcza ścisłą zwróci uwagę. Zbyteczną stanie się zmudna „utrudzająca i krępująca nieraz postępy badania analiza każdego ustępu zosobna, analiza, która nadto nie może doprowadzić do tak zadawalniających rezultatów, jak w pracy naszego autora, który opanowując wielostronnie cały materyał, rozpoznawszy na tysiącach przykładów metodę i właściwości pisarskie Długosza, w komentarzu do każdego ustępu tém szczęśliwiéj mógł się wywiązać z zadania.“ P. Semkowicz zamierza rozprawę tę uzupełnić rozbiorem pozostałych jeszcze 5 ksiąg wielkiego historyka XV stulecia. Na konkurs dwulecia 1882—1884 ogłasza Rada Towarzystwa zadanie następujące: *Jakim zmianom uległo sejmowanie polskie od pierwszych dokładniéj znanych sejmów (1548) aż do zagęszczającéj się praktyki Liberi Veto w wieku XVII? Czy i jakie starania zdążały do jego naprawy? Co jéj przeszkadzało.* Objętość żądanéj pracy ma wynosić najmniéj 10-arkuszy druku. Kto chce brać udział w konkursie, rękopism nadesłać może albo pod adresem p. *Lubomira Gadona* (Paryż, 6, quai d’Orléans), albo p. *Józefa Szujskiego* (Kraków, w Uniw Jagielońskim) Terminem ostatecznym do nadsyłania rękopismów jest dzień 15 lutego 1884 roku.

— **Udział Czechów w rozwoju oświaty i nauki lekarskiéj w dawnéj Polsce.** *Napisał Dr. Hubert hr. Krasiński. Na pamiątkę braciom Czechom autor. Mowa miana na zjeździe przyrodniczo-lekarskim w Pradze czeskiéj dnia 27 maja 1882 roku.* (Kraków, str. 24). Rzecz ta z natury swego przeznaczenia nie rości żadnych pretensyj ścisłéj nauko-

wości; zadanie jéj czysto publicystyczne; autor z okoliczności zjazdu lekarzy i przyrodników czeskich i polskich w Pradze chciał ożywić w pamięci zebranych prastare związki cywilizacyjne dwu najbliżéj z sobą spokrewnionych narodów słowiańskich. Biorąc pochop z wiersza Deotymy napisanego na przyjęcie Emanuela Tonnera we Lwowie, p. K. rozpoczyna mowę swą od wspomnienia Dąbrówki i skreślenia zasług duchowieństwa względem nauk w pierwszych wiekach wprowadzenia wiary chrześciańskiéj do Polski, kładąc nacisk na to, że wśród duchowieństwa tego byli téż Czesi. Następnie mówi o ruchu naukowym w Krakowie, o założeniu *studium generale* i akademii, o związkach Polaków z Czechami w czasie walk husyckich, o wpływie zielnika napisanego przez *Matiolego* na uprawę praktycznéj botaniki u nas. Najszczegółowiéj, w stosunku do szczupłych rozmiarów całości, zastanawia się autor nad działalnością Wojciecha Oczki i nad dobroczynnym wpływem szkół, zakładanych przez *Braci czeskich*. Pokrótce ale wyraziście kreśli bolesne następstwa wojny trzydziestoletniéj, gwałtowną giermanizacyą Czech, a w końcu odrodzenie narodowości czeskiéj. „Szlachetny naród czeski — powiada autor — od czasu rozpoczęcia pracy olbrzymiéj nad swojém odrodzeniem zyskał w oczach świata wielki szacunek, a u nas zdobył cześć, sympatyą i podziw.... Dwie siostry, dzieci jednego szczepu słowiańskiego, ziemia czeska i polska winny iść ręka w rękę tam, gdzie je powołuje praca i święty obowiązek. Niechaj jedna drugą wspiera, niech jedna drugiéj upaść nie da. Zbratanie się tych dwu narodowości słowiańskich nie tylko jest ważném pod względem politycznym.... lecz także ważném i pod względem cywilizacyjnym. W imię wzajemności słowiańskiéj opromieniajmy ciepłem idealnego zapału najściślejsze badania naukowe dla sprawy postępu, wolności i duchowéj solidarności. Przez prace, na niwie przyrodniczo-lekarskiéj wykonywane, składajmy liczne dowody, że naród czeski i naród polski jeszcze nie zginął i że zdolni jesteśmy stanąć do turnieju z innémi narodami na polu umiejętnych badań. Pracujmy razem, łączmy się często z sobą, urządzajmy zjazdy wspólne, zawiązujmy ścisłe stosunki naukowe, badajmy ziemię ojczystą dla chwały i dla dobra naszego, aby zachodnie narody słowiańskie stanęły silne i nieugięte przed wrogim naporem, który nam z różnych stron grozi i grozić nie przestanie.“ — Literackiéj stronie mowy niejedno zarzucićby można; brak jéj w kilku miejscach porządku, np. gdy autor mówi o Tychonie Brahem i Keplerze wprzód zanim wspomniał o Koperniku (str. 8), albo gdy o polskich zwolennikach Hussa w XV stuleciu mówi po nakreśleniu faktów, które się do w. XVI odnoszą (str. 10); styl nie zawsze poprawny, a rusycyzm (służyć

dowodem) powtarza się dwukrotnie. Więcéj atoli aniżeli forma literacka rażą usterki naukowe w tym rodzaju np. że autor założenie *studium generale* w Krakowie odnosi do r. 1347, że czeskie pochodzenie Gutenberga poczytuje za prawdę już naukowo dowiedzioną, lub że znany zbiór wiadomości bibliograficznych p. n. „Janociana“ nazywa „aktami Janockiemi“ (str. 10).... Do mowy dołączone są dosyć obfite przypisy wskazujące źródła, z których czerpał autor potrzebne do pracy swéj materyały. Długosz, Naruszewicz, Woronicz, Juszyński, Gąsiorowski, najczęściéj zaś Wiszniewski dostarczali autorowi informacyi, których jednak on nie potrafił krytycznie zużytkować.

= **Biblioteka matematyczno-fizyczna.** Pod takim tytułem ogólnym w końcu r. b. lub na początku przyszłego, ukazywać się zaczną oddzielne tomy zbioru systematycznego podręczników z matematyki, fizyki, kosmografii i geografii fizycznéj, oraz mechaniki. Wydawnictwo to podzieloném zostanie na cztery serye: pierwsza poświęcona będzie wychowaniu początkowemu, druga szkołom profesyonalnym i zakładom naukowym żeńskim, trzecia wychowaniu gimnazyalnemu, czwarta nakoniec obejmie kursy ogólne wykładane na uniwersytetach i szkołach wyższych technicznych. Projektodawcy i wydawcy téj „Biblioteki,“ Dr. Maryanowi A. Baranieckiemu, Kasa pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia Józefa Mianowskiego udzieliła zapomogę na doprowadzenie tego poważnego wydawnictwa do skutku. Program jest tak obszerny, iż wykonanie jego, przy współudziale nawet licznych współpracowników, wymagać będzie cztery do pięciu lat pracy.

= **Dr. Franciszek Piekosiński. Kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa**. Tom I, r. 1879. T. II, r. 1882. (Mon. Medii Aevi T. V i VII). Z trzech wydawanych przez p. Piekosińskiego kodeksów dyplomatycznych, najpóźniéj rozpoczęty, najwcześniéj został skończonym. Kodeks dypl. miasta Krakowa, będący uzupełnieniem niejako wydanych w r. 1878 wspólnie z prof. Szujskim najdawniejszych ksiąg i rachunków Krakowa, jest jedném z tych wydawnictw, które prawdziwy zaszczyt wydawcy przynoszą. Zbyteczném też by było podnosić wszystkie dodatnie strony nowéj téj pracy p. Piekosińskiego, wystarczy podać plan, jakim się przy niéj kierował. Materyał został podzielony przez wydawcę na 4 części, z których pierwszą, tom I wypełniającą, stanowią dokumenta odnoszące się do założenia i uposażenia Krakowa, Kazimierza, Stradomia i Kleparza; druga część zawiera akta wypływające z samorządu gminnego, t. j. wilkirze i statuta cechowe; trzecia dokumenta nieobjęte tomem I, czwarta nakoniec obejmuje tranzakcye zawierane przy sprzedaży czynszów

(na widerkauf) z prawem odkupu, w dodatku umieszczona została bardzo ciekawa księga dochodów miejskich z r. 1542. Z zakresu „Mon. Medii Aevi“ wynika, że kodeks dypl. Krakowa sięga w głównéj swéj części tylko do r. 1506, do tego samego roku doprowadzone są wykazy wójtów i ławników, umieszczone na wstępie tomu I. Najważniejszą zaś zaletą tego wydawnictwa jest jednolitość i systematyczność, któremi w téj mierze najznakomitsze nawet prace wydawców niemieckich niezawsze poszczycić się mogą. Pochodzi to także ztąd, że p. Piekosiński sam, nie wyręczając się niedorównywującymi mu współpracownikami, w całości wydawnictwo to prowadził i wszystkie części zrówną opracował starannością.

= **Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu**. Rocznik I, r. 1878. Rocz. II, r. 1880. — Na wzór istniejących prawie w każdém znaczniejszém mieście niemieckim towarzystw naukowych, zawiązało się i w Toruniu podobne towarzystwo za inicyatywą ś. p. Zygmunta Działowskiego. Towarzystwa takie są jeszcze właściwsze wtedy, gdy zakres i zadanie swe ograniczają do badania przeszłości miasta, w którém się zawiązały, wraz z najbliższą jego okolicą. Téj okoliczności zawdzięczają Niemcy ową nadzwyczajną dokładność i drobiazgowość z jaką dzieje najmniéj znaczącéj ich prowincyi są znane. Towarzystwo *naukowe* toruńskie powinno by za obszerny swój predykat na „historyczne“ zamienić, i w przeciwstawieniu do niedawno założonego towarzystwa historycznego zachodnio-pruskiego w Gdańsku, być organem historyków polskich specyalnie zajmujących się dziejami Pomorza i Prus. Tymczasem jakimkolwiek się mianem towarzystwo toruńskie podpisuje, faktem jest, że zawdzięczamy mu już dwa roczniki przeważnie pracami historycznemi księży Stanisława Kujota i Gapińskiego zapełnione, o których choć słów parę wypada powiedzieć. Ksiądz Kujot znany jest z rozprawki o zjeździe Gąsowskim i z obszerniejszéj pracy o opactwie Pelplińskiem; w rocznikach zauważamy rozprawy jego o Margrabiach Brandeburskich w dziejach Pomorza za księcia Mestwina II, o majątkach biskupich na Pomorzu i o kasztelanii Racięzkiej. Pierwsza z nich jest bardzo słaba. Krótka rozprawka księdza Gapińskiego o położeniu Wyszogrodu nie jest bez wartości. Można przypuszczać, że z czasem wzrośnie liczba zajmujących się dziejami pomorsko-pruskimi, wskutek czego i wartość rozpraw w następnych rocznikach pomieszczonych niezawodnie się podniesie.

= **Wiadomości historyczne o rodzie Swinków** oraz rodowód pochodzącéj od niéj rodziny Zielińskich herbu Swinka część pierwsza do r. 1600 przez *G. i I. Zielińskich*. Toruń 1880. Niewątpliwem jest, że aby dokładny i wyczerpujący herbarz mógł powstać, muszą

wprzód być ustalone dzieje i rodowody znakomitszych przynajmniéj familij. Na tém polu niezmiernie dotąd mało u nas zrobiono. Wiadomość o rodzie Swinków, polegająca na najwłaściwszych do tego rodzaju przedmiotu źródłach, bo przeważnie na księgach sądowych, jest zatém bardzo pożądanym przyczynkiem, tém bardziéj, że niemal jedną trzecią część książki wypełniają wyjątki z aktów, które i dla zajmujących się prawem polskiém mają znaczenie. Szkoda tylko, że nie zawsze tekst oryginalny został dobrze odczytany. Wielką zaletą tego dziełka jest dokładny indeks, pomagający do szybkiego oryentowania się w wielkiéj ilości nazw w niém przytoczonych.

= 1. *Urkunden des klosters Kamenz herausgegeben von dr. Paul Pfotenhauer* (*Codex Diplomaticus Silesiae Band X*) *Breslau. 1881.*— 2. *Breslauer Stadtbuch enthaltend die Rathslinie von 1287 ab und Urkunden zur Verfassungsgeschichte der Stadt herausgegeben von H. Markgraf und O. Frenzel* (*Cod. Dipl. Sil. B. XI*) *Breslan 1882.*— 3. *Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens herausg. von dr. Colmar Grünhagen B. XIV. Breslau 1882.*—Zawiązane przed kilkudziesięciu laty za inicyatywą znakomitego badacza dziejów Szlązka G. A. Stenzla towarzystwo historyczne we Wrocławiu rozwija od tego czasu nieprzerwanie swą działalność i naukowéj publiczności przysługuje się rokrocznie jakiemś nowém wydawnictwem. Dopóki żył Stenzel (um. r. 1854) skupiał się cały niemal ruch na polu badań dziejowych Szlązka w wybitnéj jego osobie. Mimo znakomitych jak na ową epokę prac poprzedników jego Sommersberga (Scriptores Rerum Silesiacarum T. 3), Klose'go (Dokumentirte Geschichte von Breslau 3 tomy w 5 częściach) Büschinga (Urkunden von Leubus, Grabmal Heinrich des IV), pozostawało tak wiele do zrobienia, że i Stenzel po kilkudziesięcioletniéj w owoce nader obfitéj pracy, części tylko podjętego zadania dokonał. Ponieważ w chwili kiedy Stenzel dziejami Slązka zaczął się zajmować, nieistniało jeszcze osobne w tym celu zawiązane towarzystwo historyczne, korzystał więc z zasobów jakie mu dostarczyć mógł istniejący już związek t. z. Schlesische Gesellschaft für vaterländische Cultur i w jego publikacyach (Uebersicht der Arbeiten und Veränderungen der schl. Gesel. für vaterl. Cultur) umieszczał od r. 1824 do 1844 mniejsze lub większe rozprawki, których liczba niespełna 30 dosięga. Rozprawki te, zwłaszcza z lat ostatnich, aż do dni naszych wartości nie straciły i w niejednym ciemnym punkcie stosunki wewnętrzne Slązka a więc i ogólne polskie wyświecają. Niejednokrotnie téż popierał autor wywody swoje załączeniem nieznanych dokumentów, z których większa część dotychczas nie została przedrukowaną. Nakładem tego sa-

mego towarzystwa, wydał Stenzel w r. 1835 pierwszy a w r. 1839 drugi tom Scriptores Rerum Silesiacarum, które to dzieło, mimo iż niektóre wydane w niem pomniki ponownéj doczekały się edycyi tak w XIX tomie Monumenta Germaniae Historica jak w tomie III Mon. Pol. Hist., do dziś dnia jest niezbędném dla każdego zajmującego się dziejami Slązka. Przedtem jeszcze bo w r. 1832 ogłosił niestrudzony ten badacz we współpracownictwie (tylko na papierze) z Tzschoppe'm pierwszorzędnej wagi zbiór dokumentów do historyi wewnętrznej Slązka (Urkundensamlung zur Geshichte des Ursprungs der Städte....), do którego olbrzymia przedmowa jest, mimo wielu błędów i usterek, najdokładniejszą pracą o znaczeniu i rozwoju kolonizacyi niemieckiej w południowo-zachodniej części Polski. W r. 1845 wydał znowu Stenzel inny nie mniej ważny dyplomataryjusz (Urkunden zur Geschichte des Bisthums von Breslau) rozswiecający dzieje biskupstwa Wrocławskiego, a wnim między innémi zbiór znany jako „Acta thomae," przedstawiający w najdrobniejszych szczególach spór biskupa Wrocławskiego Thomasza II z księciem Wrocławskim Henrykiem IV. W następnym roku doszedł do skutku dawno już przygotowywany plan założenia towarzystwa historycznego Slązkiego, którego statut w tym samym roku otrzymał potwierdzenie władzy; nie potrzeba dodawać kto przy tém najbardziéj był czynnym. Swieżo utworzone towarzystwo nie rozporządzając znacznémi środkami materyalnémi, musiało z początku działalność swą jaknajbardziéj ograniczać. Między r. 1846—1855 pojawiły się tylko 3 następne tomy Scriptores R. Sil. wszystkie z pod redakcyi Stenzla, który prócz tego w r. 1853 ogłosił dzieje Szlązka do r. 1355 i przygotował do druku „Liber fundationis claustri s. Marie virginis in Heinrichow" pomnik dziejowy znakomitéj wartości, wydany następnie w kilka miesięcy po jego śmierci. Aby wszechstronną wartość prac tego męża ocenić pamiętać należy, że równocześnie pisał on wiele innych dzieł historycznych, między innémi „Geschjhte des preussischen staates" do zbioru Heerena i Ukerta, którego dalszy ciąg wydał przed niedawnym czasem uczony Wrocławski Reimann. Na czele towarzystwa slązkiego stanął po śmierci jego założyciela prof. Röppel, i pierwszy tom czasopisma, mającego odtąd być organem historyków przeszłość Slązka badających, poświęcony został pamięci Stenzla. Z biegiem czasu, z przybytkiem członków i ze zwiększającą się ofiarnością na wydawnictwa naukowe, rozszerzyło towarzystwo hist. Wrocławskie sferę swojéj działalności i obok Scriptores R. Sil. i czasopisma zaczęło wydawać Codex Dipl. Silesie, poświęcony pomnikom średniowiecznym, jakotéż Acta publica, mające uwzględniać dokumenty i korespondencye z czasów nowożytnych. Z powiększającym się stopnio-

wo zakresem działania zwiększała się równocześnie i liczba ludzi do podjęcia prac naukowych uzdolnionych. Podczas, gdy Stenzel przez lat przeszło 20 sam jeden działał, pojawiają się obecnie obok Röppel'a imiona dwóch historyków cieszących się dzisiaj w Niemczech niezaprzeczoną sławą. Naczelnik archiwum Wrocławskiego Wilhelm Wattenbach i sekretarz archiwalny Colmar Grünhagen odrazu z całym zapałem poświęcili się badaniu i ogłaszaniu źródeł dziejowych slązkich, a fundusze towarzystwa ulatwiały w miarę możności szczere ich usiłowania. Dwa pierwsze tomy kodeksu dyplomatycznego wydane przez Wattenbacha staly się początkiem zbioru, który co dwa prawie lata nowym tomem się zwiększał. Rachunki i statuta Wrocławia (T. III), dokumenta tyczące się wsi, (T, IV). formularz Arnolda z Protzan (T. V), przywileje górno-szlązkie (T. VI) w najbliższych latach staraniem Wattenbacha, Grünhagena i Meitzena druku się doczekaly. Równocześnie w miejsce prof. Röppel'a obejmuje Grünhagen zarząd towarzystwa, biorąc na swoje barki nie tylko zajęcia administracyjne, ale zarazem i główny udział w pracach wydawniczych. Obok Regesta episcopatus Wratislaviensis wspólnie z Kornem opracowanych zaczyna w r. 1866 wydawać „Regesten zur schlesischen Geschichte" jako Tom VII kodeksu dyplomatycznego, idąc w ślady Böhmera, Meillera, Erbena, zachowując jednakże w sposobie opracowania niektóre właściwości, jak zwłaszcza uwzględnianie zapisek rocznikarskich, co bezsprzecznie na korzyść początkujących badaczów wychodzi, pozbawia jednak same dzieło właściwego charakteru regestów. Do r. 1870 mogło się towarzystwo hist. Wrocławskie wykazać 10-iu tomami czasopisma, 9-iu kodeksu i 2-oma Acta publica z lat 1618 i 1619 opracowanych przez Palma; w r. 1871 podjął Grünhagen przez wydanie źródeł do wojen husyckich, jako VI-go tomu Scriptores Rer. Sil., przerwany przez śmierć Stenzla dział ten publikacyi. W tym samym roku Alwin Schultz opracował pieczęcie Slązkie do r. 1250 i znaczną ich część wydał kosztem towarzystwa. W następnych latach nie mniéj czynnym okazał się prof. Grünhagen z tą tylko różnicą, że chwilowo nie na Codex Dipl. Sil. lecz na Scriptores Rer. Sil. uwagę swą zwrócił. W krótkim téż czasie liczba tomów tego wydawnictwa do 11 urosła, a równocześnie, obok kilku tomów Acta publica i dalszego opracowania pieczęci slązkich przez dr. Pfotenhauera, przybyły 2 nowe tomy kodeksu jakotéż tom 16 czasopisma, i o tych to właśnie ostatnich publikacyach towarzystwa hist. we Wrocławiu kilka słów mamy powiedzieć. Tom X kodeksu dyplomatycznego przez p. Pfotenhauera opracowany, obejmuje dokumenta klasztoru kamienieckiego od r. 1210 do r. 1498 w liczbie 384 z których na w. XIII przypada 72. Ponieważ p. Pfotenhauer, będąc urzędnikiem archiwum

państwowego we Wrocławiu, znajdującego się pod dyrekcyą prof. Grünhagena, z przykładu i metody swego przełożonego miał sposobność korzystać, można się więc było spodziewać, zwłaszcza po tak staranněj pracy nad sigilografią slązką, że na nim się nie zawiedzie tradycya od czasów Stenzla przez Wattenbacha, Grünhagena, Korna, Markgrafa w żywotności utrzymywana. Istotnie, tak wydanie textu, jak opracowanie indeksu żadněj naganie uledz nie może, jeżeli zaś w czém zgodzić się z całym planem wydawania dyplomataryusza slązkiego nie można, to chyba w dzieleniu materyału na pojedyncze tomy, z których każdy sam dla siebie całość stanowi. Wprawdzie Regesta brakom ztąd wynikającym zaradza, ale gdyby nie inne przyczyny, o których wspomnę, to mimo Regestów, o wiele praktyczniejszém i mniéj powtarzania wymagającém, byłoby wydawanie dokumentów w porządku chronologicznym. Powody zaś, które w zupełności zarząd towarzystwa uniewinniają, polegają głównie na rodzaju źródeł, z których się czerpią fundusze potrzebne na cele wydawnictwa. Towarzystwo nie mając stałego uposażenia, musi ustawicznie starać się u zamożniejszych osób o wyznaczenie jakiéj sumy na ten lub ów dział publikacyi, zarazem jednakże zazwyczaj obejmuje zobowiązanie w odpowiednim tomie pewien oznaczony materyał umieścić. Tak się rzecz ma i co do tomu X kodeksu. Kamieniec posiada piękny zamek będący obecnie rezydencyą domu panującego, i księżna Maryanna Niederlandzka matka Alberta księcia Pruskiego, koszta wydania dokumentów dawnego klasztoru Augustyanów kamienieckich z własnéj szkatuły podjęła. Uwaga ta była potrzebna, aby właściwy stan rzeczy zrozumieć, tém bardziéj że i w przyszłości sprawa wydawania dalszych tomów kodeksu prawdopodobnie po tych samych postępować będzie kolejach. Tom XI dyplomataryusza slązkiego w najbliższym jest związku z III-cim (Najdawniejsze rachunki i statuta Wrocławia) i VIII (Schles. Urkunden zur Gesch, des Gewerberechts...) i zawiera prócz spisu rajców Wrocławskich od czasów najdawniejszych do r. 1741, także wykaz nowszych rodzin rajeckich i szereg dokumentów do historyi wewnętrznéj Wrocławia. W tym ostatnim punkcie zchodzi się T. XI kodeksu z „Breslauer Urkundenbuch“ Korna, której jednakże tylko część pierwsza po rok 1377 sięgająca, w r. 1870 się ukazała. Zastanawiając się nad tym jednym tomem z osobna, nic ani formie wydania, ani sumienności wydawców zarzucić nie można; zważywszy jednakże, iż w nim mieści się tylko część obszerniejszego materyału do dziejów Wrocławia, znowu przyjdzie nam utyskiwać na nierówność i niesystematyczność w opracowaniu. Zbytecznėm np. było przeprowadzać listę rajców aż po ostatnie czasy, a nawet wcale dostatecznėm by było,- gdyby się p. Mark-

graf ograniczył na wiekach średnich—lecz p. Markgraf jest archiwaryuszem miejskim, więc uważał to za swój obowiązek wykazów swym współobywatelom nie poskąpić i jak największą liczbę nazw rodzin Wrocławskich dla wiecznéj pamięci w nich poumieszczać. Natomiast obszerna przedmowa jest wcale dobrym szkicem historyi wewnętrznéj Wrocławia aż do dni ostatnich i jako taki uzupełnia o wiele gruntowniejszą, ale i co do rozległości objętéj epoki ciasniejszą pracę Grünhagena „Breslau unter den Piasten als deutsches Gemeinwesen". XVI-ty tom czasopisma jest dla nas tem ciekawszy, że zawiera przeważnie rozprawy z w. XIII, mające dla historyi ogólnopolskiéj niemałe znaczenie. W ogóle można powiedzieć, że czasopismo towarzystwa Wrocławskiego do poznania dziejów średniowiecznych Szlązka tak dalece się przyczyniło, iż niema prawie ważniejszéj kwestyi z téj dziedziny, któraby w niem krócéj lub obszerniéj obrobioną nie została. Ponieważ we wstępie skreśliliśmy choć w krótkości rozwój historyografii i wydawnictwa źródeł na Szlązku, przypomniéć należy aby obraz ten uzupełnić, że oprócz publikacyi Towarzystwa pojawiało się równocześnie wiele cennych bardzo zbiorów i opracowań. Mosbach wydaje „Wiadomości" i „Przyczynki do dziejów Polskich z archiwów slązkich"; Schirmacher „Dyplomataryusz Lignicki"; Heyne trzytomową nudnie i bez krytyki napisaną ale ogrom materyału mieszczącą historyą biskupstwa wrocławskiego, prócz tego wiele pomniejszych monografij, zużytkowujących niejednokrotnie nieznane dotąd dokumenta, ustawicznie się drukuje. Przytém i „Geselschaft für vaterländische Cultur" nie zamknęło organu swego (Abhandlungen der Gesel.) dla prac historycznych, owszem utworzyło na wzór innych Towarzystw umiejętnych osobną filozoficzno-historyczną klasę wydającą na własną rękę peryodycznie przysłane sobie rozprawy, między któremi wyszłe z pod pióra Grünhagena, Grotefenda i Bobertaga najwięcéj mają dla nas znaczenia. Z kwitnącego tego stanu badań historycznych na Slązku korzystamy i my bezpośrednio, zwolnieni będąc, od wydawania między źródłami polskiemi całéj kategoryi tak bogatych i ważnych pomników dziejowych slązkich, przez co jednakże nie chcemy powiedziéć, iżby od krytycznego ich opracowywania, polscy historycy mieli się usuwać.

= **Dr. C. Grünhagen . Geschichte des ersten schlesischen krieges nach archivalischen Quellen** *zwei Bände, 1881/2.* Profesor Grünhagen idąc w ślady Stenzla nie ogranicza się na badaniu dziejów średniowiecznych. Dowodów na to dostarczył już nieraz w mniejszych rozprawkach, obecne zaś dzieło jasno wykazuje, że uczony profesor Wrocławski z wielkim zamiłowaniem w zakresie dziejów nowożytnych pracuje. Historya Fryderyka I niejednokrotnie

przez najznakomitsze powagi naukowe Niemiec jak Ranke, Droysen etc. była przedstawianą, oczywistém więc jest, że coś nowego w dziele pobieżném wielkiemi rysami przedmiot traktującém niepodobna prawie jest powiedziéć. Inaczéj téż przystąpił prof. Grünhagen do swego zadania. Ograniczył zakres swych badań do pierwszéj wojny szlązkiéj, ale co do niéj wyczerpnął wszystek drukowany i archiwalny materyał. Londyn, Wiedeń, Berlin etc. dostarczyły historykowi slązkiemu skarbów w ich archiwach zawartych, i umożliwiły tak dokładne i wszechstronne przedstawienie, że trudno przypuścić, aby wkrótce okazała się potrzeba poddania przedmiotu książki prof. Grünhagena ponownemu obrobieniu.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Głosy rozsądku: p. Orzeszkowa O Żydach. Odpowiedź generałowi Skobelewowi, Kwestya nadbaltycka — Wystawa koni i bydła na placu Ujazdowskim, charakter jéj odmienny od przeszłorocznéj. — O konwersyi listów zastawnych na walutę metalową opinie „Słowa“ i korespondenta z nad Warty do „Gazety polskiéj.“ — Dla kogo i o ile konwersya mogłaby być korzystną. Czy ona dzisiaj możebna? Czy redukcya rubla kredytowego może być pożądaną?

W muzyce orkiestry społecznéj siła rozwija się czasami kosztem nietylko melodyi ale i harmonii. Niby w izbie muzykantów pułkowych, z których każdy powtarza swą partycyą, głusząc towarzyszów, goniących z nim w tenże sposób o lepszą, — z organów publicznych i prywatnych dobywają się dźwięki huczące i piskliwe falsety, powstaje wrzask i hałas, drapiący uszy, gardzący taktem, a w tym krzykliwym chórze skromne głosy rozsądku przebrzmiewają częstokroć niedosłyszane, nieocenione wedle wartości i pożytek, jakiby harmonii społecznéj przynieść mogły, całkiem niemal przepada.

Na kilka takich głosów rozsądku, które ostatniemi czasy słyszyć się dały, pragnęlibyśmy zwrócić uwagę naszych czytelników.

„Bywają momenty, w których każdy, kto kiedykolwiek jeden choćby krok uczynił na drodze spraw publicznych, prawie pod karą utraty czci winien ukazać się pośród téj drogi... ze szczerém i śmiałém słowem na ustach.“ Spełniając tak określoną powinność, pani Orzeszkowa ogłosiła broszurę *O Żydach i kwestyi żydowskiéj* (N. XX wydawnictw E. Orzeszkowéj i spółki. Wilno, 1882, str. 104), w któréj dzieli się z ziomkami owocem swych spostrzeżeń, studyów i rozmyślań. Zajścia grudniowe roku zeszłego w Warszawie były powodem do napisania téj książki; wypadki kwietniowe podnoszą praktyczne jéj znaczenie, spodziewać się więc należy, że znajdzie licznych i uważnych czytelników.

Zaznaczywszy, że sądy nasze o żydach wynikają z uprzedzeń i nieznajomości rzeczy, że wytykamy tylko ich wady, a kończąc na tém, nie lubimy badać zkąd one się wzięły i czy są wyłącznie własnością plemienia semickiego,—autorka rozbiera z kolei czynione pospolicie izraelitom zarzuty. Okrzyczanemu szachrajstwu żydów przeciwstawia przykłady niesłowności i nierzetelności chrześcian, przykłady, których trafności zaprzeczać niepodobna. W klasach wyższych widzimy istotnie nierzetelność wynikającą z marnotrawstwa i życia nad stan; po miastach i miasteczkach nadużycia piekarzy dają powód do częstych skarg, fuszerka rzemieślników zamyka dla naszéj produkcyi targi Cesarstwa, a o rzetelności w magazynach mód panującéj różnych niepięknych historyj nasłuchać się nie można. Fakt podwyższania cen w każdą sobotę dla nikogo nie jest tajemnicą. Skłonność tedy do wyzysku jest nie tyle przymiotem rasowym, ile raczéj wytworem zwyczajów, towarzyszących zajęciu handlarskiemu, od których nie zdołało się ono jeszcze wyzwolić nawet w purytańskiéj Anglii, jak to studya Herberta Spencera wykazały.

Bardzo zręcznie przeprowadza autorka analizę wady wytykanéj bogatszym izraelitom, a zwanéj pospolicie „arrogancyą żydowską“, która jest tylko gatunkową odmianą prostego pyszałkowstwa dorobkiewiczów, znanego wszystkim epokom i wszystkim krajom. Najważniejszy zarzut—wyosobnianiania się i nieobywatelskości—został poważnie rozebrany w broszurze p. Orzeszkowéj, do któréj musimy czytelnika odesłać przy streszczeniu bowiem tego ustępu moglibyśmy natrafić na takież same przeszkody, jakich ślad u autorki na str. 32 widzieć można. Dalsze karty poświęcone są krótkiemu przeglądowi dodatnich przymiotów ludności żydowskiéj i funkcyi, które odgrywają one w naszym organizmie społecznym. Temu, kto rzecz tę zrozumie i o niéj pamiętać zechce, pewnie się nieraz usta zamkną zanim piorunować namiętnie na żydów zacznie.

W drugiéj części broszury p. Orzeszkowa zastanawia się nad pytaniami: co dla pomyślnego rozwiązania kwestyi żydowskiéj uczynić sami żydzi powinni i mogą? i „co w celu tym samym, my chrześcianie czynić powinniśmy i możemy?“ Szukając odpowiedzi na pierwsze z tych pytań, autorka kładzie nacisk, między innemi, na konieczną potrzebę wyleczenia się z niedorzecznego i słusznie oburzającego pociągu do niemczyzny, jaki u wpółoświeconych żydów zanadto często spostrzegać się daje, a do którego i pozorne usprawiedliwienie, w mniemanych potrzebach zawodu handlowego, wynaleziono. Nawiasem powiedziawszy, nie sami żydzi do śmiesznego cechu czcicieli niemczyzny czy prusactwa należą: dla Kaliszan—„Prusy“ poczynają się zaraz za parkanem Szczypiorny, a najświeższe mody

w wrocławskich składach tandety istnieją; Płockie na bony do dzieci sprowadza dwunastoletnie dziewczęta z Torunia, których jedyną a wysoko cenioną zaletą, że „ani słowa po polsku nie umieją"; polszczyzna wreszcie warszawska wzbogaca się z berlińska-prawowiernym wyrazem „dyakonise", bo nazwa „siostr miłosierdzia" zanadto papizmem trąci.

Wracając do ludności żydowskiéj, mniemamy, że przynajmniéj dla kobiet niemczyzna całkiem chyba jest zbyteczną i dla tych zajęć handlowych, którym się one oddają, żadnego pożytku nie przynosi.

Między obowiązkami, które ze względu na rozwiązanie kwestyi żydowskiéj ciążą na chrześcianach, p. Orzeszkowa kładzie na pierwszém miejscu konieczność gruntowniejszego ich poznania. Że go dotyczas nam brakuje, widać już choćby za szczupłéj liczby książek poważnych, poświęconych temu przedmiotowi; tłómaczone z obcych języków paszkwile niedostatkowi piśmiennictwa naszego nie zaradzą. Potrzeba liczniejszego i z większą energią uczestniczenia chrześcian w zawodach przemysłowym i handlowym dała autorce sposobność do skreślenia żywemi barwami obrazu naszéj niezaradności i próżniactwa, próżności i arystokratycznych przesądów, wreszcie dziecinnéj trwogi, abyśmy od zbytku światła nie olsnęli. Wiele tu znajdujemy rysów wprost zdjętych z natury; jaskrawość malowidła nie razi naszych oczu, bo przyczynia się do uwydatnienia konturów, wolelibyśmy jednak mniéj goryczy, któréj żal, bezwątpienia, nie zaś zwątpienie dodało. Autorka, jak się nam zdaje, zbyt wiele przywiązuje wagi do takiego np. objawu, że „złoczyńcę, kradnącego srebrną łyżkę w kawiarni, publicznie w druku, nazwano pozytywistą." Zapewne nie był to koncept osobliwy, ale téż i zgrozy szczególnéj budzić chyba nie powinien. Alboż pijaków nie nazywano również, publicznie, w druku, spirytualistami, człowieka zaniedbanéj powierzchowności—filozofem? Alboż drażliwsze sumienia nie spotykały się z sarkastycznie rzuconém mianem idealizmu? iluż to półgłówkom dodają epitet romantyków? Onego czasu ś. p. chirurg filozofii wyśmiewał młodych adeptów filozofii Hegla, a jak dawniéj tak i dzisiaj przypisywanie jezuitom rozmaitych niebywałych zbrodni wielu niedowarzonych liberalistów uważa za pierwszy artykuł swego filozoficznego *credo.* Wiadomo, jakie zarzuty spadły na Sokratesa i jaki go los za mniemaną winę spotkał. Jedno jest prawo dla wszystkich; gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą a wśród ścierania się przeciwników guzy nieuniknioną są rzeczą po obu stronach.

Nie chcemy uwagami temi zmniejszać wartości broszury o żydach, ani zmniejszać zasługi, którą autorka napisaniem jéj położyła; owszem zalecamy tę książkę gorąco rozwadze czytelników.

Nakładca warszawski, p. Lesman postarał się o przekład na język polski broszury hr. Kutuzowa, stanowiącéj „odpowiedź jenerałowi Skobelewowi,“ Rycerskie brząkanie szablą staje tu przed trybunałem chłodnego rozsądku, który o solidarności między „rzeczywistémi interesami świata słowiańskiego i pokojem europejskim“ stara się czytelników przekonać. Ziomkowie autora nie często mają sposobność czytać słowa prawdy w podobnym duchu wypowiedziane, a i naszym domorosłym politykom odczytanie téj broszurki wyjść na pożytek może.

W Lipsku wyszła w języku rosyjskim książeczka, któréj bezimienny autor roztrząsa kwestyą tak zwanych prowincyj nadbaltyckich (*Nasz ostzejskij wopros*) ze stanowiska narodowości, administracyi i ekonomii i rozpatruje się w stosunku, jaki między innoplemiennemi prowincyami a całością urządzeń politycznych w państwie zachodzić powinien. Autor spełnił swoje zadanie chłodno, z rozwagą jakiéj drażliwość przedmiotu wymagała, a dobór argumentów, których mu wszechstronna i praktyczna znajomość rzeczywistych warunków życia dostarczyła, musi i przez nieprzychylnych poglądom autora czytelników być uznaną. Z takim przeciwnikiem walczyć ogólnikami niepodobna. Broszurę tę zalecano nam do odczytania z innego jednak powodu. Chciano dopatrywać analogii między stanowiskiem prowincyj nadbaltyckich a położeniem naszego kraju. Analogia to jednak pozorna tylko. Niemcom nadbaltyckim chodzi o zachowanie tego co mają: nam *status quo* nie wydaje się do tyla rozkosznym, abyśmy za jego utrzymanie kopie kruszyć pragnęli. Niemcy nadbaltyccy mogą wydawać w swoim interesie broszury, które chociaż w Lipsku drukowane, uzyskują debit w cesarstwie. My, muszący liczyć się z warunkami w których prasa warszawska jest postawiona, nie możemy posługiwać się takiemi środkami.

Różnice między nami a niemcami nadbaltyckimi istnieją pod wielu względami: oni są kastą, my—narodem, oni działają nieraz skutecznie, nam kroku bez zezwolenia zrobić nie wolno; oni uzyskują w tych dniach odroczenie cząstkowéj tylko reformy sądowéj, bo na wprowadzeniu sądów pokoju wyłącznie polegającéj, pomimo iż reforma długo była przygotowywaną, wszechstronnie roztrząśniętą i opracowaną starannie w najdrobniejszych szczegółach; my przed sześciu laty nie uzyskaliśmy odroczenia refomy całego sądownictwa, pomimo iż operat był dość powierzchownie obrobiony i wielu poprawek zaraz nazajutrz po swych narodzinach wymagał, która to praca łatania, po sześciu latach jeszcze jak się zdaje nie dobrnęła do szczęśliwego końca.

Doroczna, druga z rzędu, wystawa inwentarzy żywych odbyła się i w tym roku na placu Ujazdowskim w Warszawie, w czasie od 10 do 19 czerwca. Nie dorównywała ona zewnętrzną świetnością zeszłorocznéj, a tém bardziéj przed dwoma laty odbytéj, specyalnéj wystawie koni; lecz zato przyznać musimy donioślejsze znaczenie jéj stronie wewnętrznéj. Koni stosunkowo dostarczono mało, a z pierwszorzędnych stadnin krajowych, tylko stadnina hr. Ludwika Krasińskiego celowała zarówno doborem okazów, jak ich ilością, wykazującą różnorodne kierunki hodowli, których zbadanie pod względem praktycznéj użyteczności, bądź jako produkcyi towaru na handel zagraniczny przeznaczonego, bądź jako materyału hodowlanego mogącego zaspokoić naglące potrzeby mieszkańców kraju, hr. Krasiński położył sobie za zadanie. W stadninie w Krasnem widzimy rozmaite rasy, począwszy od koni pełnéj krwi angielskich i szlachetnych arabskich, aż do perszeronów, normandów, suffolków, hodowanych w czystości rasy, oraz produkta rozmaitego krzyżowania tych ras pomiędzy sobą.

Inne celniejsze stadniny w kraju nie były wcale na wystawie reprezentowane, albo bardzo słabo; za to z okolic zabużańskich piękne okazy, przeważnie pochodzenia wschodniego, przedstawili: hr. Eustachy Potocki, p. Herburt-Heybowicz, hr. Działyńska, hr. Stadnicka, jako téż kilku innych hodowców. Koni hodowanych przez włościan było bardzo mało, czemu się bynajmniéj dziwić nie należy, zważywszy obecną porę roboczą, niedozwalającą odrywania inwentarza od pracy w roli, a przytém dość znaczne koszta przewozu zwierząt do Warszawy i utrzymania ich na wystawie. Wspomnieć jednak należy gniadą czteroletnią klacz włościanina Ignacego Welika z gub. Siedleckiéj, przychowaną u niego po ogierze rasy ardeńskiéj ze stada rządowego w Janowie; oraz trzy konie rasy krajowéj, bułanéj maści z białemi ogonami i grzywami, włościanina Wojciecha Widłaka z pow. Garwolińskiego; jednego z nich nabył dziedzic wsi i przedstawił jako ogiera rozpłodowego do klaczy krajowych roboczych. W ogóle w wystawie koni widzimy dążność do zapełnienia jéj okazami zwierząt rozpłodowych i współubieganie się na tém polu uważamy za objaw bardzo pocieszający ze względu na materyał hodowlany w kraju. Sąd w téj mierze powinien być nader surowy, chociażby wyrok sędziów miał dotknąć miłość własną wystawców i zniechęcić ich do przysyłania na dal okazów swych na wystawę. Nagrody też dla tego działu powinny być wyższe niż dla koni przeznaczonych wyłącznie do bezpośredniego użytku, jako kareciane (zaznaczyć musimy iż takich było najmniéj) zaprzężne, robocze i wierzchowe. Że wystawa koni w znaczeniu swojém handlowém, jako targowi-

sko na konie, nie doszła jeszcze do pożądanego stopnia rozwoju, dowodzi tego ta okoliczność, iż towarzystwo belgijskie tramwajów, właśnie w porze wystawy, wysłało delegatów swoich na Węgry w celu zakupna potrzebnych mu koni, zamiast ich szukać na placu Ujazdowskim.

Dział owiec przedstawiał się na wystawie zupełnie inaczéj; główną tu rolę odgrywały owczarnie zarodowe prowadzące hodowlę w obranym kierunku pod względem wysokiéj cienkości wełny lub téż gęstości porostu i wagi runa, jako téż gatunku wełny, to jest sukienniczéj i czesankowéj; były więc owce i barany negretti, rambouilletty; owiec angielskich ras mięsnych było mało; przedstawicielami ich były przeważnie oxfordsdown'y, southdown'ów zaś nie wiele. Tryki z celniejszych owczarni z kraju i z W. Księztwa Poznańskiego znajdowały chętny pokup, po dobrych cenach. Niemieccy hodowcy ze Szlązka, Meklemburga i Saksonii dostarczyli również okazy swoje na sprzedaż, przeznaczone jakoby dla zasilenia niemi krajowych zarodowych owczarń dla niezbędnego odświeżenia krwi. Lecz zdaniem specyalistów okazy te nie odpowiadały temu zadaniu i wiele pozostawiały do życzenia.

Niektóre zarodowe obory okazami swémi nie ustępowały owczarniom; rasę holenderską reprezentowała obora hr. Krasińskiego w Ursynowie, od lat wielu starannie w czystości krwi utrzymywana; tejże rasy okazy nadesłali p. Michał Kozarski z Sieradzkiego, p. Franciszek Kraczkiewicz z Moszny pod Pruszkowem, hr. Platerowa z Hruszniewa, oraz kilku innych wystawców.

Rasy górskie liczniéj były reprezentowane; tutaj zaliczyć należy śliczne okazy rasy Montafońskiéj p. Tytusa Dembowskiego z Nacpolska, szwajcarskiéj Simmenthal p. Ant. Kalksteina z Pluskowęs w Prusach zachodnich, hr. Karola Zamojskiego ze Starej-wsi; rasy Schwytz: p. Wiktora Suskiego i młode siedmiomiesięczne ciolki hr. Platerowéj ż Hruszniewa.

Niektórzy téż wystawcy dostarczyli okazy bydla zagranicznego importowanego, mając na widoku potrzebę obór zarodowych odświeżania krwi, podobnie jak to w owczarniach ma miejsce. Widzieliśmy więc buhaje holenderskie wielkiéj odmiany zwanéj amsterdamską dostarczone przez p. Chmielewskiego i s-ka, oraz buhaja i jałowicę lżejszéj odmiany noszącą nazwę Reideland, których wystawcą był p. Pepper z Amalienhof pod Elblągiem.

Prowadzenie czy to obór, czy téż owczarni zarodowych, połączone jest z tylu trudnościami, wymaga tak gruntownéj znajomości zasad i drobiazgowych szczegółów hodowli, iż każdy z właścicieli, który sobie ten kierunek chowu zwierząt położył za zadanie, musi

być bardzo oględnym w wyborze oryginalnych tryków i buhai, które, dla odświeżenia krwi w owczarni swéj lub oborze, sprowadzić zamyśla; w rzadkich zatém wypadkach może polegać na materyale jaki mu handel dostarczyć może, lecz zwykle stara się osobiście przekonać na miejscu o wartości rozpłodowéj sztuk, które nabyć potrzebuje; cena, zwykle w takich razach bardzo wysoka, jest tu rzeczą podrzędną; zresztą powinna się ona wynagrodzić podwyższoną ceną produktu otrzymanego z własnego chowu. Lecz główną rzecz stanowi względna pewność dziedziczności przymiotów w nabywanych sztukach, o czém się tylko naocznie przekonać można. Z tego względu sprowadzanie z zagranicy sztuk rozpłodowych, jakkolwiek pięknych na oko, lecz nie przedstawiających ani dla spekulanta, ani dla nabywcy dostatecznéj rękojmi, uważamy za rzecz ryzykowną.

Trzoda chlewna przedstawiona na wystawie była piękną, powiemy nawet nadto piękną. Patrząc na te bryły żywego tłuszczu, z przykrością u wielu okazów dostrzegliśmy nieprawidłowe oddychanie, spowodowane prawdopodobnie nadmierném otłuszczeniem serca, a ztąd wadliwym obiegiem krwi. Okazy te czyniły na nas wrażenia *chorych* zwierząt. Nie może zatém ich mięso stanowić *zdrowego* pokarmu, ale o to mniejsza, ponieważ celem ich hodowli jest przypłodek powstały z krzyżowania ich z rasami krajowemi. Ale właśnie dla tego, mamy prawo powątpiewać o ich zdolności spłodzenia lub wydania na świat zdrowego potomstwa, mogącego stanowić materyał spożywczy dla krajowéj ludności i towar handlowy chętnie poszukiwany zagranicą. Kwestyą tę poddajemy pod roztrzygnienie fizyologów, hygienistów i hodowców, prosząc tych ostatnich aby się nad nią bez uprzedzenia zastanowić raczyli.

* * *

W końcu kwietnia jeszcze, wobec zbliżających się wyborów do władz Towarzystwa Kred. Ziems. „Słowo“ ogłosiło szereg artykułów o stanowisku Tow. i rozmaitych dezyderatach wypowiadanych przez stowarzyszonych. Wyłożono tam jakiéj metody powinno się trzymać Tow. przy udzielaniu pożyczek, a w dwóch ostatnich artykułach (NN. 99 i 100) podano krytykę zdrową przejawiających się tu i ówdzie żądań konwertowania listów zastawnych na walutę metalową. Wkrótce potém w N. 112, 113 i 114 „Gazety Polskiéj“ korespondent z nad Warty wystąpił w obronie konwersyi listów zastawnych, przeprowadził swe zadanie świetnie i z wielką dyalektyczną zręcznością a zakończył wyznaniem: że przeprowadzenie konwersyi chociaż połączone z całym szeregiem trudności prawodaw-

czych i finansowych, jest jednakże możliwe a byłoby dla dłużników Tow. korzystne, dla wierzycieli zaś i społeczeństwa nie szkodliwe.

Że nowa emisya listów zastawnych spłacalnych w złocie jest możliwą, tego teoretycznie dowodzić nie było potrzeby; korzystną zaś może być o tyle o ile owe trudności do przezwyciężenia finansowe i prawodawcze okażą się nie zbyt uciążliwemi. Nie można spodziewać się, aby w ogromném państwie, w którém kurs monety papierowéj jest przymusowym od lat trzydziestu blisko, bo wymiana jéj na metal ustała z początkiem wojny krymskiéj, gdzie chwiejność kursu monety opanowała już wszystkie stosunki ekonomiczne, ażeby tam, pewna liczba właścicieli ziemskich mogła, w pewnéj cząstce swych interesów, uniknąć ogólnego oddziaływania téj chwiejności; a przynajmniéj nadzieja taka nam wydaje się zbyt zuchwałą.

Uważalibyśmy za wielką pomyślność dla kraju przywrócenie obiegu metalowego. Jeżeli był czas, kiedy można było oprzéć się skutecznie wprowadzeniu w kraju naszym przymusowego kursu monety papierowéj, żałować tylko możemy, że z niego nie skorzystano (w przypuszczeniu, że to było możliwem) i nie postanowiono wtedy starać się o silniejszą gwarancyą prawodawczą przeciwko jéj napływowi. Jako gorący zwolennicy wszelkiéj energicznéj czynności osób prywatnych i instytucyj z łona społeczeństwa wyrosłych, witalibyśmy z największą radością dowód, że władze Towarzystwa Kred. Ziem. konwertując listy zastawne na walutę metalową, mogą się przyczynić do przywrócenia obiegu monety brzęczącéj. Ale, czyż konwersya może mieć znaczenie tak doniosłe? nam się zdaje że nie, korespondent z nad Warty także tego nie przypuszcza. Jakaż więc będzie z niéj korzyść dla dłużników? — My tę jedynie uznać możemy: że ciążący dzisiaj na dobrach stowarzyszonych dług towarzystwu, zostanie ujętym w stałą i niezmienną normę, że stosunek jego do wartości realnéj majątku pozostanie niezależnym od zmian kursu rubla kredytowego; ale obok tego wszelkie inne czynności ekonomiczne właściciela, o wiele obszerniejsze aniżeli wypłata amortyzacyi tego długu, pozostaną pod wpływem monety papierowéj; wydatki na prowadzenie gospodarstwa, sprzedaż produktów, inne kredyta hypoteczne i osobiste, nakoniec sama cena majątku nie przestaną przeto wyrażać się w znakach obiegowych chwiejnych. Właściciel majątku będzie miał pewność, że jakaś część jego długu nie zmieni swego stosunku do wartości jego majątku przez taksę wykrytéj, ale sama cena tego co posiada, i wartość tego co przez ręce jego przechodzi przy ciągłym obrocie pozostaną dla niego rzeczą niedokładnie określoną. Zapewne można dopatrywać w tém korzyść jakąś, ale czy wielką? czy taką dla któréj wartoby się poddawać dzisiaj

rozmaitym ewentualnościom przy lokowaniu nowych listów zastawnych możliwym, i brać na siebie w przyszłości większy ciężar wypłat? Słyszeliśmy opowiadania, że ten lub ów bankier bilanse swoje oblicza na monetę metaliczną, mając ciągle i wyłącznie prawie do czynienia z wartościami kredytowemi, ma on w tém korzyść taką, iż w każdéj chwili może wiedziéć dokładnie jaką ilością wartości realnéj rozporządza, jasno widzi stan swego majątku; wszakże podobny sposób prowadzenia rachunku nie salwuje go bynajmniéj od strat, ani przeszkadza pobierać zysków, jakie mu nadarzyć może chwiejność kursu waluty kredytowéj.

Korespondent z nad Warty przewiduje bodaj, że kurs rubla kredytowego podniesie się w prędkim czasie i to znacznie, na ten wypadek chciałby dzisiaj już przystąpić do normowania w złocie cyfry długu właścicieli ziemskich towarzystwu, ażeby ochronić ich od strat jakieby na zwyżce kursu ponieść mogli. Jednakże jeżeli na poprawieniu się kursu stracą dłużnicy, to zyszczą na tém wierzyciele, posiadacze listów zastawnych, którzy dotąd na ustawicznym upadaniu kursu oczywiście tracili, trudno więc w konwersyi dopatrywać sprawiedliwości; zastrzeżenie się jurystyczne raczéj aniżeli jurydyczne, prawne, że listy zastawne mogą być wylosowane w każdém półroczu, że zatém przyśpieszona ich wypłata nikogo nie skrzywdzi, wystarczyłoby może temu lub owemu sądowi do wydania decyzyi uznającéj podobną operacyą za nieprzeciwną prawu, ale słuszności w tém nie będzie zgoła, bo tych którzy w ciągu szeregu lat widzieli dochód swój stosunkowo zmniejszającym się konwersya pozbawiłaby szans pomyślnych poprawienia swéj pozycyi.

Rzeczywistym interesem właścicieli ziemskich byłoby otrzymywanie pożyczek oprocentowanych niżéj od dzisiejszych np. 4% zamiast 5%; jedynie więc w nadziei otworzenia naszym listom zastawnym drogi na wielkie giełdy zachodniéj Europy można projektować konwersyą ich na walutę metalową, bo tam kapitaliści zadawalniają się procentem niższym i papier hypoteczny byłby zapewne pożądany przy czterech procentach. Ale korespondent z nad Warty chce owszem zatrzymać, z początku przynajmniéj, stopę pięcioprocentową, licząc bodaj na to, że przy tym wysokim procencie kurs ich pójdzie wyżéj *pari*, a wtedy dłużnik dostanie w ręce więcéj kapitału. Przy losowaniu jednak listów w terminach półrocznych, zagrażającém posiadaczom list. zast. wypłatą *al pari*, trudno przypuszczać aby kurs ich mógł podnieść się znacznie, a przynajmniéj odpowiednio do wyższéj nad miejscową stopy procentu; jeżeliby zaś powiodło się przy sprzedaży listów zastawnych dostać jednym lub dwoma na sto więcéj, nie zrównoważy to bodaj dla dłużnika niedogodności płacenia w ciągu lat 37½ procentów pięciu zamiast czterech.

Całe rezonowanie korespondenta z nad Warty opiera się na przypuszczeniu, że listy zastawne metaliczne, przy odpowiednim staraniu ze strony władz Tow. Kred. Ziem., mogłyby być lokowane za granicą na równi ze swą nominalną wartością. Opłata procentów w złocie nie zdaje się mu przedstawiać żadnych trudności, bo wszakże w Gdańsku za pszenicę zawsze złota dostać można, a kurs papierów zrównoważy ten rachunek. Nam się zdaje że nie wielka tylko liczba właścicieli sprzedaje pszenicę w Gdańsku, chyba niektóre większe majątki nad granicą pruską, albo nad Wisłą położone tak się urządzają, ogromna zaś większość stowarzyszonych dłużników sprzedaje produkty swoje wewnątrz kraju, rozmaitym handlarzom, którzy często o cenie złota na giełdzie warszawskiéj tyle wiedzą co i sami właściciele, a jeżeli są lepiéj oświadomieni, to nieraz zapewne zechcą korzystać ze swéj wiadomości, przy zawiłym rachunku kursów potrafią wykazać wyższość swą w arytmetyce, co już dla dłużników dogodném w żadnym razie być nie może. Zbijając daléj z wielką biegłością dyalektyczną argumenta w N. 100 „Słowa" przytoczone, nie wspomina nawet korespondent o przykładach w N. 99 cytowanych, na których właśnie opierają się owe argumenta. Faktem jest że obligacye metaliczne Tow. kolei Terespolskiéj i Warszawsko-Wiedeńskiéj, a także obligi hypoteczne Tow. wzajemnego kredytu ziemskiego rosyjskiego i Boden-Creditu austryackiego, pomimo usiłowań umiejętnych i stosunków w świecie finansowym bardzo rozgałęzionych, nie mogły być lokowane na równi ze swą nominalną wartością, a z pomiędzy tych czterech emisyj tylko obligacye kolei War.-Wied., z powodu korzystnych okoliczności chwili w któréj były wypuszczone, zdołano sprzedać za ilość rubli kredytowych równą cyfrze rubli metalicznych, za którą mają być z czasem wykupione. Przeciwko tym faktom nie wiele pomogą rezonowania, chociażby na zasadach najczystszéj ekonomii osnute, a wobec podobnéj ewentualności nawet niższy procent listu zastawnego nie będzie korzystnym dla dłużnika, bo on, za zobowiązanie wypłaty stu rubli w złocie, dostałby dzisiaj sto rubli kredytowych, a procent czwarty płatny w złocie przy obecnym kursie (160 za 100) wyniósłby już 6,4% zamiast dzisiejszych 5%.

Od czasu silniejszego zniżania się kursu rubla kredytowego, nasze listy zastawne trzymają się ciągle prawie na równi ze swą nominalną wartością w tychże rublach, i nie dają się przewidywać wewnątrz kraju fakta ekonomiczne, któreby na zniżenie znaczniejsze ich kursu wpłynąć mogły, dlatego perturbacya, jaką w interesach pewnéj liczby właścicieli ziemskich i bez porównania większéj ilości posiadaczy listów zastawnych, wprowadzić-by musiała konwersya na

walutę metalową nie zdaje się nam być pożądaną. Okoliczności zewnętrzne, wpływ jakiby na kurs listów zast. wywrzeć mogła jakaś zawierucha europejska lub wojna z ościennym mocarstwem, nie mogą być przez nas przyjmowane w rachubę, dlatego że ani tych okoliczności przewidzieć, ani ich doniosłości ocenić, ani skutków jakie za sobą sprowadzą obliczyć nie możemy; a to nie tylko my, skromni publicyści bez życia publicznego, ale nawet kierownicy polityki dworów europejskich, którzy często w podobnych przewidywaniach mylić się mogą i mylą się téż faktycznie. Tu zawsze pozostaną szanse podwójne: ktoś może wygrać, a ktoś stracić; tutaj trzeba aby każdy na własną odpowiedzialność, według swego rozumienia rzeczy i bystrości w przewidywaniu wypadków, urządzał swoje własne interesa. Instytucya publiczna zawiadująca sprawami kilku tysięcy dłużników i niemniéj obowiązana dbać o interes kilkuset tysięcy wierzycieli, nie ma prawa czynności swych stosować do rozlicznych niewiadomych jéj wypadków, jakie dzień jutrzejszy lub rok następny może przynieść z sobą, dla niéj drogę prawidłową postępowania wskazują trwałe warunki bytu ekonomicznego tego kraju w którym ona funkcyonuje. Porywać się na forsowne przekształtowanie tych warunków nie może nikt kto nie rozporządza środkami prawodawstwa i zarazem najpoważniejszą siłą finansową w kraju, zatém jeden tylko rząd jest w stanie wywierać wpływ skuteczny na obieg téj lub owéj monety w kraju.

We wszystkich podręcznikach ekonomicznych zapisane jest twierdzenie uczonych angielskich, że złoto i srebro zawsze tam się przenosi gdzie jest najdroższém. Ale uczeni angielscy nie u nas studya swe nad obiegiem drogich metali robili. Złoto najdroższem i najpożądańszem jest niewątpliwie w krajach gdzie istnieje kurs przymusowy papierowych znaków wymiany, a jednak ono tam iść niechce, sprowadzane zaś usilnemi staraniami ucieka bardzo prędko. U nas np. za gwineę niewątpliwie można kupić więcéj ziemi i zboża aniżeli w Anglii, pomimo to jednak nietylko gwinea do nas nie wędruje, ale i półimperyał z granic cesarstwa ucieka.

Prawo rządzące obiegiem metali, wskazane i opisane przez ekonomistów angielskich, prawdziwem jest w Anglii i w całym rejonie krajów gdzie warunki ekonomiczne są do siebie podobne. Londyn, Paryż, Bruksella, Amsterdam, Frankfurt nad Menem kolejno przesyłają sobie złoto gromadzące się nadmiernie w jednym z tych punktów centralnych wielkiego handlu i wielkiego przemysłu; ale do Wiednia i Rzymu nie tak już łatwo ono się przenosi, a do Warszawy i Petersburga obecnie zanic go zwabić nie można. To też posługiwanie się formułami nauki ekonomicznéj właściwe w dyskusyi

dla wyjaśnienia kwestyi, nie może być skutecznem w praktyce interesów, bo formuła oderwana nie da się zastosować do życia bez wprowadzenia do niéj współczynników praktycznych, a w interesach właśnie o te współczynniki chodzi.

Jeżeliby Anglicy lub Francuzi, a nawet Niemcy, potrzebowali kupować u nas coś więcéj oprócz téj niewielkiéj ilości zboża jaką im sprzedajemy, jeślibyśmy mogli dostarczać im węgla, żelaza, wytworów chemicznych a chociażby wielkich mas lnu czy konopi, słowem takich produktów, których spożycie wzrastać może nieograniczenie, wtedy moglibyśmy liczyć na to, że nasze zobowiązania hypoteczne będą przez nich cenione na równi z nominalną wartością. Ale my im tego dostarczyć nie możemy, rodzący się przemysł nasz zbywa swe wyroby prawie wyłącznie w Cesarstwie, a fakt ten wciąga nas w sfery tamecznego obrotu ekonomicznego; giełdy Paryża i Londynu znają dokładnie nasze położenie, dlatego ani doskonałe u nas urządzenie hypoteki, ani pięćdziesięcioletnia nieskazitelna czynność władz Tow. Kred. Ziem., niewystarczą do zaszczepienia w kapitalistach zagranicznych zaufania, że instytucya kredytowa kraju, który musi się obracać w orbicie wielkiego państwa o kursie papierowym przymusowym, będzie zawsze w możności wywiązać się ze swego zobowiązania wypłat w złocie, i dla tego to nie możemy przewidywać żeby nowe listy zastawne metaliczne mogły być lokowane zagranicą *al pari*.

Upadek kursu monety papierowéj nastaje wtedy, kiedy ilość jéj przewyższa potrzeby obrotu wewnętrznego, niebezpieczeństwo to istnieje wszędzie gdzie wypuszczanie w obieg papierowych pieniędzy zależy od władz rządowych, które zbyt często znajdują się w konieczności opędzania wydatków nadzwyczajnych, natychmiastowo. Anglia, Francya i Ameryka miały swoje peryody kursu przymusowego papierów, ale tam stosunkowo prędko potrafiono wydobyć się z kłopotu, bo położenie polityczne pozwalało prędzéj zarządzić w wydatkach znaczne oszczędności, a co najważniejsza, że tam pracowitość, przemyślność i przezorność pomiędzy całą ludnością rozwinięte są w znacznie wyższym stopniu aniżeli u nas i w Rosyi, z czego wynika ciągły przyrost wartości wytwarzanéj wewnątrz kraju, obrót handlowy wzrasta szybko, handel zewnętrzny prowadzi się na skalę olbrzymią i złoto spływa tam ze wszystkich stron świata.

My przemysł u siebie rozwijać zaczynamy dopiero, zmuszeni do tego mnożeniem się ludności, wyroby nasze zbywamy tam gdzie je biorą i dostajemy za nie pieniądz papierowy. Kraj nasz, chociaż gęsto zaludniony, w stosunku do ogromnego Cesarstwa, nie może mieć dostatecznéj siły ekonomicznéj, ażeby swoją produkcyą warun-

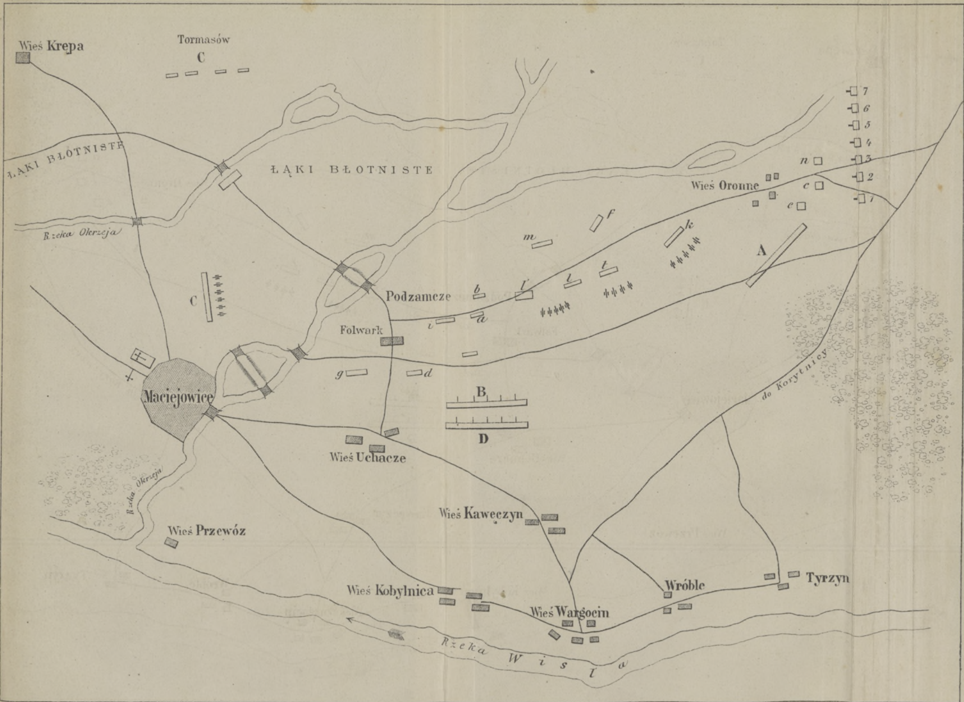
kował okoliczności tamecznego obrotu, zagranicę wywozimy zaś zbyt mało ażebyśmy mogli ztamtąd ściągać złoto do siebie. W téj pozycyi musimy sprawować się oględnie i nie możemy myśléć o wywołaniu przesilenia monetarnego, nad którym zapanować nie bylibyśmy w stanie. Dla uregulowania wszelkiego rodzaju stosunków ekonomicznych przywrócenie obiegu metalowego naturalnie jest nam bardzo pożądane, ale zdaje nam się, że w żadnym razie nie powinnibyśmy pragnąć redukcyi rubla kredytowego; dlatego właśnie że to byłby kryzys, i kryzys zawsze bolesny, przynajmniéj dla połowy społeczeństwa. Jeżeli upadek kursu rubla papierowego był stopniowy i samym stopniowaniem swoim straty i szkody poniesione rozkładał na czas długi i na wielką ilość osób, to téż i poprawianie się kursu pożądaném być może tylko stopniowe, w ciągu kilkunastu lat przeprowadzone, któreby pozwoliło, nowe wynikające ztąd straty a także korzyści, stosunkować do niezmiernéj rozmaitości w położeniu wszystkich obywateli kraju.

Korzyści zaś, jakaby wyniknąć mogła obecnie z konwersyi listów zastawnych dla stowarzyszonych właścicieli ziemskich, dopatrzyć nie możemy, bo ani przez to dostać oni będą mogli więcéj pieniędzy, ani zmniejszą się ich wypłaty. A jeżeli korzyść dla nich widziéć można w zastrzeżeniu się od spłaty długu przy lepszym kursie rubla kredytowego, to takowa pociągnąć za sobą musi stratę wierzyciela, który o tyle mniéj dostanie dzisiaj o ile dłużnik z czasem mniéj zapłacić będzie obowiązany.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

PLAN ODRĘCZNY BITWY POD MACIEJOWICAMI,

skreślony przez L. DEMBOWSKIEGO.



OKOLICA MACIEJOWIC.



OBJAŚNIENIE.

Siły polskie.

a. 4 Szwadrony Leib-Regimentu.
b. 4 Szwadrony brygady Ożarowskiego.
c. Brygada Pułkownika Kopcia.
d. Pułk..5-ty Ks. Lubomirskiego.
e. — Ułanów Königa
f. — Paszkowskiego Milicyja Brzeska.
g. 1 bataljon Wodzickiego.
h. 2 bataljony Czapskiego.
i. 1 bataljon fizylijerów.
k. 2 bataljony Działyńskiego.
l. 2 bataljony Krasiński i Rafałowicz.
ł. Kosyniery Krakowskie.
m. Strzelcy Działyńskiego.
n. Strzelcy Flor. Dembowskiego.

Wogóle 20 szwadronów kawaleryji.
12 bataljonów piechoty.
4 bataljony milicyji i Kossynijerów.
20 dział.
licząc szwadron po 120 ludzi × 20 = 2,400.
— bataljon — 608 — × 16 = 9,600.
Razem 12,000.

Siły rossyjskie.

A. Brygada Denisowa.
8 Szwadronów Elizabetgradzkich konnych Jegrów
2 Batalijony Kozłowskie Muszkietery.
2 — Ekaterynosławskie.
N. 1. Kozacy Jelowski.
2. — Denisow.
3. — Janow.
4. — Denisow.
5. — Serebrekow.
6. — Grekow.
7. — Andreanow.

B. Brygada Chruszczow.
6 Szwadronów Jenburskich Kirassyjerów.
6 Szwadronów Achtyrskich lekkokonnych.
3 batalijony Dnieprowskie.
2 batalijony Uglickie.

C. Brygada Tormassów.
10 Szwadronów Smoleńskich dragonów.
4 Batalijony Grenadjerów Sybirskich.
4 Batalijony Grenadjerów Kijowskich.
2 Batalijony muszkieterskie Nowogrodzkie.

D. Brygada Rachmanow.
6 Szwadronów Charkowskich lekkich.
6 Szwadronów Worone̓żskich Huzarów.
3 Batalijony Kurskich muszkieterów.
2 Batalijony Ekaterynosławskich Jegrów.

Wogóle 44 Szwadronów.
25 batalijonów.
7 pułków Kozackich.
Jazdy 8,500.
Piechoty 20,000
28,500.

Dział lekkich 48.
ciężkich 50.

„KRAJ."

Z dniem 1 (13) Lipca r. b., na mocy udzielonej przez władzę wyższą koncesyi, rozpoczynamy w Petersburgu wydawnictwo *tygodnika* **polityczno-społecznego** p. t. **„Kraj."**

„Kraj" wychodzić będzie **tygodniowo** w sobotę wieczorem, w formacie *in folio* (12 stronnic) i składać się będzie z następujących *działów:* 1) **Wiadomości urzędowe**; 2) **Artykuły wstępne** (polityczne, społeczne i ekonomiczne); 3) **Przegląd polityczny**; 4) **Kronika petersburska**; 5) **Kronika wewnętrzna** (wiadomości z Cesarstwa i Królestwa, oraz przegląd prasy polskiej i rosyjskiej); 6) **Ziemie słowiańskie** (kronika ze Lwowa, Krakowa, Poznania, Pragi czeskiej, Zagrzebia, Belgradu, Sofii i t. d.); 7) **Korespondencye** wewnętrzne i zagraniczne; 8) **Kronika sądowa**; 9) **Kronika ekonomiczna**; 10) **Feljeton**; 11) **Dział literacki i krytyka** i 12) **Ogłoszenia.**

Przedpłata „Kraju" wynosi: *w Petersburgu:* rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2; *z przesyłką pocztową:* rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 15 kop. od wiersza drobnym drukiem. **Redakcya i Kantor Główny** mieszczą się w Petersburgu na Placu Teatralnym N. 10, mieszkania N. 12, dokąd adresować należy wszystkie listy i przesyłki pieniężne. **W Warszawie** kantor **„Kraju"** znajduje się w centralnem biurze ogłoszeń **„Rajchman i Frendler"** (Senatorska 22) i pośredniczy w przyjmowaniu przedpłaty od prenumeratorów warszawskich i ogłoszeń z Królestwa Polskiego i zagranicy.

Redaktor i Wydawca ERAZM PILTZ.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1882 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1881. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie	Rs. 12.
Półrocznie	„ 6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie)	„ 3

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM

Włodzimierska, 14.

Дозволено Цензурою, Варшава, 19 Iюня 1882 года.